

# Shreve Anita

## Jedyne, czego pragnął

Gdyby Nicholas Van Tassel nie pomógł Etnie Bliss podczas pożaru hotelu w 1899 roku, w jego życiu nie zagościłaby wielka namiętność, nie wiedziałby, czym jest niegasnące pożądanie. Gdyby nie poznał tajemniczej Etny, nie wiedziałby też, jak smakuje chorobliwa zazdrość, jak boli jednostronna miłość i do czego on sam może się posunąć, by zatrzymać jedyną kobietę, której pragnie...

Pożar wybuchł w kuchni i ogień błyskawicznie przeniósł się na hotelową jadalnię. Bez ostrzeżenia, może po jednym ostrzegawczym okrzyku, kula ognia (tak, naprawdę kula) przetoczyła się przez łukowato sklepione szerokie drzwi kuchenne. Kłęb drgającego koloru robił niezwykle wrażenie, zupełnie jakby był żywym stworzeniem, niebezpiecznym i groźnie szczerzącym kły, chociaż w istocie były to przecież tylko płomienie, zjawisko fizyczne, stwierdzone w sposób naukowy, dzieło natury, nie ręki Bożej. Na chwilę sparaliżowało mnie zaskoczenie i doskonale pamiętam, jak ogień z wiewiórczą zwinnością wspinał się po zielonych kotarach i przeskakiwał z fałdy na fałdę, unicestwiając tkaninę i rzucając garści gorącego popiołu na siedzących niżej gości. Patrzącemu nieuchronnie nasuwała się myśl, że goście hotelowi zostali pokarani kataklizmem za swoje grzechy, popełnione w przeszłości lub jeszcze niepopołnione.

Jeżeli nawet widok ognia nie dotarł natychmiast do mojej świadomości, to tchnienie gorąca otrzeźwiło mnie i zmusiło do zerwania się z miejsca. Dookoła mnie zapanowało pandemonium - stoły i krzesła wywrócone do góry nogami, dziesiątki osób, gnających na złamanie karku ku drzwiom jadalni, huk tłukącego się szkła i porcelany. Na szczęście jakiś przedsiębiorczy gość otworzył duże okna, wychodzące prosto na ulicę. Pamiętam, że dziwnym ruchem potoczyłem się w tamtym kierunku, upadłem na śnieg i natychmiast uświadomiłem sobie, że muszę się usunąć z drogi, aby zrobić miejsce dla następnych.

Właśnie w tym momencie odezwał się wreszcie mój altruizm. Podniosłem się z kolan i zacząłem pomagać tym, którzy się pokaleczyli, odnieśli kontuzje, a nawet coś sobie złamali. Nie brakowało także ludzi, którzy zostali poturbowani w tłumie lub nawdychali się za dużo dymu. Pożar rozświetlił okna restauracji i panujące już na dworze ciemności. Zrobiło się tak jasno, że wyraźnie widziałem wyraz całkowitego zaskoczenia i wręcz oglupienia, malujący się na twarzach ludzi stojących niedaleko. Wiele osób kaszało, niektórzy płakali, a wszyscy wyglądali jak ogłuszeni mocnym ciosem. Kilku mężczyzn próbowało zachować się po bohatersku i wrócić do budynku na odsiecz tym, którzy jeszcze zostali w środku, wydaje mi się nawet, że jakiś student faktycznie uratował starszą kobietę, sparaliżowaną przerażeniem przy bufecie, lecz zdecydowana większość uciekinierów nawet nie myślała o tym, aby wchodzić do ogarniętej płomieniami sali. Z okien buchał tak wielki żar, że musieliśmy cofnąć się aż do ulicy. Po chwili znaleźliśmy się na szkolnym dziedzińcu, otoczonym nagimi o tej porze dębami, jesionami i dostojnymi kasztanowcami.

Później mieliśmy się dowiedzieć, że pożar zaczął się od kilku kropli oleju, które kapnęły do ognia. Stojąca obok pieca podkuchenna, chcąc przygasić płomień, chlusnęła nań wodą z dzbana, potem zaś, wpadłszy w panikę, podsycała ogień, wymachując trzymaną w ręku ścierką. Około dwudziestu osób, które nie zdołały wydostać się ze swoich pokoi na wyższych piętrach hotelu, spłonęło żywcem (wśród nich był Myles Chapin z Wydziału Chemii - Bóg jeden wie, co robił w hotelowym pokoju, gdy tymczasem jego żona i dzieci spokojnie zajmowały się swoimi sprawami w rodzinnym domu na Wheelock Street; nie chciałbym snuć niepotrzebnych domysłów, lecz może to strach przed kompromitacją i skandalem sprawił, że Chapin zwlekał z ucieczką o parę sekund za długo). Co dość zaskakujące, z całego personelu kuchennego zginęła tylko jedna osoba. Stało się tak dlatego, że ktoś zostawił otwarte tylne drzwi i pożar, wraz z podmuchem wiatru, runął ku jadalni, co pozwoliło uciec kucharzom i ich pomocnikom, włącznie z mało przytomną podkuchenną, która w dużej mierze przyczyniła się do katastrofy.

Hotel znajdował się dokładnie naprzeciwko Thrupp College, gdzie byłem zatrudniony jako wykładowca literatury angielskiej i retoryki. College ten był i nadal jest (do chwili, w której piszę te słowa, nic się nie zmieniło) szkołą męską cieszącą się średnią opinią. Zabudowania college'u to dziwny zbiór - niektóre są naprawdę paskudne, wzniesione na początku minionego stulecia przez ludzi, którzy chcieli widzieć tu seminarium, lecz później zadowolili się ideą stworzenia małej enklawy edukacji klasycznej i ogólnego rozwoju intelektualnego. Na terenie kampusu stał jeden imponujący budynek w stylu epoki króla Jerzego, w którym mieściły się biura poszczególnych wydziałów, otoczony był jednak zbyt wieloma budowlami z ciemnej cegły, o niewielkich oknach i dziwacznie rozmieszczonych wieżyczkach, przywodzących na myśl chyba najgorszy okres architektury amerykańskiej, czyli wczesny wiktoriański gotyk. Niektóre gmachy otaczają kwadratowy dziedziniec, inne wylewają się na ulice miasta, które w okresie, o jakim mowa, było prawie całkowicie zdominowane przez college. Ponieważ tereny szkolne otaczała aura typowo amerykańskiego małego miasteczka, kolonialne domy stojące wzdłuż Wheelock Street pozostawiono w pierwotnym kształcie i przeznaczono na rezydencje dla dziekanów i głównych wykładowców college'u. Na obrzeżach miasta, gdzie zaczynają się granitowe wzgórza, rozciągają się farmy - trudne do utrzymania gospodarstwa rolne, z których skalistej gleby kolejne pokolenia farmerów starają się wydobyć chociaż tyle płodów, aby wystarczyło na przeżycie. Ta twarda, nieprzyjazna ziemia zawsze w dziwny sposób kojarzy mi się z chudymi starszymi kobietami o ostrym, niezbyt miłym sposobie bycia. Wróćmy jednak do rzeczy - ci z nas, którym szczęśliwie udało się wydostać przez okna sali jadalnej, stali w samym centrum opisanego wyżej światła, na razie jeszcze zbyt oszołomieni, aby zacząć dygotać z zimna. Śnieg przenikał lodowatą, mokrą masą skórę naszych butów. Wiele osób mrużyło oczy, patrząc na płomienie, lub osłaniało twarze dłońmi i cofało się, uciekając przed bijącym ze środka żarem. Sam byłem trochę jak ogłuszony i bez celu chodziłem wśród zebranych przed hotelem. Nie przyszło mi do głowy, że mógłbym

po prostu przejść do stojącego po drugiej stronie dziedzińca Woram Hall, gdzie było moje mieszkanie. Nie mogłem się pozbierać, otrząsnąć z szoku, i wciąż rozglądałem się dookoła, chociaż nie szukałem żadnej konkretnej osoby czy obiektu. Pewnie właśnie dlatego, w samym środku szalejącego wokół chaosu, mój wzrok zatrzymał się nagle na stojącej obok latarni kobiecie.

Zawsze należałem do mężczyzn, którzy, patrząc na kobietę, przede wszystkim zwracają uwagę na jej twarz, następnie na talię (na te znaczące wklęsłości linie, mówiące o młodości i wi-talności), potem zaś oceniają barwę, gęstość, długość i lśnienie włosów. Wiem, że dla innych punkty oceny ustawione są w odwrotnej kolejności, istnieje też grupa przedstawicieli mojej płci, których oczy najpierw ogarniają dekolt kobiecej sukni i biust; a potem spuszczaają wzrok, z nadzieją szukając zgrabnej kostki czy nawet łydki. Tak czy inaczej, tamtego wieczoru i tak nie mogłem swoich zwykłych kryteriów oceny w chłodny, przemyślany i przytomny sposób, ponieważ moją uwagę przykuła cała sylwetka kobiety, na którą patrzyłem.

Nie powiem, że była przeciętnie ładna, bo któż z nas jest „przeciętnie ładny” w latach młodości, nie nazwałbym jej jednak także piękną, gdyż jej twarz i cała postać były tak nasycone kolorem i mocnymi, zdecydowanymi liniami, że pozbawiło ją to delikatności i łagodności, a więc tych atrybutów, które poprzednio uważałem za konieczny warunek prawdziwie kobiecej urody. Była wysoka, co kobietom zazwyczaj też nie dodaje uroku. Wszystko to okazało się po prostu nieistotne z powodu dziwnego spokoju i znieruchomienia jej sylwetki. Kiedy zamykam oczy, nawet teraz, w tym podskakującym na szynach wagonie, mogę cofnąć się w czasie o ponad trzy dziesięciolecia i ujrzeć ją, stojącą nieruchomo pośrodku rozbieganego tłumu. Potrafię przywołać z pamięci nawet moment, gdy zbliżyłem się do miejsca, gdzie stała obok latarni, oraz złocisty brąz jej oczu, topazową tkaninę sukienki, idealnie, wręcz po mistrzowsku dopasowaną do koloru oczu (tak się składa, że była to umiejętność, w której Etna nie miała sobie równych - zawsze umiała doskonale

dobrac strój i biżuterię do urody). Miała oczy w kształcie migdałów i gęste, długie ciemnobrązowe rzęsy. Nozdrza i kości policzkowe były wyraźnie zaznaczone, jakby w jej żyłach płynęła obca krew, a włosy koloru dojrzałych żółdzi po rozpuszczeniu mogłyby przykryć jej ramiona i plecy aż do pasa, tak mi się w każdym razie wtedy wydawało. Na rękach trzymała dziecko, uznałem, że jej własne. Zapragnąłem tej nieznajomej z intensywnością, która całkowicie mnie zaskoczyła i którą uznałem za niewłaściwą. Często się zastanawiałem, czy to pożądanie tak dojmujące, jakby ogień palił moje ciało, ta żarliwa potrzeba dotknięcia jej skóry nie były rezultatem niezwykłych okoliczności, w jakich chwilę wcześniej się znalazłem. Czy byłbym równie zachwycony, równie zafascynowany, gdybym ujrzał Etnę Bliss w jadalni tamtej restauracji lub zauważył ją stojącą tuż za mną na rogu ulicy? Odpowiedź brzmi: tak. Zareagowałbym tak samo, niezależnie od tego, gdzie i kiedy zobaczyłbym ją po raz pierwszy. Tak, moja reakcja byłaby równie szybka i tak samo przerażająca.

(Chciałbym tu także dodać, że w ciągu sześćdziesięciu czterech lat swojego życia zaobserwowałem, iż namiętność w tej samej mierze niszczy i buduje człowieka nie powoli, ale natychmiast, i to w taki sposób, że tego, co pozostaje, nie sposób podzielić na dobro i zło. Zniszczenie jest wynikiem chęci, więcej, gotowości podjęcia wszelkich możliwych kroków w celu zdobycia obiektu pożądania, nawet jeżeli wymaga to kłamstwa, oszustwa i podeptania wartości, które wcześniej były nam drogie. Zbudowanie dokonuje się dzięki świadomości, że oto potrafimy kochać mocno, bez reszty, dzięki świeżo zdobytej wiedzy, która, co paradoksalne, pozostawia w nas uczucie wdzięczności i dumy, mimo całej tej rzezi hierarchii wartości, jaka dopiero co w nas nastąpiła). Kiedy z pewnym zniecierpliwieniem i roztargnieniem w końcu pozbyłem się człowieka, który wsparł się na moim ramieniu, starszego dżentelmena o załzawionych oczach, szukającego w tłumie swojej małżonki, i odwróciłem się w kierunku miejsca, gdzie stała kobieta z dzieckiem na rękach, już jej tam nie było. Z uczuciem gorączkowego przerażenia,

całkowicie obcego mojej naturze i z pewnością nienormalnego (na szczęście w tych okolicznościach nikt nie zwrócił uwagi na moje podniecenie), zacząłem rozglądać się po dziedzińcu, zupełnie jak ojciec, który szuka zaginionego dziecka. Wiele osób kierowało się już w stronę domów lub taksówek, co oczywiście wcale nie zmniejszyło szarpiącego mną niepokoju, inni wychodzili z okolicznych domów, niosąc koce, ciepłe okrycia, wodę, kakao, a nawet alkohol dla poszkodowanych. Niektóre ofiary pożaru otulone teraz były w rzeczy za duże lub za małe. Sprawiały wrażenie rozbitków lub uchodźców, którzy znaleźli schronienie na dziedzińcu college'u. Parę minut wcześniej na miejsce przybył oddział straży pożarnej, którego członkowie niezwłocznie przystąpili do rozwijania gumowych węży. Nie wydaje mi się, aby udało im się kogokolwiek uratować, chociaż nie ulega wątpliwości, że zalali cały budynek hektolitrami wody, z której jeszcze przed świtem potworzyły się ogromne sople.

Otarłem czoło i policzki chustką do nosa. Dziwne, ale nie przypominam sobie uczucia zimna. Nerwowo chodziłem wśród rzadniejącego tłumu, nie potrafiąc uporządkować myśli. Jak to możliwe, że nie zauważyłem tej kobiety nigdy wcześniej, pytałem samego siebie. Przecież w tak małym miasteczku zachowanie anonimowości jest wręcz niemożliwe... Dlaczego jadła posiłek w hotelu? Może siedziała przy stoliku za moimi plecami, kiedy w samotności pożywiałem się ugotowaną na parze solą? Czy dziecko też jej wtedy towarzyszyło?

Dręczyłem się tymi wątpliwościami jeszcze przez pewien czas, aż wreszcie zwolniłem kroku. Nie chodzi o to, że osłabło we mnie pragnienie, by je odnaleźć - nie, to raczej zmęczenie zaczęło dawać się we znaki. Uświadomiłem sobie, że przeżyłem poważny wstrząs. Kolana uginały się pode mną, a dłonie drżały jak po wielkim wysiłku. W końcu poczułem zimno, dotkliwe zimno, bo tamtego wieczoru temperatura była bliska zeru. Postanowiłem schronić się w swoim mieszkaniu i chyba po raz piąty ruszyłem na ukos przez dziedziniec, kiedy nagle usłyszałem płacz dziecka. Odwróciłem się w kierunku, z którego dobiegał, i zobaczyłem dwie stojące w ciemności

kobiety. Wyższa była owinięta zarzuconym na ramiona kocem, którym otuliła także dziecko. Obok, przytulona do jej ramienia, stała starsza kobieta, która najwyraźniej nie czuła się dobrze i bardzo mocno kasłała. Zbliżywszy się do nich, zorientowałem się, że spokój i bezruch, jakie zaobserwowałem u kobiety o złocistobrązowych oczach, ustąpiły teraz miejsca zaniepokojeniu.

- Proszę pani! - przemówiłem głośno, podchodząc szybkim krokiem (może tak szybko jak ogień, kto wie...). - Czy mógłbym w czymś pomóc? Nie wiem, czy Etna Bliss zobaczyła mnie w tamtej chwili, czy dopiero następnego dnia, ponieważ, co zrozumiałe, była bardzo zdenerwowana. - Muszę zawieźć do domu moją ciotkę i córkę kuzynki - powiedziała. - Byłabym wdzięczna, gdyby znalazł pan dla nas jakiś środek transportu, bo moja ciotka nawdychała się dymu i nie może pokonać pieszo tak dużej odległości... Za bardzo osłabła...

- Oczywiście. Proszę się stąd nie ruszać, dobrze?

- Dobrze - rzekła po prostu, obdarzając mnie tym samym całkowitym zaufaniem i składając w moje ręce los swojej ciotki.

Tamtego wieczoru odkryłem, że mężczyzna nigdy nie jest tak sprawny i czujny jak wtedy, gdy służy kobiecie, którą ma nadzieję zadowolić. W jednej chwili znalazłem się na ulicy, wymachując kilkoma trzymanymi w dłoni dolarowymi banknotami, których widok przyciągnął oko przejeżdżającego dorożkarza. W bryczce ktoś już siedział, lecz woźnica niewątpliwie uznał, że opłaca mu się wcisnąć jeszcze kilka osób do podniszczonego powoziku. Ułatwiłem mu kalkulację, wskakując na przednie koło i szybko wydając polecenia.

- Nie powinienem zabierać więcej pasażerów - powiedział, szukając okazji do zdobycia większego napiwku. - To niezgodne z zasadami... Ale natychmiast uciszyłem jego skrupuły.

- Niedawno miał tu miejsce poważny wypadek i tych nieszczęsnych ludzi trzeba jak najszybciej rozwieźć do



domów - oświadczyłem. - Powinieneś udzielić im pomocy za darmo, człowieku!

Zdumiewające, ale dwie kobiety z dzieckiem tkwiły w tym samym miejscu, gdzie je pozostawiłem, chociaż zacząłem już wątpić, czy rzeczywiście spotkałem tę o złocistobrunatnych włosach (jeśli mam być szczery, to moje wątpiwości dotyczyły przede wszystkim tego, czy tak fascynująca osoba natychmiast po moim odejściu nie zostanie otoczona opieką przez innego mężczyznę). Najpierw pomogłem wsiąść starszej pani, której ciałem wstrząsały teraz silne dreszcze, potem podałem dłoń kobiecie z dzieckiem, jej ręka okazała się zaskakująco ciepła, miałem nawet wrażenie, że parzy moje zlodowaciałe palce. Dwoje wcześniejszych pasażerów dorożki z trudem stłumiło rozdrażnienie, spowodowane opóźnieniem podróży do ciepłego domu i gorącej kąpieli, lecz mimo to przesunęli się, robiąc miejsce dla moich pań i dla mnie. - Proszę mi podać adres - zwróciłem się do kobiety.

Podróż z pewnością trwała niecałe pół godziny, chociaż woźnica najpierw zawiózł do domu tamtych dwoje. Siedziałem naprzeciwko ciotki, która nadal zanosila się kaszlem, i pary obcych ludzi, pewnie pochłoniętych myślami o pozostawionych w hotelowej szatni rzeczach (farbowanym lisie? walizce ze skóry aligatora?), lecz byłem świadomy tylko lekkiego ucisku w okolicy łokcia, ucisku, który zwiększał się lub zmniejszał w zależności od tego, czy siedząca obok mnie kobieta zajmowała się dzieckiem, czy nachylała do przodu, aby położyć rękę na ramieniu starszej pani. I właśnie ten lekki dotyk, ograniczony kontakt, z którego ona niewątpliwie nie zdawała sobie sprawy, był, jak sądzę, najbardziej intensywnym doznaniem fizycznym mojego życia. Było to tak niezwykle przeżycie, że do dziś potrafię odtworzyć towarzyszącą mu delikatną, niewypowiedzianą obietnicę oraz erotyzm, tak, właśnie erotyzm... Wystarczy, że zamknę oczy, a już wracam do tamtej chwili, choć przecież wszystko to, co wydarzyło się później, mogło zatrzeć czułe wspomnienie...

Przejechaliśmy przez Wheelock Street i zatrzymaliśmy się przed starym domem pokrytym żółtawym tynkiem. Była to prosta, pozbawiona zbędnych ozdób rezydencja, podobna do

wielu innych budynków przy tej ulicy. Ten ascetyzm podobał mi się znacznie bardziej niż architektoniczne dziwactwa, jakich nie brakowało przy sąsiedniej Gili Street - tam wręcz roiło się od nowszych, masywnych domów z gankami, podcieniami, stryszkami i poddaszami, bez żadnej symetrii, choć niewątpliwie wyposażonych w solidne rury kanalizacyjne i grzewcze, co pewnie jest ważniejsze od względów estetycznych. Dom rodziny Blissów miał siedem sypialni, nie licząc znajdujących się na poddaszu pokoi dla służby, dwa salony, jadalnię i gabinet. Rok wcześniej założono w nim system ogrzewania gorącą wodą, która tak głośno i gwałtownie bulgotała w srebrzystych grzejnikach, że czasami, kiedy graliśmy w wista, piliśmy herbatę albo siadaliśmy do kolacji w zatłoczonych meblami pokojach, obawiałem się wybuchu i w efekcie śmiertelnego poparzenia.

- Ależ ja znam ten dom, proszę pani - powiedziałem. - Mieszka tu William Bliss...

- To mój stryj.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że jej siedząca naprzeciwko mnie ciotka wcale nie jest starszą, steraną życiem kobietą, lecz osobą w sile wieku, żoną profesora Wydziału Fizyki, którą co najmniej trzy razy miałem okazję widzieć na terenie college'u.

- Pani Bliss, proszę mi wybaczyć... - zwróciłem się do niej. - Nie zdawałem sobie sprawy...

Ona jednak, wciąż zanosząc się kaszlem, zbyła moje przeprosiny machnięciem dłoni.

Odprowadziłem obie kobiety do frontowych drzwi, które otworzyły się prawie natychmiast. Na progu stał William Bliss.

- Van Tassel? - zdziwił się. - Co się stało?

- W hotelu wybuchł pożar - wyjaśniłem pośpiesznie. - Mamy szczęście, że udało nam się ująć z życiem...

- Dobry Boże! - Bliss objął żonę i wprowadził ją do holu.

- Zastanawialiśmy się właśnie, skąd te dzwonki i syreny...

Pokojówka wzięła dziecko z ramion kobiety o złotobrązo-wych oczach, która w tej samej chwili odwróciła się do mnie, zsunęła koc z ramion i podała mi go.

- Proszę wziąć to na drogę do domu. Moja ciotka i ja jesteśmy pana dłużniczkami.

- Nicholas Van Tassel - przedstawiłem się.

- Etna Bliss.

Przez parę sekund milczeliśmy. Potem wsunęła swoją ciepłą dłoń w moją rękę.

- Strasznie pan zmarzł! - zawołała, prawie natychmiast cofając dłoń i spuszczać oczy. - Może zechce pan wejść do środka i trochę się ogrzać? Niczego nie pragnąłem wtedy bardziej, niż wejść do tego domu, tchnącego ciepłem i obietnicą miłości (umysł tak szybko ogarnia przyszłość, kiedy napędza go nadzieja, nieprawdaż?), wiedziałem jednak, że w tych okolicznościach takie zachowanie byłoby co najmniej niewłaściwe.

- Serdecznie dziękuję, ale nie - odparłem. - Natomiast pani powinna jak najszybciej znaleźć się w cieple.

- Dziękuję, panie Van Tassel.

Z tymi słowami zamknęła drzwi, na pewno myśląc już tylko o ciotce, córeczce kuzynki i gorącej kąpieli, która na nią czekała.

Sądzę, że w tym miejscu powinienem powiedzieć parę słów

O sobie i swoim życiu w tamtym okresie, to znaczy w grudniu 1899 roku.

Jestem głęboko przekonany, że należy przekazywać następnym pokoleniom fakty dotyczące naszego dziedzictwa, informacje, które często lekceważy się wśród codziennych spraw, a które potem, w rezultacie tegoż lekceważenia, szybko znikają we mgle przeszłości. Mój ojciec, Thomas Van Tassel, walczył w wojnie secesyjnej w nowojorskim 64. regimencie

I stracił nogę pod Antietam. Kalectwo to w żaden sposób nie upośledziło jego męskości, czego najlepszy dowód stanowi fakt, że jestem jednym z jedenaściorga dzieci, które spłodził z trzema żonami. Moja matka, pierwsza żona ojca, zmarła, wydając mnie na świat. Ojciec, człowiek z całą pewnością płodny, okazał się także wyjątkowo przedsiębiorczy i dość szybko stworzył i rozwinął trzy firmy: drukarnię, w której w młodym wieku pracowałem jako czeladnik, zakład produ-

kujący powozy, i wreszcie, ponieważ powozy konne zaczęły ustępować miejsca automobilom, sklep z samochodami. Moje wspomnienia o ojcu związane są głównie z drukarnią, ponieważ w późniejszym okresie widywałem go już raczej rzadko. Często szukałem schronienia w tych pomieszczeniach, gdzie królował papier, tusz i czcionki, uciekając z zatłoczonego domu w Tarrytown w stanie Nowy Jork. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż druga żona ojca, a potem trzecia - jedna zimna, druga sentymentalna - nie były dobrze usposobione do mnie, syna pierwszej żony, jedynej kobiety, jaką ojciec kochał. Ojciec bynajmniej nie ukrywał tego faktu, obwieszczając co jakiś czas wszem wobec, mimo że nie było to zbyt dyplomatyczne i nieodmiennie owocowało chłodną i smutną atmosferą w domu. Na szczęście w latach dziecięcych nie byłem całkowicie pozbawiony kobiecego ciepła, a to za przyczyną bliskiego związku z moją siostrą Meritable, tą samą, na której pogrzeb właśnie jadę. Może właśnie z powodu zaangażowania w świat tuszu i maszyn drukarskich bardzo wcześnie obudziło się we mnie namiętne pragnienie zdobywania wiedzy, tak więc po ukończeniu szesnastego roku życia zostałem wysłany do Dartmouth College. Pamiętam ogromną radość, jaka ogarnęła mnie na wieść, że będę miał własny pokój, ponieważ wcześniej zawsze musiałem dzielić sypialnię z dwoma lub trzema przyrodnymi braćmi. Szkoła, w której pobierałem nauki, nadal cieszy się dobrą opinią i sporą popularnością, nie będę więc zagłębiał się tu w szczegóły procesu edukacyjnego; wspomnę tylko, że w okresie studiów zastanawiałem się nad przyjęciem święceń duchownych, lecz później porzuciłem tę myśl, doszedłszy do wniosku, iż nie jestem dość pobożny. Jako dwudziestoletni młodzieniec otrzymałem dyplom. Przez następne dwa lata podróżowałem po świecie, a gdy wróciłem, zaproponowano mi stanowisko młodszego wykładowcy literatury angielskiej i retoryki w Thrupp College, znajdującym się w odległości mniej więcej pięćdziesięciu kilometrów na południowy wschód od mojej macierzystej uczelni. Posadę tę przyjąłem przede wszystkim z myślą, że w mniejszej i mniej znanej szkole łatwiej mi przyjdzie

pokonać kolejne szczeble w naukowej hierarchii, a pewnego dnia może zdobędę stanowisko starszego wykładowcy lub nawet dziekana wydziału, co w Dartmouth mogłoby trwać znacznie dłużej. Nie brałem pod uwagę podjęcia podobnej pracy poza Nową Anglią, chociaż miałem takie możliwości, głównie dlatego, że przyjąłem tutejsze zwyczaje i sposób bycia za swoje, i już dawno przestałem uważać się za obywatela stanu Nowy Jork. Zdarzało się, że przedstawiałem się jako urodzony i wychowany w Nowej Anglii, a raz, przyznając z przykrością, zafalszowałem nawet historię swego pochodzenia. Było to w pierwszych miesiącach mojego pobytu w Dartmouth i okazało się bardzo trudne, dlatego przed ukończeniem pierwszego roku studiów dałem sobie spokój z udawaniem (dodam jeszcze, że właśnie w Dartmouth pozbyłem się drugiego „a” z imienia Nicholaas).

Ponieważ wtedy, gdy wróciłem z Europy, mój ojciec był człowiekiem dość zamożnym, mogłem sobie pozwolić na wynajęcie własnego domu w miasteczku Thrupp, zdecydowałem się jednak na mieszkanie w Woram Hall, budynku utrzymanym w stylu klasycystycznym. Powodem tej decyzji była moja niechęć do samotnego mieszkania w osobnym domu, kierowałem się także całkowicie mylnym przekonaniem, że przebywanie w bezpośredniej bliskości studentów pozwoli mi poznać ich bliżej, a co za tym idzie, stać się lepszym nauczycielem. Dziś odnoszę wrażenie, że idea ta jest zwykłą bzdurą, odkryłem bowiem, że najczęściej bliska znajomość ze studentami rodzi słabo skrywaną wrogość, która czasami bardzo mnie zaskakiwała. Moje mieszkanie składało się z biblioteki, sypialni oraz saloniku, w którym przyjmowałem gości i czasami prowadziłem zajęcia dla małych grup. Przyjmując zwyczaje panujące w Nowej Anglii, powstałe dwieście lat wcześniej w atmosferze kalwinistycznej dyscypliny, umeblowałem te pokoje solidnymi, prostymi sprzętami (pięć krzeseł z wysokimi oparciami, podwójne łóżko, komoda, skrzynia z drewna cedrowego, taboret i biurko, w którym trzymałem papiery), świadomie i z pogardą odrzucając bogato zdobione, duże meble, bardzo modne i popularne w tamtym okresie. (Gdy o tym piszę,

od razu przypominają mi się pokoje Moxona, przez które trzeba było przedzierać się wśród sofek, szafeczek, biurków, welwetowych zasłon, ozdobnych marmurowych zegarów, parawanów i mahoniowych stoliczków). Ponieważ forma czasami narzuca lub podpowiada treść, dopasowałem codzienną rutynę do ascetycznego otoczenia - wstawałem wcześniej, zażywałem ruchu, punktualnie przychodziłem na zajęcia, w razie potrzeby wymierzałem kary i wymagałem, aby moi studenci robili odpowiednie postępy w rozwoju intelektualnym. Nie chciałem myśleć, że uczniowie i koledzy wykładowcy uważali mnie za surowego nauczyciela, jestem jednak pewny, że cieszyłem się opinią stanowczego i wymagającego. Dziś z pobłażliwością, która przychodzi z wiekiem, dochodzę do wniosku, że często zbyt usilnie starałem się wcielać w życie duchowe, jeśli nie fizyczne, dziedzictwo moich przybranych przodków; musiał we mnie jednak tkwić jakiś okruch demonstrowanej przez ojca nadmiernej skłonności do prokreacji, ponieważ czasami zbaczałem z wąskiej, spartańskiej ścieżki, chociaż nigdy nie robiłem tego publicznie i nigdy w miasteczku Thrupp. Kiedy ogarniało mnie trudne do opanowania pragnienie zakosztowania rozrywek przyziemnych, udawałem się do Springfield w stanie Massachusetts, podobnie jak wielu moich nieżonatych, a także żonatych kolegów. Doskonale pamiętam te ukradkowe wyprawy - wsiadałem do pociągu w White River Junction, w nadziei, że nie napotkam nikogo znajomego w wagonie restauracyjnym, zawsze jednak przygotowywałem sobie wiarygodną wymówkę na wypadek takiego spotkania. Z czasem, w rezultacie kilku „wpadek”, musiałem powołać do życia zamieszkałą w Springfield „siostrę”, którą obowiązek i serce nakazywały mi odwiedzać dwa razy w miesiącu. Moja prawdziwa siostra mieszkała wtedy w Wirginii, potem zaś przeprowadziła się na Florydę; pisywała do mnie dość regularnie, a koperty z wyraźnym adresem nadawcy były dla mnie źródłem pewnego niepokoju. Nie zamierzam szczegółowo opisywać tu działań, jakie podejmowałem w Springfield, ale mogę powiedzieć, że nawet bywając w niecieszących się najlepszą opinią

dzielnicach tego miasta, pozostałem człowiekiem lojalnym i przywiązany do swoich zwyczajów w takim samym stopniu, jak wewnątrz wzniesionych z cegły i kamienia sal uczelni miasta Thrupp. Wciąż bardziej oszołomiony niż przytomny, pojechałem dorożką do hotelu. Na jego ruinach zaczęły się już tworzyć olbrzymie sople. Nie zabawiłem tam długo, ponieważ szok i przenikliwe zimno, na jakie zostałem narażony, zaczęły już dawać znać o sobie, przyprawiając mnie o silne dreszcze. Szybko wróciłem do swojego mieszkania, gdzie kazałem pełniącemu dyżur studentowi porządnie napalić w kominku i napuścić gorącej wody do wanny.

W Woram Hall nie było wtedy mieszkań z łazienkami (podobnie jak nie ma ich dzisiaj), jak zwykle zamknąłem więc za sobą na klucz drzwi do wspólnej toalety. Ponieważ para utworzyła warstewkę mgły na lustrze, musiałem przetrzeć fragment dłonią, aby przyjrzeć się swojej odmienionej niespodziewanymi przeżyciami twarzy. Na policzku miałem krwawe zadrapanie, z którego istnienia nie zdawałem sobie sprawy. Nie byłem przyzwyczajony do podziwiania swego odbicia w lustrze, gdyż nikomu, nawet sobie, nie chciałem się wydać próżny, lecz tego wieczoru usiłowałem odgadnąć, jakie wrażenie mogłem zrobić na kobiecie, która dopiero co mnie poznała. W tamtym okresie, jako trzydziestolatek, miałem dość gęstą, jasnobrązową czuprynę (na pewno zadziwi to mojego syna, ponieważ od dziesięciu lat jestem zupełnie łysy), szerokie bary i potężną klatkę piersiową. Byłem mężczyzną o silnym, atletycznym ciele, raczej nieprzystającym do moich intelektualnych zainteresowań, z którym nauczyłem się żyć, nie widząc szans zmienienia swego wyglądu na bardziej wyrafinowany i subtelny. Nie wiem, czy ktokolwiek nazwałby mnie przystojnym (abstrahując od moich wypraw do Springfield), gdyż wargi miałem bardzo wydatne, a układ kostny twarzy ginął pod solidną warstwą ciała i skóry, które to cechy odziedziczyłem, rzecz jasna, po przodkach, zacnych kupcach holenderskich. Aby złagodzić ten całkowicie przy-

ziemny wizerunek, nosiłem okulary, chociaż w gruncie rzeczy wcale ich nie potrzebowałem.

Po tej chwili refleksji nad sobą, z której nie wyniknęło nic, czego bym już nie wiedział wcześniej (może z wyjątkiem tego, że mimo wysiłków nie udało mi się ukryć swoich uczuć), zanurzyłem się w wodzie tak gorącej, że skóra natychmiast przybrała intensywnie różowy kolor, zupełnie jakbym oblał się wrzątkiem. Dyżurny, któremu zależało na najwyższej ocenie z logiki i retoryki, zrobił mi kubek gorącego kakao, tak więc delektowałem się tymi niewinnymi luksusami, ani na chwilę nie przestając myśleć o sylwetce i twarzy Etny Bliss, a także o delikatnym kontakcie naszych ramion. Na szczęście gorąca kąpiel znużyła mnie, co często się zdarza, więc po powrocie do sypialni szybko zapadłem w głęboki sen.

Rano obudziłem się podekscytowany; pośpiesznie zrobiłem toaletę i bez śniadania pobiegłem na pierwsze tego dnia zajęcia z poezji romantycznej i lirycznej (Landon, Moore, Clare i tak dalej). Kiedy wszedłem do sali, zobaczyłem, że ogień w piecu dawno wygasł, a studenci siedzą okutani paltotami i szalikami. Pomieszczenie, w którym prowadziłem zajęcia, było wprawdzie zimne, ale dość przyjemne. Ściany niedawno pomalowano na biało, co okazało się doskonałym pomysłem, dawało bowiem złudzenie lekkości i przestrzeni, czego wcześniej nie było z powodu ciemnej drewnianej boazerii, stanowiącej charakterystyczny rys większości szkolnych wnętrz. Nad górną linią zamalowanej teraz boazerii znajdowały się duże okna, wychodzące na czworokątny dziedziniec, obsadzony wiażami i jaworami. Dziedziniec widać było tylko wtedy, gdy się stało, dlatego często opierałem ramiona na parapecie i wyglądałem na zewnątrz, kiedy studenci pisali swoje ćwiczenia i egzaminy. Tego dnia widok zdominowały czarne ruiny spalonego hotelu i szary od sadzy śnieg; nie miało to zresztą dla mnie szczególnego znaczenia, ponieważ byłem zbyt pochłonięty własnymi myślami, aby podziwiać jakikolwiek widok, piękny czy brzydki.

Szybko się zorientowałem, że również studenci nie koncen-



trują się na zajęciach. Wszyscy rozmawiali o pożarze, okazało się nawet, że zdążyłem już zyskać pewną sławę jako ten, który akurat w tym czasie znalazł się w nieszczęsnej jadalni. Nie da się też ukryć, że jak większość dobrych gawędziarzy, najprawdopodobniej ubarwiłem niektóre wydarzenia i dorzuciłem kilka szczegółów, aby poprawić jakość narracji. Opisałem ognistą kulę i chaos, jaki natychmiast zapanował.

- Wiele osób potrzebowało pomocy - powiedziałem, siadając na brzegu biurka w nietypowo niedbałej pozie i zdejmując kawałek nitki, który przywarł do tkaniny moich spodni.

- Ilu było rannych, proszę pana?

Pytanie to zadał Edward Ferald, chłopak o słabo zarysowanej dolnej szczęce i wiecznie zmrużonych oczach, który zawsze zabiegał o względy wykładowców, chociaż za moimi plecami, o czym doskonale wiedziałem, wraz z wieloma innymi studentami nazywał mnie Skrofulus, od łacińskiego SMS *scrofa*, świnia, a raczej dzika świnia, dzik. Nie mam pojęcia, dlaczego nadali mi akurat taki przydomek, ale nie ma to znaczenia. Prawie całe ciało pedagogiczne miało niezbyt pochlebne przydomki - John Runciel otrzymał pseudonim Rancid (zjełczały), Benjamin Little - Little Man (mały człowiek), Jonathan Whitley - Witless (pozbawiony rozumu, głupi). Wydawało mi się wtedy, że Skrofulus jest lepszy od Zjełczałego, ale dziś nie jestem już tego taki pewny... Tak czy inaczej, Ferald znajdował przyjemność nie w nauce, lecz w wywoływaniu u wykładowców nieprzyjemnej, zabarwionej niepokojem gorliwości, której prowokacyjnie nie zauważał, i właśnie dlatego zajęcia z grupą Feralda czasami okazywały się nieprzyjemnym doświadczeniem. Zdarzało się, że usiłowałem go przechytryć, czy też raczej zwyciężyć w pojedynku na cięty dowcip, lecz za każdym razem przegrywałem, ponieważ nigdy nie posiadałem zdolności błyskawicznego parowania uwag przeciwnika.

- Wiele osób odniosło kontuzje, złamania i zranienia - odparłem. - Sporo nawdychało się dymu, a dwadzieścia osób zginęło...

- A pan, panie profesorze? - zagadnął Ferald z obłudną

troskliwością. - Mam nadzieję, że pan wyszedł z tej tragedii bez szwanku...

- Z radością stwierdzam, że nic mi się nie stało.

- Całym sercem podzielamy pańską radość... - Ferald zamrugnął leniwie.

- Dwadzieścia osób zginęło w płomieniach? - zapytał Nathan Foote, jasnowłosy młody człowiek z wyrazem absolutnego przerażenia na twarzy, chociaż liczba ofiar była powszechnie znana już od poprzedniego wieczoru.

- Należy mieć nadzieję... - zacząłem.

Jednak w tej chwili czas zwolnił, a w końcu zupełnie stanął w miejscu, ponieważ za oknem ujrzałem kobietę z dzieckiem i obraz ten był tak żywy i poruszający, że przestraszyłem się, iż mam halucynacje. Podniosłem dłoń do czoła, które było wilgotne od potu mimo panującego w sali chłodu.

- Panie profesorze... - odezwał się Foote, przestraszony nie tylko moim zawieszeniem głosu, lecz także wyrazem twarzy.

Z wielkim trudem skupiłem na nim spojrzenie.

- Należy mieć nadzieję, że nieszczęśliwe ofiary zginęły w rezultacie zatrucia dymem, nie w płomieniach - dokończyłem, za wszelką cenę starając się odzyskać równowagę.

W sali zapanowało długie milczenie.

- Przed chwilą zdałem sobie sprawę, że odbywanie zajęć w dniu, w którym powinniśmy oddać cześć zmarłym, jest co najmniej niewłaściwe - odezwałem się. - Fakt ten uprzytomnił mi dopiero widok opuszczonej do połowy masztu flagi naszego college'u. Postanowiłem, że zakończymy zajęcia. Możecie udać się do swoich pokoi i do kaplicy, aby oddać się rozmyślaniom nad kruchością życia, kapryśną ręką losu i koniecznością trwania w stanie łaski...

Niektórzy bystrzejsi studenci, wśród nich Ferald, natychmiast się poderwali, chwytając nieoczekiwaną okazję, inni, wyraźnie zaskoczeni, zaczęli powoli zbierać notatniki i książki z wypisami. Nie wiem, jak szybko sala opustoszała, gdyż zanim się to stało, zdecydowanym krokiem zmierzałem już w kierunku Wheelock Street.

Skute lodem ruiny hotelu zaczynały właśnie topnieć w jas-

nym słońcu późnego poranka i kiedy mijałem tę przekłętą budowlę, dobiegło mnie cichutkie dzwonięcie, jakby ktoś lekko uderzał w kryształ - to krople wody nieustannie odrywały się od tysięcy sopli, tworząc lśniący płaszcz deszczu. Zobaczyłem dwóch chłopców, najwyraźniej wagarowiczów z pobliskiej szkoły średniej, z zapalem grzebiących w ruinach, najprawdopodobniej w poszukiwaniu cennych przedmiotów, które mogły przetrwać pożar. Krzyknąłem do nich ostro, aby natychmiast opuścili teren, ponieważ było oczywiste, że resztki budynku mogą zawalić się lada chwila (i rzeczywiście, wszystko runęło na ziemię trzy tygodnie później, tuż po wyjątkowo obfitych opadach mokrego śniegu). Uczucie wewnętrznej konieczności ujrzenia kobiety, wokół której wciąż krążyły moje myśli, było tak wielkie, tak wszechogarniające, że musiałem sam się strofować, aby iść normalnym krokiem i nie zwracać na siebie uwagi. Chciałem jak najszybciej dotrzeć do pomalowanego na woskowy kolor kolonialnego domu, ponieważ dręczyły mnie obawy, jak się okazało, nieuzasadnione, że Etna Bliss opuściła go już, udając się w drogę powrotną do miejsca, z którego przybyła. Nie sądziłem, że może po prostu mieszkać w domu profesora Bliss'a. Gdyby tak było, powtarzałem sobie, na pewno już wcześniej usłyszałbym o jej pobycie lub, co jeszcze bardziej prawdopodobne, zobaczyłbym ją w czasie jednego ze spotkań pracowników college'u, w których uczestniczyły także ich rodziny. College Thrupp zatrudniał mniej więcej pięćdziesięciu wykładowców, większość żyła jakby w szklanych klatkach, poddawana bacznej i nieustannej obserwacji studentów oraz swoich kolegów. Czasami wydawało mi się, że każdy z nas wie wszystko o pozostałych, chociaż oczywiście nie była to prawda, jako że sekrety i tajemnice należą do najbardziej zazdrośnie strzeżonych skarbów.

Zwolniłem nieco kroku, ponieważ byłem już blisko rezydencji Blissów, w grudniu całkowicie ogołoconej z zasłony, jaką w innych porach roku zapewniały liście wiązów. Podjęta przeze mnie spontaniczna decyzja o złożeniu wizyty w tym domu stała w zupełnej sprzeczności z moimi przyzwyczajeniami, więc czułem się bardzo niepewnie. Silne pragnienie

wytrwania w postanowieniu, którego źródła nie potrafię wyjaśnić, popchnęło mnie jednak prosto pod drzwi wejściowe siedziby Williama Blissa. Podniosłem kołatkę i wsunąłem rękę w dłoń losu.

Minęło kilka chwil, zanim ktoś zareagował na pukanie, lecz drzwi otworzyły się wreszcie i na progu stanęła Etna Bliss we własnej osobie. Jeślibym w godzinach, które upłynęły od chwili, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, miał jakiegokolwiek wątpliwości co do uroku, jaki rzuciła na mnie ta kobieta, teraz, w jej obecności zniknęłyby bez śladu. Musiała przejść co najmniej kilkanaście kroków, aby otworzyć drzwi, lecz jej postać i tym razem otaczała aura tak wielkiego spokoju i jakby bezruchu, że wprost nie można było oprzeć się pragnieniu, aby się do niej zbliżyć. Czuję się jak człowiek, który wspina się na górę i co jakiś czas staje nad brzegiem przepaści i przymuszany niewytłumaczalną wewnętrzną siłą patrzy w ciemną otchłań, z największym trudem zwalczając chęć rzucenia się w dół. Miała na sobie suknię w czarno-brązowe pasy z kołnierzem i mankietami obszytymi brązową koronką, suknię skrojoną w taki sposób, że jej biust jakby opierał się na swoistej półeczce - wrażenie to przyprawiło mnie o mocniejsze, przyśpieszone bicie serca. Jej twarz jaśniała we wzmocnionym przez śnieg blasku słońca, a włosy były świeżo umyte i uczesane w zwinięte warkoczki, które pragnęło się (ja pragnąłem) rozpuścić. I sam rozpuszczałem się w jej obecności jak śnieg w ciepłych promieniach słońca.

- Panno Bliss... - odezwałem się, zdejmując kapelusz.

- Profesorze Van Tassel... - odparła, patrząc na mnie i zapominając dorzucić wymagane i oczekiwane uprzejmości.

Zrozumiałem wtedy... No, co właściwie? Ze przejrzała mnie bez najmniejszego trudu? W ułamku sekundy zrozumiała wszystko, co było we mnie do zrozumienia? Odgadła, dlaczego przyszedłem i co chciałem zrobić, jeszcze zanim ja sam zdołałem to pojąć? Tak czy inaczej, trwało to tylko chwilę i zaraz rozwiało się jak mgła.

- Przepraszam, że nachodzę państwa dom - odezwałem się. - Lecz przechodziłem w pobliżu i zacząłem się zastana-

wiać, czy pani ciotka odzyskała już siły. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, ale zapragnąłem zapytać, jak czuje się po tak wielkim wstrząsie... - Zawiesiłem głos. - Oczywiście, jak pani się czuje... - Dziękuję za troskę - odrzekła. - Moja ciotka została już zbadana przez lekarza.

Najdziwniejsze było w całej tej sytuacji to, że do środka zaprosiła mnie nie ona, chociaż właśnie tego wymagało dobre wychowanie, ale sam Bliss, który wszedł do holu, patrząc na mnie znad wspartych na czubku nosa okularów.

- Wydawało mi się, że słyszę znajomy głos - powiedział. - Niechże pan wejdzie, Van Tassel, bym mógł panu podziękować za pomoc, jakiej wczorajszego wieczoru udzielił pan mojej małżonce, wnuczce i bratanicy. Moja żona przeżyła chwile wielkiego przerażenia, podobnie zresztą jak i pan...

- Na szczęście nie byłem przerażony. - Uśmiechnąłem się. - Chociaż inni z pewnością, i to nie bez przyczyny...

Przekroczyłem próg domu Blissów.

- Musi pan się napić czegoś gorącego - rzekł Bliss, zdejmując okulary i składając trzymaną w ręku gazetę. - Bardzo chętnie wysłuchałbym opisu tych wydarzeń, jeżeli tylko czuje się pan na siłach...

Zapewniłem go, że nic nie stoi na przeszkodzie, abym zaspokoił jego uzasadnioną ciekawość.

Czy Etna Bliss zawahała się na sekundę, zanim wzięła ode mnie kapelusz i rękawiczki? Tak, jestem przekonany, że tak właśnie było. Dokładnie pamiętam, że wyciągnąłem ręce, podając jej te rzeczy, a one na moment zawisły w powietrzu. Co takiego zobaczyła we mnie, że nie zareagowała od razu? Straszliwy głód, który wstrząsnął całą moją istotą, aż do kości? I czy rozpoznała ten głód, bo wcześniej widziała go już w oczach i na twarzach innych mężczyzn, czy też intuicyjnie wyczuwała ludzkie pragnienia i pożądanie, i tym razem nie zawiodło ją przecucie?

(I dlaczego, *dlatego*, była to ta kobieta, nie inna? Tyle razy zadawałem sobie to pytanie... Dlaczego zarys tego policzka, nie innego? Dlaczego złocisty blask tych oczu, a nie błękit innych? W swoim życiu widziałem sto, nie, raczej tysiąc pięk-

nych kobiet, unoszących lekko brzeg sukni, aby przejść nad wzgórkami śniegu, wachlujących długie szyje w restauracjach, rozbierających się w przyćmionym świetle elektrycznych lamp w wynajętych pokojach, lecz żadna z nich nie zrobiła na mnie takiego wrażenia jak Etna Bliss, wrażenia, które wykracza poza granice wszystkiego, co do tej pory wyjaśniła nauka).

Wzięła ode mnie kapelusz, rękawiczki i płaszcz i umieściła je na wieszaku w kącie holu. Potem lekko zwróciła się w moją stronę.

- Etno, może byłabyś tak dobra... - zaczął Bliss.

Mówił miłym, serdecznym tonem, lecz w jego głosie była wyraźna sugestia co do miejsca, jakie Etna zajmowała w jego domu. Nie musiał dodawać nic więcej, bo ona już ruszyła w stronę drzwi do kuchni, aby powiadomić kucharkę o konieczności przygotowania herbaty.

Z jaką ulgą powitałem jej wyjście... W ciągu kilku chwil zdołałem odzyskać równowagę i rozpocząć rozmowę z Blissem w sposób, do jakiego obydwaj przywykliśmy, charakterystyczny dla ludzi, którzy nie znają się zbyt dobrze, ale uważani są za kolegów i dlatego natychmiast odnajdują wspólny słownik, powstały przed narodzeniem się ewentualnej sympatii czy niechęci.

W szkole nieczęsto spotykałem Williama Blissa, który jako człowiek żonaty nie mieszkał na terenie kampusu, rzadko też mieliśmy okazję pracować razem, ponieważ paraliśmy się innymi dyscyplinami nauki. Poza tym Bliss był starszy ode mnie co najmniej o dwadzieścia lat, przez co uważałem go za przedstawiciela innego pokolenia. Teraz zaprowadził mnie do salonu, którego okna wychodziły na ulicę, i gestem wskazał miejsce naprzeciwko siebie.

Nie przesadzę, jeżeli powiem, że natychmiast poczułem się jak ofiara klaustrofobii. Miałem wrażenie, że wszystkie ustawione tu gęsto meble, sprzęty i drobne przedmioty dosłownie wysysały tlen z powietrza, a każdy z nich domagał się spojrzenia i uwagi, w efekcie czego wchodzącemu zaczynało brakować tchu, a nadejście migreny wydawało się tylko kwestią czasu. Był to pokój, w którym rozety, zdobione meble z różanego drewna, rzeźbione kanty dębowych szafek,

lustro w pozłacanych ramach, stoliki z marmurowymi blatami, wijące się spiralnie kłacza przerośniętych roślin doniczkowych, żeliwne lampy, pasiaste i kwieciste obicia, barwne, choć dyskretne tapety na ścianach, kotary z błyszczących tkanin, orientalne dywany, chińskie wazony, frędzlaste serwety oraz wielki metalowy zegar, nie wspominając o tuzinach dagerotypów w srebrnych, drewnianych i intarsjowanych ramach, które zajmowały większość wolnej przestrzeni na blatach, występowały w takim stężeniu, że pozbawiały człowieka wszelkich sił życiowych. (Mówiąc o człowieku, mam na myśli mężczyznę, gdyż nietrudno było zgadnąć, że salon został urządzony zgodnie z gustem kobiety; nawet pokoje Moxona, i to w najgorszym okresie, można byłoby uznać za pełne powietrza i przestrzeni w porównaniu z tym zjawiskiem). Z powodu wielkiej liczby doniczek z roślinami na parapetach, stojakach i zwisających z sufitu, do pomieszczenia przedostawała się tylko odrobina światła. Doprawdy, nie mam pojęcia, jak Bliss mógł w takich warunkach czytać gazetę, chociaż może oddawał się temu zajęciu nie w salonie, a w swoim gabinecie, nie wiem. Tak czy inaczej, pokój stanowił oczywisty dowód wielkiej miłości Williama Blissa do żony, która niewątpliwie była twórczynią tego nadmiaru wszystkiego, co tu umieszczono.

- Niech pan siada, Van Tassel.

- Dziękuję.

- Może tam... Och, zaraz to zabiorę, proszę mi pozwolić...

- Nie, nie, sam mogę to zrobić.

- Naprawdę nie wiem, jak panu dziękować. Moja żona mówi, że zachował się pan jak bohater.

- Nonsens, to samo zrobiłby każdy na moim miejscu!

- Jest pan zbyt skromny. W college'u wszyscy rozmawiają wyłącznie o pożarze, prawda?

- Chyba tak. Odwołałem dzisiejsze zajęcia.

- Ach, tak? Doskonały pomysł.

Czasami odnoszę wrażenie, że całe życie jest walką, w której staramy się stłumić naturalne impulsy i że to, co nazywamy charakterem, oddaje tylko stopień powodzenia naszych wysiłków w tym kierunku. W ówczesnym okresie życia, jako

stosunkowo młody człowiek, toczyłem nieustanną i rozpaczliwą walkę z samym sobą, gimnastykując się wtedy, gdy wcale nie miałem na to ochoty, wstrzymując się od ostrego karcenia studenta, który zasługiwał na karę fizyczną, rezygnując z własnych ambicji w służbie dla innych, pokonując rozszalałe pragnienia, które, pozostawione same sobie, mogłyby znaleźć odbicie w szokującym zachowaniu. Oczywiście czasami nie odnosiłem zwycięstwa w tych potyczkach, co często zdarza się każdemu, kto próbuje je toczyć, stąd też brały się niepokojące zachwiania w moim zachowaniu - zdarzało mi się na przykład, że straciłem panowanie nad sobą i w bardzo ostry sposób karciełem jakiegoś studenta, dając ujście gniewowi, a przy okazji doprowadzając nieszczęśnika do drżenia, czasami nie mogłem się też powstrzymać od krytycznych uwag pod adresem kolegi, aby zyskać przychylność kogoś innego. Bywało więc, że maska nienagannego zachowania, którą nosiłem na co dzień, spadała, odsłaniając ukrytą głębię moich niedostatków - tak też musiało się stać w wypełnionej milczeniem chwili po wejściu Etny do salonu, gdzie siedziałem razem z jej stryjem.

Bliss i ja uprzejmie podnieśliśmy się z miejsc, przy czym ja natychmiast się zaniepokoiłem, czy nie zdradza mnie ciemny rumieniec, który zalał mi szyję i wypełził na policzki (skłonność do czerwienia się jest jeszcze jedną cechą, jaką odziedziczyłem po holenderskich przodkach). Wargi mi drżały, co starałem się ukryć, na krótką chwilę przyciskając do nich knykie; w ten sposób z wielkim rozczarowaniem odkryłem, że w porannym pośpiechu zapomniałem się ogolić i płonące rumieńcem policzki pokryte są ostrym brązowym zarostem.

(W obecności Etny nigdy nie czułem się dobrze - czasami tryskałem radością, to prawda, nigdy jednak nie byłem zupełnie swobodny).

Etna postawiła tacę na stole i gestem zachęciła nas, żebyśmy usiedli.  
- Mam nadzieję, że nie ucierpiał pan w wyniku gotowości, z jaką pośpieszył pan na pomoc naszej rodzinie - powiedziała.



- Van Tassel mówi, że w pożarze śmierć poniosło dwadzieścia osób - zwrócił się do niej Bliss.

Etna przyjęła tę wiadomość z godnym podziwu spokojem, w przeciwieństwie do wielu przedstawicielek swojej płci, które na pewno uznałyby za konieczne okazać przestrasz i okrzykiem wyrazić przerażenie na myśl o losie nieszczęsnych ofiar.

- Obawiam się, że nasz oddział straży pożarnej nie sprostał wymogom chwili - zauważyłem. - Nie wątpię, że wkrótce zostanie wszczęte dochodzenie w tej sprawie.

- Wiele bym dała, aby się dowiedzieć, kto okazał tak wielką przytomność umysłu i otworzył okna w sali jadalnej - rzekła Etna, podając mi filiżankę herbaty. - Chciałabym podziękować mu za to, co zrobił.

Jej słowa natychmiast obudziły we mnie zazdrość w stosunku do tego mężczyzny, bo na pewno był to mężczyzna, chociaż na razie nikt jeszcze nie przyznał się do tego czynu. Zazdrość wywołaną faktem, że zasłużył na wdzięczność Etny.

- Są ludzie, którzy nie mają ochoty chwalić się odwagą i trzeźwością umysłu - oświadczyłem głupekowato.

Dopiero później odkryłem, że Etna Bliss miała zwyczaj uśmiechać się lekko, samymi ustami, w ten sposób stwarzając wrażenie głębokiego zamyślenia i nie obrażając rozmówcy nieuprzejmością, a wtedy właśnie w ten sposób zareagowała na moją uwagę. Kiedy się uśmiechnęła, nie rozchyłając warg i tylko leciutko unosząc ich kąciki, jej twarz stała się tak łagodna, że nagle przeistoczyła się w delikatną, ustepliwą kobietę (a przecież właśnie tych cech szukamy w ukochanej), istotę kruchą i ładną. Tak, w takich chwilach Etna była ładna. W późniejszych latach często bardzo cierpiałem, mając świadomość, że jestem całkowicie wykluczony z myśli, których owocem był ten ulotny uśmiech.

Moje palce zadygotały na uszku filiżanki, która głośno zagrzechotała o spodeczek, musiałem więc nachylić się nad naczyniem, co stanowiło wykroczenie przeciwko obowiązującym przy stole zasadom dobrego zachowania. Zdenerwowało mnie to tak bardzo, że odstawiłem filiżankę i położyłem drżące

dłonie na kolanach. Założyłem nogę na nogę i zauważyłem, że jedna stopa podryguje nerwowo.

- A jak się ma dziewczynka? - zapytałem. - Czy odzyskała już dobre samopoczucie?

- Gdyby nie zimno, uznałaby całe wydarzenie za niezmiernie ekscytujące

- rzekła Etna. - Dziś rano mówiła wyłącznie o pożarze...

Patrzyłem, jak Etna podnosi filiżankę do ust i zauważyłem, że jej długie palce w ogóle nie drżą.

- Van Tassel wykłada w college'u literaturę angielską i retorykę - wyjaśnił Bliss.

- Jest to pasja godna akceptacji - dorzuciłem, uśmiechając się w jej kierunku.

Nie odpowiedziała uśmiechem, ale też nie odwróciła wzroku i chyba przyglądała mi się przez krótką chwilę.

- Przyjechała pani do Thrupp z dłuższą wizytą? - zagadnąłem, nie mogąc dłużej zapanować nad ciekawością.

- Tak - odrzekła. - Nie smakuje panu herbata?

- Bardzo mi smakuje - powiedziałem, znowu podnosząc spodeczek i przytykając brzeg filiżanki do ust.

- Moja bratanica zostanie z nami, dopóki nie podejmie dalszych decyzji co do swojej przyszłości - pośpieszył z wyjaśnieniem Bliss. - Jej towarzystwo sprawia nam jednak tyle przyjemności, że mamy nadzieję, iż nie nastąpi to zbyt szybko...

- Niedawno straciłam matkę - wyjaśniła Etna. - Niestety, musiałam też wystawić na sprzedaż jej dom i do czasu ostatecznego rozwiązania tej kwestii będę gościem w domu stryjenki i stryja...

- Przykro mi z powodu pani matki - odezwałem się, chociaż nie mogło być mi przykro z powodu jakiegokolwiek wydarzenia, które spowodowało Etnę do Thrupp, nawet jeżeli wydarzeniem tym była czyjaś śmierć. - Mam nadzieję, że nie nastąpiło to nagle...

- Nie. Moja matka chorowała od dłuższego czasu.

- A pani ojciec? - spytałem.

- Zmarł kilka lat temu.

- Proszę mi wybaczyć...

- Nie szkodzi - odparła. - Mam jeszcze dwie zamężne siostry.
- Ach, tak... Gdzie mieszkała pani do tej pory?
- W Exeter.
- Wizyta Etny przypadła w bardzo szczęśliwym dla nas momencie - rzekł Bliss. - Moja córka i jej mąż są w tej chwili w San Francisco, pojechali tam do rodziny na Boże Narodzenie.
- Rozumiem... - odrzekłem, przywołując w pamięci niewyraźny obraz szczupłej, elegancko ubranej młodej kobiety, która czasami towarzyszyła Blissowi na przyjęciach i innych towarzyskich spotkaniach w college'u.
- Oboje z Evelyn czulibyśmy się bardzo samotni, gdyby nie obecność Etny i naszej wnuczki. Liczę, że Etna zostanie z nami i po powrocie córki...

Z całą pewnością dostrzegłem wyraz przerażenia, który przemknął przez twarz siedzącej naprzeciwko mnie kobiety i chyba od razu zrozumiałem, że Etna nie tryska radością na myśl o dłuższym pobycie w tych przeładowanych sprzętami pokojach. Niewykluczone, że ona również czuła, jak małe stoliki, doniczkowe powoje i winorośl wysysają tlen i siły z jej organizmu. W tym momencie drzwi mojego serca otworzyły się szeroko.

Pochyliłem się do przodu.

- Z pewnością pani stryj jest doskonałym towarzyszem spacerów, lecz ja także z radością pokażę pani skromne skarby, jakie można znaleźć w naszym mieście, na przykład Bibliotekę Metcalfa i Kolekcję Elliotów - zaproponowałem. - Widziała je już pani?

- Nie, jeszcze nie - odrzekła szybko.

Bez trudu wyczułem, że myśl o wyrwaniu się z murów tego domu bynajmniej nie jest jej niemiła.

- Etna pomaga nam przy naszej wnuczce, Aurelii - rzekł Bliss takim tonem, jakby nagle poczuł potrzebę wytłumaczenia się z czegoś przede mną. - Obawiam się jednak, że my nie pomogliśmy jej w nawiązaniu kontaktów z młodymi ludźmi w jej wieku.

Zastanawiałem się, ile lat może mieć Etna Bliss. Wydawało

mi się, że co najmniej dwadzieścia cztery, ale nie więcej niż dwadzieścia osiem, najprawdopodobniej przekroczyła więc już granicę wieku, w jakim większość młodych panien wychodziła za mąż. Poczułem na sobie jej nieco baczniejsze niż przed chwilą spojrzenie, naturalnie w pełni usprawiedliwione moją śmiałą prośbą, i pożałowałem, że rano nie poświęciłem więcej czasu i uwagi na toaletę, aby wywrzeć lepsze wrażenie na niej i na Blissie. Mój starszy kolega na pewno by uznał, że pensja wykładowcy nie jest dochodem, który mógłby stanowić podstawę utrzymania rodziny (i miałby rację), musiałbym więc w odpowiedniej chwili poinformować go, iż posiadam skromny majątek, umożliwiający wstąpienie w związek małżeński... Pozwoliłem myślom wybiec naprzód w ten zupełnie niekontrolowany sposób i opanowałem się dopiero wtedy, gdy Etna nagle podniosła się z krzesła.

- Obawiam się, że za długo zostawiłam stryjenkę samą - powiedziała, wyciągając do mnie rękę. - Do widzenia, profesorze Van Tassel.

Znowu poczułem ciepło jej dłoni i nie zdołałem powstrzymać się od spojrzenia na jej biust, cudowne wzniesienie, które przyciągało wzrok, i zacząłem się zastanawiać (jakże szybko zaborcze myśli owocują gorzką zazdrością!), czy jakiś mężczyzna dotykał już tego miejsca - mówiąc najkrócej, zadałem sobie pytanie, czy ta stojąca przede mną atrakcyjna, dystygowana istota miała już wielu kochanków. I być może Etna wyczytała tę myśl z wyrazu mojej twarzy, gdyż szybko położyła rękę na piersi, jakby próbowała ukryć ją przed moim wzrokiem.

Zaraz potem odeszła.

Zamieniłem z Blissem jeszcze kilka uprzejmych uwag, aby nie wydać mu się niegrzecznym, czułem jednak, że muszę jak najszybciej uciec z tej dusznej szklarni. Byłem spragniony świeżego powietrza, ale chciałem też spokojnie pomyśleć o Etnie Bliss i wzbogacić skromny skarbczyk wspomnień, do których nieustannie wracałem w czasie jej nieobecności, o pół tuzina zdań, obraz napiętego czarno-brązowego jedwabiu na jej piersiach oraz przelotny, lecz wyraźnie pełen lęku przed dłuższym pobytem w tym domu wyraz,

który pojawił się na jej twarzy. Uzbrojony w te kruche, ale niezwykle cenne wspomnienia, wyruszyłem na śniadanie.

Widok z okna przedziału nie jest już tak przyjemny, jak jeszcze niedawno - przyćmione, złamane błękity wzgórz stanu Vermont i granatowa wstążka rzeki Connecticut zniknęły. Oddalaliśmy się coraz bardziej na południe od White River Junction, gdzie wsiadłem do pociągu. Mam szczęście, ponieważ udało mi się zarezerwować dla siebie cały przedział na ten pierwszy etap podróży, a że z Nowego Jorku wyruszę w dalszą drogę w wagonie sypialnym, mam nadzieję na przedłużenie miłego stanu samotności, bo z myślą o nim kupowałem bilet. Muszę wyznać, że perspektywa pobytu, choćby nawet krótkiego, w południowej części Florydy, budzi we mnie pewien niepokój, jako że słyszałem wiele nieprzyjemnych opowieści

o skorpionach, czerwonych mrówkach, przenoszących malarię moskitach i straszliwym upale. Poza książkami, papierami i metalową puszką po ciasteczkach, która kiedyś należała do Etny, zapakowałem dwa białe garnitury z lnianego płótna, kilka cienkich bawełnianych koszul i nową parę lekkich płóciennych pantofli. Jedynym problemem może okazać się żałobny strój, który muszę przecież włożyć na pogrzeb siostry, stanowiący cel mojej podróży. Kazałem służącemu wyjąć te rzeczy z garderoby i oddać je krawcowi do wyprasowania, nie mogłem bowiem zdobyć się, aby na nie spojrzeć - jestem pewny, że wszystkie wydzielają zapach nie tylko śmierci, ale także paraliżującego poczucia winy, nie wspominając o cierpieniu i ruinie serca.

Przejeżdżamy teraz przez fabryczne miasta Holyoke i Chicopee w Massachusetts, prawdziwe skazy na krajobrazie Nowej Anglii, których przydatności nie sposób zaprzeczyć, ale nieodmiennie przywołujące na myśl ponure eseje Hazlitta i Carlyle'a. Odkryłem jednak, że kiedy mocno zmrużę oczy, o tak, potrafię zatrzeć przykre strony tych widoków i skoncentrować spojrzenie wyłącznie na zasługujących na uwagę atrybutach tych miast - na przykład nierównej powierzchni

szklanych tafli w oknach opuszczonych przemysłowych budynków, lśniącym czernią i brązem lakierze, pokrywającym maskę samochodu zaparkowanego na końcu wymarłej uliczki (dostarcza to pożywki dla licznych domysłów i przypuszczeń), kobiecie w krótkiej spódnicy i chustce na głowie, zmagającej się z wiatrem w drodze do kościoła. I może właśnie za sprawą tego zatartego dzięki sprytniej sztuczce widoku, albo kołysania się szybko mknącego wagonu, podobnego do osobistej biblioteki czy gabinetu, lub całkiem przyjemnego w gruncie rzeczy stukania kół o szyny, a może, co bardziej prawdopodobne, obecności w przedziale biurka, czy raczej stolika, na którym położyłem pióro i notatnik, naszła mnie chęć rozpoczęcia osobistego opowiadania, które już od dawna pragnąłem spisać, lecz do którego jakoś nigdy nie mogłem się zabrać... (Tą stylistyczną wyrzutnią wdaję się w rozważanie, czy z całkowitą szczerością ujawniać tu wydarzenia, które chcę opisać, i dochodzę do wniosku, że ten dokument byłby wart tyle co odrobina rzuconego na wodę popiołu, gdybym uciekł się w nim do fikcji, nawet jeśli nieświadomie pominąłbym niektóre aspekty sytuacji. Zamierzam więc powierzyć tym stronicom całą prawdę, nawet jeżeli zapłacę za to największym bólem, a tak właśnie będzie... Muszę także dodać, że w pełni zdaję sobie sprawę, iż później mogę wykreślić powyższe zdania, a następnie przepisać tekst krótkiego wstępu i dołączyć go do zredagowanej narracji, gdyby w trakcie czytania prawda okazała się zbyt trudna do zniesienia. Czy nie tak postępujemy z każdą historią, jaką spisujemy lub opowiadamy w ciągu naszego życia? W jaki sposób, na przykład, zostanie mi przedstawiona śmierć mojej siostry, kiedy dotrę na miejsce? Czy opowieści o czuwaniu przy łożu umierającej nie będą się zmieniać w zależności od tego, kto będzie je opowiadał oraz od świadomie czy półświadomie wykreślonych szczegółów, dotyczących przede wszystkim fizycznych cierpień konającej, które córka lub kuzynka uzna za nieprzystojne, wstydlive i zasługujące na ukrycie?). Potrafię docenić potencjalne korzyści płynące z przelewania na papier myśli (w tym wypadku nie tyle myśli, ile wspomnień), ponieważ w swojej karierze wydawałem rozmaite

monografie i eseje, należące do mojej dziedziny - mam tu na myśli mój słynny traktat o *Marmionie* sir Waltera Scotta oraz mniej znany, choć równie dobrze przyjęty przez krytykę komentarz do *Pamiętników sir Rogera de Coverly*, opublikowany w „Spectatorze”. Naturalnie zadanie, do którego przystępuję w dniu dzisiejszym, 20 dnia września 1933 roku, niesie zapowiedź nie nagrody, lecz lęku i innych nieprzyjemnych doznań, ponieważ nie wiem, jakie uczucia obudzi we mnie to opowiadanie, jestem jednak zdeterminowany uczynić to dla dobra mojego syna, Nicodemusa. Nie wątpię, że pewnego dnia zada mi on pytanie, a odpowiedź na nie wymagała będzie całej odwagi, na jaką potrafię się zdobyć.

Przeżyliśmy tu pewne poruszenie i muszę wyznać, że dopiero w tej chwili wracam do równowagi po sporym wstrząsie. Kiedy zbliżaliśmy się do New Haven, rozległ się donośny zgrzyt, a zaraz potem pociągiem szarpnęła jakaś potężna siła. Wagon, w którym podróżowałem, wyskoczył z szyn, tak że wszystko w moim przedziale posypało się na podłogę, ja zaś wylądowałem na półce na bagaż. W rezultacie mam paskudnego siniaka na czole, ale liczę, że zasinienie zniknie przed przybyciem na miejsce.

Nie zamierzam pisać o przerażeniu, jakiego doznałem, ale przez chwilę naprawdę sądziłem, że zaraz zginę, i zaraz potem (jakże szybko działa wyobraźnia!) zacząłem myśleć o swoim pogrzebie. Nagle ogarnął mnie niepokój, wywołany niepewnością, kto zjawi się na tej ceremonii i wtedy pośpiesznie zaniechałem dalszych rozważań, a następnie przyszło mi do głowy, czyby nie przerwać podróży i nie wrócić do New Hampshire. Na szczęście szybko uświadomiłem sobie, że drogę powrotną także musiałbym odbyć pociągiem, cóż więc różniłoby tę wyprawę od podróży na Florydę, oczywiście poza czasem trwania... Tak więc znowu siedzę w bibliotece na kołach czy też raczej gabinecie (w innym przedziale, tym razem sypialnym) - moje książki nie ucierpiały w wypadku, natomiast metalowe pudełko po ciastkach, w którym spoczywają listy Etny, zostało wgniecione w jednym rogu i teraz wyraźnie przechyla się w moją stronę (w oskarżycielski sposób, w każdym razie tak mi się wydaje).

Przed chwilą spożyłem smaczny posiłek, złożony z wieprzowiny pieczonej z suszonymi śliwkami i owocowego wina, a także deseru w postaci błyszczącej galaretki z sosem jabłkowym, jestem więc całkiem usatysfakcjonowany i z pełnym zadowoleniem zwracam się (czyżby niepotrzebna aliteracja?) ku myśli o przyjemnym popołudniu, poświęconym pisaniu, jako że ta część opowiadania jest dość pogodna i radosna, oraz o porządnym nocnym wypoczynku, który przy rytmicznym kołysaniu wagonu na pewno nadejdzie szybko i bez przeszkód.

Zainspirowany krótką wizytą w rezydencji Blissów, z zupełnie obcą mi do tej pory ambicją stanąłem do walki o rękę kobiety, której glos, zapach skóry i włosów przeniknęły do wszystkich atomów mojego ciała i złamały wszystkie hamulce mojej duszy. Czasami myślę, że taki stan musi być podobny do zachwytu stanowiącego podstawę życia religijnego mistyka - uczucia, że jego ciało napełnione jest Duchem Bożym. Mam nadzieję, że nie bluźnię, ważąc się na takie porównanie, lecz nie sądzę, abym kiedykolwiek był tak bliski stanu łaski, jak w czasie tych tygodni i miesięcy, gdy zabiegałem o względy Etny Bliss, stanu łaski, której działanie dostrzegałem w tonie mojego głosu, gestach i prawie niegasnącym uśmiechu. W tym znamiennej okresie inni widzieli we mnie nie tylko człowieka lepszego, bardziej wyrozumiałego i współczującego, ale atrakcyjniejszego mężczyznę, co prawdopodobnie tłumaczy, dlaczego panna Bliss nie miała nic przeciwko towarzyszeniu mi przy rozmaitych okazjach.

Studenci zwracali uwagę na moją nieznaną dotąd łagodność, mnie zaś nie przeszkadzało, że wykorzystują nową sytuację. Koledzy, przyzwyczajeni do poważnego sposobu bycia, najpierw byli zaskoczeni zmianą, jaka we mnie zaszła, potem zaś reagowali na nią w niezwykle pozytywny sposób. W tym właśnie czasie poproszono mnie, abym przewodniczył komisji, która miała się zająć znowelizowaniem listy lektur kursu literatury angielskiej na nadchodzący rok akademicki. Moi studenci zwrócili się do mnie z prośbą, żebym został opiekunem



Balu Zimowego (pamiętam, byłem zachwycony tą propozycją i natychmiast pomyślałem, że może Etna zgodzi się dzielić ze mną ten miły obowiązek). Noah Fitch, starszy profesor wydziału literatury angielskiej i retoryki, wyraził nadzieję, że zdecyduję się spędzić święta Bożego Narodzenia z jego rodziną (oczywiście w skrytości ducha liczyłem na zaproszenie do Blissów na świąteczną kolację, ale zawiodłem się), a John Birch Clark, mój dawny nauczyciel z Dartmouth, wydał przyjęcie, na które nie omieszkał mnie zaprosić. Niestety, nie udało mi się namówić Etny, aby towarzyszyła mi przy tej okazji, ponieważ wymagało to przenocowania w Hanoverze, którą to możliwość rozważałem z prawdziwą rozkoszą. Postaram się powstrzymać od ciągłego podkreślania znaczenia nazwiska Etny\*, chociaż jest to bardzo kuszące - w pierwszych tygodniach naszej znajomości bezustannie powtarzałem je sobie w najróżniejszych strukturach frazowych i konstrukcjach zdań, zupełnie jakbym komponował rapsodię. W okresie, o którym mówię, odwiedziłem krawca i obstałowałem trzy nowe garnitury, gdyż moje ubrania miały już nieco znoszony, „nauczycielski” wygląd. Z trudnością przypominam sobie, co w tamtych tygodniach działo się w college'u. Nie wątpię, że podczas sesji egzaminacyjnej studenci odnieśli korzyść ze zdecydowanej poprawy mojego nastawienia do życia, bo pozbyłem się wtedy nudnej osobowości profesora, przywdziewając znacznie bardziej interesujący kostium zalotnika. Jeżeli ci młodzi ludzie nauczyli się czegokolwiek w ciągu zimowego semestru 1899 roku, to tego, że miłość może przeobrazić nawet najbardziej zdyscyplinowanego i zamkniętego w sobie człowieka.

Cztery dni po pożarze, a trzy po naszym drugim spotkaniu, napisałem do Etny Bliss krótki liścik, w którym pytałem, czy cztery dni później mogę zabrać ją na przechadzkę. Liczyłem, że wyrazi zgodę, ponieważ pozwoliłoby jej to wyrwać się z dusznej, dławiącej atmosfery domu Blissów, a jednocześnie pozostać w pobliżu, zimowy spacer bowiem siłą rzeczy nie mógł być daleki. Odpowiedź otrzymałem pocztą zwrotną.

<sup>1</sup> Bliss (ang.) - rozkosz, radość (przyp. tłum.).

(Przez kilka następnych miesięcy ta krótka wiadomość, pierwsze słowa Etny do mnie, skreślone jej ręką, dlatego tak ważna, wisiała obok lustra nad komodą w moim pokoju).

9 grudnia 1899 roku

Drogi profesorze Van Tassel,

Z przyjemnością będę towarzyszyć panu w czasie krótkiego spaceru 12 grudnia, o godzinie trzeciej po południu.

Z wyrazami szacunku, Etna Bliss

Tak się złożyło, że na dwa czy trzy dni przed zamierzoną przechadzką miasto nawiedziła ostra zamieć, natomiast 12 grudnia przyszła odwilż, więc ulice pokryła okropna mieszanina topniejącego śniegu, sadzy i błota, którą my, mieszkańcy Nowej Anglii, nazywamy breją. Znalazłem się w kropce, bo właśnie odebrałem od krawca pierwszy nowy garnitur i płaszcz z najlepszej angielskiej wełny czesankowej, kupiłem też skórzane buty z Brockton i wiedziałem, że rzeczy te ulegną zniszczeniu, jeżeli wyjdę w nich przy tej pogodzie. W końcu poszedłem na kompromis i zdecydowałem się włożyć nowy garnitur (uznałem, że w najgorszym razie poświęcę mankiety spodni), a do niego stare trzewiki, traktując to rozwiązanie jako ustępstwo na rzecz warunków atmosferycznych.

Ubrałem się prawie godzinę za wcześnie i tkwiłem w swoich pokojach, chodząc od jednego okna do drugiego, siadając na brzegu łóżka, spoglądając na swoje odbicie w lustrze (jak bardzo próżni się stajemy, gdy dosięga nas miłość...), a przede wszystkim, ignorując stos porządnie ułożonych zeszytów na biurku, zawierających teksty egzaminacyjne, które miałem przeczytać i poprawić. Co jakiś czas zatrzymywałem wzrok na tych notatnikach, stanowiących żywy wyrzut sumienia, a jednocześnie przeszkodę w moich przechadzkach i zajęciach, lecz kpiłem z nich, bo ostatecznie czy wśród tych setek zdań mogło znajdować się przynajmniej jedno, zawierające choćby ułamek prawdy, która teraz miała

nade mną władzę... Czasami nawiedzał mnie przelotny niepokój, czy kiedykolwiek zdołam wrócić do mojego poprzedniego stylu bycia i rutyny, lecz niepokój ten odrzuciłem w chwili, gdy 12 grudnia spojrzałem na zegar i zobaczyłem, że do trzeciej brakuje już tylko dwudziestu minut, a to oznaczało, iż mogę wyruszyć w kierunku domu Blissów po Etnę. Kiedy przyszedłem, była sama, co uznałem za łut szczęścia, ponieważ nie musiałem wdawać się w rozmowę z Williamem Blissem, którego mogłyby zainteresować moje intencje i który z całą pewnością spojrzałby na mnie z zupełnie nowej perspektywy. Etna miała na sobie niebiesko-złocistą suknię z miękkiego materiału, a złocista nitka w tkaninie wspaniale podkreślała kolor jej oczu, można powiedzieć, że wręcz wyśpiewywała arie pochwalne pod adresem odcienia źrenic młodej kobiety. Jej włosy koloru kory dębowej były starannie zaczesane do góry i ułożone w skomplikowane sploty, które wydawały się znikać gdzieś nad karkiem. Dość dopasowana w talii suknia raczyła mój wzrok widokiem wspaniałej, chociaż oczywiście skromnie osłoniętej figury Etny, i nad pasem, i poniżej. Czyż nie mówiłem jednak, że w pierwszej kolejności zwracam uwagę na twarz kobiety? Tak jest, i tak też było tamtego dnia, chociaż na twarzy Etny, ku mojemu rozczarowaniu, malował się wyraz nie otwartej przychylności, ale czujności - cóż, byłem przecież dla niej obcym człowiekiem.

Zamieniliśmy kilka miłych słów, głównie o marnej pogodzie, po czym ja naturalnie zapytałem o zdrowie ciotki i siostrzenicy Etny i dowiedziałem się, że obie w pełni wróciły do zdrowia i równowagi. Chwilę później, jako uprzywilejowany świadek, przyglądałem się, jak panna Bliss przed lustrem w holu umieszcza na włosach toczek ze złocistego aksamitu, odsłaniając przed moim spojrzeniem kuszący widok swojego karku; byłem nim tak oczarowany, że dopiero po paru sekundach uświadomiłem sobie, iż Etna czeka, abym podał jej płaszcz z narzutką.

I tak to po raz pierwszy wsparła się na moim ramieniu (trzeba przyznać, że tej zimy nie brakowało „pierwszych okazji”), aby udać się w kierunku Wheelock Street, którą poszliśmy dalej, ku wschodnim przedmieściom.

Buty Etny

przemokły, jeszcze zanim minęliśmy pierwszy róg. Miałem ochotę rzucić na ziemię swój nowy płaszcz, aby brudny śnieg nie plamił jej stóp, lecz cóż, nie mogłem tego uczynić, nie tylko z powodu ostentacyjnej ekstrawagancji tego gestu, który najprawdopodobniej przestraszyłby każdą zdrowo myślącą kobietę, ale także z racji całkowitego braku praktycznej strony takiego zachowania. W mocnym słonecznym świetle widziałem rysy Etny wyraźniej niż przy wcześniejszych okazjach i odniosłem wrażenie, że po wyjściu z domu wzięła głęboki oddech, a jej twarz nieco się rozluźniła.

- Piękny dzień, profesorze Van Tassel - odezwała się nagle, zupełnie rozbijając mnie tą uwagą.

- Obawiam się, że trudno powiedzieć to samo o mokrych grudach zalegających chodniki.

- To bez znaczenia - odparła. - Znacznie lepiej, jeśli tylko trzewiki będą musiały wyschnąć po spacerze, niż gdyby duch wysechł z braku świeżego powietrza i ruchu...

- Niewątpliwie - przytaknąłem. - Czuła się pani jak w zamknięciu? - zagadnąłem pozornie niewinnym tonem, ja, który pragnąłem uwolnić tę kobietę jedynie po to, aby samemu wziąć ją w posiadanie.

- Stryjostwo są dla mnie bardzo mili i serdeczni, nie mogłabym wyobrazić sobie lepszego towarzystwa, ale przebywam tu od niedawna i jeszcze nie zdążyłam pozawierać własnych znajomości... Może dlatego, że nie miałam wielu okazji, aby uczestniczyć w jakichkolwiek towarzyskich spotkaniach...

- Przykro mi to słyszeć - powiedziałem, choć bynajmniej nie czułem przykrości.

Ulica była prawie pusta, a spacer okazał się trudniejszy, niż przypuszczałem. Ogarnęło mnie lekkie zażenowanie, które często towarzyszy nierozsądnej decyzji, ponieważ co parę chwil musieliśmy rozdzielać się i znowu schodzić. Tu i ówdzie fragment oczyszczonego z topniejącego śniegu chodnika świadczył o przedsiębiorczości jakiegoś Jankesa i w tych miejscach mogliśmy przez pewien czas iść normalnie.

- Strach myśleć o losie ofiar pożaru... - przemówiła Etna.

- Tak, nie sposób sobie wyobrazić, co przeżywali ci nieszczęśliwi ludzie...

- Zaskoczyła mnie szybkość, z jaką rozprzestrzenił się ogień. Dziwne, że zginęło tylko dwadzieścia osób.

- Tak, rzeczywiście.

- Nie sądzi pan, że szok jest zastanawiającą reakcją ciała i duszy? - zapytała. - Tamtego wieczoru byłam spokojniejsza niż następnego ranka, kiedy obudziłam się we własnym łóżku. Rano drżały mi ręce i nogi i musiałam szybko położyć się znowu, co prawda tylko na chwilę, ale jednak...

- To dość typowe - odparłem, poruszony myślą o Etnie Bliss w łóżku. Czy śpi w jedwabnej koszuli nocnej? Czy jej pościel była wygnieciona po niespokojnie przespanej nocy? Może miała potargane włosy...

Etna przystanęła.

- Profesorze Van Tassel, chciałabym zobaczyć hotel-rzekła.

- Teraz to ponura ruina - zauważyłem.

- Niemniej zależy mi, aby tam pójść.

Wystarczyło jedno spojrzenie na jej twarz, abym zrozumiał, że nie zmieni zdania. Łagodnie zawróciłem ją w przeciwnym kierunku i w pełnym skrepowania milczeniu ruszyliśmy w stronę hotelu. Gdy ja stawiałem mocne kroki wśród grud błota i śniegu, Etna wydawała się płynąć nad ziemią - żaden mężczyzna nie umie poruszać się tak lekko jak niektóre kobiety. Ciekawe, że żadne z nas nie spojrzało na dom Blissów, kiedy przechodziliśmy obok.

- Jakie przedmioty wykłada pan w college'u?

- Różnie to bywa, ale przede wszystkim literaturę angielską od epoki Chaucera.

- W takim razie na pewno spędza pan dni w towarzystwie Spensera, Milтона i Jonathana Swifta. - Uśmiechnęła się lekko.

Ta uwaga nasunęła mi przypuszczenie, że Etna Bliss odebrała pewne wykształcenie. Czyżby uczęszczała do jakiejś akademii dla dziewcząt? A może uczyła się sama, w domu?

- Mógłbym raczej powiedzieć, że spędzam czas w towarzystwie aż zbyt wielu tępych i niezdolnych się skupić studentów - odrzekłem.

- Och, proszę tak nie mówić! Nie wątpię, że poziom studentów w Thrupp przekracza przeciętną!

- Być może, panno Bliss. Może to tylko wykładowcy stali się nudni i niezdolni do skupienia...

- Jestem pewna, że pana nikt nigdy nie nazwałby nudnym - oświadczyła uprzejmie.

Moje serce podskoczyło, uradowane pierwszym komplementem, skierowanym bezpośrednio pod moim adresem, mimo świadomości, że to dobre wychowanie podyktowało jej tę odpowiedź.

- Czy przewiduje pani szybkie załatwienie spraw spadkowych? - zapytałem, kiedy szliśmy w górę Wheelock Street ku centrum miasta i kampusowi college'u.

Z największym trudem pozbierałem myśli, rozproszone dotykiem jej obleczonej w rękawiczkę dłoni, wspartej na moim ramieniu, rozkosznym wrażeniem, którego nie pomniejszały nawet liczne warstwy ubrania.

- Nie sądzę, abym mogła na to liczyć. Mam dwie zamężne siostry, których mężowie - jakby to ująć? - są chyba nieco przewrażliwieni na punkcie finansowych korzyści, jakie mają przypaść w udziale ich żonom...

W tej bezpośredniej odpowiedzi usłyszałem cień sugestii, że pozycja Etny, jako jedynej niezamężnej siostry, jest znacznie gorsza.

- Łączą panią bliskie więzi z siostrami?

- Byłam bardzo przywiązana do matki - odrzekła, pozornie nie na temat.

- Czy nie mogła pani pozostać w domu do chwili rozwiązania kwestii majątkowych?

- Dom i cała posiadłość zostały zajęte za długi. Najpoważniejszy wierzyciel, mąż mojej siostry, Josip Keep, zajął dom dla siebie.

- Rozumiem.

Istotnie, zaczynałem rozumieć sytuację Etny. Mocniej ujmując jej ramię, przeprowadziłem ją na drugą stronę ulicy.

- Zazdroszczę panu wolności życia i mieszkania w pojedynkę, we własnym mieszkaniu - rzekła nagle. - Może pan

swobodnie oddawać się studiom nad wybraną dziedziną i służyć społeczności, przekazując wiedzę innym.

Skąd wiedziała, że mam własne mieszkanie? - pomyślałem. Czy pytała o mnie stryja? I czy mogę uznać to za oznakę zainteresowania z jej strony?

- Wolność to pojęcie względne, panno Bliss. Niektórzy głęboko wierzący ludzie uważają na przykład, że tajemnica prawdziwej wolności kryje się w całkowitym posłuszeństwie.

- Chciałabym chociaż raz być posłuszną samej sobie! - rzuciła szybko, zupełnie jak ktoś, kto wypowiada myśl, nim zdążył się zastanowić, co robi.

Muszę przyznać, że jej otwartość naprawdę mnie zaskoczyła.

- Więc dlaczego nie zrealizuje pani tego pragnienia? - zapytałem.

- Zbyt długo pozostawałam pod czułą opieką kochającej matki i sióstr. Teraz, podobnie jak większość przedstawicielek mojej płci, zaprzepaściłam już szansę rozwinięcia pewnych umiejętności, które pozwoliłyby mi zrobić pierwszy krok...

- Dokąd chciałaby pani dojść, jeżeli wolno zapytać? Obrzuciła mnie byстрыm spojrzeniem.

- Otóż to, profesorze Van Tassel... Dokąd chciałabym dojść?

Wysunęła rękę spod mojego ramienia i zamilkła na chwilę, ja zaś znowu musiałem przyzwyczaić się do jej milczenia, wcześniej jednak wyczułem w jej głosie ton dziwnej desperacji, w każdym razie tak mi się wtedy wydawało. A może taką miałem nadzieję...

- Czy wolno mi prosić, aby zwracała się pani do mnie po imieniu? - odezwałem się, ośmielony jej otwartością.

I natychmiast wściekłem się na siebie, pewny, że zbyt szybko i chciwie sięgnąłem po Etnę, która w tej samej chwili cofnęła się, aby ogarnąć wzrokiem ruiny hotelu. Widok był tym bardziej ponury, że poczerniałe cegły w wielu miejscach ociekały wodą. W powietrzu wisiał okropny smród, którego nie czułem wcześniej, a nad którego źródłem nie chciałem się zastanawiać.

- I pomyśleć, że tamtego wieczoru oboje mogliśmy zginąć... - powiedziała jakby ze zdziwieniem.

Wyjąłem z kieszeni chustkę do nosa, strząsnąłem tkaninę i jednym krokiem pokonałem odległość dzielącą mnie od Etny Bliss. Powodowany niezwykłą śmiałością, przyłożyłem kwadrat belgijskiego płótna do jej nosa i ust, osłaniając ją i broniąc przed straszliwym zapachem, który mógłby skazić jej zmysły. Drżałem na całym ciele, zdumiony i poruszony własną odwagą.

Etna spojrzała na mnie ze zdziwieniem, ale nie odsunęła się. Po chwili wyjęła chustkę z mojej ręki i przytrzymała ją własną, potem zaś opuściła na suknię.

- Oczywiście, że mogę zwracać się do pana po imieniu, Nicholasie - rzekła, odwracając się twarzą do mnie.

Nie potrafiłem wydobyć głosu z gardła, słaby ze szczęścia na myśl o intymnych chwilach, jakich zapowiedź wydawała się nieść ta obietnica.

- Ma pani ochotę na filiżankę kakao, panno Bliss? - odezwałem się po chwili.

- Jeżeli ja mam używać pańskiego imienia, to pan powinien uczynić to samo - powiedziała spokojnie. - Tak, chętnie napiłabym się czegoś gorącego. Szczerze mówiąc, umieram z głodu. Spacer dobrze mi zrobił.

- W takim razie chodźmy - wykrztusiłem, niezdolny zdobyć się na coś więcej.

Weszliśmy do małej herbaciarni na Kimball Street, w której wnętrzu natychmiast zaatakowały nas gwar, przegrzane powietrze, zapach przemoczonego obuwia i gromadząca się na szybach para. W piecyku płonął ogień, a na zabłoconej podłodze leżały najróżniejsze szale, szaliki, mitenki, rękawiczki, robione na drutach czapki i nawet dziecięce płaszczyki, porzucone pod stołami, krzesłami, a czasem na środku sali, zupełnie jakby cała klientela lokalu masowo postanowiła pozbyć się wierzchnich okryć. Do stolika zaprowadziła nas usługująca dziewczyna w fartuszkach z czarnej tafty i białej koronki, z czepeczkiem na włosach, od gorąca i wilgoci skręconych w drobne spiralki. Usiedliśmy. Etna zamówiła herbatę i szarlotkę, ja gorące kakao. Policzki miała



zaczerwienione, co świadczyło o dobroczynnym wpływie spaceru, lecz także o wrodzonej żywotności. Wyglądała teraz na kobietę tryskającą zdrowiem, a nawet żądzą życia; przyszło mi do głowy, że nosi w sobie niespokojnego ducha, uśpionego długim pobytom w dusznym domu Blissów, lecz już rozbudzonego i oddychającego pełną piersią.

- Czy wszyscy ci ludzie są z college'u? - zapytała.

- Większość - odparłem, odwracając się, aby spojrzeć na tłum. Pod oknem jak zwykle siedziało kilka grup studentów oraz parę pań, chyba żon i córek wykładowców, które wybrały się na przedświąteczne zakupy. Nagle, kiedy wychyliłem się, aby rzucić okiem w dalszy kąt sali, zauważyłem Moxona, samotnie tkwiącego przy stoliku i pogrążonego w lekturze. Jak na nieszczęście, Moxon podniósł wzrok w tej samej chwili, gdy zwróciłem głowę w jego kierunku. Nasze oczy się spotkały i Moxon machnął do mnie ręką, co oznaczało, że zamierza podejść, przedstawić się mojej towarzyszce i, ponieważ nie miałem jak dać mu do zrozumienia, aby tego zaniechał, przyjąć jej niechybne zaproszenie, by się do nas przyłączył.

Moxon, wysoki chudzielec o włosach koloru słabo wypieczonego herbatnika i bladej cerze, który, mimo że bardzo różniliśmy się pod względem gustu (Moxon miał słabość do bogato zdobionych marmurowych zegarów i parawanów), był moim najbliższym kolegą w college'u. Często siadywaliśmy razem w jadalni i wdawaliśmy się w dyskusje o trudnych wersach jakiegoś poetyckiego utworu czy skomplikowanym języku esejów (czasem także o narowistych studentach, których mieliśmy nadzieję wziąć w karby). Moxon lubił konie i ciągle biegał do swojego bukmachera, aby postawić na odpowiedniego wyścigowego wierzchowca, i pasjonował się szkolnymi zawodami lekkoatletycznymi, lecz mimo tych różnic w zainteresowaniach rozumieliśmy się na tyle dobrze, że chętnie spędzaliśmy ze sobą czas.

- Ma pan interesujące nazwisko - powiedziała Etna. - Czy jest ono...

- Holenderskie - pośpieszyłem z odpowiedzią, może nieco sztywno. -

Nicholas to oczywiście staroangielskie imię...

- Ilu studentów uczy się w college'u?

- Prawie czterystu.
- Podoba się panu tutaj, Nicholasie?
- Tak, raczej tak. Mam też nadzieję, że w przyszłości... Cóż, na razie nie powinienem o tym mówić. Naturalnie nie chciałbym także, aby stało się to ogólnie wiadome, więc...
- Naturalnie.
- Chodzi mi o to, że myślę o zdobyciu lepszego stanowiska w college'u. Noah Fitch, szef katedry Literatury Angielskiej i Retoryki, za kilka lat przejdzie na emeryturę, ja zaś mam podstawy do ubiegania się o tę posadę. Nie brak mi pomysłów, które chciałbym wprowadzić w życie...
- Czy kilka lat to nie za długi okres oczekiwania na coś, czego nie można być do końca pewnym? - zapytała Etna.
- A czy większość rzeczy, na które warto czekać, nie wymaga cierpliwości? - odpowiedziałem pytaniem. - Odnoszę wrażenie, że i pani ma bardzo dużo cierpliwości.
- Naprawdę? - Rzuciła mi niepewne spojrzenie. Kiedy zastanawiała się nad moją odpowiedzią, obok naszego stolika jak spod ziemi wyrosła postać o zbyt długich i niezgrabnych kończynach. Podniosłem oczy i ujrzałem wkładającego palto Moxona.
- Dokonałeś już rozbioru gramatycznego swojego Newmana, Van Tassel?
- Panno Bliss, proszę pozwolić, że przedstawię pani mojego kolegę, Gerarda Moxona. Gerardzie, oto panna Etna Bliss, bratanica Williama Blissa, profesora fizyki. Moxon uniósł brwi.
- Miło mi panią poznać - powiedział.
- I nawzajem - odparła Etna. Moxon pytał, czy przeczytałem już książkę Johna Hen-ry'ego Cardinala Newmana, zatytułowaną *Eseje i rozprawy*, która poprzedniego dnia leżała na stole w moim gabinecie.
- Ufam, że znam Newmana dość dobrze, aby w przyszłym semestrze przeegzaminować z niego dwudziestu pięciu studentów - oznajmiłem.
- Uważasz, że rozprawa *O świętych i świętości* zasługuje na to, aby poświęcili czas na jej lekturę?
- *Illiative Sense* z pewnością na to zasługuje - poinformo-

wałem go z pewnym zniecierpliwieniem, marząc tylko o tym, żeby zostawił nas samych.

- Mieszka pani w Thrupp, czy też przybyła tu pani z wizytą, panno Bliss?
- zapytał Moxon.
- Przyjechałam z wizytą, profesorze Moxon.
- Mam nadzieję, że przyjemnie spędza pani czas i że Nicholas nie okazał się nudnym towarzyszem...

Chociaż uwaga ta została pomyślana jako żart, Moxon nieco rozminął się ze swoją intencją, dlatego też wszyscy troje odczuliśmy pewne skrepowanie. Etna utkwiała spojrzenie w opartych na brzegu stołu dłoniach, ja zaś wzrokiem błagałem Moxona, aby nas opuścił.

Niewątpliwie właściwie odczytał wyraz mojej twarzy, bo zaczął wkładać rękawiczki.

- Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy - powiedział do Etny ciepło i chyba szczerze.

Patrząc, jak odchodzi, doszedłem do wniosku, że mam naprawdę dobrego kolegę, w którego głowie nigdy nie powstała złośliwa myśl. Byłem o tym przekonany, lecz jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że Moxon na pewno wspomni o naszym spotkaniu kilku innym kolegom, gdyż rzadko widywano mnie w towarzystwie kobiet.

- Czy *Illiative Sense* nie będzie nieco zbyt trudny dla pańskich studentów?
- spytała Etna po odejściu Moxona.

Zaskoczony, mocno ściągnąłem brwi, zaraz jednak postarałem się ukryć ten obraźliwy dla niej odruch, z namysłem mieszając kakao, które właśnie w tej chwili przyniosła kelnerka.

- Więc czytała pani Newmana? - odezwałem się, usiłując przybrać jak najbardziej neutralny ton.

- Tak.

- Czy... Czy lubi pani tego autora?

- Widzę, że jest pan bardzo zdziwiony. To zupełnie zrozumiałe, na pewno zastanawia się pan, jak taka książka trafiła w moje ręce i dlaczego kobieta o mojej pozycji, czyli żadnej, miałyby interesować się tak męskim sposobem przedstawiania argumentów, jak również samymi argumentami, prawda?

- Nie, nie! - zaprotestowałem niezręcznie. - Skądże znowu...

Etna sprawiała wrażenie rozbawionej.

- Jestem żarłoczną czytelniczką, profesorze Van Tassel - powiedziała (i jakże szybko zapomniała o swojej obietnicy, że będzie nazywać mnie pierwszym imieniem...). - Czytam wszystko, co wpadnie mi w ręce - pożyczam książki w bibliotekach i od krewnych, kupuję je w antykwariatach...

- Sama zajęła się pani swoją edukacją, czy tak? Roześmiała się.

- Jeżeli tak, to jest to edukacja usiana lukami i dziurami, mam jednak nadzieję, że będę kontynuować ją przez całe życie. Mój ojciec wykładał matematykę w Akademii Phillips Exeter.

- Pochodzi pani z akademickiej rodziny.

- Ale nie mam pojęcia o matematyce i innych naukach ścisłych! Stryj William z pewnością uważa mnie za beznadziejnie głupią.

- Och, mocno w to wątpię... - powiedziałem, odzyskując równowagę i starając się dopasować tę nową informację do portretu Etny Bliss, który sam stworzyłem.

Informacja ta zbiła mnie nieco z tropu, lecz rozumiałem, że takie pochodzenie i wiedza mogą okazać się cenną cechą u żony.

W tej samej chwili sięgnęliśmy po srebrną cukiernicę i nasze dłonie nagle się zetknęły. Etna natychmiast cofnęła swoją i przy stole zapanowało pełne skrepowania milczenie. Właśnie tak, jak wkrótce się przekonałem, miały wyglądać nasze wspólne spacery i wyjścia. Jeżeli dyskutowaliśmy o książkach i ideach, Etna była ożywiona, zupełnie jakby od dłuższego czasu nie czerpała przyjemności z rozmowy, lecz gdy próbowałem mówić z nią o sprawach osobistych lub gdy zdarzyło mi się jej dotknąć, od razu się cofała, a jej twarz mroczniała jak niebo zasnuwane chmurami, gnany przez ostry, niespodziewany wicher. Nauczyłem się więc rozmawiać z nią na tematy, które lubiła poruszać i nie pozwalać jej szukać ucieczki w milczeniu. Przez resztę pierwszego spaceru udało mi się zachować tę równowagę i nawet zdobyć się na wielką śmiałość, kiedy dość nagle oświadczyła, że powinna już wracać do domu stryja.

Podniosła się, a ja poszedłem za jej przykładem.

- Mam nadzieję, że pozwoli mi pani znowu złożyć sobie wizytę - odezwałem się.

Wahała się dłużej, niż nakazywały dobre maniery, udając, że szuka rękawiczek, lecz w końcu odwróciła się do mnie.

- Tak, dziękuję - odparła po prostu.

Lecz czy Etna Bliss zdawała sobie sprawę, że wolność, zarówno fizyczna, jak i duchowa, wolność, której tak pragnęła, ma pewną cenę?

Na dobre przystąpiłem do zalotów. Jeżeli droga do serca Etny Bliss prowadziła przez książki, byłem gotowy stać się bogatą jednoosobową wypożyczalnią. Wydaje mi się też, że już pierwszego dnia, gdy zjawiłem się u Blissów z *Kopalniami króla Salomona* Ridera Haggarda oraz *Przejściem* Emmy Brooke, Etna zrozumiała, w jakiej walucie chcę płacić za jej towarzystwo. Nie zdradzała się z przemyśleniami, lecz trudno było nie wziąć jej milczącego przyzwolenia za coś więcej niż tylko przyzwolenie. Krótko mówiąc, uznałem, że mogę mieć nadzieję.

Szybko zacząłem odwiedzać Etnę dwa razy w tygodniu i sądzę, że w domu Blissów nikt od początku nie żywił żadnych wątpliwości co do moich intencji. Powiem więcej, jej stryjostwo uznałoby mnie za człowieka bez czci i wiary, gdybym zajmował jej tyle czasu bez planów na przyszłość. Widziałem, że Bliss był nieco zaskoczony, chociaż z czasem jego zaskoczenie znikło, gdy stopniowo i niby przypadkiem ujawniłem, że dysponuję pewnym majątkiem, wprawdzie skromnym, lecz nie najskromniejszym ze skromnych. Niewykluczone też, że w końcu dostrzegł w mojej osobie rozwiązanie problemu, który uwierał mu niczym tkwiący w ciele cień.

Kiedy tylko było to możliwe, Etna i ja zamykaliśmy za sobą drzwi domu Blissów i udawaliśmy się na spacer, po powrocie zaś wypijaliśmy herbatę z Blissem lub jego żoną. Zawsze zjawiłem się punktualnie o trzeciej, po trzech lub czterech dniach rozpaczliwie spragniony widoku Etny. Po krótkiej wymianie uprzejmości Etna wkładała płaszcz oraz kapelusz i przyjmowała moje ramię, podczas gdy ja z trudem

panowałem nad wielkim podnieceniem. Pożądałem jej dotyku jak człowiek uzależniony od laudanum, ponieważ fakt, iż wspierała się na moim ramieniu, stanowił dowód, że jest kimś, kogo przeznaczył mi los. (Ostatnio coraz częściej zastanawiam się, czy to nie my sami wymyślamy swoje przeznaczenie, czy nie projektujemy swojego losu w dogodny dla nas sposób. Jaka część miłości jest sztuczką umysłu czy może pokazem werbalnej akrobacji, które wykonujemy na użytek osób, zjawiających się na naszej ścieżce i w określonym momencie doskonale pasujących do naszych potrzeb i spełniających nasze zmienne wymagania? Nigdy nie poznałem odpowiedzi na to trudne pytanie i sądzę, że w ogóle nie da się jej udzielić, gdyż fizyczne efekty naszych zabiegów są na tyle poważne, że całkowicie zacierają różnicę między tym, co dogodne, a tym, co rzeczywiście orzeczone wyrokiem sił wyższych).

(Przepływ myśli jest jak pojazd, który wymknął się spod kontroli kierowcy i pędzi z miejsca na miejsce, nie wiadomo gdzie, nieprawdaż? Stwarza też większe zagrożenie niż wykolejony pociąg, z którego niedawno wysiadłem...).

Tak więc Etna wspierała się na moim ramieniu i razem wyruszyliśmy na przechadzkę, stawiając czoło żywiołom, i nie sądzę, aby był wtedy na świecie człowiek, który mocniej pragnąłby nadejścia wiosny - nie tylko dlatego, aby cieszyć się piękną pogodą, ale aby skórę jego i jego wybranki dzieliło mniej warstw ubrania... Nasza rozmowa zwykle dotyczyła książek, które przyniosłem poprzednim razem. Etna czytała zachłannie i, muszę przyznać, dość uważnie. Prawdę mówiąc, sam czytałem wcześniej prawie wszystkie te dzieła, w czasie studiów lub przygotowując się do zajęć ze studentami, i niektórzy z autorów, między innymi Haggard i Brooke, mocno mnie znudzili, jednak nawet i w takich wypadkach udawałem zainteresowanie, co nie było trudne, jako że entuzjazm Etny okazał się bardzo zaraźliwy. Czasami myślałem też, że sama Etna byłaby znakomitym nauczycielem (prawdopodobnie lepszym ode mnie, muszę tu wyznać) i co to za wielka strata, że nie miała poza mną nikogo, komu mogłaby ofiarować dary, jakie sama otrzymała. Myślałem również i o tym, że byłaby idealną matką, ponieważ miała w sobie wielką czułość, co

udało mi się zaobserwować, gdy rozmawiała i bawiła się ze swoją młodszą kuzynką Aurelią, a także wielką miłość do wiedzy i nauki, która niewątpliwie jest ważną cechą każdej matki, zwłaszcza jeżeli potrafi przekazać pragnienie poznania swoim synom.

W moich zwierzeniach brzmi może nuta oportunistów, lecz takie właśnie nachodziły mnie myśli, nie tyle wtedy, ile jakiś czas później. Wtedy znajdowałem się w stanie tak bezradnego fizycznego zauroczenia, że nie było mnie stać na wykalkulowane decyzje. I chociaż później dane mi było przeżyć naprawdę wiele, i chociaż znalazłem pewien spokój w życiu pozbawionym napiętności, to muszę powiedzieć, że brakuje mi tamtych odczuć.

Och, jak bardzo mi ich brakuje...

(Ale czy lubiłem Etnę Bliss? Oczywiście posiadała mnóstwo uroczych cech, na przykład zdolność cierpliwego traktowania innych, skłonność do spontanicznego śmiechu czy cudowny sposób zniżania się do poziomu dziecka, aby z nim porozmawiać, lecz jeśli mam być szczery, to trochę się jej obawiałem, czułem do niej coś w rodzaju podziwu, jak zwracający się z prośbą do tego, kto może tę prośbę spełnić. Nie sądzę, aby Etna kiedykolwiek wykorzystywała tę przewagę, ale wydaje mi się, że zawsze była świadoma jej istnienia i zdawała sobie sprawę z nierówności, jaka wytworzyła się w naszych wzajemnych stosunkach).

Tygodnie mijały szybko. Nie mogę powiedzieć, że mijały przyjemnie, bo takie określenie wydaje mi się zbyt bezbarwne i nijakie, pamiętam natomiast, że tamte dni pełne były specyficznego napięcia, wynikającego z mojego lęku, aby nie uczynić nic, co spowodowałoby, że Etna obrzuci mnie zaniepokojonym wzrokiem. Był to jednak także okres niezrównanej radości i nieznanego mi dotąd podniecenia, mam też wrażenie, że kilka razy dostrzegłem na twarzy Etny wyraz prawdziwego zadowolenia. I tak, na przykład, doskonale pamiętam pewne styczniowe popołudnie - niebo prawie nienaturalnie błękitne, usiane śnieżnobiałymi obłoczkami, wręcz kiczowate w swym pięknie - kiedy zabrałem Etnę na przejażdżkę saniami, co uradowało ją tak bardzo, że całkowicie

straciła swoją zwykłą rezerwę. Sam już dawno nie jeździłem saniami, więc zapomniałem, jakie doznania niesie z sobą duża szybkość przemieszczania się i gwałtowne uderzenie zimnego powietrza. Etna i ja trzymaliśmy na kolanach kamienie, które wcześniej nagrzały się w pobliżu ogniska i były jeszcze mocno ciepłe, więc na kontakt z lodowatym powiewem wystawione były przede wszystkim nasze twarze. Kiedy pędziliśmy, zaszuchani w dźwięk dzwonek przy uprzęży koni, słońce zaczęło zachodzić, zalewając pokrytą śniegiem równinę i gałęzie drzew, nawet iglastych, potokiem intensywnie różowego blasku, przez co cały świat wydawał się pulsować własnym, cudownym światłem. Gdy barwy osiągnęły największe nasycenie, konie, wyczuwając może tę chwilę doskonałości (lub, co bardziej prawdopodobne, pragnąc zawrócić do ciepłej stajni), pokonały zakręt drogi z taką szybkością, że sanie przechyliły się na bok i oparły na jednej płozie. Etna pisnęła i chwyciła moją rękę, którą wysunąłem właśnie spod spowijającego ją kokonu. Oboje trzymaliśmy się za ręce z wielkiej radości, która do złudzenia przypominała coś w rodzaju miłostnego uniesienia. Ku mojemu zdumieniu Etna nie puściła mojej dłoni nawet wtedy, gdy sanie opadły na obie płozy, a konie zwolniły, lecz jeszcze mocniej splotła okryte rękawiczką palce z moimi. Wydało mi się to tak niezwykłym darem losu, że dosłownie zeszytniałem ze szczęścia. Woźnica, miejscowy farmer, który starał się powiększyć swój marny dochód, wymamrotał jakieś przeprosiny w imieniu koni, gdy tymczasem ja chciałem z całego serca podziękować i jemu, i jego zwierzętom. W takich to okolicznościach Etna i ja przekroczyliśmy magiczny próg krainy kontaktu fizycznego - z radością trzymaliśmy się za ręce i do tego gestu pozwoliłem sobie wkrótce wrócić; robiłem to tak często, że po pewnym czasie weszło nam to w zwyczaj, oczywiście tylko przy pewnych okazjach. Najbardziej cieszyło mnie to, że Etna nie cofnęła dłoni aż do końca przejażdżki. Co jakiś czas nasze spotkania odbiegały od przyjętego i zaaprobowanego przez obie strony standardu, jak na przykład wtedy, gdy Etna przyszła do mnie, to znaczy, oczywiście, ja poszedłem po nią, ale po to, aby przyszła razem ze mną do college'u. We wszystkie niedziele po nabożeństwie wykładowcy



mogli przyjmować gości, czasami krewnych spoza miasta lub kolegów, zdarzało się też, że uczelnianą jadalnię odwiedzały żony i dzieci profesorów, które z jakiegoś powodu tego dnia postanowiły nie jeść obiadu w domu. Pod koniec lutego zaprosiłem Etnę na taki właśnie niedzielny obiad, częściowo po to, aby odwdziaczyć się za jej gościnność (kilkakrotnie spożywałem posiłki w domu jej stryja), ale też chciałem powiadomić o jej istnieniu moich kolegów. Pojawienie się Etny zawsze wywoływało pewne poruszenie w miejscach publicznych, mnie zaś ogarniało wtedy uczucie zaborczej dumy, zupełnie jakbym to ja stworzył tę niezwykłą istotę.

Tamtego dnia padał śnieg z deszczem, lodowate płatki szczypały skórę, dostając się do nosa i ust. Musiałem trzymać ręką kapelusz i mocniej otulić się paltem. Był to paskudny, nieprzyjemny dzień i gdyby moje pragnienie przebywania z Etną nie było tak dotkliwe, z pewnością odwołałbym wizytę.

Kiedy dotarłem na miejsce, od razu otworzyła drzwi, jakby już czekała, co naturalnie wzbudziło moje wielkie zadowolenie.

Przywitałem się z nią i strząsnąłem wilgoć z palta i kapelusza. Nie powiedziałem nic więcej, bo nie chciałem zwracać jej uwagi na wyjątkowo brzydką pogodę; wciąż zresztą miałem nadzieję, że popołudnie ułoży się zgodnie z moimi planami.

Etna odwróciła się szybko i zamknęła drzwi, przez które wdzierał się do holu ostry wiatr.

- Nie byłam pewna, czy pan się nie zgubi - powiedziała, a w jej głosie zabrzmiała wyraźna nuta ulgi.

Twarz miała zarumienioną, jak od gorączki, zaraz też podniosła dłoń do skroni, jakby bolała ją głowa.

Natychmiast nawiedziła mnie nowa, ponura myśl.

- Jest pani chora? - zapytałem.

Naturalnie martwiłem się o nią, lecz wyznaję, że obawiałem się też, czy nie będę musiał wrócić do college'u bez niej.

- Nie - odparła, opuszczając rękę. - To tylko... Czasami jest mi trudno... -

Jej ciałem wstrząsnął lekki dreszcz. - Czy na dworze jest bardzo brzydko?

- Nie najgorzej - powiedziałem ostrożnie. - Trochę nieprzyjemnie, ale na kominku w jadalni płonie ogień, a na obiad ma być pieczona gęś...

Etna podniosła głowę. Zauważyłem, że jej palce drżą. Z całego serca pragnąłem wierzyć, że powodem tego jest moja bliskość, nie byłem jednak aż tak naiwny. Etna dusiła się z braku tlenu.

Zrobiłem krok w jej kierunku, lecz ona wyciągnęła przed siebie rękę, chyba chcąc mnie zatrzymać. Gdyby to było możliwe, w jednej chwili pokonałbym dzielącą nas odległość i zwrócił jej twarz ku sobie.

Położyłbym dłoń nisko na jej plecach i mocno przycisnął do siebie.

Uniósłbym spódnicę i halkę, przesunął palce w górę jej uda i wcisnął je pod brzeg pończochy... Uczyniłbym to wszystko, daję słowo. Możliwe, że Etna wyczytała pożądanie w mojej twarzy, bo nagle wyprostowała się, jakby sekundę wcześniej zanurzyła przeguby dłoni w lodowatej wodzie. Oczywiście nic nie zrobiłem, ale do dziś się zastanawiam, jak ułożyłyby się sprawy między nami, gdybym wtedy zdobył się na odwagę i sięgnął po nią.

Spojrzałem na swoje wyciągnięte ręce i aby dać im jakieś zajęcie, zdjąłem jej palto ze stojącego wieszaka. Podałem okrycie, a ona wsunęła ramiona w rękawy i otuliła się wełnianą tkaniną. Nie mogę wykluczyć, że pozwoliłem, aby moje dłonie spoczywały na jej barkach chwilę dłużej niż było to właściwe. Jej świeżo umyte włosy pachniały białym mydłem. Odsunęła się i ukryła je pod kapturem.

- Lepiej już chodźmy - odezwała się. - Nie chcę, żeby zatrzymała nas moja ciotka...

Nie musiała mówić nic więcej, ponieważ ja opuszczałem progi tego domu równie chętnie jak ona.

(Do jakich kompromisów zmuszałem Etnę Bliss? Do jakich ustępstw skłaniało ją moje istnienie i postępowanie?).

Na dworze rozszalała się prawdziwa burza śnieżna. Etna zsunęła kaptur nisko na czoło, musiałem prowadzić ją w kierunku, którego sam nie byłem do końca pewny. Spacer w taką pogodę zakrawał na szaleństwo - rozsądek mówił mi, że nie powinienem pozwolić jej wyjść z domu, lecz jednocześnie ogarnęło mnie dziwne podniecenie, towarzyszące zwykle przygodzie i ryzyku.

Zanim dotarliśmy do college'u i weszliśmy do holu, nasze palta pokrywała warstwa lodu, wcale nie przesadzam. Uśmiech

przymarzył mi do ust i przez kilka pierwszych sekund nie mogłem wydobyć głosu z gardła. Służący zabrał nasze okrycia do wysuszenia i nawet namawiał, byśmy zdjęli przemoczone buty, ale Etna nie chciała się na to zgodzić. Szybko weszliśmy do sali jadalnej i stanęliśmy przy kominku, aby się ogrzać. Policzki i nos Etny były karmazynowe od uderzeń płatków śniegu, ale jakże piękna była w tamtej chwili! Z trudem stłumiła zwycięski uśmiech, wyraz radości z przetrwania w ekstremalnych warunkach. Kiedy ciepło znowu ogarnęło jej twarz i całe ciało, z warg płynął potok słów. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak ożywionej i rozmownej.

- Dawno temu, kiedy miałam sześć, może siedem lat, wybrałam się z siostrami na łyżwy - zaczęła. - Niespodziewanie rozpętała się burza śnieżna, padało mniej więcej tak jak teraz. Nie pamiętam już, jak to się stało, ale nie było z nami nikogo dorosłego - nie wiem, może ktoś uznał, że do roli opiekunki nadaje się moja siostra, Pippa, w każdym razie byłyśmy same. Wśród strasznej wichury nie umiałyśmy znaleźć drogi do domu, musiałyśmy więc schronić się w jakiejś jaskini. Och, jakież ekscytujące wydawało mi się to, że byłyśmy zdane wyłącznie na siebie, wyłącznie na własne siły... Przypominam sobie, że Pippa zabrała z domu dzbanek kakao, owinięty w grubą flanelę. Miriam była mocno przestraszona i nie mogła nic przełknąć, lecz ja wypiałam ze trzy kubki, jeden po drugim, i oczywiście natychmiast dostałam mdłości. Mimo to zachowałam to wspomnienie w pamięci jako jedno z najpiękniej szych, najcudowniejszych...

Etna zacierała dłonie przy ogniu. Miała duże dłonie, prawie tak duże jak moje.

- Jak dostałyście się do domu? - zapytałem.

- Wysłano ekipę poszukiwawczą, ponieważ rodzice się przerazili, że załamał się pod nami lód. Nie wiem, ile czasu spędziłyśmy w jaskini, ale sądzę, że najwyżej dwie godziny, czas, który dziecku może wydawać się długi jak życie, prawda? Nie tylko zresztą dziecku, ale i matce...

Pamiętam, że byłam okropnie rozczarowana, kiedy nas znaleźli.

Roześmiała się. Wilgotne włosy na czubku głowy i po bokach twarzy luźnymi sprężynkami opadały na czoło i po-

liczki. Rozejrzałem się po sali, tylko częściowo wypełnionej. Etna była jedyną kobietą w jadalni. Niektórzy mężczyźni, którzy chłonili ją wzrokiem, odwrócili się, gdy napotkali moje spojrzenie, paru innych skinęło głowami i rzuciło mi porozumiewawcze uśmiechy.

- Jak wspaniale jest znaleźć się w cieple... - rzekła Etna. - Rzadko doceniamy takie wygody, ponieważ są łatwo dostępne.

- Czas, żebyśmy usiedli i zamówili obiad - powiedziałem. - Na pewno jest pani głodna...

- Jestem - przyznała, po raz pierwszy rozglądając się dookoła. - Po prostu umieram z głodu.

(Była to jeszcze jedna niezwykła cecha Etny - jak na kobietę miała doskonały apetyt).

Rozmawialiśmy, rozmawialiśmy... Ale o czym? Nie pamiętam. Dałbym wiele, żeby przypomnieć sobie każde słowo, jakie padło między nami tamtego popołudnia, popołudnia dziecinnej konspiracji, ciepła, smacznego jedzenia i dobrego wina... Może rozmawialiśmy o książkach, ale chyba jednak nie. Tamten dzień wydaje mi się inny niż pozostałe. Długo siedzieliśmy przy stole. Ja, który potrafiłem w ułamku sekundy stworzyć całą historię, wyobrażałem sobie, jak Etna z powodu pogody nie może wyjść z college'u, musi spędzić noc w jednym z pokoi gościnnych i jak przed wejściem do niego pozwala mi na krótki uścisk, może nawet na skradziony pocałunek. Wyobrażałem sobie siebie, śpiącego w tym samym budynku i rano sprowadzającego ją do jadalni na śniadanie, posiłek, którego nigdy wcześniej nie spożyliśmy razem. (Marzyłem o cudownych, przesiąkniętych erotyzmem chwilach; dziś wydaje mi się to dziwne, bo przecież zjedliśmy przy wspólnym stole prawie pięć tysięcy śniadań i żadne z nich nie wzbudziło we mnie doznań porównywalnych z tamtym, które przecież tylko sobie wyobrażałem).

Kiedy obiad zbliżał się do końca, a obsługa zaczęła sprzątać obrusy i nakrycia z innych stołów, zorientowałem się, że piękne popołudnie mija bezpowrotnie (być może powodem mojego zachowania stały się także wcześniejsze, jakże śmiałe

fantazje, o których Etna nic nie wiedziała i których z pewnością nie podzielała, przypomniałem sobie później), wyciągnąłem rękę nad stołem i chwyciłem jej dłoń. Przerwała w pół zdania, wstrzymała oddech.

Wzmocniłem uścisk.

- Jest pani bardzo piękna... - powiedziałem, z wielką radością wreszcie wypowiadając na głos te słowa.

- Profesorze... - odrzekła cicho.

- Obiecała pani nazywać mnie Nicholasem.

- Poza nami jest tu sporo ludzi...

- Którzy mi zazdroszczą.

Jej palce znieruchomiały. Nie wiem, czy próbowała je uwolnić - nie sądzę, gdyż najprawdopodobniej wyczuła, że nie jest to możliwe. Martwy spokój, który często obserwowałem, ogarnął całe jej ciało i twarz, podobny do przyływu nasączającego wodą piasek plaży. Zaczęła oddychać wolniej, jej policzki pobladły. Nagle wyobraźnia podsunęła mi obraz leśnego zwierzęcia, które nieruchomieje, aby wtopić się w tło i stać się niedostrzegalne (Boże, wybacz mi...). Nie mogła się zmusić, żeby na mnie spojrzeć.

Lecz tamtego dnia, opętany namiętnością, wolałem wziąć jej stan za przejaw kobiecej skromności i fizycznego onieśmienia, które wtedy wydały mi się uroczymi cechami. Natychmiast zacząłem się też zastanawiać, czy lęk przed fizycznym kontaktem oznacza, że Etna nie miała dotąd kochanków - pytanie to dręczyło mnie od chwili, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem dom jej stryja.

Puściłem jej rękę, a ona szybko ukryła ją pod stołem.

- To było najwspanialsze popołudnie mojego życia - wyznałem zgodnie z prawdą.

Podniosła wzrok i spojrzała mi w oczy.

- Dziękuję za obiad.

- Droga powrotna będzie okropna - zauważyłem. - Śnieżyca ani trochę nie ustała.

- To prawda - odparła, patrząc w wielkie okna sali jadalnej.

- Mogłaby pani spędzić noc tutaj - ośmieliłem się. - Mają tu pokoje dla gości wykładowców. Rano odprowadziłbym panią do domu. Możemy wysłać służącego do pani stryja ostwa, żeby

oszczędzić im niepokoju. Chłopak łatwiej przedrze się przez śnieg niż my...

- Nie wysłałabym gońca w taką pogodę z tak błahego powodu - powiedziała. - Nie, muszę wracać. Nie mam przy sobie potrzebnych rzeczy...

- Oczywiście - odparłem, niechętnie podnosząc się razem z nią. Służący wysuszył przy kominku nasze paltoty i szale. Dałem mu napiwek i poprosiłem, żeby sprowadził sanie, co szybko uczynił. W czasie jazdy do domu Blissów trzymaliśmy koc nad głowami, tworząc coś w rodzaju namiotu. Czułem na twarzy ciepły oddech Etny. Po przybyciu na miejsce zaprosiła mnie do środka, ale poczułem litość dla woźnicy i koni, dostrzegłem też, że zasy są już tak wysokie, iż nawet sanie mogłyby zagubić się wśród nich, na co wcześniej jakoś nie zwróciłem uwagi.

- Odwiedzę panią we wtorek - odezwałem się od drzwi. Skinęła głową, lecz robiła wrażenie dziwnie roztargnionej.

Nie mogłem pozwolić, aby stała w mokrym śniegu choćby chwilę dłużej.

- Proszę wejść do środka - ponagliłem.

Znowu kiwnęła głową i weszła do domu. Zanim zamknęła drzwi, spojrzała na mnie przez ramię. Zawróciłem do sań, nagle boleśnie świadomy, że śnieg sięga mi do połowy łydek i dostaje się do trzewików. Tak się złożyło, że następnego dnia Etna dostała gorączki, za co bezlitośnie się obwinałem. Gdybym odpowiednio wyraźnie ostrzegł ją przed złą pogodą, jak postąpiłby każdy uczciwy i rozsądnie myślący człowiek, na pewno by nie zachorowała, powtarzałem sobie. (Muszę przyznać, że kilka razy przyszło mi do głowy, iż nienaturalny rumieniec, który ujrzałem na jej twarzy w holu domu Blissów, mógł być pierwszym objawem gorączki, ale to nieistotne). O chorobie Etny dowiedziałem się dopiero we wtorek, kiedy przyszedłem po nią o umówionej godzinie. Pani Bliss, przekazawszy tę smutną wiadomość, zaprosiła mnie do salonu na filiżankę herbaty i pogawędkę

(zniosłem to z najprawdziwszym trudem). Małżonka mojego kolegi wydawała się wręcz kwitnąć w dusznym pokoju, niczym rzadka tropikalna roślina, a może po prostu sama także miała gorączkę, nie wiem. Potrafiłem myśleć tylko o tym, że Etna leży w łóżku, najwyżej trzy metry nad moją głową i wizja ta wywarła zdecydowanie negatywny wpływ na moje zdolności konwersacyjne.

Etna chorowała przez tydzień, potem schodziła już na dół, żeby ze mną porozmawiać, chociaż kaszel i zaczerwieniony nos świadczyły, że infekcja nie ustąpiła do końca. Przynosiłem jej słodycze z cukierni i szklarniowe kwiaty, a raz obdarowałem ją rzadko spotykanym storczykiem, który dostałem od profesora wydziału biologii, Everetta Tuckera. Oczywiście przynosiłem również książki. Mimo tych podarunków nasze rozmowy w salonie (Etna siedziała na sofie, a ja spływałem potem pod garniturem z kamizelką) jakoś się nie kleiły; nie wiem, czy paraliżowało nas poczucie zamknięcia w tym potwornym pokoju, czy też kontrast nowej sytuacji z radosnym ożywieniem, jakie ogarnęło nas tamtego dnia w sali jadalnej college'u. Tak czy inaczej, nie muszę chyba mówić, z jak wielką ulgą przyjąłem uwagę Etny, że czuje się już dość dobrze, aby się wybrać na krótką przechadzkę.

Przez cały czas zalotów hojnie obdarowywałem Etnę prezentami, których większość kupowałem w sklepie złotniczym Johnston & Herrick w Hanowerze, mieście w pobliżu Thrupp. Pamiętam parę kolczyków z topazami, które szczególnie przypadły jej do gustu. (Czy wspominałem już, jak wielką wagę przywiązywała Etna do ubioru i odpowiedniego doboru dodatków? Oczywiście nigdy nie była nadmiernie ekstrawagancka, miała po prostu doskonały smak i wyczucie).

Ofiarowałem jej także naszyjnik z kamieniami księżycowymi i do dziś pamiętam, jaką przyjemność sprawiło mi zapięcie go na jej karku. Czy błędnie, wyobrażając sobie, że jeżeli daję jej prezenty, a ona je przyjmuje (broszę z gagatem, grzebień z turmalinem), tym samym wyraża aprobatę dla mnie i względów, jakie jej okazywałem? Pewnie tak, bo przecież żaden podarunek nie może być swoistym biletem, pozwalającym kontynuować zaloty... Podświadomie chyba

zdawałem sobie z tego sprawę, a jednak miałem nadzieję, nawet pewność, że uda mi się ją zdobyć i zacząłem się zastanawiać nad odpowiednią chwilą, by poprosić o jej rękę.

Chwila ta nadeszła w łagodne marcowe popołudnie. Był to nietypowo ciepły dzień, pierwszy dzień ładnej pogody od wielu tygodni. Teren kampusu pocięty był ścieżkami spacerowymi, które jeszcze wczesnym rankiem pokrywał śnieg, a wkrótce miały stać się zbyt błotniste, by nimi chodzić, lecz tamtego dnia, między zimą i wiosną, ziemia była przyjemnie twarda i sucha.

Po wyjściu z domu Blissów udaliśmy się w kierunku kampusu i głównej ścieżki, co samo w sobie było dłuższym spacerem niż wszystkie wcześniejsze. Byłem poruszony i niespokojny, jak każdy konkurent tuż przed oświadczeniami, ale odwagi dodał mi fakt, że Etna nie wydawała się zrażona długością przechadzki. Myślę nawet, że nie zauważyła, jak długo idziemy, ponieważ całe jej ciało było dziwnie napięte, jakby w jej członkach zaczęły krążyć wiosenne soki. Ścieżka, którą wybrałem, biegła tuż nad rzeką, tego dnia wezbraną i szumiącą. Powietrze było łagodne, podobnie jak otaczające nas barwy - niebo mlecznobłękitne, czerń drzew stępiona i nieco rozmyta. Etna podnosiła rąbek spódnicy, lecz materiał i tak szybko nasiąkł wodą. Nie zwróciła na to uwagi i szła dość szybko, jakby zmierzała do wytyczonego celu. Miała na sobie wełnianą spódnicę w niebiesko-szaro-brązową kratę i krótki żakiet z kołnierzem z szarego króliczego futerka i narzutką z tej samej tkaniny. Gdy unosiła spódnicę, odsłaniała kilka warstw kremowych halek z ciężkiego jedwabiu.

- Opowiadania Uphama nie bardzo mi się podobają - mówiła. - Myślałam, że są znacznie lepsze, tymczasem są marnie napisane, obciążone ozdobnymi, skomplikowanymi frazami, w stylu, którego nie znoszę.

- Właśnie... - przytaknąłem.

- Co za cudowny zapach... Co to takiego, jak pan myśli? Pociągnąłem nosem, ale czułem tylko mokry aromat rzeki.

- Poza tym bardzo chciałabym wiedzieć, dlaczego Upham wprowadza bohatera tak ślepo zadufanego w siebie, że nie rozumie nawet znaczenia zdań, które wypowiada...



- Sądzę, że to celowy zabieg literacki - rzekłem.
- Zastosowany w jakim celu?
- Aby pokazać czytelnikowi człowieka, który sam siebie oszukuje.
- Nie mam zaufania do takich zabiegów, ponieważ podważają zaufanie, jakim czytelnik darzy narratora. Skąd możemy wiedzieć, co się naprawdę zdarzyło? Poza tym nikt nie może być aż tak ślepy, jak nieszczęsny bohater Uphama...
- Rzeczywiście tak pani myśli?
- Odnoszę wrażenie, że bliskość wiosny przyprawiła pana o dziwne roztargnienie, Nicholasie.
- Całkiem możliwe - odparłem.

Po półgodzinnym spacerze dotarliśmy do ustronnego zakątka, czegoś w rodzaju niszy w skale, gdzie mogliśmy przystanąć na chwilę i podziwiać roztaczający się przed nami widok - miły dla oka dywan zrudziałych traw, przygiętych do ziemi ciężarem śniegu i lodu, spod którego dopiero niedawno uwolniła je odwilż. Etna chętnie się zatrzymała, może musiała złapać oddech, bo na pewno nie przywykła do pokonywania pieszo takich odległości. Przysunąłem się do niej o krok. Wsunąłem ręce do kieszeni płaszcza, czując, jak pot spływa mi po plecach (ubrałem się za ciepło). Etna nie cofnęła się, pozwoliła, bym się do niej zbliżył i oboje przez chwilę wpatrywaliśmy się w unoszące się tuż nad powierzchnią rzeki stado szpaków. Uśmiechnęła się, chyba zadowolona ze spaceru.

- Moja droga Etno... - zacząłem.

W moim głosie musiał zabrzmieć ton nabożnego szacunku, ponieważ natychmiast odwróciła się do mnie z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Ukryła dłonie w rękawach żakietu. Wyschnięte liście zaszeleściły - na pewno przebiegła po nich wiewiórka.

- Muszę omówić z panią wyjątkowo ważną kwestię - podjąłem i zaraz znowu przerwałem, bo rozmowa nie przebiegała tak, jak sobie zaplanowałem, już teraz naznaczona piętnem biznesowej transakcji. - Chciałbym wyznać, że... - wziąłem głęboki oddech... - kocham panią. To oświadczenie nie mogło być całkowicie niespodziewane (chyba Etna rozumiała, co oznaczają prezenty w rodzaju

kolczyków z topazami i gagatowej broszy?), a jednak chyba ją zaskoczyłem. Niewykluczone, że myśl o małżeństwie tamtego dnia nawet nie powstała jej w głowie. Dziś wiem, że jej rumieńce były objawem zmęczenia, a nie pełnego nadziei oczekiwania.

I tym razem, podobnie jak wcześniej w chwilach zaskoczenia czy lęku, Etna znieruchomiała. Miałem wrażenie, że nawet jej powieki mrugały wolniej, kiedy mierzyła mnie uważnym, czujnym wzrokiem.

- Uwielbiam panią - oświadczyłem z zapalem, który musiał wydawać się dziwny wobec jej chłodnego spokoju. - Nie mogę spać, ponieważ ciągle o pani myślę. Pragnę, aby została pani moją żoną.

(Gdy teraz przypominam sobie tamte chwile, myślę, że wyglądaliśmy jak aktorzy teatralni, z których jedno gra osobę zbyt żywiłowo reagującą na pewne wydarzenie, natomiast drugie najzwyczajniej w świecie zapomniało swojej roli).

Może Etna była naprawdę przestraszona moją śmiałą deklaracją, nie wiem, w każdym razie natychmiast spróbowałem złagodzić pierwsze wrażenie.

- Chciałbym pojąć panią za żonę, jeżeli ta perspektywa nie jest pani niemiła - ciągnąłem. - Proszę panią o rękę. Wiem, że moje słowa nie mogą być dla pani zupełną niespodzianką, zdaję też sobie sprawę, że potrzebuje pani czasu, aby się zastanowić nad odpowiedzią, nie ukrywam jednak, że jeżeli wyrazi pani zgodę, uczyni mnie pani najszcześniejszym człowiekiem pod słońcem...

Etna długo trwała w milczeniu. Nigdy się nie dowiem, o czym wtedy myślała, lecz nie mogę oprzeć się wrażeniu, że chociaż na pewno brała pod uwagę możliwość wstąpienia w związek małżeński i rozumiała, że w końcu musi powiedzieć „tak”, jeżeli chce uciec od cichej tyranii życia na wygnaniu, to wcześniej po prostu nie chciała sobie tego wyobrazić. Odsuwała od siebie te wizje i dlatego w tamtej chwili nie mogła znaleźć właściwych słów.

Wyjąłem z kieszeni puzderko z pierścionkiem, który niedawno kupiłem w firmie Johnston & Herrick (nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym poinformować czytelnika, że nie był to tani drobiazg).

- Chcę ofiarować pani ten pierścionek jako symbol... - zająknąłem się. - Obiecuję, że...

Nie mogłem mówić dalej. Zwykle tak wymowny Van Tassel zaniemówił, dokładnie tak samo jak Etna Bliss. Na otwartej dłoni trzymałem pierścionek - z białego złota, ozdobiony szmaragdami.

Etna nie sięgnęła po niego, lecz wysunęła dłonie z rękawów, może po to, aby wykonać jakiś gest, na co ja, sztywny ze strachu, że odrzuci moje oświadczyzny (z każdą chwilą stawało się to coraz bardziej prawdopodobne), chwyciłem jedną z nich tak, że pierścionek znalazł się między naszymi rękami. Trzymając jej dłoń na wysokości naszych piersi, otoczyłem jej szczupłe plecy ramieniem. Poczulem, jak zeszywniała, kiedy jednak stało się jasne, że nie zamierzam jej uwolnić, rozluźniła się nieco, jakby przyzwalając na uścisk, chociaż nie mogę powiedzieć, aby zareagowała w jakikolwiek pozytywny sposób. Nadal trwała w kompletnym bezruchu, ani nie dając, ani nie przyjmując. Może obserwowała samą siebie, szukając w sercu reakcji na to, co się z nią działo. (Uważam, że tamten jednostronny uścisk był symbolem całej naszej historii, naszego małżeństwa, chociaż wtedy nie mogłem tego przewidzieć. Opierając się na tym doświadczeniu, chciałbym poradzić młodym zakochanym, aby przeanalizowali pierwszą pieszczotę tak uważnie i dokładnie jak słowa wróżki).

Jednak nawet bierna postawa Etny była dla mnie rozkosznym przeżyciem - czułem jej oddech na swojej szyi, jej wznoszącą się i opadającą pierś tuż obok mojej ręki. Powoli, aby dać jej szansę na odsunięcie się (nie zrobiła tego!), przechyliłem głowę, aby złożyć pocałunek na jej wargach i wreszcie zrealizować jedno z moich najcudowniejszych marzeń. I byłem już bardzo bliski osiągnięcia celu, gdy nagle na ścieżce ukazał się wielki ptak, który okazał się Moxonem, trzepoczącym włosami, ramionami i połami płaszcza. Etna i ja instynktownie odsunęliśmy się od siebie, a Moxon stanął jak wryty.

- Van Tassel! - wykrzyknął. - Co za niespodzianka!

- Moxon... - odparłem powoli.

- Och, i panna Bliss! Jakże się cieszę, że znowu panią widzę!

Etna odwróciła się lekko w kierunku Moxona, ale nie patrzyła na niego. Moxon wydawał się kompletnie nieświadomy, na jaką scenę się natknął, ja natomiast drżałem z wściekłości, a także ze wzruszenia, jakie wywołały we mnie moje własne słowa.

- Zażywam ruchu - oświadczył Moxon, chociaż było to absolutnie oczywiste. Otarł czoło wyjętą z kieszeni płaszcz chustką. - Mój lekarz uważa, że ruch jest jedynym antidotum na podawane w college'u jedzenie. Trzeba dbać o właściwą perystaltykę jelit...

Ponownie zaniemówiłem, przerażony, że Moxon porusza taki temat w obecności Etny.

- A przy okazji, cieszę się, że cię spotkałem. - Moxon schował wilgotną chustkę do kieszeni. - Fitch szuka cię od paru godzin. Wydaje się mocno zirytowany, wszędzie zostawił wiadomość, byś zjawił się w jego gabinecie, kiedy tylko będziesz mógł.

- Fitch... - powtórzyłem z roztargnieniem. - Szuka mnie? Teraz?

- Tak jest.

- Z jakiego powodu?

- Nie mam pojęcia.

Etna stała nieruchomo, niczym jeleń, który usłyszał trzask pękającej gałązki. W gruncie rzeczy bardzo podobało mi się, że nigdy nie udawała, iż akceptuje sytuacje, których nie mogła zaakceptować.

- Muszę już iść... - Moxon cicho odchrząknął. - Lekarz mówi, że w czasie przechadzki nie można pozwolić, aby krew nagle zaczęła wolniej krążyć w żyłach...

- Naturalnie. - Pokiwałem głową, zbywając go machnięciem ręki.

Wciąż trzymałem pierścioneł ze szmaragdami, pragnąc jak najszybciej powierzyć go przyszłej właścicielce, kiedy jednak odwróciłem się do Etny, zrozumiałem, że Moxon bezpowrotnie zniszczył nastrój bierności, jakiemu wcześniej uległa.

- Bardzo panią przepraszam... - odezwałem się.

- Proszę tak nie mówić. Trochę zmarzłam i chyba powinnam już wracać do domu. Nie chcę ryzykować następnego przeziębienia.

- Oczywiście, w żadnym razie... - przytaknałem.
- Przeszliśmy spory kawałek drogi.
- Mnie wydawał się krótki...

Wymieniając tego rodzaju nieistotne uwagi albo milcząc, dotarliśmy do domu Blissów. Kiedy stanęliśmy pod drzwiami, Etna zwróciła się ku mnie i jak zwykle wyciągnęła rękę. Byłem wewnętrznie rozdarty, bo pragnąłem dać jej pierścionek, ale też bardzo mi się nie podobało, że mam uczynić to w publicznym miejscu. Obawiałem się, że źle wybrany moment może stać się przyczyną odmowy. Nie mogłem wydusić z siebie głosu, natomiast Etna przemówiła, co trochę uspokoiło moje rozdygotane serce.

- Profesorze Van Tassel... - zaczęła, a ja od razu uznałem tę formę za zły omen. - Rozumiem, że złożenie propozycji małżeństwa nie jest rzeczą łatwą...

Ależ jest, chciałem zawołać; może Etna wyczuła mój zamiar, bo podniosła rękę, powstrzymując mnie gestem.

- Nie jest jednak tak łatwo przyjąć taką propozycję-ciagnęła. - Musi mi pan dać trochę czasu, abym przemyślała to wszystko i podjęła uczciwą, jednoznaczną decyzję.

- Odwiedzę panią za dwa dni - powiedziałem, chętnie wytyczając granicę czasu, danego jej na rozważenie oświadczyn.

- Nie, lepiej będzie, jeżeli spotkamy się za tydzień. Od tej decyzji zależy przecież moja przyszłość...

- Chce pani mieć trochę wolnego czasu.

- Chcę mieć trochę czasu na spokojne zastanowienie się, co dalej.

- Czy mam pomówić z pani stryjem?

- Jest na to jeszcze za wcześnie.

- Proszę nie zwlekać zbyt długo - powiedziałem z rozpaczą, której nie potrafiłem ukryć. - Nie zmruję oka, dopóki nie otrzymam wiadomości od pani.

To nagie wyznanie wzruszyło ją, ponieważ skinęła głową, nie z rozbawieniem czy litością, lecz z prawdziwym współczuciem, które, jak wkrótce miałem się przekonać, było jedną z dominujących cech jej charakteru.

Gabinet Noaha Fitcha znajdował się na końcu długiego, wykładanego kamiennymi płytami korytarza. Każdy krok odbijał się echem od pokrytych mahoniową boazerią ścian i ze sporym wyprzedzeniem obwieszczał przybycie petenta. Pod wielkim oknem, w ścianie obok drzwi do gabinetu Fitcha witało petentów samotne białe popiersie Franklina Pierce'a, umieszczone na kamiennym postumencie. Odrobinę zdyszany po szybkim marszu (także z niepokojem, czego chyba nie powinienem ukrywać), zdecydowanym ruchem zapukałem do drzwi, chcąc rozwiać nieprzyjemną aurę onieśmienia. Ponieważ często sam przyjmowałem nieco wystraszonych studentów, doskonale wiedziałem, że nieśmiałe stukanie budzi w przyjmującym wizytę poczucie wyższości i chociaż Fitch był moim przełożonym, nie chciałem, aby wyobrażał sobie, że jego wezwanie pozbawiło mnie pewności siebie.

Fitch sam otworzył drzwi. Był wysokim, postawnym mężczyzną o włosach koloru ołowiu, niezbyt krótko ostrzyżonych, i niewiarygodnie równych, białych zębach, które mogły być owocem prawa dziedziczności lub wegetariańskiej diety, jako że Fitch od dwudziestu lat nie jadał mięsa. Zawsze ubierał się w raczej oficjalnym stylu i trzymał się bardzo prosto, chociaż miał już pięćdziesiąt pięć lat. Często podejrzewałem, że stanowisko szefa wydziału zagwarantowały mu nie tylko kwalifikacje akademickie, lecz także imponujący wygląd i postawa.

- Witam pana, Van Tassel. Zapraszam do środka.

Wprowadził mnie do gabinetu, który nawet przy dziennym świetle sprawiał nieco ponure wrażenie, pewnie za sprawą do połowy zaciągniętych zasłon. Oczywiście wszystkie ściany pokryte tu były półkami z książkami, lecz tu i ówdzie monotonię zakłócał jakiś cenny dla właściciela przedmiot - klatka dla ptaków, ołowiany kogucik, pomarańcza nakłuta goździkami. Nad drzwiami wisiał udany portret żony Fitcha, który później trafił do Kolekcji Elliotów.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie, rozdzieleni dużym blatem stołu z drewna wiśniowego. Przed Fitchem leżała szara teczka.

- Chciał pan się ze mną widzieć? - zagadnąłem.

- Tak...

Na chwilę odwrócił wzrok, może żeby zebrać myśli. (Wbrew słowom Moxona, wcale nie zachowywał się jak człowiek, któremu się śpieszy).

Odniosłem wtedy wrażenie, nie po raz pierwszy zresztą, że Fitch nie darzy mnie szczególną sympatią, chociaż bardzo stara się ukryć to uczucie; już wcześniej doszedłem do wniosku, że przyczyną tego stanu rzeczy jest fakt, iż nie urodziłem się w Nowej Anglii i nie wychowałem w specyficznej atmosferze tej części kraju, przez co, zdaniem Fitcha, mogło mi brakować pewnej autentyczności.

- To delikatna sprawa - zaczął.

Na moje policzki natychmiast wypełził gorący rumieniec.

O jaką „delikatną” sprawę mogło mu chodzić? Czy jakiś student poskarżył się, że został przeze mnie źle potraktowany? A może ja, w obecnym stanie roztargnienia, nie przeprowadziłem jakichś zajęć? Może wystawiłem komuś niesprawiedliwą ocenę?

Fitch podniósł się zza biurka. Uświadomiłem sobie nagle, że siedzę wychylony do przodu, w pozie typowej dla petenta, więc szybko się wyprostowałem.

- Jak pan wie, łączy nas zainteresowanie pisarstwem sir Waltera Scotta - zaczął.

- Tak jest - przytaknąłem.

- Co za tym idzie, dobrze znamy też prace krytyczne i naukowe, dotyczące jego dzieł.

Skinąłem głową, powstrzymując się od prychnięcia, ponieważ uważałem się za bardziej odczytanego w tej dziedzinie od Fitcha, którego zainteresowania siłą rzeczy były szersze, co nie pozwalało mu zagłębić się w jedną dziedzinę.

- Właśnie dlatego w moje ręce wpadła pańska monografia na temat wczesnych powieści Scotta.

(Czy to wtedy poczułem lekkie ukłucie niepokoju? Nie, chyba jeszcze nie wtedy...).

- Tak? - odezwałem się.

- Przypadek zrządził, że ostatnio przeczytałem także opracowanie napisane przez Alana Dudleya Severence z Amherst College, opracowanie - jak by to ująć? - zastanawiająco podobne do pańskiego... Milczałem.

- Jeśli mam być szczery, w tym wypadku pojawia się kwestia plagiatu... Ostatnie słowo sparzyło moje uszy i sprawiło, że nagle zaschło mi w ustach.

- Nie sugeruje pan chyba... - wykrztusiłem.

- Obawiam się, że tak.

- To niemożliwe - powiedziałem.

Fitch chwilę bawił się złotym zegarkiem z dewizką.

- Warto zauważyć, że niektóre zwroty rzeczywiście wydają się wyjątkowo zbieżne.

- Jednak zbieżność nie jest przestępstwem - rzekłem.

- Zakładając, że jest przypadkowa.

- W tym wypadku z pewnością tak właśnie jest. W tej chwili nie potrafię myśleć... Posiadam nieposzlakowaną...

- Tak, tak, oczywiście - przerwał mi.

Wpatrywał się we mnie z uwagą. Ogień w kominku strzelił gwałtownie i obaj drgnęliśmy nerwowo. Fitch przysunął krzesło do biurka i oparł łokcie na blacie.

- Przyznaję, że jestem bardzo zaskoczony - odezwał się. - Jest pan przecież człowiekiem znanym z wielkiej dyscypliny.

- Tak.



- Dysponuje pan też wiedzą, znacznie przewyższającą przeciętną...
- Dziękuję...
- Nie miał pan więc potrzeby posuwać się do czegoś takiego.
- Nie miałem i nie zrobiłem tego.
- Tak... No, cóż...

Nie spuszczał wzroku z mojej twarzy, a ja czułem, że muszę odwzajemnić jego baczne spojrzenie.

- Może chciałby pan zabrać monografię Severence'a i przejrzeć te zbieżności - zaproponował. - Sam się pan zorientuje, że niektóre zwroty...

O, tu je zaznaczyłem: *szalony człowiek, żyjący w odległym świecie cierpienia...* I jeszcze ten: *katastrofa za katastrofą, niepowstrzymane dziwacznymi pomysłami*. Mam czytać dalej?

Odzyskałem głos dopiero po paru sekundach.

- Ale czy pewne zwroty, takie jak: *gdybyśmy przyznali, nie przyjmujemy takiego założenia* i *na pierwszy rzut oka*, nie należą do normy językowej?
- Tak, naturalnie, obawiam się jednak, że te nie mieszczą się w tej kategorii.

- Lecz zasada jest ta sama, prawda?

Fitch odwrócił się i utkwiał wzrok w płonącym w kominku ogniu. Nie miałem wątpliwości, że rozważa dręczący go dylemat i podejmuje decyzję. Gorączkowo szukałem w myślach tematu, który mógłby odwrócić jego uwagę od sprawy opracowania, ale nie mogłem się skoncentrować. Gdyby tylko otworzyć okno i wpuścić trochę powietrza i światła do tego ponurego pokoju, przemknęło mi przez głowę. W grobowej ciszy doskonale słychać było tykanie stojącego na kominku zegara. Po pewnym czasie (wydawało mi się, że milczenie Fitcha trwa całe wieki) znowu zwrócił się w moją stronę.

- Cóż, Van Tassel...

- Tak, panie profesorze?

Mój głos brzmiał żenująco piskliwie. Odchrząknąłem. Fitch westchnął. Decyzja została podjęta.

- Nie chciałbym rezygnować ze współpracy z panem - po-

wiedział. - Jeżeli jednak coś takiego zdarzy się drugi raz, będę zmuszony to zrobić.

- Nie było pierwszego razu.

- Zaprzecza pan w bardzo zdecydowany sposób...

- Byłoby dziwne, gdybym zachował się inaczej. Nie popełniłem żadnego przestępstwa.

- Będę musiał baczniej przyjrzeć się pańskiej pracy.

- Mam nadzieję, że przyglądał się jej pan od samego początku - oświadczyłem.

- Na razie nie będziemy więcej rozmawiać o tej sprawie. -Fitch, zrobił krótką notatkę na kartce papieru w teczce.

Wyteżyłem wzrok, usiłując dojrzeć, co napisał, ale w pokoju było za ciemno. Spróbowałem ukryć ogromną ulgę, która mnie ogarnęła (nie wspominając o drżących dłoniach), zakładając ręce na piersi i kilkakrotnie odchrząkując.

Fitch złączył palce pod nosem i chwilę przyglądał mi się w milczeniu.

Zza drzwi dobiegło echo kroków osoby przemierzającej korytarz.

- Słyszałem, że spotyka się pan z pewną młodą kobietą - przemówił wreszcie.

- To nie jest młoda kobieta - odrzekłem głupkowato, zaskoczony niespodziewaną zmianą tematu. - Ma dwadzieścia sześć lat.

- Czasami odnoszę wrażenie, że jest pan nadmiernie... Nadmiernie dokładny.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście tak jest.

- Cóż, nieważne... Znam tę osobę, niedawno miałem okazję zjeść obiad w towarzystwie Etny Bliss. Może pan uważać się za szczęściarza.

- Miał pan okazję zjeść obiad w jej towarzystwie? - powtórzyłem.

- Tak. Było to chyba... Chwileczkę, niech się zastanowię... Tak, trzy tygodnie temu. Bliss zaprosił kilku z nas do siebie.

Kilku z nas, pomyślałem z goryczą. To znaczy kogo? I dlaczego zostałem wykluczony z tego grona? Zabolało mnie to.

- Etna Bliss to przystojna młoda dama, Van Tassel.

- Dziękuję - odparłem.

Fitch wstał. Rozmowa dobiegła końca. Ponad biurkiem podał mi monografię Severence'a, a ja nie miałem innego wyjścia, jak tylko ją przyjąć.

- Liczę, że powiedzieliśmy wszystko, co było do powiedzenia na temat zbiegu okoliczności - rzekł.

- Dziękuję panu, profesorze.

- Ponieważ nie jestem przekonany, że błąd, o którym mówiliśmy, był wynikiem celowego działania, nie zamierzam omawiać tej sprawy z nikim innym.

Wiedziałem, że Fitch jest człowiekiem honoru i może właśnie w tamtej chwili przez moją twarz przemknął cień ulgi, ponieważ znowu zmierzył mnie uważnym spojrzeniem, jakby dokonywał powtórnej oceny.

Rozległo się pukanie do drzwi, co uznałem za sygnał do odwrotu.

Szybkim krokiem wyszedłem, mijając jakiegoś studenta, który z niepewną miną stał tuż za progiem.

Kiedy drzwi się zamknęły, oparłem się o ścianę w korytarzu. Była to najgorsza rzecz, o jaką zostałem oskarżony. Przypomniałem sobie pojawienie się Moxona na ścieżce, zmarnowaną szansę dokończenia rozmowy z Etną i nieznośne podejrzenia Fitcha. Byłem pewny, że tego dnia nie może mi przydarzyć się już nic gorszego, dopóki przypadkiem nie spojrzę na zegarek i nie zorientowałem się, że spóźniłem się na indywidualne zajęcia z Edwardem Feraldem.

Ferald czekał na mnie w moim salonie. Stał przy oknie, w swobodnej pozie, z jedną stopą opartą na dolnej poprzeczce taboretu i rękami złożonymi na udzie. Wyglądał przez okno i udął, że nie zauważył mojego wejścia.

- Dzień dobry, Ferald - odezwałem się. - Przepraszam za spóźnienie.

Oddychałem szybko i płytko, byłem też mocno spocony, co stawiało mnie w niekorzystnej sytuacji poprzez porównanie z nienaturalnie spokojnym Feraldem, nie mogłem jednak w żaden sposób temu zaradzić. Jedyne, co mogłem zrobić, to usiąść w jednym z foteli przy kominku i zdjąć szal.

Ferald bez pośpiechu odwrócił się w moim kierunku.

Jak zwykle był doskonale ubrany, tym razem w świetnie skrojony surdut z długim jedwabnym szalikiem w perłowym kolorze. Jego koszula była biała i świeża, chyba zupełnie nowa. Ferald miał także idealne maniery, chociaż wiedziałem, że są jedynie maską, skrywającą przebiegłą naturę.

- Nic się nie stało, panie profesorze.

Tytuł, którego niedawno sam używałem w stosunku do Noaha Fitcha z prawdziwym szacunkiem, w ustach Feralda brzmiał nieco drwiąco.

- Długo pan na mnie czekał? - zapytałem.

- Od piątej.

Było dwadzieścia pięć minut po wspomnianej godzinie.

- W takim razie po prostu przedłużymy zajęcia - powiedziałem, otwierając teczkę.

- Przykro mi, ale nie mogę zostać dłużej, panie profesorze. Mam umówione spotkanie z Merritem.

Spróbowałem sobie przypomnieć, o kim mówi i dość szybko mi się udało. Merrit był studentem trzeciego roku, mówiono, że jest także bukmacherem.

- W jakim celu? - zapytałem. Ferald się zawahał.

- Nie chciałbym okazać się nieuprzejmy, panie profesorze, ale czy powód tego spotkania ma jakiegokolwiek znaczenie? Istotne jest chyba raczej to, że muszę dotrzymać słowa.

- Przeczytał pan *Narzeczoną z Lammermooru*? - zagadnąłem, szybko zmieniając temat.

- Tak, panie profesorze, mam jednak trudności z pańskim siódmym pytaniem, tym dotyczącym „powieści historycznej przeciwstawionej skomplikowanej mieszance akcentów współczesnych”, jak pan to ujął. Nie rozumiem, w jaki sposób w powieści o przeszłości może znaleźć się miejsce na oddzielenie spraw ważnych od zdarzeń przypadkowych. Wydaje mi się to niewykonalne, ponieważ autor tak naprawdę nie zna przeszłości i nie może pisać o niej w sposób prawdziwy. Oczywiście mówimy tu o powieści *Waverley*, której akcja toczy się stosunkowo niedługo przed czasami Scotta. Nie mogę się pozbyć tych wątpliwości, są one zresztą dość ważne, nie sądzi pan?

- Może niedokładnie przeczytał pan tekst - zasugerowałem.  
- Przeczytałem go bardzo uważnie - odparł z fałszywym żalem. - Po prostu nie potrafię sam rozwikłać dręczących mnie wątpliwości i będę panu szczerze wdzięczny za pomoc. Z wielką chęcią wysłucham pańskiego komentarza... - Nie zadał sobie nawet trudu, aby ukryć lekki, obraźliwy uśmiezek. - Jak zwykle.

Co za bezczelność, pomyślałem.

- Doskonale - rzuciłem. - Proszę wyjąć powieść.

Fakt, iż Ferald udawał zainteresowanie literaturą, bardzo mnie irytował, zwłaszcza że chłopak nie miał potrzeby zabiegać o wykształcenie i wątplię, aby kiedykolwiek zrobił z niego użytek. Nie było tajemnicą, że wkrótce ma wejść w posiadanie sporego majątku i w młodym wieku zostać właścicielem ziemskim.

Kazałem mu usiąść naprzeciwko. Zrobił to z leniwym wdziękiem. Gdyby Ferald nie był moim studentem i gdybym nie chciał się go pozbyć jak najszybciej, na pewno wzbudziłby mój podziw. Nagle przyszło mi do głowy, że w moim życiu zawodowym zawsze będzie jakiś Ferald.

Czasami będzie nazywał się Wiles, Mutterson lub po prostu Box, ale zawsze będzie to chłopiec skłonny do drwin z nauczycieli, a poprzez swoje zachowanie będzie partnerem w ukrytej walce na spryt i dowcip. Ta gra będzie sprawiała mu wielką przyjemność, zwłaszcza że prawie na pewno odniesie w niej zwycięstwo.

Jednak w potyczce nauczyciel-student ostatnie słowo zawsze należy do nauczyciela. Muszę przyznać, że kiedy patrzyłem, jak Ferald wyjmuje pióro z weneckiego szkła i włoski notatnik w pięknej skórze (niewątpliwie pamiątka z zagranicznych wojaży), zacząłem poważnie rozważać, czy pod koniec semestru chłopak nie wykaże się przypadkiem zbyt małą wiedzą i czy nie będę musiał go oblać.

Po wyjściu Feralda długo chodziłem po pokoju, wściekły i całkowicie wyczerpany emocjonalnie. Monografia, którą dał mi Fitch, leżała na biurku, ale ja nie miałem zamiaru ani

jej czytać, ani porównywać z moją, ponieważ aż za dobrze wiedziałem, co w niej znajdę. Powtarzałem sobie, że był to zwyczajny błąd, rezultat przemęczenia, roztargnienia i nieuwagi. Zresztą te zdania nie brzmiały przecież identycznie, prawda? Jeżeli nawet zawarte w nich myśli były podobne, to czy w ogóle można powiedzieć, że pewne tezy i wnioski stanowią wyłączną własność jednego umysłu, jednego głosu? Czy błyskotliwy krytyk literacki, w wyniku normalnie przeprowadzonych badań, nie może dojść do tego samego wniosku co inny, a wszystko to w ciągu jednego roku? Poza tym, czy zacytowane przez Fitcha fragmenty nie stanowiły zaledwie drobnej cząstki całości? Niezależnie od tych pocieszających przemyśleń udzieliłem sobie surowego upomnienia i postanowiłem, że w przyszłości będę się wystrzegał roztargnienia i pośpiechu i jak najszybciej wrócę do swojej zwykłej dyscypliny pracy. Następne dni nie przyniosły poprawy. Etna przysłała mi krótki list, w którym wyrażała żal, że nie będzie mogła spotkać się ze mną w piątek, jak planowaliśmy, ponieważ do miasta niespodziewanie przyjechali z wizytą jej siostra i szwagier, lecz z przyjemnością zobaczy się ze mną w następnym tygodniu. Oznaczało to prawie dziesięciodniowe oczekiwanie na jej odpowiedź, oczekiwanie, które wydawało mi się niemożliwe do zniesienia. Z trudem przeżyłem ciągnący się w nieskończoność weekend, usiłując nadrobić zaległości w pracy, którą w minionych tygodniach naprawdę zaniedbałem, a wszystko tylko po to, aby w poniedziałek, podczas wspólnego lunchu wszystkich pracowników college'u, wpaść niemal w osłupienie, gdy do mojego stolika zbliżył się William Bliss.

- Dziwię się, że znajduję pana w tak dobrym nastroju i przy apetycie, Van Tassel - zauważył. - Sądziłem, że ta przykra wiadomość zasmuci także i pana...

Nie miałem pojęcia, o czym Bliss mówi, nie ulegało jednak wątpliwości, że był w nie najlepszym nastroju.

- Jaka przykra wiadomość? - zapytałem.

- Etna nie napisała do pana? No, tak, prawdopodobnie

nie... Wszystko to stało się dość nagle. Jej siostra i szwagier przyjechali, by zabrać ją do rodzinnego domu w Exeter. Wydaje mi się, że Keep, szwagier, uznał za niewłaściwe, by Etna mieszkała gdzie indziej, chociaż wcześniej bez wahania pozbawił ją domu. Szczerze mówiąc, myślę, że Keep ma ochotę zrobić z niej guwernantkę dla swoich dzieci.

- Etna wyjechała? - wykrztusiłem, zupełnie zagubiony.

- Tak, niestety... Wstałem.

- To niemożliwe - powiedziałem tak głośno, że kilku naszych kolegów podniosło głowy znad stołów.

Bliss uspokajającym gestem położył mi rękę na ramieniu.

- Obawiam się jednak, że tak to wygląda. Proszę mi wybaczyć, że poinformowałem pana o tym w miejscu publicznym. Myślałem, że pan wie...

Bliss pobladł. Był łagodnym, spokojnym naukowcem, nieprzywykłym do manifestacji uczuć.

- Może wyjdziemy na chwilę na zewnątrz? - zaproponował.

Poszedłem z nim, a raczej przed nim, pozwalając, aby pokierował mną ku zacisznemu zakątkowi dziedzińca.

- Oczywiście my także jesteśmy bardzo rozczarowani - powiedział Bliss, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz. - Niestety, Keep potrafi być wyjątkowo przekonujący, a moja bratanica nie protestowała, w każdym razie nie w mojej obecności. Na pewno cieszyła się ze spotkania z siostrą i może także z powrotu do domu, nawet jeżeli okoliczności są nieco... - zawahał się - ...nieco skomplikowane.

Nie potrafiłem spokojnie przyjąć tego ciosu.

- Jaki jest jej adres? - wyrzuciłem z siebie. - Muszę do niej pojechać!

Bliss znowu oparł rękę na moim ramieniu, jakby spodziewał się, że w ten sposób mnie powstrzyma.

- Nie powinien pan tak się tym denerwować. Etna na pewno napisze do pana za jakiś czas i...

- Ale ja ją kocham! - wybuchnąłem. - Chcę, żeby została moją żoną!

Niczego więcej nie pragnę!

- Och, mój drogi... - Dłoń Blissa opadła bezradnie. - Zdziwiał mnie pan, Van Tassel...

Widziałem jednak, że dziwi go tylko sama sytuacja i żarliwość mojej deklaracji, nie moje uczucie i zamiary, które z pewnością nie były dla niego tajemnicą.

- Czy Etna odwzajemnia tę miłość? - zapytał łagodnie.

- Nie powiedziała mi tego wprost - odparłem. - Ale mam wrażenie, że ją zaakceptowała...

- Rozmawiał pan z nią o tym?

- Pięć dni temu.

Odwróciłem się gwałtownie, zanurzając palce we włosach. Nie mogłem myśleć. Etna wyjechała? Wyjechała?

- Proszę wziąć się w garść - rzekł Bliss. - Nie wątpię, że Etna rozważa pańskie oświadczenia. Proszę dać jej szansę, aby napisała do pana i sama wyjaśniła swój nagły wyjazd. Mam nadzieję, że w jej liście znajdzie się odpowiedź na pytanie, które jej pan postawił...

Potrząsnąłem głową, zbyt ogłupiały, by odpowiedzieć.

- A teraz wracajmy do sali jadalnej i dokończmy posiłek, zanim wszystko wystygnie - dorzucił. - Zamówię koniak, żeby odzyskał pan siły...

Jednak ja nie mogłem się zdobyć na to, by wrócić do jadalni i rozmawiać z kimkolwiek, nawet z Blissem. Pobiegnąłem przez dziedziniec, zostawiając Blissa z niewątpliwym uczuciem ulgi, że wreszcie może spokojnie zjeść deser. Dopadłem drzwi swojego mieszkania, nie napotkawszy po drodze nikogo, z kim czułbym się zobowiązany zamienić parę słów. Na stole w holu czekał na mnie list.

28 marca 1899 roku Drogi Nicholasie,

Proszę wybaczyć mi tę niespodziewaną wiadomość - piszę, aby poinformować pana, że opuściłam dom moich dobrych stryjostwa i wróciłam do mojego dawnego domu w Exeter, teraz należącego do szwagra, pana Josipa Keepa. Wyjazd nastąpił nagle, ponieważ pan Keep miał ważne sprawy do załatwienia w Exeter i mógł przyjechać do Thrupp tylko na weekend. Wy-



znaję szczerze, że chociaż wcześniej nic nie wiedziałam

O jego intencjach, decyzję o towarzyszeniu siostrze i jej mężowi podjęłam sama, całkowicie dobrowolnie.

Obawiam się, że zbyt długo bawiłam w domu stryja, choć zapewniam pana, że ani on, ani stryjenka nigdy nie dali mi tego do zrozumienia.

Ponieważ chcę zrobić coś pożytecznego w życiu i nie chcę zdawać się wyłącznie na dobroć i uprzejmość innych, uznałam, że w tej chwili najlepszym dla mnie wyjściem będzie zamieszkać z siostrą i pomóc jej w kształceniu dzieci. Moja siostra nie żywi wielkiej miłości do nauki, co konstatuje z przykrością.

Proszę sobie jednak nie wyobrażać, że podjęcie tej decyzji przyszło mi bez trudu. Od początku bardzo ceniłam pańskie towarzystwo i przyjaźń.

Nasze rozmowy były dla mnie naprawdę inspirujące i wątpię, czy z taką pogodą ducha zniosłabym „wygnanie”, gdyby nie nasze regularne spotkania i wspaniałe książki, które dzięki panu miałam okazję poznać.

(Ostatnią powieść Hardy'ego zostawiłam w domu stryja, który obiecał, że doręczy ją panu).

Jeżeli chodzi o propozycję małżeństwa, to sądzę, że rozumie pan, iż na obecnym etapie życia nie mogę brać jej pod uwagę. Zwalniam więc pana z wszelkich zobowiązań i zrozumieć, jeżeli potraktuje pan mój wyjazd jako odmowę. Nie potrafię powiedzieć, do jakiego wniosku bym doszła, gdybym została w Thrupp; nie miałam czasu, aby zastanowić się nad pańską prośbą

i nad poważną odpowiedzialnością, z jaką wiąże się udzielenie odpowiedzi.

Zdaję sobie sprawę, że nie będzie to dla pana łatwe, proszę jednak nie myśleć, że sytuacja ta jest prosta dla mnie. Będzie mi brakowało pańskiego towarzystwa. Mam nadzieję, że znajdzie pan pociechę w pracy, a Bóg będzie panu sprzyjał we wszystkich pańskich przedsięwzięciach.

Z wyrazami sympatii i oddania, Etna Bliss

Całe szczęście, że otworzyłem list dopiero w swoim pokoju, gdyż po jego lekturze zachowałem się w niewłaściwy sposób, co na pewno zdumiałoby, a nawet przerażyło ewentualnych świadków. Nie umiem powiedzieć, jak długo znajdowałem się w tym stanie, ale stopniowo odzyskałem panowanie nad sobą, chociaż krótkie ataki raz gniewu, raz żalu powracały jeszcze przez godzinę. Uznałem, że nie po to zaszedłem tak daleko, aby teraz poddać się bez walki.

Niewykluczone, że jednak jakieś ziarno prawdy tkwi w twierdzeniu, iż gwiazdy zderzają się ze sobą lub zmieniają orbity i w takich chwilach zakłóceń wywierają wpływ na naszą egzystencję. Piszę te słowa, ponieważ nie umiem znaleźć innego wyjaśnienia dla zbiegu nieszczęśliwych wydarzeń tego dnia i następnego.

W college'u od pewnego czasu zanosilo się na starcie między dwoma frakcjami, ja zaś, zupełnie niespodziewanie, awansowałem na nieformalnego przywódcę jednej z nich. Może stało się tak za sprawą mojej świeżo zyskanej pewności siebie i popularności, jaką zdobyłem w ciągu zimowych miesięcy, choć bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że wyłoniono mnie ze swego grona z racji żarliwości moich przekonań. W tamtym czasie (teraz zresztą także) nie mogłem znieść myśli, że Wydział Kultury Fizycznej mógłby zaistnieć w uczelni nauk klasycznych, nie wyobrażałem sobie również, aby ktokolwiek miał przyznawać naukowe stopnie absolwentom tak nienaukowego wydziału. Pomysł przyznawania stopni naukowych studentom, których głównym zajęciem w ciągu czterech lat studiów byłoby skakanie przez kozły i na trampolinie lub bieganie dookoła sali gimnastycznej i wznoszenie dzikich okrzyków, wydaje mi się całkowicie absurdalny. Nie sposób zaprzeczyć, że w życiu człowieka jest miejsce na ćwiczenia fizyczne, dotyczy to jednak prywatnej sfery tego życia, ponieważ jest związane z fizjologicznymi funkcjami ciała; nie wolno czynić z wychowania fizycznego dyscypliny akademickiej, nie można podnosić ćwiczeń gimnastycznych do rangi, powiedzmy, matematyki

czy historii, albo interpretacji Biblii. Moim zdaniem idea ta byłaby śmiechu warta, naturalnie gdyby nie przedstawiono nam jej w tak poważny sposób.

We wtorek, następnego dnia po otrzymaniu listu od Etny, miałem wygłosić przemówienie na spotkaniu naukowych i administracyjnych pracowników college'u i uczestniczyć w debacie (a następnie w głosowaniu) nad propozycją, która miała umożliwić profesorowi Leavittowi Hallockowi (posiadającemu, muszę przyznać, stopień naukowy doktora nauk medycznych, uzyskany w Bowdoin College), wykładowcy anatomii i fizjologii w naszej uczelni, utworzenie Wydziału Kultury Fizycznej, co nadałoby tej dziedzinie (jakiej dziedzinie, na miłość boską?!) status równy literaturze i historii. Co gorsza, wszyscy studenci naszego college'u byłiby w rezultacie takiej decyzji zobowiązani do odbywania zajęć fizycznych i poddania się odpowiedniej dyscyplinie pod groźbą niezaliczenia studiów. Nawet dziś, w tym kołyszącym się przedziale, z dala od codziennych spraw, wpadam we wściekłość na samą myśl o takiej sytuacji.

Zdania pracowników college'u były podzielone - dwie trzecie opowiadało się za wprowadzeniem nowej dyscypliny, jedna trzecia przeciwko. Byłem przedstawicielem mniejszości, dlatego było tak ważne, abym wykazał się odwagą i zaprezentował swoje przekonania w poruszającym wystąpieniu przed całym audytorium. Gdybym powiedział, że byłem w nie najlepszym stanie, żeby wziąć na siebie ten ciężar, zgrzeszyłbym niewczesną skłonnością do żartów. Z trudem trzymałem się na nogach i nie mogłem przełknąć choćby kęsa pożywienia, bo jeszcze nie otrząsnąłem się z szoku po nagłym wyjeździe Etny. Nie potrafiłem też zebrać myśli. Zostawiłem przygotowanie szkicu mowy na ostatnią chwilę, co było nietypowym dla mnie i nierozważnym posunięciem, wspominałem już jednak, że w tamtym okresie pozwoliłem, aby stanowiąca podstawę mego życia samodyscyplina uległa rozluźnieniu. Z tego też powodu stanąłem wobec przerażającej konieczności napisania przemówienia w ciągu kilku godzin po otrzymaniu listu Etny. Fakt, że w ogóle udało mi się to zrobić, dowodzi, iż posiadałem dużą siłę woli, musiałem bowiem

zмагаć się z wielkimi kłopotami z koncentracją, a na dodatek co jakiś czas ulegałem krótkim, lecz intensywnym atakom żalu i rozpacz. Tamtej nocy spałem najwyżej godzinę, zdołałem jednak przygotować coś, co z grubsza przypominało przemówienie.

Następnego ranka wszyscy zgromadzili się w sali anatomicznej. Hallock, ja oraz rektor college'u, Isaac Phillips, zasiedliśmy na podwyższeniu. Za milczącym porozumieniem wykładowcy i pracownicy administracyjni zajęli miejsca w dwóch częściach sali, w zależności od tego, do jakiej grupy należeli. Jak już wspomniałem, miałem za sobą niespokojną noc i doskonale zdawałem sobie sprawę, że mój wygląd stanowi marny argument za odrzuceniem wniosku Hallocka. Byłem blady, mizerny i chociaż ze wszystkich sił próbowałem przybrać pogodny wyraz twarzy i naturalną pozę, czułem, że moja dusza i umysł postarzały się o wiele, wiele lat.

Hallock, w przeciwieństwie do mnie, roztaczał wokół siebie aurę zdrowia, ogólnej sprawności i wyraźnie nie mógł się już doczekać rozpoczęcia debaty. Nie można było nie zauważyć jego niewiarygodnie prostych pleców i proporcjonalnie umięśnionych barków i ramion, które niemal rozsadzały szwy surduta. Podobno w swoim czasie Hallock był wybitnym atletą, a w naszym college'u wiosną przyjmował obowiązki trenera nierównego i rzadko zwycięskiego uczelnianego zespołu piłki ręcznej.

Po wstępnym przemówieniu Phillipsa na podium wstąpił Hallock. Zaczął od wyliczenia imponującej liczby faktów, dotyczących pogarszającego się stanu zdrowia studentów Thrupp. Musiałem udawać uprzejmość, lecz z każdym słowem Hallocka krew coraz mocniej burzyła mi się w żyłach. Mój kolega z uporem godnym lepszej sprawy wciąż powtarzał argument, jakoby istniało naturalne powiązanie między marną sprawnością fizyczną oraz intelektualną. Miał czelność odwoływać się do greckiego ideału *paleostra* i przeciwstawiać go cechom fizycznym typowego studenta Thrupp - „częściowej deformacji układu mięśniowego i kostnego, powłóczeniu nogami" (muszę przyznać, że w tym miejscu pomyślałem o Feraldzie), „przygarbionych plecach, zapadniętych policzkach i ogólnej fizycznej degradacji", których przyczyną miała być, jego

zdaniem, obojętność wobec naturalnych potrzeb ciała. Zwrócił uwagę na przypadki chorób i osłabienia wśród studentów, a nawet przedwczesnych zgonów. (Natychmiast uznałem, że posunął się trochę za daleko). Gdyby wszyscy studenci codziennie poświęcali trochę czasu na ćwiczenia fizyczne, ich życie i samopoczucie znacznie by się poprawiły, dowodził Hallock. Na zakończenie zwrócił się do zebranych z pytaniem, czy nie sądzą, że nadszedł czas, aby wybudować na terenie kampusu salę gimnastyczną z prawdziwego zdarzenia.

Zerwałem się na nogi niemal natychmiast, gdy skończył, chociaż dopiero po paru chwilach udało mi się przekrzyczeć gwar i burzę oklasków po wystąpieniu Hallocka. Miejscem proponowanym pod budowę owej „sali gimnastycznej z prawdziwego zdarzenia”, poinformowałem słuchaczy, miał być ukochany przez wszystkich Strout Park, pięć akrów starych, szacownych dębów, sosen i trawników tak pięknych, że podobne trudno byłoby znaleźć w całym New Hampshire. Czy tak cenny rezerwat przyrody ma zostać zniszczony, poświęcony dla dobra przedsięwzięcia, którego raczej nie należy podejmować pod auspicjami college'u? Pomysł przyznania nowemu wydziałowi przywilejów odpowiadających na przykład Wydziałowi Literatury i Retoryki byłby zresztą wręcz obsceniczny, oznajmiłem. Po sali przeleciał śmieszek, który postanowiłem zignorować, chociaż przeczuwałem, że sprawa była stracona (świadczyła o tym linia podziału na sali), podobnie jak moja prywatna sprawa, stale obecna w moich myślach.

Niemniej nie szczędziłem wysiłku. Czy naprawdę właśnie uczelnia ma odpowiadać za fizyczne wychowanie młodego człowieka, zapytałem. Czy to raczej nie rolą wojska jest kształcenie młodych mężczyzn w tej dziedzinie, lub lekarza, który powinien dbać o zdrowie jednostki? Czy władze college'u naprawdę sądzą, że mogą rozkazywać studentom, w jaki sposób powinni poprawić swoją sprawność fizyczną, a w dodatku, co jeszcze bardziej absurdalne, przyznawać za to dyplomy? Czy cenne środki finansowe uczelni rzeczywiście należy przeznaczyć na budowę pomieszczenia, w którym młodzi ludzie będą

się uganiać za piłką? Czy nie lepiej wydać je na powiększenie zasobów bibliotecznych lub wzniesienie obserwatorium astronomicznego, dzięki któremu nasza wiedza o nieboskłonie mogłaby ulec znacznemu pogłębieniu?

- Oczywiście każdy ma prawo dbać o zdrowie fizyczne - mówiłem, łagodząc ton głosu zgodnie z najlepszymi zasadami retoryki. - Naturalnie każdy, komu przyjemność sprawia rzucanie piłki na boisku, może znaleźć grupę ludzi o podobnych upodobaniach i z nimi spędzać czas wolny. Taki jest podstawowy sens rekreacji jako dodatku do edukacji, dodatku, nie zasadniczej części.

- Słusznie, słusznie! - zawołał ktoś ze zwolenników moich poglądów.

- Nonsens! - rozległo się z drugiej strony sali.

Rektor Phillips musiał poprosić o spokój. William Bliss siedział wśród moich przeciwników i nie śmiałem spojrzeć na niego, aby się ostatecznie nie zdekoncentrować.

- Narzucanie tych zajęć jako obowiązkowych jest bardzo nierozsądne - powiedziałem. - Nie można zmuszać ludzi do dbania o zdrowie fizyczne, podobnie jak nie można narzucić im dbałości o zęby czy przestrzegania zasad dobrego wychowania. Uczelnia, podejmując taką próbę, wkracza na obcy teren i naraża się na ryzyko ośmieszenia. Czy mamy prawo wyobrażać sobie, że rozważni, trzeźwi rodzice powierzą nam swoje dzieci? Czy za czesne w wysokości stu pięćdziesięciu pięciu dolarów rocznie nie będą wymagać od nas czegoś więcej niż tylko poprawy muskulatury ich synów?

Krzyki i nawoływania przybrały na sile do tego stopnia, że musiałem zdecydowanie podnieść głos.

- Jaki pożytek można mieć z dyplomu ukończenia Wydziału Kultury Fizycznej?! - zapytałem, prawie krzycząc. - Czy nie ryzykujemy wypuszczenia w świat studentów, których umiejętności okażą się przydatne jedynie w wojsku? - Przerwałem na chwilę. - Zadaniem uniwersytetu... - podjąłem.

Nie mogłem dokończyć zdania. Z moim wzrokiem działo się coś dziwnego, wydawało mi się, że twarze i sylwetki siedzących przede mną ludzi dzielą się na setki, nie, tysiące jasnych, szybko poruszających się punkcików.

- Zadaniem uniwersytetu... - zacząłem znowu.

Nie zdołałem sobie przypomnieć, jak zamierzałem dokończyć zdanie.

Moje usta otwierały się i zamykały, musiałem też skrzywić się, ponieważ wewnątrz krzywiłem się z wielkiego bólu. Miałem uczucie, że moja głowa jest dziwnie lekka, niczym balon, i szybko wyciągnąłem rękę, żeby przytrzymać się barierki. Właśnie wtedy dotknęła mnie niedyspozycja, której nie chciałbym opisywać tu szczegółowo. Po pewnym czasie ktoś położył mi rękę na ramieniu. Kiedy podniosłem wzrok, spojrzałem w twarz Leavitta Hallocka, który, jako lekarz, niewątpliwie uznał za konieczne (a politycznie wskazane) ulżyć mi w cierpieniu. Strząsnąłem spoczywającą na moim ramieniu dłoń, upokorzony troską Hallocka.

- Zostaw mnie w spokoju - powiedziałem chyba.

Nie jestem tego do końca pewny, ponieważ sekundę później zemdlony osunąłem się na podłogę.

Ocknąłem się parę chwil później na podwyższeniu. Usłyszałem, jak Hallock mówi Phillipsowi, że jego zdaniem padłem ofiarą udaru i chociaż bardzo chciałem zaprzeczyć tej mylnej diagnozie, nagle odkryłem, iż nie potrafię tego zrobić. Nie mogłem wydobyć głosu z gardła. Ku mojemu wielkiemu zniecierpliwieniu, Hallock pomógł mi się podnieść do pozycji siedzącej, a następnie wstać. Gdy okazało się, że mogę utrzymać się na nogach - nadal nie mogłem jednak przemówić - odprowadzono mnie do mieszkania, zupełnie jak bezradne dziecko.

Chociaż wieczorem odzyskałem mowę, byłem zbyt wyczerpany, aby się ruszać czy jeść. Dziś jestem przekonany, że do mojej zapaści doszło na tle emocjonalnym, nie fizycznym. Uparcie próbowałem przekazać tę pewność lekarzowi, którą to rolę wziął na siebie Hallock, lecz widziałem, że moje argumenty zupełnie do niego nie trafiają, podobnie jak wcześniej moje pełne żaru popisy retoryczne.

Spędziłem w domu kilka dni. Głosowanie nad założeniem Wydziału Kultury Fizycznej zostało przeniesione na następny tydzień, chociaż jego wynik był łatwy do przewidzenia. I choć wtedy ta sprawa prawie zupełnie przestała mnie obchodzić,

często się zastanawiam, czy moje przemówienie nie okazałoby się bardziej przekonujące, gdyby Etna nie porzuciła mnie i gdybym tamtego dnia nie wyglądał tak marnie. Niewykluczone, że gdyby wydarzenia ułożyły się inaczej, do dziś nie byłoby Wydziału Kultury Fizycznej w Thrupp College. Wszystko to skłania mnie do rozważań na temat losu i zbiegu okoliczności. Wyobraźmy sobie taką sytuację - jakiś człowiek wsiada do samochodu minutę wcześniej, ponieważ nie przystanął, aby pocałować żonę na pożegnanie. W rezultacie przejeżdża przez most na minutę przed jego załamaniem się i unika śmierci w odmętach rzeki, losu, jaki przypadł w udziale wielu innym kierowcom i przechodniom, którzy w feralnym momencie znaleźli się na moście. Nasz bohater, niczego nieświadomy, spokojnie kontynuuje podróż...

Przeczekalem tydzień, oddając się gorączkowym rozmyśleniom. W sobotę wynająłem powóz, który miał mnie zawieźć do Exeter. Nie uprzedziłem o swojej wizycie, obawiając się, by Etna lub jej najwyraźniej dominujący szwagier nie zechcieli mnie od niej odwozić.

Podróż z Thrupp do Exeter trwała wtedy długo, cały dzień, nie należała do łatwych, jako że nie było jeszcze żadnych głównych dróg prowadzących bezpośrednio do tamtej części stanu. Jechało się krętymi drózkami, przez pagórkowaty teren, dlatego na miejsce dotarłem zmęczony, w stroju nie pierwszej świeżości. Chociaż z całego serca pragnąłem jak najszybciej zobaczyć się z Etną, przynajmniej wtedy rozsądek wziął górę nad gwałtowną potrzebą i kazałem znużonemu woźnicy zawieźć się do jakiegoś pensjonatu.

Wątpię, by Exeter wyraźnie zmieniło się od chwili, kiedy je widziałem. Wtedy było to ładne uniwersyteckie miasto z wieloma pięknymi rezydencjami usytuowanymi przy dwóch głównych ulicach - High i Water. Jadąc nimi, usiłowałem sobie wyobrazić, w którym domu więziona jest Etna. Muszę tu wyjaśnić, że właśnie w taki sposób postrzegałem wtedy jej sytuację - widziałem ją jako służącą, nawet niewolnicę we władzy szwagra. Jeżeli wcześniej byłem zdecydowany



uwolnić ją z miłego, lecz dusznego domu stryja, to teraz ogarnęła mnie wręcz determinacja, aby wyrwać ją z rąk człowieka, który podstępnie pozbawił ją całego kapitału.

Spędziłem niespokojną noc w domu wdowy, którą zmiana sytuacji życiowej na gorsze zmusiła do przeobrażenia siedziby w pensjonat. W roztargnieniu i pośpiechu zapomniałem spakować wszystkie potrzebne rzeczy i musiałem pożyczyć od gospodyni brzytwę, czystą koszulę i tak dalej, obiecując, że zwrócę je zaraz po załatwieniu spraw, które sprowadziły mnie do Exeter. Po oryginalnej w smaku kolacji, złożonej z mięsnej potrawy z ziemniakami i brukselką, udałem się do swego pokoju i oddałem się rozmyślaniom nad moim losem i misją. Od samego początku było dla mnie jasne, że Etna nie darzyła mnie takim samym uczuciem jak ja ją. (Czy ja zostawiłbym Etnę samą w Thrupp? Nigdy). W tamtym okresie przypisywałem to fizycznym i emocjonalnym różnicom między mężczyzną i kobietą. Z pewnością mężczyźni są zdolni do większej namiętności niż kobiety, nieprawdaż? Tak więc, siłą rzeczy, to mężczyźni skazani są na rolę myśliwych, rozumowałem. I czyż w pościgu mężczyzny za kobietą nie kryje się element sportu, wręcz zabawy? Czyż nie miałem podążyć w pogoń za Etną, dokądkolwiek by się udała? Naturalnie wtedy wmówiłem już sobie, że Etna opuściła Thrupp wbrew swojej woli, niezależnie od tego, co napisała w liście. Nie znałem Josipa Keepa, lecz wyobrażałem go sobie jako dominującego, władczego mężczyznę, nawykłego do wydawania rozkazów i poleceń. Czy Etna nie czuła się zobowiązana, aby pomóc siostrze w wychowaniu dzieci? Tak, oczywiście. Widziałem, jak rozmawiała i bawiła się z siostrzenicą, i szczerze podziwiałem poczucie humoru oraz cierpliwość, jakimi się wykazywała. Ale wszystko to tylko czcze domysły, ponieważ nie miałem cienia wątpliwości, że wyrzekając się Etny, równie dobrze mógłbym wyrzec się życia. Powiem więcej - Etna była moim życiem. Nie wyobrażałem sobie przyszłości, w której zabrakłoby Etny. Chciałbym tu przyznać się do czegoś jeszcze: czułem, że nie potrafię zrezygnować z pościgu, dopóki nie poznam Etny Bliss. Wiem, jak zostanie to zrozumiane, i nie zaprzeczam, że tak właśnie było. W tamtym okresie nigdy dobrowolnie

nie uczyniłbym takiego wyznania, lecz tkwiło we mnie intensywne pożądanie, aby dotknąć i doświadczyć Etny, pożądanie, które rozpoznałem od pierwszej chwili, gdy ujrzałem ją w noc pożaru, pożądanie, które wraz z upływem czasu stawało się coraz gwałtowniejsze. Czy wszyscy mężczyźni czują coś takiego do swoich ukochanych? Nie wiem, gdyż nigdy nie rozmawiałem na ten temat z mężczyzną ani z kobietą. Wiem natomiast, że mogłem nawet myśleć o innym rozwiązaniu tej sytuacji - miałem całkowitą pewność, że jeśli nie posiadę Etny, przez całe życie będzie mnie dręczyć pragnienie, którego nie ugasi żadna inna kobieta. (Muszę powiedzieć, że nawet dziś nie potrafię przyznać, że się myliłem).

Tamtej nocy dręczyły mnie sny o Etnie: uciekała z jakiegoś domu, a gałęzie drzew czepiały się jej sukni, szukała schronienia pod skalną półką, która nagle zaczynała pękać i spadała na nią, fruwała po gabinecie Noaha Fitcha, jak niesiona podmuchem wiatru mewa. Rano zapytałem, gdzie znajduje się dom Keepa i z przyjemnością usłyszałem od mojej gospodyni, że dom nadal nazywany jest „rezydencją Blissów” i nic nie wskazuje, aby w najbliższej przyszłości miało się to zmienić, ponieważ miejscowi wolą okazywać w ten sposób szacunek dawnym właścicielom niż uzurpatorowi. Niewielką odległość pokonałem pieszo, oddychając głęboko rześkim, chłodnym powietrzem i nie zwracając najmniejszej uwagi na piękno poranka. Moje myśli zajęte były perspektywą ponownego spotkania z Etną. Miałem świadomość, że i tym razem poniosę porażkę, nie mam już na co liczyć.

Na pierwszy rzut oka widać było, że rezydencję Keepów (Blissów, wciąż jeszcze Blissów) niedawno otynkowano, okna także lśniły nowością. Wszedłem przez furtkę i zapukałem do dużych, składających się z czterech paneli drzwi. Otworzył mi lokaj. Powiedziałem, z kim chciałbym się widzieć, a on poprosił, bym zaczekał w małym saloniku. Mimo zdenerwowania zauważyłem, że wewnątrz domu panuje spory bałagan. Przez otwarte drzwi dostrzegłem drabiny, płócienne płachty i rozłożone na gazetach szpachle oraz pędzle do malowania ścian, poczułem także ostry zapach

terpentyny. Było oczywiste, że Josip Keep, przejąwszy rezydencję jako najpoważniejszy wierzyciel Blissów, przystąpił do prac remontowych, na co zmarła pani Bliss w ostatnich latach życia nie mogła sobie pozwolić. Usłyszałem kroki na schodach i odwróciłem się.

- Zaskoczył mnie pan, profesorze Van Tassel - odezwała się Etna. Miała na sobie niezwykle piękną granatowo-kremową suknię, która cudownie podkreślała barwę jej włosów, wydobywając z niej zupełnie nowe odcienie. Jej oczy czujnie patrzyły na mnie sponad wyraźnie zaznaczonych kości policzkowych. Przeszkodziłem jej w układaniu fryzury - z luźnego wężła włosów z tyłu głowy opadały długie loki. Widok ten sprawił mnie w niemałe poruszenie, gdyż nigdy dotąd nie widziałem jej z rozpuszczonymi włosami.

- Nie mogłem nie przyjechać - powiedziałem po prostu. - Muszę z panią pomówić.

Nie sprawiała wrażenia ani przestraszonej moim widokiem, ani szczególnie zadowolonej. Trudno by mi było określić, jak przyjęła moje przybycie.

- Niedługo jedziemy do kościoła - rzekła.

- Nie mam dużo czasu - odparłem. - Jutro po południu prowadzę zajęcia w college'u i muszę na nie wrócić.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała.

- Na tyle dobrze, na ile mogę w tej sytuacji...

- Dlaczego pan przyjechał?

- Nie wątpię, że zna pani powód mojej wizyty.

W holu za plecami Etny rozległ się szelest materiału. Etna zesztywniała, wyraźnie zażenowana.

Do pokoju weszła niska kobieta o drobnej budowie. Etna odwróciła się uprzejmie.

- Widzę, że masz gościa, Etno. - W głosie kobiety brzmiała nuta zdziwienia. - Nie ułożyłaś włosów - dodała.

- Miriam, przedstawiam ci profesora Nicholasa Van Tasse-la - powiedziała Etna. - Przyjechał z Thrupp. Profesorze Van Tassel, to moja siostra, Miriam Keep.

Wydawało się prawie niemożliwe, aby stojące przede mną kobiety łączyło jakiegokolwiek pokrewieństwo. Jedna miała

ciemne włosy, druga jasne; jedna była wysoka, druga drobna i delikatna jak porcelanowa figurynka; jedna miała przykuwające uwagę rysy, druga była naprawdę piękna, przy czym jej uroda była dość konwencjonalna - duże, zielone oczy, wargi o naturalnym odcieniu różu i cera tak promienna, że wydawała się lśnić niczym wypolerowany marmur. Miriam Keep trzymała się prosto, lecz z niezwykłą gracją, jak kobieta, która wykorzystwała swoje wdzięki w celu zdobycia lepszej pozycji życiowej. Natychmiast pomyślałem, że wyszła bogato za mąż właśnie dzięki urodzie, i że chętnie zobaczę, czy Josip Keep zasługiwał na tak wysoką cenę.

- Przebył pan dość daleką drogę - zauważyła Miriam.

- Tak - odparłem.

- Aby odwiedzić Etnę, czy też ma pan tu jakieś sprawy do załatwienia?

- Sprawa, którą mam do załatwienia, dotyczy pani siostry.

- Wybrał pan niefortunny moment, za chwilę jedziemy na nabożeństwo do kościoła...

- Proszę mi wybaczyć, nie pomyślałem o tym - powiedziałem (ja, który od kilku dni zajmowałem się wyłącznie rozmyślaniami).

Miriam zmierzyła wzrokiem niedbałą fryzurę Etny.

- Josip będzie bardzo niezadowolony, jeśli się spóźnimy - oświadczyła. -

Nabożeństwo zaczyna się punktualnie o dziesiątej, jak ci wiadomo.

Skrzywiłem się lekko, słysząc, jakim tonem zwraca się do siostry.

- Bądź tak dobra i dotrzyмай mojemu gościowi towarzystwa - odezwała się Etna. - Pójdę na chwilę na górę i zaraz wrócę...

Pojąłem, że obie spodziewały się, iż wyjdę, ale nie potrafiłem się na to zdobyć. Etna się zawahała, lecz po sekundzie ruszyła w kierunku schodów, nie wiem, czy wdzięczna, czy też raczej zmieszana.

Miriam usiadła na jedynym nie osłoniętym pokrowcem krześle.

- Cóż takiego sprowadza pana do nas wczesnym niedzielnym rankiem, profesorze Van Tassel? - zapytała.

Usłyszałem w jej głosie wyrzut, że przeszkadzam rodzinie uczestniczyć w świątecznym nabożeństwie.

- Muszę porozmawiać z Etną o czymś bardzo ważnym -odparłem spokojnie.

- Doprawdy? - Miriam Keep obrzuciła mnie chłodnym spojrzeniem. Miałem wrażenie, że patrzę na diament najczystszej próby, lecz o wiele bardziej podobał mi się ciepły, złocisty blask mniej szlachetnego klejnotu, topazu.

- Nie chcę być wścibska... - oznajmiła, chociaż widziałem, że wiele by dała, aby wydobyć ze mnie powód wizyty. - Niestety, obawiam się, że pastor Young nie będzie czekał z rozpoczęciem modłów na nasze przybycie. Jeśli o mnie chodzi, nie miałabym nic przeciwko temu, aby opuścić część jego nudnego kazania, lecz mój mąż ma znacznie większe poczucie obowiązku w kwestii religii i pobożności. Jest człowiekiem o licznych zaletach, ale nie znosi braku punktualności...

- Sam wysoko cenię punktualność - powiedziałem. -Proszę wybaczyć, że zabieram państwu cenny czas. Gdybym mógł zaczekać z wizytą do jutra, na pewno bym to zrobił, lecz niestety muszę wracać na zajęcia do Thrupp...

- Wykłada pan w college'u...

- Tak.

- Nie wątpię, że przyjechał pan w ważnej sprawie... -rzekła, słabo skrywając zaciekawienie.

Milczałem.

- Pańska uczelnia z pewnością prezentuje wysoki poziom, ale samo Thrupp robi wrażenie nudnego małego miasteczka.

- To, czy miasto jest nudne, czy nie, zależy przede wszystkim od jego mieszkańców - odparłem.

Miriam Keep ściągnęła brwi, więc pośpiesznie złagodziłem swoją odpowiedź.

- Naturalnie Thrupp nie może się równać z tym uroczym miastem...

- Właśnie. - Uśmiechnęła się lekko. - Mam nadzieję, że moja siostra wkrótce w pełni odkryje uroki Exeter.

- Ja natomiast liczę, że nie zabawi tu długo - oznajmiłem śmiało.

- Wreszcie odsłonił pan swoje zamiary, profesorze. -Miriam wydawała się zaskoczona i wyraźnie zaintrygowana.

- Zapewniam panią, że wiąże się one z radosną zmianą.

- Żywi pan silne uczucie do mojej siostry?

- Najsilniejsze.

- Czy ona o tym wie?

- Tak jest.

- W takim razie dziwne, że nie wspomniała mi o tym. Zdaje pan sobie sprawę, że Etna bez słowa protestu opuściła dom stryja, prawda?

Uwaga ta miała mnie zranić i tak też się stało.

- Może poczuła się w obowiązku wrócić tutaj z państwem, nawet jeśli tylko na krótko - powiedziałam. - A może uznała, że zmiana otoczenia ułatwi jej podjęcie decyzji... - przerwałem na chwilę. - Nie wątpię też, że bardzo tęskniła za siostrą - pośpieszyłem z zapewnieniem, chcąc rozładować powstałe między nami napięcie.

Miriam Keep nie poddała się w obliczu mojego komplementu.

- Etna rozważa propozycję małżeństwa? - zapytała.

- Tak.

- Bardzo dziwne - orzekła, przyglądając mi się spod zmrużonych powiek (prawdopodobnie cierpiała na krótkowzroczność). - Nic o tym nie wiedziałam... Najdziwniejsze wydaje mi się to, że do dziś się z tym nie zdradziła. Cóż, trudno mi powiedzieć, czy życzę panu szczęścia, ponieważ w ogóle pana nie znam...

- Tak.

- Mogę pana jednak zapewnić, że z całego serca pragnę, aby moja siostra zaznała szczęścia - powiedziała.

- A dlaczegoż to twoja siostra nie miałyby zaznać szczęścia? - odezwał się głos z holu.

Masywna postać Josipa Keepa, który niespodziewanie pojawił się w progu pokoju, doskonale pasowała do jego głębokiego barytonu. Keep zbliżał się do czterdziestki, miał grzywę jedwabistych, czarnych włosów, mocno wypomadowanych i zaczesanych do tyłu z wysokiego czoła oraz przystojną, pewną siebie twarz.

- Och, kochany... - Miriam natychmiast podniosła się z krzesła, dziwnie spokorniała. - To profesor Van Tassel, który przybył zobaczyć się z Etną...

- O tej porze? W niedzielę?

- Proszę mi wybaczyć - odezwałem się.

- Jedziemy na nabożeństwo - rzekł Keep, wciągając rękawiczki (nawet się nie przedstawił, co wydało mi się nieco nieuprzejme). - Czy jest pan człowiekiem wierzącym? - zapytał.

- Owszem - odparłem ostrożnie.

- Gdzie wyznaje pan swoją wiarę?

Szczerze mówiąc, niechętnie oddawałem się praktykom religijnym i nie czyniłem tego tak często, jak powinienem. W rezultacie tejże opieszałości zgłosiłem swoją przynależność do parafii prezbiteriańskiej, oddalonej mniej więcej siedem kilometrów od college'u, głównie w nadziei, że niewielu kolegów z uczelni będzie uczęszczać na nabożeństwa aż tak daleko. (A jednak pewnego dnia ze zdumieniem spostrzegłem siedzącego w ławce po drugiej stronie nawy Moxona; ponieważ jednak Moxon zaglądał do kościoła równie nieregularnie jak ja i także nie chciał się tym chwalić, nie przywitaliśmy się po nabożeństwie ani nie poruszyliśmy nigdy tego tematu, zupełnie jak mężczyźni, którzy korzystają z usług tego samego burdelu, lecz kilka dni później, spotykając się na ulicy, udają, że wcale się nie znają).

- Jestem prezbiterianinem - powiedziałem.

- Ach, tak... My jesteśmy unitarianami, - Keep odwrócił się do żony. - Gdzie twoja siostra, Miriam? Spóźnimy się.

- Zaraz zejdzie, kochany.

- Mam nadzieję, że nie jest to próbka jej nawyków.

- Z pewnością nie - odparła Miriam, nieco speszona w obecności męża.

- A dzieci?

- Etna je sprowadzi.

- W ławce będzie dość ciasno - oznajmił Keep. - Może Etna mogłaby usiąść z dziećmi?

- Jeżeli tak uważasz... - Miriam rzuciła szybkie spojrzenie w moim kierunku.

Bez trudu zorientowałem się, że sytuacja Etny może stać się nie do zniesienia - była niechcianym gościem w domu siostry (kiedyś jej własnym), której mąż traktował ją jak guwernantkę swoich dzieci, w najlepszym razie. Moja determinacja, aby uwolnić ją od tych zobowiązań, jeszcze wzrosła.

Kiedy Etna ponownie weszła do pokoju, jej piękne loki były już okiełznane. Miriam zaprosiła mnie na obiad po powrocie całej rodziny z kościoła, ja zaś przyjąłem zaproszenie, chociaż Keep wciąż raczył mnie nieprzychylnymi spojrzeniami.

Jednak Etna zaskoczyła nas wszystkich.

- Wybacz mi, Miriam, ale nie pojedę dziś z wami do kościoła - powiedziała. - Profesor Van Tassel przybył z daleka, żeby się ze mną zobaczyć, muszę więc z nim porozmawiać.

Miriam sprawiała wrażenie nieco urażonej, ale nie bardzo mogła nalegać. Ucieszyłem się, że Etna stawiała jej czoło, chociaż natychmiast zdałem sobie sprawę, że życie mojej ukochanej w Exeter było serią niekończących się negocjacji.

Małżonkowie zaczęli zbierać się do wyjścia, a w tym czasie Etna i ja staliśmy niepewnie w progu pokoju, nie chcąc okazać się nieuprzejmymi poprzez pośpiech, aby wreszcie przystąpić do rozmowy. Zająłem się układaniem w myśli zdań, które mógłbym wykorzystać w swojej petycji, bo z każdą chwilą narastało we mnie przekonanie, że moje ewentualne niepowodzenie oznaczać będzie koniec kontaktów z Etną. Zacząłem mówić, jeszcze zanim powóz Keepów ruszył sprzed domu.

- Proszę mnie wysłuchać - powiedziałem, podnosząc dłoń, aby powstrzymać jej protesty. - Ofiarowuję pani życie gospodyni własnego domu, matki własnych dzieci i żony mężczyzny, który darzy panią uwielbieniem. Obecna sytuacja w tej chwili może wydawać się pani miła, lecz z czasem pani życie stanie się nieznośne, widzę to nawet ja, który spędziłem tu zaledwie kilkanaście minut. Mówi pani, że chce zostać guwernantką dzieci siostry, ale kto wie, jaka będzie pani pozycja, kiedy dzieci dorosną? I czy nie wolałaby pani zająć się kształtowaniem charakterów i umysłów własnego potomstwa? Ofiarowuję pani wszystko, co mężczyzna może



dać kobiecie, w tym także mój umysł, serce i majątek. Czy jest pani gotowa odrzucić tę propozycję?

Im dłużej mówiłem, tym bardziej byłem podekscytowany. Zapytałem ją, czy naprawdę nie wie, ile jest warta, czy rzeczywiście pragnie pędzić takie życie, życie, które trudno byłoby nazwać szczęśliwym. Czy porzuciła nadzieję wstąpienia w związek małżeński, założenia własnego domu, własnej rodziny? W moim głosie brzmiał szczery gniew i oburzenie, chociaż wizja, którą jej podsuwałem, miała bezpośredni związek z moim własnym szczęściem.

Skończyłem mówić i mocno zacisnąłem dłonie w pięści. Milczenie, które zaległo w pokoju, było długie i bolesne.

- Nie mogłabym lekko odrzucić tak wielkodusznej propozycji, profesorze Van Tassel - przemówiła w końcu Etna. - Nicholasie... Żadna kobieta nie potrafiłaby tego uczynić, biorąc pod uwagę szczerść pańskich słów...

Darzę pana podziwem, naprawdę. I sporą sympatią... I... - uśmiechnęła się lekko... - często jest pan zabawny, choć tak bardzo poważny...

Nie wiedziałem, jak zareagować na tę ostatnią uwagę, ale uśmiech Etny, nawet tak słaby, wart był każdej ceny.

- Mimo tego wszystkiego... - przerwała, lecz nie spuściła oczu, co należy poczytać jej za zasługę. - Mimo tego wszystkiego muszę powiedzieć, że nie kocham pana.

Zapadła cisza. Moje serce przestało bić, jakby zasluchało się w jej słowa. Nie byłem zdolny, by się poruszyć czy odezwać. Nie chodzi o to, że nie mogłem przewidzieć takiej odpowiedzi (często wyobrażałem sobie taką sytuację), lecz fakt, iż usłyszałem ten wyrok, wypowiedziany na głos, był jak cios zadany w splot słoneczny. Tak mocno pragnąłem, aby nie była to prawda... Czy wydawało mi się, że moja miłość do niej okaże się zaraźliwa? Może... Tak czy inaczej, miałem nadzieję, że Etna nie określi swoich uczuć w tak jasny, prosty sposób i że z czasem jednak mnie pokocha.

- Rozumie pan, co mam na myśli, prawda? - zapytała z pewnym onieśmieleniem.

Niewykluczone, że skinąłem głową, nie wiem. Pamiętam tylko, że nie mogłem wykrztusić ani słowa.

- Nie wydaje mi się, abym mogła pokochać pana w spo-

sób... Abym mogła pokochać pana tak, jak żona powinna kochać męża - dokończyła z trudem.

Długo stałem nieruchomo, a ona patrzyła na mnie uważnie. Potem, ku mojemu wielkiemu przerażeniu i zażenowaniu, do oczu napłynęły mi łzy. Zamrugałem szybko, starając się je powstrzymać.

Etna wyciągnęła dłoń i dotknęła mojego ramienia.

- Nicholasi... - odezwała się cicho. - Wzruszasz mnie... Wciąż nie mogłem się odezwać. Potrząsnąłem głową.

- Czy naprawdę jestem ci tak droga? - zapytała. Wyjąłem chustkę z kieszeni. Nie odpowiedziałem, ponieważ odpowiedź nie była potrzebna.

- Mój biedaku... - rzekła zdziwionym, lecz bardzo łagodnym głosem.

Trwaliśmy tak przez jakiś czas. Z rogu pokoju dobiegało tykanie zegara. Za wysokimi, pięknymi oknami przejechał powóz, woźnica zawołał coś do przechodnia. W pokoju na górze rozległy się kroki. Pomyślałem, że lada chwila przeszkodzi nam służący, który wejdzie z pytaniem, czy ma przynieść herbatę.

Etna odwróciła się i utkwiała wzrok w oknie. Mogę sobie jedynie wyobrazić, co działo się w jej umyśle. Po kilku minutach zwróciła się twarzą do mnie.

- Przyjmę twoje oświadczyiny - powiedziała tak cicho, że nie byłem pewny, czy dobrze usłyszałem.

Nie śmiałem jednak prosić, aby powtórzyła. Trzymałem się prosto i sztywno, przerażony, że się przesłyszałem i zaraz usłyszę, że nie to chciała powiedzieć, świadomy, iż nie zniosę drugiego rozczarowania.

(Oczywiście człowiek honoru - człowiek honoru, podkreślam - nigdy nie dopuściłby, aby kobieta uczyniła takie poświęcenie).

Etna pochyliła się ku mnie i pocałowała mnie w policzek.

- Nie będziemy więcej mówić o miłości - rzekła. - Ani o jej braku...

Dopiero wtedy odzyskałem głos, który łamał się ze wzruszenia, jakiego dotąd nie doznałem.

- Obiecuję, że będziesz zadowolona, jeżeli nie szczęśli-

wa - powiedziałem. - A moje szczęście będzie tak wielkie, że wystarczy dla nas obojga...

(Czy można wyobrazić sobie coś bardziej głupiego? Jak ktokolwiek może zakładać, że miłością, którą nosi w sercu, obdzielili dwie osoby?).

Sięgnąłem do kieszeni kamizelki po pierścionek, który właściwie ofiarowałem jej dwanaście dni wcześniej. Teraz wsunąłem go na jej palec. Kiedy znalazł się na miejscu (symbol miłości czy raczej posiadania?), odetchnąłem pełną piersią i pozwoliłem sobie na odrobinę radości, do jakiej miałem prawo. Pierścionek lśnił na dłoni Etny. Wziąłem ją za rękę, ale nie ośmieliłem się jej objąć, gdyż bałem się, że znowu doznam zbyt dużego wzruszenia. Nie chciałem też zakłócać tych magicznych chwil zbędnymi słowami.

- Nie zamierzam prosić o pozwolenie mojego szwagra - oświadczyła Etna.

- Osiągnęłam już wiek, w którym sama mogę decydować o swojej przyszłości...

Nadal nie ufałem swojemu głosowi. Etna odwróciła wzrok. Czy już w tamtej chwili żałowała swojej decyzji? Czy drżała wewnątrz, przestraszona powagą danej mi obietnicy?

- Nie pożałujesz tego - rzekłem śmiało. (Jak można zapewniać kogoś, że nie pożałuje podobnego postanowienia? Nie można, nie można...). - Zawsze będę cię kochał.

Popatrzyła na nasze złączone dłonie, potem zaś podniosła głowę i spojrzała mi w oczy.

- Wiem - odparła.

Poruszony i całkowicie zaskoczony Keep bełkotał coś o pochopnej decyzji, lecz ja bez trudu zignorowałem tę nieszkodliwą tyradę. Miriam udawała, że jest szczęśliwa, chociaż podobnie jak jej mąż niewątpliwie myślała przede wszystkim o tym, że rozstanie z Etną sprawi im sporo kłopotów. Ale tak naprawdę, nie pamiętam, jak upłynęła reszta popołudnia. Przybyłem do Exeter z rozpaczliwą misją i odniosłem zwycięstwo, czego wciąż nie mogłem pojąć. Co jakiś czas brałem Etnę za rękę, a kiedy później odprowadziła mnie do holu, aby się pożegnać, pocałowałem ją w usta, ulegając zaostrzonemu powodzeniu

pożądaniu. No cóż, muszę wyznać, że Etna nie odpowiedziała namiętnym pocałunkiem, szczerze mówiąc, niemal w ogóle nie zareagowała, lecz perspektywa rozstania natchnęła mnie odwagą, więc wypuściłem ją z objęć dopiero po paru chwilach. Potem drzwi otworzyły się i wyszedłem za próg - zmęczony, wycieńczony i ledwo żywy ze szczęścia i radości. Czy w ciągu następnych dni nawiedziły mnie jakieś wątpliwości? Czy poczułem, że żądza posiadania odniosła zwycięstwo nad zdrowym rozsądkiem? Czy inny mężczyzna,

o silniejszej władzy nad swoim umysłem, nie wycofałby się na wieść, że jego miłość nie może być odwzajemniona? Nie wiem, w każdym razie ja nawet o tym nie pomyślałem. Takie myśli rodzą się po pewnym czasie, nie w chwilach największej radości. Wmawiałem sobie, że nauczę Etnę Bliss kochać mnie całym sercem i wprost nie mogłem się doczekać, kiedy będę mógł rozpocząć te wykłady.

Przed chwilą wyszedł portier, który posłał mi łóżko i napełnił dzbanek wodą, myślę więc, że mogę już udać się na spoczynek. Czasami, kiedy piszę, wcale nie czuję się tak, jakbym wracał myślami do relacjonowanych wydarzeń, ale naprawdę je przeżywał. Odnoszę wręcz wrażenie, że tkwię w tamtym czasie i przestrzeni,

1 nie wiem, jak zakończy się moja historia. Jest to niezwykle uczucie, bo przecież doskonale znam jej zakończenie.

W moim przedziale znajdują się bardzo intrygujące dla podróżnego urządzenia (czy już o tym pisałem?). Stolik, na którym piszę, można, za naciśnięciem dźwigni, obniżyć do poziomu siedzenia. Ukryta za zagłówkiem poduszka idealnie wypełnia miejsce między dwiema ławkami, zupełnie jak fragment układanki, dzięki czemu można zrobić z nich dość spore łóżko, na którym swobodnie mieści się człowiek mojego wzrostu i tuszy. Nad umywalką wisi lustro, którym można ją przykryć, przekształcając w nocną szafkę. Za oparciem siedzeń po przeciwnej stronie ukryto szafkę na ubrania, w której powiesiłem garnitur i ułożyłem skarpety oraz bieliznę. Wszystko to jest bardzo sprytnie pomyślane i poza

toaletą, która znajduje się w głębi korytarza, niczego mi tu nie brakuje. Zabrałem z sobą egzemplarz *Amerykańskiego uczonego* Emersona i z przyjemnością pograżę się w lekturze, zanim rytmiczne stukanie kół o szyny ukołysze mnie do snu.

Przed chwilą przyszło mi do głowy, że ten samowystarczalny wszechświat w przedziale pociągu byłby prawdziwym rajem dla nowożeńców.

Mija drugi dzień mojej podróży na południe (jeden dzień straciliśmy za sprawą wykolejenia pociągu, o czym pisałem już wcześniej) i muszę przyznać, że pewne rzeczy, które widziałem z okna przedziału, mocno mnie przygnębiły. Oczywiście nie ma dziś chyba człowieka, który nie słyszałby o kolejkach po chleb i bezdomnych włóczęgach, ale wyobrazić sobie, a zobaczyć na własne oczy, jaka bieda panuje w naszym kraju, to dwie zupełnie różne sprawy. Odziani w łachmany mężczyźni stoją w długich kolejkach, prawdopodobnie po miskę zupy; kobiety z małymi dziećmi siedzą na krawężnikach i błagalnym gestem wyciągają do przechodniów cynowe kubki; szeregi zrobionych z tektury szałasów i chat ciągną się całymi kilometrami, a wynędzniali ludzie grzeją się przy ogniskach. Czasami strach patrzeć na to, co się dzieje. Nie chciałbym tu śpiewać hymnów na chwałę mojego rodzinnego New Hampshire, nietrudno jednak zauważyć, że w tym regionie słynącym z pracowitych, samowystarczalnych mieszkańców kolejek po darmowy chleb jest niewiele. Oczywiście u nas także nie brak ludzi, którzy odczuli i wciąż odczuwają wpływ złych czasów - symptomem tego zjawiska jest mniejsza liczba studentów albo przejęcie przez wierzycieli majątku Gerarda Moxona, lub samobójstwo Edwarda Feralda oraz Horace'a Warda Archera - lecz my, mieszkańcy New Hampshire, lubimy sami pomagać naszym ubogim. Moja kucharka, pani O'Hara, bardzo często karmi żebraków, którzy pukają do naszych kuchennych drzwi,

wydaje mi się nawet, że ostatnio piecze więcej niż normalnie, tylko po to, aby wspomóc nieszczęsnych. Nie mogę mieć nic przeciwko temu, ponieważ żyję dostatnio i wygodnie, może zbyt wygodnie w tym dużym, pełnym przeciągów domu.

Ale dosyć już smutnych wiadomości! Odwrócę teraz wzrok od okna i skupię się na pisaniu, bo nie chcę skazać mojej opowieści doniesieniami z przyszłości. W czasach, które opisuję, to znaczy w 1900 roku, na progu dwudziestego wieku, w kraju panował ogromny optymizm. Nigdy wcześniej nie zazналиśmy takiego dobrobytu, nigdy nie cieszyliśmy się tak długim okresem pokoju. Rozdarcie i cierpienia wojny domowej zostały daleko za nami, a wciąż nowe wynalazki i udogodnienia, między innymi automobil i telefon, niosły zapowiedź lepszych, niezwykle interesujących czasów. Była to wspaniała, pełna pogody epoka, doskonały czas na zawarcie związku małżeńskiego.

Etna i ja pobraliśmy się 28 maja, podczas skromnej ceremonii w kaplicy na terenie college'u. Etna miała na sobie suknię z beżowego jedwabiu i trzymała w ręku bukiet bżów, które zaledwie dwa dni wcześniej zakwitły i uświetniły nasz ślub tak cudownym zapachem, że jeszcze dziś, czując aromat tych kwiatów, natychmiast wracam myślami do tamtego majowego poranka. W nocy spadł deszcz i kiedy się obudziliśmy, trawa, kwiaty i pąki wydawały się świeżo umyte specjalnie na tę okazję. Wiosna w New Hampshire jest zwykle mokra i chłodna, podobnie jak w większości północnych regionów Nowej Anglii, lecz ten dzień był rzadkim darem przyrody i zwiastunem szczęścia, tak w każdym razie sądziłem.

William Bliss, który z ulgą przyjął rozwiązanie naszych problemów z końca zimy, poprowadził Etnę od bocznych drzwi kaplicy do ołtarza. Jeden z wielu duchownych, związanych z college'em, połączył nas węzłem małżeńskim podczas krótkiej i prostej ceremonii, a dzięki sympatii, jaką mieszkańcy kampusu i miasta darzyli rodzinę Blissów (i może też dzięki mojej popularności, niewielkiej, ale jednak), w kaplicy zgromadziło się sporo gości, którzy pragnęli życzyć nam szczęścia na nowej drodze życia. Wargi Etny drżały,

kiedy wymienialiśmy pierwszy pocałunek jako mąż i żona, i to drzenie mogłoby poruszyć sercem każdego pana młodego, więcej, podbić je raz na zawsze, tak jak stało się z moim.

Tak się złożyło, że od dnia naszych zaręczyn w Exeter rzadko widywałem Etnę. Wróciłem do Thrupp, ona została w domu szwagra. Brakowało mi jej obecności, lecz w tamtych tygodniach byłem tak zajęty, że ból rozstania wydawał się nieco stępiony. Pochłoneńto mnie między innymi poszukiwanie domu, w którym moglibyśmy zamieszkać po podróży poślubnej. Pragnąłem, aby był to wspaniały dom, odpowiednia oprawa dla mojej pięknej narzeczonej, a za jakiś czas miejsce, gdzie moglibyśmy spokojnie wychować gromadkę dzieci. Tamtej wiosny w Thrupp wystawiono na sprzedaż niewiele posiadłości, musiałem więc kilka razy jeździć na obrzeża miasta, aby obejrzeć rezydencje, które mi polecano. W kwietniu znalazłem wreszcie dom i działkę, które zachwyciły mnie kryjącym się w nich potencjałem, chociaż właściciel mocno je zaniedbał. Teren otaczający dom był najpiękniejszy, jaki widziałem w całym Thrupp - olbrzymi trawnik schodził aż na brzeg dużego jeziora, za którym piętrzyły się granitowe skały. Dom proporcjonalny, zbudowany z czerwonej cegły, z białymi fugami, miał dwa piętra, a na jego tyłach znajdowały się duża szopa i powozownia. Pokoje były wysokie, co oczywiście utrudniało utrzymanie w nich odpowiedniej temperatury zimą, miały jednak dostojne piękno, którego brakowało wielu domom w stylu kolonialnym na Wheelock Street (na przykład rezydencji Blissów). Część parteru zajmowała duża jadalnia. Jej widok natychmiast pobudził mnie do snucia wizji przyszłych przyjęć, które oboje będziemy w niej wydawać, a nawet wielkich balów. Kiedy pokazano mi sypialnie na pierwszym piętrze, zaraz wyobraziłem sobie nas śpiących w wielkim łóżu, a w pobliskich pokojach naszych pięcioro czy sześcioro dzieci, otulonych ciepłymi kołderkami. Ten obraz wystarczył, abym zdecydował się na kupno domu.

Całą sumę uiściłem gotówką, stawiając warunek, by właściciel i jego rodzina od razu się wyprowadzili. Kilka dni później stolarze i malarze przystąpili do prac, dzięki którym dom miał odzyskać pierwotną urodę. (Trudno w tym miejscu



nie wspomnieć Josipa Keepa z jego drabinami i płóciennymi płachtami...). Człowiek, którego zatrudniłem do nadzorowania remontu, pracował od świtu do zmroku, żeby dom był gotowy na trzeci tydzień czerwca, kiedy mieliśmy wrócić z podróży poślubnej. Było to trudne zadanie, ale nadzorca spisał się doskonale i chociaż czasami mieliśmy problemy z malarzami i hydraulikami (instalacja nowych rur okazała się bardzo skomplikowana), nie mogłem narzekać na ostateczny rezultat jego wysiłków.

Warta uwagi była też przemiana, jaka zaszła we mnie - nie sądzę wprawdzie, aby prawdą było twierdzenie, że nasz charakter i duch rosną lub się kurczą, dopasowując się w ten sposób do okoliczności, lecz naprawdę czułem wtedy, iż przyjmując rolę właściciela domu i posiadłości, zostawiam za sobą smętny wizerunek nauczyciela mieszkającego w hotelu dla pracowników. Zapomniałem także o swoim upokarzającym załamaniu w czasie dyskusji nad założeniem Wydziału Kultury Fizycznej (zdobyłem się nawet, by serdecznie, choć może nie do końca szczerze, pogratulować Leavittowi Hallockowi w dniu głosowania). Nigdy nie odzyskałem ówczesnej krótkotrwałej popularności, lecz prawie wszyscy koledzy wydawali się prawdziwie ucieszeni wiadomością o moim zbliżającym się ślubie.

Cóż mogę powiedzieć o Etnie i jej przeżyciach w tamtych tygodniach? Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co i o czym myślała, a nie miałem ochoty wypytywać, ponieważ obawiałem się, że mogłaby zmienić zdanie co do ślubu. Byłem zadowolony z miłego, pogodnego tonu, w jakim utrzymana była nasza korespondencja i jeżeli czasami musiałem powstrzymać się od długich miłosnych wyznań, pocieszałem się myślą, że już niedługo będę mógł powiedzieć jej wszystko, co zechcę. Pragnąłem posiąść Etnę i miałem nadzieję, że ona odwzajemni to pragnienie. Nie potrafię określić, czy byłem beznadziejnie naiwny, czy po prostu całkowicie nieświadomy, jakie lęki może budzić w młodej kobiecie świadomość fizycznych obowiązków, które będzie musiała podjąć. Oczywiście nigdy nie rozmawialiśmy o takich sprawach (kiedyś tylko wyczerpująco przedyskutowaliśmy kwestię namiętności i panowania nad

nią, która pojawia się w powieści Hawthorne'a *Szkarłatna litera*; była to ekscytująca wymiana zdań, jeżeli mogę tak powiedzieć, nie tylko z racji walorów intelektualnych, ale także słabo ukrytego podtekstu erotycznego), zgadywałem jednak, że Etna dysponuje pewną wiedzą na ten temat, zakładałem zresztą, że zapyta siostrę o pewne istotne aspekty nocy poślubnej.

(Chociaż z tych kart często wyzierać może obraz Nicholasa Van Tassela - oportunisty, zapewniam, że miłość, jaką darzyłem Etnę Bliss, była szczera. Nigdy wcześniej ani później nie zaznałem takiego uczucia. Nie umiałem zapanować nad wyobraźnią - czy w ogóle jest to możliwe? - lecz w okresie poprzedzającym zawarcie małżeństwa powodowały mną wyłącznie najczystsze motywy. Przede wszystkim zależało mi, aby uczynić Etnę szczęśliwą, niezależnie od poświęceń, jakich miałoby to wymagać ode mnie. Myślę, że mężczyzna, który nie myśli w ten sposób o przyszłej żonie, nie powinien nawet zastanawiać się nad wstąpieniem w związek małżeński. Najlepsze intencje nie wystarczą bowiem, aby zapewnić dwojgu ludziom szczęście, bo małżeństwo bywa czasami i skomplikowane, i irytujące. Zawieranie go z przyziemnych powodów, bez myśli o najwyższej dbałości o narzeczoną, byłoby poważnym błędem).

(Nie mogę jednak powiedzieć, aby przyjemne oczekiwanie na miłość fizyczną było mi obce. Nie, nie, wręcz przeciwnie, sądzę nawet, że akt zespolenia seksualnego sprawia mi więcej rozkoszy niż innym mężczyznom, dzięki niemu bowiem udaje mi się uciec przed samym sobą - odrzucić krepujące zahamowania i przynajmniej na parę chwil przekroczyć granicę innego świata, świata, w którym przestaję być mężczyzną znanym jako Nicholas Van Tassel).

Etna i ja, ramię w ramię, wróciliśmy do domu Williama Blissa, który wielkodusznie postanowił wydać na naszą cześć uroczyste śniadanie. W czasie tego krótkiego spaceru byłem dość skępowany, podobnie jak Etna, więc gdyby nie moja niezwykle rozmowna siostra, Meritable, czulibyśmy

się zapewne dość nieswojo. Na szczęście Meritable, która przyjechała na nasz ślub z Maryland, miała nam wiele do powiedzenia na różne tematy. Meritable była córką mojego ojca z drugiego małżeństwa, co czyniło nas przyrodnim rodzeństwem, lecz łączące nas podobieństwo fizyczne zawsze rzucało się w oczy. Cechy naszych wspólnych holenderskich przodków nie dodają kobiecie urody i zgrabności, i pod tym względem Meritable była wykapaną Holenderką - miała krągłą, szeroką twarz, grube, wydatne wargi, bardzo podobne do moich, oraz przysadzistą, krępą sylwetkę. Ponieważ miała także skłonność do tycia, zdyszana szybko drobiła obok nas na krótkich, tęgich nogach, starając się dotrzymać nam kroku i zasypując gradem pytań. Gdzie zatrzymamy się na pierwszą noc podróży poślubnej? Czy wynajęliśmy powóz z woźnicą, czy też pojedziemy sami? Czy już sprawdziłem, jak wygląda sprawa zakupu dębowych mebli do jadalni; ofertę na nie Meritable znalazła w gazecie? Czy sądzę, że rektor college'u przyjdzie na śniadanie? Bo bardzo chciałaby go poznać... Moja siostra urozmaicała pytania krótkimi informacjami o swoich siedmiorgu dzieciach (płodna córka płodnego ojca!): Peter jesienią miał jechać do szkoły, natomiast Quincy złamał nogę... Mówiąc to, Meritable zamknęła oczy i szybko wypowiedziała modlitwę, jak zwykle w podobnych sytuacjach, kiedy jedno z jej potomstwa spotkało coś złego (zawsze śmiertelnie się bała, żeby nie stracić dziecka w wypadku lub z powodu choroby); te kierowane do Niebios prośby były chyba dość skuteczne, ponieważ gromadka siedmiorga dzieci, którą Meritable miała w 1900 roku, z czasem powiększyła się jeszcze o czwórkę - cała jedenastka do dziś ma się doskonale, co stoi w jawnej sprzeczności z przeciętnymi statystykami rodzinnymi.

- Twoja żona bardzo mi się podoba - oświadczyła Meritable, gdy na chwilę zostaliśmy sami w holu domu Blissów.

Etna poszła na górę, aby odświeżyć się przed śniadaniem, chociaż ja uważałem naturalnie, że wygląda cudownie świeżo i już tęskniłem za jej obecnością. Meritable położyła rękę na moim ramieniu.

- Nie jest gadatliwa, co podziwiam - wyznała. - Chociaż czasami milczenie kobiety może stać się nie lada próbą...

- Etna chyba czuje się dziś onieśmielona - powiedziałem.

- Oczywiście - odparła moja przyrodnia siostra, wygładzając obfite fałdy spódnicy i tupnięciem pozbywając się grudki błota przyczepionej do podeszwy buta (buta prawie tak dużego jak mój, co natychmiast zauważyłem). - Przecież to dzień jej ślubu - dodała.

- Uważam się za wielkiego szczęśliwca - rzekłem.

- Jest wysoka.

- Dostojna, moim zdaniem.

- Tak. I nie za młoda, co kwituję z radością. Jednak jeżeli chodzi o dzieci, radziłabym wam zacząć jak najszybciej. Nie ma czasu do stracenia. Milczałem.

- Nie wątpię, że przystąpisz do dzieła jeszcze dziś wieczorem - dorzuciła Meritable i chyba nawet mrugnęła znacząco. - Mam nadzieję, że nie wybieracie się daleko.

- Niezbyt daleko...

- Dziecko poczęte w noc poślubną będzie bystre, dobre i uczynne - oznajmiła z pewnością siebie kobiety ze wsi.

- Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy - powiedziałem. Meritable parsknęła śmiechem, gardłowym i głośnym, śmiechem z pogranicza dobrego smaku.

- Och, Nicholasie, czasami jesteś okropnie pompatyczny! Może w zażenowanie wprawiła mnie rozmowa o sprawach seksu, a może poczułem się niepewnie bez świeżo poślubionej żony, bo przeprosiłem Meritable i poszedłem na górę z nadzieją, że uda mi się zaskoczyć Etnę i skraść jej całusa z dala od ciekawych oczu jej rodziny i gości. Znalazłem ją w sypialni ciotki. Stała przed lustrem zupełnie nieruchomo, jakby coś pozbawiło ją zdolności poruszania się. Ręce innej kobiety furkotałyby w powietrzu, poprawiając niedostatki urody - lekko poszczypując policzki lub odgarniając loki z czoła, lecz Etna tkwiła w bezruchu. Wpatrywała się w swoje odbicie z takim skupieniem, że w pierwszej chwili nawet nie zauważyła mojego wejścia, nie miałem jednak cienia wątpliwości, iż to nie próżność zakłóciła jej uwagę. Nie, chodziło o coś innego,

coś znacznie bardziej przygnębiającego dla moich nie do końca niewinnych oczu...

Złociste oczy Etny, którym zawsze przypisywałem niezwykle, ciepłe piękno, przybrały wyraz głębokiej rozpacz. Jej skóra straciła promienny wygląd, a wargi, te wspaniałe wargi, które pragnąłem całować, wydawały się szarosine, jakby bez kropli krwi. Przez głowę przemknęła mi myśl, że oto widzę Etnę taką, jaką miała być czterdzieści czy pięćdziesiąt lat później, jako starą kobietę, która nauczyła się żyć bez radości.

Czy moje wyznanie brzmi zbyt melodramatycznie? Żałuję, że nie mogę twierdząco odpowiedzieć na to pytanie. Musiałem zagryźć wargi, aby nie krzyknąć; niewykluczone, że jakiś odgłos wyrwał się jednak z mojego gardła, bo Etna drgnęła i szybko odwróciła się ku mnie. Przez jedną sekundę, zanim zdołała zapanować nad sobą, miałem przed oczami pełny obraz jej rozpacz - bezgranicznej, czarnej i nieuleczalnej. I chociaż zaraz przywołała uśmiech, nadała topazowym oczom cieplejszy wyraz (niewątpliwie specjalnie dla mnie) i postarała się okazać mi uczucie, moja własna radość zachwiała się nagle i dopiero po paru chwilach odzyskała rumieńce.

Etna podeszła do mnie.

- Mężu...-odezwała się.

Nie wiem, czy wybrała to słowo celowo, lecz później uświadomiłem sobie, że nie mogła dokonać lepszego wyboru. Jakież inne powitanie sprawiłoby mi równie wielką przyjemność?

- Żono... - odparłem, choć coś w moim wnętrzu nadal dygotało jak potrącona drabina.

Oparła dłoń na moim ramieniu, a ja instynktownie otoczyłem ją palcami.

- Goście już się zbierają w jadalni - powiedziałem.

- Zejdę z tobą. - Uśmiechnęła się.

- Pastor Wilford doskonale sobie poradził, prawda?

- To była cudowna ceremonia.

- Twój stryj wygląda na zadowolonego.

- Polubiłam twoją siostrę. Jest szczerą i bezpretensjonalną.

- Spędzimy z nimi jakąś godzinę, a potem pojedziemy.

- Tak - powiedziała, wsuwając rękę pod moje ramię.

- Etno... - wyszeptałem ochryple.

Radość ostrożnie dźwignęła się na nogi i ośmieliła się nawet rozprostować ramiona.

(W tym miejscu powinienem wyjaśnić, dlaczego nagle zaczynam pisać atramentem innego koloru. Zaraz po skończeniu ostatniego zdania ogarnęło mnie dziwne, nieprzyjemne uczucie. Długą chwilę siedziałem spokojnie, odpoczywając (pomyślałem, że może uległem atakowi choroby lokomocyjnej), lecz moje samopoczucie jeszcze się pogorszyło. Przypomniałem sobie krokieciki z krabów, które kilka godzin wcześniej podano nam w wagonie restauracyjnym - szczerze mówiąc, miałem ochotę zrezygnować z tego dania, lecz głód przeważył szalę, niestety, jak się okazało. Tak czy inaczej, padłem ofiarą ostrej niestrawności, na tyle poważnej, że w Richmond pociąg zatrzymał się wbrew rozkładowi jazdy i obsługa sprowadziła do mnie lekarza. Personel opiekował się mną z poświęceniem, może częściowo z obawy przed posądzeniem o podanie nieświeżego jedzenia. Przeniesiono mnie do innego przedziału, bardziej luksusowego, ze skórzanymi obiciami, mahoniowym stolikiem i połączanymi uchwytami urządzeń sanitarnych, przedziału, którym kiedyś, jak utrzymuje konduktor, podczas kampanii wyborczej podróżował sam Woodrow Wilson. Niestety, w trakcie tej przeprowadzki zginęło (lub zostało skradzione) moje pióro, więc teraz piszę nowym, które dostałem od wspomnianego konduktora. Bardzo mi przykro, że postradałem dawne, ukochane pióro, prezent od Etny na moje czterdzieste urodziny. To dziwne, ale brakuje mi także dawnego przedziału, którego atmosfera w jakiś sposób sprzyjała skupieniu i dobremu samopoczuciu. Czy wszystkie te nowe luksusy wpłyną na zmianę tonu mojej narracji? Mam nadzieję, że nie).

Wynająłem powóz, który miał zawieźć Etnę i mnie na południowy wschód, w Góry Białe. Jak to się często zdarza w New Hampshire, w połowie dnia temperatura spadła. Etna i ja sie-

dzieliśmy obok siebie, lecz raczej nie rozmawialiśmy. Niedługo po opuszczeniu Thrupp Etna zapadła w głęboką drzemkę, z której nie budziło jej nawet mocne podskakiwanie powozu na wystających z ziemi korzeniach drzew. Jej głowa opadła na moje ramię, ja zaś poczułem się szczęśliwy, że przynajmniej na czas podróży mogę stać się jej opoką. Otoczyłem żonę ramieniem i wyobraziłem sobie, że jest szczęśliwa, chociaż ona była po prostu pogrążona w śnie. Zatrzymaliśmy się tylko raz, na posiłek. Nasz woźnica, obeznany z trasą i świadomy faktu, że zaledwie kilka godzin wcześniej wzięliśmy ślub, zabrał nas do niewielkiej gospody. O ile sobie przypominam, Etna jadła niewiele, natomiast ja, głodny jak wilk, pochłonałem dużą porcję pieczonej jagnięciny. W restauracji siedziało jeszcze kilka osób, których dobry humor przyczynił się do powstania miłego nastroju, tak że oboje spokojnie zjedliśmy obiad, nie odzywając się zbyt często. Chociaż oczekiwanie na powoli zbliżającą się noc niemal odebrało mi mowę, muszę przyznać, że zastanawiałem się, czy nie poinformować posilających się obok nas gości o naszym niedawnym ślubie. Przy każdym spojrzeniu na Etnę, na jej zamyśloną twarz o wyraźnie obcych kościach policzkowych (często przychodziło mi do głowy, że w jej żyłach musi płynąć indiańska krew), czułem się jak pijany, miałem zawroty głowy, niczym człowiek, który nieoczekiwanie wszedł w posiadanie dużej sumy pieniędzy.

Kiedy wychodziliśmy z gospody, zauważyłem sklep z upominkami po drugiej stronie ulicy. Pomogłem Etnie wsiąść do powozu i poprosiłem, aby chwilę na mnie zaczekała. Pragnąłem upamiętnić ten szczególny dzień jakimś namacalnym podarunkiem, który mógłbym ofiarować żonie, z rozczarowaniem odkryłem jednak, że w sklepie nabyć można jedynie przedmioty używane. Obejrzałem koronkowy szal, lecz na szczęście w porę dostrzegłem wygryzioną przez mole dziurę, oprawną w srebro szczołkę, całkiem ładną i odpowiednią, gdyby nie mała plamka na uchwycie, szkatułkę na przybory do pisania florenckiej roboty, która niestety nie miała jednego zawiasu. Byłem już bliski zrezygnowania ze swojego pomysłu, gdy zdjąłem z gabloty na wystawie zniszczony aksamitny kapelusz i ujrzałem stojący niżej komplet

przyborów, jakie kobieta może nosić w torebce: małe okrągłe lusterko, owalne pudierko na lekarstwa, prostokątny portfelik na wizytówki - wszystkie wykonane ze złota, z wieczkami z macicy perłowej, o miłych dla oka kształtach, przywodzące na myśl skarby, jakie dziecko znajduje w babcinej szkatule z biżuterią. Komplet był dość stary, celowo podkreśliłem więc jego usterki (powłoka lusterka zaczęła matowieć), aby obniżyć cenę, lecz te zabiegi okazały się zupełnie zbędne, ponieważ właściciel sklepu nie orientował się, jaką wartość przedstawiają te przedmioty. Zapłaciłem za komplet, kazałem go zapakować i zaniósłem paczkę do powozu.

- Ale ja nic dla ciebie nie mam - powiedziała Etna, kiedy położyłem prezent na jej kolanach.

- Oczywiście - odparłem. - Kupiłem to pod wpływem kaprysu, no, może jednak czegoś więcej... Zależało mi, żebyś miała coś trwałego na pamiątkę tego cudownego dnia...

Kiedy rozpakowywała paczuszkę, wstrzymałem oddech. Był to najczystszy pod względem intencji podarunek, jaki kiedykolwiek komuś ofiarowałem. Patrzyłem, jak palce Etny rozsypują jedwabną wstążkę i czułem, że oddaję w jej ręce wszystko, co we mnie najlepsze. Nigdy wcześniej ani później aż tak bardzo nie pragnąłem zrobić przyjemność drugiemu człowiekowi. Do dziś mam wrażenie, że pod tamtą kolorową bibułą kryła się cała moja nadzieja.

Etna otwierała każde pudełeczko po kolei, gładząc palcami inkrustację z masy perłowej.

- Dziękuję, Nicholasie - rzekła. - Są bardzo piękne, naprawdę...

- Kochaj mnie - odrzekłem, świadomy, że choćbym chciał, nie zdobędę się na żadne inne słowa.

Nie przypominam sobie, dlaczego zdecydowałem, że nasz miesiąc miodowy spędzimy właśnie w Górskiej Gospodzie. Niewykluczone, że postanowienie to pozostawało w bezpośrednim związku z moimi finansami, mocno nadszarpniętymi przez remont domu. Z pewnością wybrałbym Paryż, gdyby tylko mój portfel miał się lepiej... Może nawet Włochy, kto



wie... Wybrałem jednak samotną gospodę, stojącą na szczycie skalistego zbocza w samym sercu Gór Białych, gdzie o tej porze roku wciąż jeszcze królowała niegościnna zima. (Nie mam pojęcia, skąd dowiedziałem się o tym hotelu... Musiał polecić mi go jeden z kolegów, czyżby Moxon?). Nawet dziś wystarczy, że przywołam z pamięci obraz tej koszmarnej gospody, a już czuję przygnębienie.

Natychmiast po przybyciu na miejsce stało się jasne, że nikt nas nie oczekuje, a osoby, z którą korespondowałem w sprawie rezerwacji, po prostu nie ma. Młody człowiek, który po długiej chwili otworzył nam drzwi, powiedział, że może jednak uda mu się przygotować jakiś pokój. Z uśmiechem dodał, że nie odprawi nas od drzwi, który to niefortunny zwrot sprawił, że poczuliśmy się jak niemile widziani uchodźcy.

Zirytowany bardziej niżbym chciał, z trudem powstrzymałem się od złajania chłopaka. Etna była chyba nieco zażenowana i próbowała mnie uspokoić.

- To bez znaczenia - powtarzała. - Bez znaczenia...

- Wręcz przeciwnie, to ważne - odparłem zbyt ostro, bo odwróciła głowę i więcej się nie odezwała.

Zaprowadzono nas do pokoju na pierwszym piętrze. Nie ulega wątpliwości, że widok z okien był imponujący, dokładnie taki, jak mi obiecano, lecz w tamtej chwili, zdenerwowany i zmarznięty, nie potrafiłem go docenić. Powiew wiatru rzucił popiół z kominka na podłogę, sprężyny wielkiego łóża zwisały niebezpiecznie nisko nad podłogą, co widać było już od progu. Pokój był zimny, w powietrzu unosił się zapach stęchlizny.

- To wszystko, co macie? - zapytałem chłopaka, który służył nam jako przewodnik.

- Sezon jeszcze się nie zaczął, proszę pana...

- Możesz rozpalić ogień?

- Zaraz to zrobię.

- A co z posiłkiem?

- Będą państwo chcieli zjeść posiłek?

- To chyba oczywiste! I to nie jeden, mamy rezerwację na cały tydzień!

- Na cały tydzień, proszę pana?

- Tak jest. To nasza podróż poślubna, do licha!

Etna uspokajająco położyła rękę na moim ramieniu. Chłopak uśmiechnął się, co uznałem za dowód bezczelności.

- No dobrze - rzuciłem ostro. - Rozpal ogień.

Dziś uważam, że życie w małżeństwie w żadnym razie nie powinno zaczynać się od podróży poślubnej, ponieważ taka wyprawa nakłada na barki obojga małżonków, którzy mogą przecież nie wiedzieć o sobie prawie nic, zbyt wielki ciężar oczekiwania i nadziei. Wyjątek stanowią mogą osoby, dla których najbardziej liczy się rozkosz fizyczna i które najchętniej nie ruszają się z łóżka (i nie dbają, czy widzi to właściciel hotelu oraz inni goście), lecz dla reszty wymuszona bliskość - długie godziny tej bliskości - bywa często ciężka do zniesienia. O wiele lepiej, aby młodzi od razu zajęli się codziennymi obowiązkami, spotykając się tylko co jakiś czas w ciągu dnia (i oczywiście w nocy), niż aby z wysiłkiem podtrzymywali pozory małżeńskiego szczęścia.

Etna i ja w milczeniu siedzieliśmy w pokoju, czekając, aż chłopak rozпали ogień w kominku. Ponieważ zapadł już zmierzch, o spacerze nie było co marzyć (później okazało się, że za dnia także jest to trudne, ponieważ zbocze kończy się ostrym urwiskiem). Hotel był nieogrzewany, z wyjątkiem jadalni i jeszcze dwóch czy trzech pomieszczeń ogólnej użyteczności, więc przechadzanie się korytarzami również nie było zbyt nęcące. Zacząłem już ulegać uczuciu klaustrofobii, kiedy Etna przerwała panujące w pokoju milczenie, gdy chłopak rozпалиł wreszcie ogień i wyszedł (przed zamknięciem drzwi rzucając mi domyślny uśmieszek).

- Nicholasie, chciałabym się położyć.

- Tak, oczywiście... - Pośpiesznie podniosłem się z krzesła.

- Na parę chwil, nie więcej. Muszę odpocząć.

- Pójdę się przejść. Etna nie odpowiedziała.

- Zejdę na dół i napiję się herbaty.

- Dobry pomysł.

- Przysłać kogoś, by pomógł ci rozpakować najpotrzebniejsze rzeczy?

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie... Wystarczy, że trochę odetchnę.

Z pewną ulgą opuściłem pokój i zszedłem do holu. Wyszedłem na ganek, rozejrzałem się dookoła i zachwycony spowitym w zmierzch widokiem, bez trudu zrozumiałem, dlaczego gospoda cieszy się sporą popularnością w cieplejszych miesiącach. Uświadomiwszy sobie, że jestem spragniony, wyruszyłem na poszukiwanie bezczelnego chłopaka, lecz zamiast niego znalazłem na zapleczu kuchni kucharkę, która obiecała, że zaraz przyśle do salonu herbatę oraz sherry. Udałem się więc do salonu, gdzie wypaliłem nieco zwietrzałego papierosa ze srebrnej szkatułki na stole. Chłopiec przyniósł herbatę oraz tacę z karafką i kieliszkiem i postawił je obok mnie. Dałem mu parę groszy za fatygę. Sherry szybko mnie rozgrzała - czułem, jak przyjemne ciepło rozchodzi się po całym ciele, aż po czubki palców. W pokoju zrobiło się ciemno, ale w kominku wesoło trzaskał ogień.

Pałac papierosa, myślałem o śpiącej na górze Etnie. Ciekawe, czy się rozebrała. Z pewnością, bo przecież żadna kobieta nie położy się przecież spać w ślubnej sukni, prawda? Muszę przyznać, że w tamtym okresie miałem niewielkie doświadczenie z kobietami, dla których sprawy seksu stanowią tabu, powiem więcej - wcześniej rzadko miewałem do czynienia z kobietami, które nie traktowałyby seksu w sposób zawodowy.

Wiedziałem, że życie intymne z Etną będzie wyglądało zupełnie inaczej; to ja miałem wziąć na siebie rolę nauczyciela z racji przeżyć, które zostawiłem za sobą. Nie dla mnie cienka książeczka pod tytułem: *O czym miody małżonek wiedzieć powinien*, przeznaczona dla nowożeńców, szczególnie na noc poślubną. (Służący sprzątający dormitoria college'u pod koniec semestru zawsze znajdowali co najmniej tuzin egzemplarzy zakazanego dzieła, kiedy studenci zwalniali pokoje na lato). Zdawałem sobie sprawę, że Etna jest dziewicą i nie ukrywam, że byłem trochę zaniepokojony, jak uda mi się pokonać tę najświętszą ze wszystkich barier. Miałem nadzieję, że nie sprawię jej bólu, a także że surowa fizyczność aktu nie przerazi mojej żony i raz na zawsze nie przyćmi rozkoszy, jakiej kiedyś mogłaby doznać.

(Tajemniczy świat seksu zawsze mnie fascynował. Prawie

każdy dorosły człowiek doświadcza aktu seksualnego i świadomość ta budzi we mnie pewne naiwne zdumienie. Czasami podczas nabożeństwa lub przy kawie w zatłoczonej kawiarni nagle przychodzi mi do głowy, że najspokojniejsze, najbardziej opanowane osoby obecne na sali także mają za sobą i przed sobą przeżycia seksualne, najintymniejsze z intymnych. Spoglądam na kobietę w średnim wieku, która siedzi przy sąsiednim stoliku, z elegancką torebką na kolanach, z trudem skrywając zniecierpliwienie powolnością kelnerki, i zadaję sobie pytanie: Jakie tajemne rozkosze zna ta kobieta? Czy zachowuje się poważnie, wręcz surowo w miejscach publicznych, a rozpustnie we własnej sypialni? Czy namiętnie oddaje się rozmaitym rozkoszom małżeńskiego współżycia? Czy w zaciszu łoża stosuje praktyki, jakie czuje się w obowiązku potępiać publicznie? A ta kobieta, ciasno opięta gorsetem, w sukni zapiętej aż pod szyję, z zakupami ułożonymi pod krzesłem, wydaje się całkowicie niezdolna do tak niemal zwierzęcych zachowań. Można jednak przypuścić, więcej, jest to prawie pewne (chyba że kobieta należy do tego mimo wszystko dość rzadkiego gatunku starych panien, którym wszelkie doświadczenia miłosne są zupełnie obce), że raz, dwa razy, może więcej, a może nawet codziennie zachowuje się w sposób budzący zgorszenie i poruszenie w dobrym towarzystwie. W latach mojej młodości, kiedy starałem się z różnym powodzeniem panować nad swoją zmysłowością, takie myśli i fantazje nawiedzały mnie bardzo często; moją ulubioną rozrywką było wtedy wyszukiwanie w miejscu publicznym osoby wyglądającej na wyjątkowo konserwatywną oraz wymyślanie dla niej rozwiązłego życia intymnego. Z radością zauważam, że dziś, w starszym wieku, myśli te męczą mnie w znacznie mniejszym stopniu). Wszedłem do sypialni, oświetlonej tylko trzaskającymi w kominku płomieniami. Etna leżała pod pikowaną kołdrą. Kiedy zbliżyłem się, poruszyła się lekko i podniosła powieki. Zdjąłem buty i surdut, a kiedy otworzyłem szafę, ujrzałem wiszącą wewnątrz beżową ślubną suknię. Jej widok oraz

świadomość, że Etna leży w samej tylko bieliźnie albo koszuli nocnej wystarczyły, aby rozpaścić moje zmysły. Lęk, jaki odczuwałem na myśl o czekającym nas akcie, zupełnie mnie opuścił. Szybko podszedłem do łóżka z drugiej strony i wśliznąłem się pod ogrzaną już przez Etnę kołdrę. Pojąłem nagle, że nawet chwila wahania może uniemożliwić dalsze działania i od razu wziąłem ją w ramiona. Jej ciało pod koszulą było ciepłe i miękkie, z podnieceniem odkryłem, że zdjęła już gorset, tę fascynującą, choć irytującą część garderoby.

- Żono... - powiedziałem i mocno przytuliłem ją do siebie.

Opuszczam teraz zasłonę na tę scenę i nie czynię tego z fałszywej skromności. Chcę zaoszczędzić czytelnikowi mojej narracji nieprzyjemnych szczegółów tamtego przeżycia. Ujawnię tylko niektóre fakty. Etna drżała pod ciężarem mojego ciała i oddała mi się tylko na tyle, na ile nakazywał jej to obowiązek żony wobec męża. To zniósłbym bez trudu, z pogodą ducha, świadomy, że po pewnym czasie, przy odpowiednich staraniach, obawy mojej uczennicy rozwieją się i niedługo dozna prawdziwej rozkoszy, którą mnie także obdarzy. Ale moje serce zmroziło co innego, zmroziło je tak mocno, że z trudem doprowadziłem akt do końca.

Chociaż nigdy nie można być pewnym takiej rzeczy, ponieważ nauka anatomii dopuszcza wiele różnic w budowie fizycznej, nie miałem cienia wątpliwości, że bariera zagrządzająca wejście do ciała mojej świeżo poślubionej żony została przerwana wcześniej, przez kogoś innego. Przeżywając chwile największej rozkoszy fizycznej, zadawałem sobie pytania, które miały mnie dręczyć przez wiele lat. Kto, krzychałem bezgłośnie. Kiedy? W jakich okolicznościach? Zadrzałem tak, jak wszyscy mężczyźni w szczytowym momencie i po chwili przewróciłem się na plecy. Obok mnie leżała milcząca Etna. Przypomniałem sobie opinię mojej dobrej Meritable, że dziecko poczęte w noc poślubną będzie bystre i dobre, i uśmiechnąłem się gorzko. Tej nocy nie zostało poczęte żadne życie, narodziła się jednak zazdrość - intensywna, bezowocna

i pochłaniająca. Miłość, którą parę chwil wcześniej uznałbym za zbyt łagodne i nijakie określenie uczucia, jakie żywiłem do Etny, ustąpiła miejsca czemuś, czego nigdy nie potrafiłem w ogóle nazwać: bezradności, jaka ogarnia nas po odkryciu, że bezcenna dla nas rzecz została skradziona; wściekłości, jaką reagujemy na wieść, że wprowadzono nas w błąd i oszukano; i wreszcie innej, odmiennej miłości. Nadal była to miłość, chociaż zbrukana i mroczna. Nadal mieszkało we mnie pragnienie wzięcia Etny w posiadanie, zagarnięcie jej, pragnienie, które miało mnie nigdy nie opuścić.

Często przychodziło mi do głowy, że gdybym wtedy przemówił, gdybym podzielił się z Etną emocjami, jakie opisałem wyżej, to może przeżylibyśmy wtedy wyjątkowo nieprzyjemną godzinę czy dwie (straszłą godzinę czy dwie), które później wspominalibyśmy niechętnie i ze smutkiem, lecz wspólnie doprowadzilibyśmy do oczyszczenia atmosfery, co pozwoliłoby nam wkroczyć we wspólne życie z uczuciem wzajemnego zaufania.

Jednak ja nie mogłem się na to zdobyć. Nie, nie, Nicholas Van Tassel nie mógł zadać swojej młodej żonie pytania, dlaczego wstępu do jej ciała nie broniła mu żadna przeszkoda. Nie mógł poniżyć się w taki sposób, leżał więc bezsennie, pogrążony w ciemnym piekle swojej wyobraźni, słuchając, jak obok cicho oddycha jego poślubiona tego dnia małżonka.

Mamy za sobą krótki postój, w czasie którego wysiadłem z pociągu, aby rozprostować nogi. Stałem na peronie i obserwowałem, jak słońce i para tworzą coś w rodzaju świetlistej mgły pod wysoko sklepionym dachem. Duży zegar w kształcie zegarka na rękę lśnił w przyćmionych promieniach, mężczyźni i kobiety (w szczególności sposób zapadła mi w pamięć ciemnowłosa kobieta w krótkim płóciennym płaszczu, która ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń paliła papierosa) spowici byli w obłoki dziwnego światła. Ta niesamowita mgła stwarzała niezwykle efekty - z jednej strony najzupełniej prozaiczny widok zaśmieconego peronu, z drugiej światła tak niezwykle, że naprawdę żałowałem, iż nie mam przy sobie aparatu fotograficznego. Nie chcąc opuszczać tej oazy, gdzie ciszę przerywał tylko syk wydobywającej się z lokomotywy pary, musiałem rzucić się w pogoń za pociągiem, który powoli ruszył z miejsca. Nie wątpię, że był to komiczny widok dla tych, którzy zajęli już miejsca w przedziałach.

Podejmuję narrację czternaście lat po naszym ślubie. Etna i ja siedzimy w porannym saloniku, o ścianach pokrytych tapetą w czerwone róże, urządzonym meblami z ciemnego mahoni. Jest rok 1914. Gdzieś w domu znajduje się dwójka dzieci, szczęśliwych i zadowolonych z życia, należy dodać, które już nie śpią i w hałaśliwy sposób dają wyraz różnym uczuciom. Clara, nasza trzynastoletnia córka,

ubiera się, aby zdążyć na lekcje w Akademii dla Dziewcząt. Dom rozbrzmiewa odgłosami codziennej aktywności - ktoś zatraskuje szufladę, komuś upadł but, ktoś inny zgrzyta wiaderkiem o kratę kominka, wybierając popiół. W słońcu wpadającym przez wysokie okna drobinki kurzu tańczą i wirują na tle ciemnej boazerii. Intensywny zapach kawy porusza zmysły.

Pamiętam to wszystko tak dokładnie, jakbym dopiero przed chwilą wyszedł z domu, lecz gdy spoglądam wstecz, na wszystkie lata poprzedzające opisane wyżej wspomnienie, mam wrażenie, że czas przemknął tak szybko, jak kartki książki przewracane podmuchem wiatru.

- Co wtedy sobie powiedzieliśmy? - pytam samego siebie, schylając głowę nad czystą stroną notatnika. - Jakie spojrzenia wymieniliśmy? Przypominam sobie, jakie uczucia budziło we mnie nasze małżeństwo - choć trudno mi to ubrać w słowa - ale nie mogę przywołać z pamięci jego szczegółowego obrazu. Co jakiś czas przed moimi oczami pojawiają się wyrwane z kontekstu sceny. Widzę narodzonego parę chwil wcześniej Nicodemusa z włoskami pozlepianymi śluzem i powiekami pomarszczonymi jak u staruszka, spokojnie śpiącego przy piersi Etny. Pamiętam przepiękną sukienkę Clary z krynoliną z czerwonego aksamitu, która przy każdym ruchu szeleściła jak sztywny papier. Przypominam sobie dzień, kiedy Nicky zrobił pierwszy krok - dzielnie utrzymał się na nogach, lecz zaraz przechylił się w przód i wpadł prosto w moje ramiona. Oczywiście świetnie pamiętam wszystkie ważniejsze fakty z naszego wspólnego życia (nie chcę tu robić z siebie zdzienniałego starca), chodzi mi tylko o to, że z perspektywy sześćdziesięcioletniego człowieka wiele detali wtapia się w życie, złożone w równej mierze z dziennego zadowolenia i nocnych rozterek.

Trwające w ciągu dnia zadowolenie łatwo jest wytłumaczyć.

Po powrocie z podróży poślubnej Etna zajęła się przygotowaniem do macierzyństwa, stanu, którego owocami mieliśmy okazję ucieszyć się dość szybko, chociaż nie okazałem się tak



plodny jak mój ojciec. Urodziła nam się tylko dwójka dzieci, których przyjście na świat dzieli osiem lat; Etna dwukrotnie poroniła, co bardzo ją zasmuciło. Zgodnie z oczekiwaniami, okazała się idealną matką i doskonałą nauczycielką. Miała szczególną zdolność bawienia się z dziećmi, jaką nie wszystkie matki mogą się pochwalić (żadna z moich macoch nie posiadała takich umiejętności). Często znajdowałem ją w pokoju dziecinnym, siedzącą na podłodze i ku zachwytowi Nicky'ego sprawnie manipulującą parą laleczek, zdarzało się też, że widziałem, jak obie z Clarą, jednakowo smukłe w wiosennych sukienkach, ścigają się po ogrodowych alejkach, śmiejąc się i pokrzykując niczym rozbrykani chłopcy. Etna była zdrową, silną kobietą, która bardzo chętnie spędzała czas na świeżym powietrzu i cechy te czyniły z niej znakomitą towarzyszkę zabaw. Ta nietypowa dla przeciętnych kobiet strona charakteru mojej żony bardzo mnie cieszyła, ponieważ sam, co na pewno nie zdziwi czytelnika, nie miałem skłonności do uprawiania sportów. Etna nalegała, aby i Nicky, i Clara uczyli się grać w tenisa i krykieta - w tym celu część posiadłości przeznaczaliśmy na specjalne korty. Moja żona zawsze wyglądała czarująco w strojach do tenisa i była wymagającą, choć opanowaną i nie szczędzącą pochwał trenerką. Z czasem zrozumiałem, że w zabawach i grach z Clarą i Nickym Etna znajdowała ujście dla wewnętrznego niepokoju, który czasami dostrzegałem na jej twarzy, gdy mieszkała w domu stryja, niepokoju, który w pewnym sensie wykorzystałem.

Czasami ten niepokój się nasilał i wtedy Etna musiała zmienić otoczenie. W rezultacie chętnie podróżowała i wyjeżdżała na wakacje. Latem zabieraliśmy dzieci do małej nadmorskiej miejscowości na wybrzeżu New Hampshire, gdzie wynajmowaliśmy domek na miesiąc lub dwa, albo zatrzymywaliśmy się w hotelu. W moich wspomnieniach wszyscy czworo zawsze mamy mnóstwo piasku w butach, a dzieci są lekko opalone. Etna stoi na plaży w lnianej sukni, a wschodni wiatr szarpie czarnymi wstążkami jej słomianego kapelusza, spaceruje lub brodzi w wodzie, ubrana w kostium kąpielowy i przypominający turban czepek, z obnażonymi długimi białymi nogami i ramionami.

Staralem się jak najczęściej towarzyszyć jej na plaży i w czasie spacerów, ponieważ sam także chętnie zmieniałem miejsce pobytu. Już wcześniej odkryłem, że Thrupp bywa ciasnym i dusznym miastem. Nadal wykładałem w college'u i zostałem zastępcą dziekana Wydziału Literatury Angielskiej, kiedy cztery lata wcześniej funkcję głowy wydziału objął Noah Fitch. (Ku mojemu rozczarowaniu nazwę katedry ograniczono do „Literatury Angielskiej”, pozbywając się „Retoryki”, która nie podobała się studentom. Uważałem, że taka uległość wobec młodych ludzi zasługuje na krytykę, lecz Fitch oświadczył, że można przecież nadal uczyć podstaw retoryki, choć w mniej oczywisty i jawny sposób, a jeżeli kandydaci przestaną się zgłaszać, wydział straci sens istnienia, mimo pięknej nazwy. Nie było to wyjątkiem - wszystkie wydziały miały „skorygować” programy nauczania w ten sposób, aby przyciągnąć jak najwięcej chętnych. Nigdy nie ukrywałem swojej opinii, że takie praktyki służą wyłącznie obniżeniu poziomu studiów).

Stanowisko to bardzo mi odpowiadało, ponieważ byłem dobrym administratorem i wprowadziłem kilka nowych pomysłów, między innymi surowsze wymagania wobec dyplomantów oraz ubiegających się o Nagrodę Kellogga za najlepszy esej.

Po powrocie z nad morza na początku września Etna wracała do swoich zajęć i kształcenia dzieci, ponieważ przez kilka lat sama przekazywała im podstawy matematyki i uczyła je czytać. Kiedy najpierw Clara, a potem Nicky poszli do szkoły, Etna z poświęceniem pomagała im popołudniami w odrabianiu lekcji, później zaś zaczęła jeździć do prowadzonego przez organizację charytatywną w pobliskim Worthington domu dla ubogich i chorych. Zajęła się pracą dobroczynną, kiedy Clara skończyła siedem lat. Mieliśmy kucharkę Mary oraz pokojówkę Abigail, a ponieważ dom był już od dawna w pełni urządzony (Etna wyzwoliła we mnie zamiłowanie do dekoracji wewnątrz, o którego istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia - pokoje były atrakcyjne, lecz naznaczone piętnem oficjalnego stylu, którego nigdy nie potrafiłem całkowicie odrzucić), Etna mogła poświęcić kilka godzin w tygodniu na pracę charytatywną. W 1913 roku nauczyła się nawet prowa-

dzić samochód, aby ułatwić sobie to zadanie. Kupiłem dla niej cadillaca landauleta coupe, jeden z pierwszych samochodów z elektrycznym starterem, udogodnieniem, które wynaleziono specjalnie z myślą o kobietach. Był to piękny mały wóz, zielony ze złotym pasem w połowie wysokości. Etna, jedna z zaledwie czterech kobiet w całym Thrupp, które posiadały tę umiejętność, prowadziła samochód naprawdę dobrze i ślicznie wyglądała za kierownicą. Czasami, kiedy szedłem na zajęcia, widziałem ją, przejeżdżającą przez dziedziniec college'u. Końce jej szala powiewały, za samochodem wędrowała chmura kurzu, a ja z satysfakcją myślałem: Oto moja żona. Oto żona Nicholasa Van Tassela...

Tak mniej więcej wyglądało nasze życie za dnia, lecz pod wierzchnią warstwą tego miłego opowiadania kryje się inna historia, historia nocnej walki, w której nigdy nie udało mi się odnieść zwycięstwa.

Dziś staram się zrozumieć, dlaczego tak było. Czy mogłem zrobić coś inaczej? Czy zostałem ukarany za to, że wziąłem więcej niż mi się należało? Nie wiem. Nigdy nie spotkałem się z tak złożonym i trudnym stanem współzależności, jakim jest małżeństwo. Nawet najbardziej irytujący student i najmniej sensowna praca pisemna to nic w porównaniu z wyzwaniem w postaci konieczności negocjowania delikatnych zasad życia małżeńskiego.

Muszę przyznać, że chociaż Etna była wzorową matką i oboje cieszyliśmy się dziećmi, nasze stosunki, dość serdeczne za dnia, w miarę zbliżania się wieczoru stawały się napięte - rozmowa ustępowała miejsca milczeniu, spojrzenia nabierały wyrazu czujności, a każdy pretekst do odwrócenia uwagi własnej i partnera był mile widziany. Zgodnie z naszym zwyczajem wieczory spędzaliśmy razem w saloniku, oboje w równym stopniu niezdolni złamać tę zasadę. Ja czytałem, przygotowując się do wykładu, Etna siedziała pochylona nad robótką; w pokoju panowała taka cisza, że wyraźnie słyszałem, jak moja żona przelyka ślinę, chociaż dzieliła nas długość wielkiego perskiego dywanu. Jeżeli Etna czuła się zniewolona, to ja także - w dwójnasób - nie tylko przez nienasycone pożądanie, jakie we mnie budziła, ale także napięcie, które dosłownie

wibrowało między nami, gdy ja oddawałem się lekturze Dreisera, a ona haftowała szale.

Czytelnik na pewno nie poczuje się zaskoczony, kiedy powiem, że przyczyną tych napięć było istnienie małżeńskiego łoża, mahoniowego potwora, kupionego w prawie całkowitym milczeniu podczas naszej podróży poślubnej. Etna rzadko odmawiała mi wprost, lecz nie znajdowała żadnej przyjemności w zbliżeniach. Noc w noc wsuwałem się pod kołdrę i brałem w objęcia kobietę, którą rankiem widziałem z naszym synkiem na rękach, która kilka godzin wcześniej zaplatała włosy naszej córki, podawała mi świeżo wyprasowaną koszulę lub z miłym uśmiechem podnosiła wzrok znad książki, aby odpowiedzieć na jakieś pytanie kucharki, a obejmując ją, wciąż na nowo odkrywałem, że jej ciało i dusza są przede mną zamknięte. Chociaż Etna spełniała małżeński obowiązek w łożu zdobionym rzeźbionymi kwiatami i medalionami, nie potrafiła mnie pokochać. Sądziłem, że czas okaże się moim sprzymierzeńcem, pewny, że jeżeli będę cierpliwy, obudzę w Etnie miłość i namiętność, lecz doznałem zawodu. W rezultacie nauczyłem się panować nad uczuciami i w nasze stosunki wkradł się niepotrzebny chłód, jeszcze bardziej paraliżujący przez to, że każda noc niosła wspomnienie tej pierwszej, w czasie której zyskałem pewność, iż Etna nie była dziewicą, gdy stanęła u mego boku przed ołtarzem. W ten sposób zazdrość wciąż się odnawiała, wciąż podnosiła głowę; stała się moją nieodłączną towarzyszką, bardziej godną zaufania i wierniejszą niż miłość.

Wielokrotnie przeklinałem się za to, że zachowałem milczenie w noc poślubną. Moment odpowiedni dla takiej konfrontacji minął bezpowrotnie, nie mogłem znaleźć okazji, która sprzyjałaby poruszeniu tak delikatnego tematu. Później, gdy coraz głębiej wchodziliśmy w rutynę małżeńskiej egzystencji, pomysł powrotu do tak przerażającego tematu stał się po prostu niemożliwy do zrealizowania. (Utraconą chwilę traci się na zawsze, prawda?).

Pewnego wieczoru kilka miesięcy po podróży poślubnej impulsywnie podniosłem się z krzesła, kilkoma krokami pokonałem dzielącą nas odległość i przyklęknąłem u stóp żony.

Etna próbowała właśnie rozsupłać poplątane nici i być może właśnie ten widok nasunął mi myśl o zacieśniającym się węźle naszego małżeństwa. Głęboko wzruszony, chwyciłem ją za rękę i wykrzyknąłem, że kocham ją całym sercem i pragnę wyłącznie jej szczęścia. Etna spojrzała na mnie z wyrazem zdziwienia, może nawet przestraszu na twarzy.

- Nicholasi... - powiedziała.

(Przez kilka lat niechętnie używała mojego imienia i zawsze wypowiadała je z lekkim wahaniem, jakby w ostatniej chwili powstrzymywała się, by nie zwrócić się do mnie „Profesorze VanTassel”.)

W drugiej dłoni wciąż trzymała igłę, tamborek do haftowania upadł jej na kolana, a oczy, zwykle takie piękne, były zaczerwienione od wysiłku (od razu pomyślałem, że muszę znaleźć dla niej lepszą lampę).

- Strasznie zmarzłaś! - zawołałem, zanim zdążyłem się opanować.

Jej ręka zaskoczyła mnie swym chłodem, natychmiast też przypomniałem sobie tamten wieczór po pożarze hotelu, kiedy odprowadziłem ją do domu Williama Blissa, ona zaś, ująwszy moją dłoń, powiedziała podobnym tonem: „Strasznie pan zmarzł”. Przez głowę przemknęła mi myśl, że wygląda na to, iż w ciągu kilku miesięcy po ślubie wysłałem całe ciepło z ciała mojej żony...

Tylko raz jeszcze mówiłem z Etną o miłości. Któregoś dnia, późnym popołudniem, staliśmy przy dużym oknie na piętrze domu, przyglądając się, jak nasze dzieci bawią się na dziedzińcu. Była to chwila, której znaczenie mogą w pełni pojąć tylko rodzice - duma łączyła się z najczystsza radością - i wydawało mi się, że tego dnia Etna uśmiecha się nie tylko do Clary i Nicodemusa, ale także do mnie.

- Kochaj mnie, Etno... - wykrztusiłem, ośmielony tym spontanicznym uśmiechem. - Proszę, kochaj mnie...

Teraz wiem, że była to rozpaczliwa prośba, na którą Etna nie umiała odpowiedzieć. Przestraszyłem ją. Powoli odwróciła się i odeszła, nie gwałtownie czy ze złością, ale prawie niechętnie, jakby chcąc dać mi do zrozumienia, że z radością przyjęłaby miłość, gdyby tylko było to w jej mocy.

(Co mogę powiedzieć o naszych stosunkach fizycznych? Miałem spore doświadczenie, jeśli chodzi o bardziej egzotyczne praktyki seksualne i zainteresowania tego nie straciłem do dziś. I chociaż za żadne skarby świata nie zainicjowałbym ich w małżeńskim łóżu, podobnie jak nie skalałbym umysłu Etny swoją dość bogatą wiedzą, to w przeciwieństwie do wielu innych młodych mężów znałem sekrety kobiecego ciała i potrafiłem przewidzieć, co może sprawić kobiecie przyjemność. W pierwszych miesiącach małżeństwa nie szczędziłem starań, aby zadowolić Etnę, a ona nie zniechęcała mnie, ale także nie reagowała. Niemożność obdarowania kobiety rozkoszą nie gasi seksualnego płomienia w mężczyźnie, płomienia, który wciąż zapala się od nowa, gasi natomiast gotowość do podejmowania wysiłku. W tej sytuacji nasze zbliżenia naznaczyło piętno nawyku i rutyny, pozbawiając je nowatorskich dążeń z mojej strony.

Wystarczy tych wyznań. Dosyć już, na Boga).

Tak więc tamtego październikowego poranka Etna i ja siedzieliśmy w jadalni wśród migoczących w słońcu drobinek kurzu, zgodnie z przyzwyczajeniem, z którego za nic bym nie zrezygnował. Chociaż nocą byliśmy sobie obcy, w świetle dnia znowu stawaliśmy się mężem i żoną, którzy z przyjemnością oddają się codziennym zajęciom. Jedząc grzanki, jajka, wędliny i tak dalej, bez najmniejszego napięcia wybiegaliśmy myślą w przyszłość, planując najbliższe godziny. Etna zawsze miała obok swego talerza pióro, kałamarz i notatnik, i gawędząc ze mną, zapępiała strony uwagami i listami, zapisując listę czynności do wykonania lub niezbędnych zakupów. Uwielbiałem na nią patrzeć, ponieważ z wiekiem jeszcze wypiękniała i jako czterdziestolatka była bardziej urodziwa niż gdy ją poznałem. Jestem zdania, że każda kobieta w określonym momencie osiąga szczyt urody; dla większości chwila ta przypada na wczesną młodość, koło piętnastego, szesnastego roku życia, lecz chociaż takie istoty są prześliczne i wspaniale się zapowiadają (wiele z nich nigdy nie spełnia pokładanych w nich nadziei, niestety!), nie można ich tknąć

i ich piękno nie może zostać w pełni docenione. Oczywiście, nie dowiem się już, jak wyglądała piętnastoletnia Etna (nie zachowały się żadne jej zdjęcia z tego okresu), jestem jednak przekonany, że właśnie jako kobieta czterdziestoletnia była najpiękniejsza.

- Wybierzesz się ze mną na wieczorne przyjęcie? - zapytałem, patrząc, jak smaruje masłem grzanekę.

Miałem na myśli zaplanowane na ten wieczór oficjalne spotkanie, na którym miano przedstawić pracownikom uczelni wykładowców kandydujących na stanowisko dotąd zajmowane przez Noaha Fitcha. Fitch przez siedem lat, aż do dnia swojej śmierci przed czterema miesiącami, piastował urząd dziekana Wydziału Literatury Angielskiej. Nigdy nie ukrywałem swoich ambicji i z powodzeniem przeszedłem przez kilka etapów procesu, który miał wyłonić najlepszego kandydata. (Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu prawie udało się to także wiecznie roztargnionemu Moxonowi, który cieszył się sympatią większości kolegów, a poza tym odniósł spory sukces za sprawą napisanej przez siebie niezwykle popularnej biografii lorda Byrona). Na obecnym etapie miałem już tylko dwóch rywali - Leavitta Hallocka, tego samego, który powołał do życia Wydział Kultury Fizycznej, oraz Fishera Talcotta Amesa, historyka z Bates College. Przez całą jesień zarząd uczelni ściągał do Thrupp innych kandydatów, między innymi Atwatera Halla z Princeton i Williama Merriama Hacha z Dartmouth (pozostałych nie pamiętam), i chociaż wizyty ewentualnych rywali siłą rzeczy trochę mnie denerwowały, byłem przekonany, że wszystko dobrze się ułoży.

Przyjęcie miało się odbyć w domu Edwarda Feralda, który dzięki znacznemu majątkowi szybko zajął miejsce w zarządzie. Uczelnia przyjęła go z szeroko otwartymi ramionami; były student i mecenas w jednej osobie - oto rzadkie, praktycznie niespotykane połączenie (krążyły plotki, że Ferald ma ponad dwa miliony dolarów). Chociaż Ferald dysponował głosem w nadchodzących wyborach (nie oczekiwałem, że odda ten głos na mnie, bo zapewne dobrze zapamiętał egzamin

z twórczości Waltera Scotta, który u mnie oblał), to poza nim głosować miało jeszcze sześciu członków zarządu, ja zaś czułem, że dostanę co najmniej trzy głosy.

- Z przyjemnością - odparła Etna, podwijając mankiet białej bluzki. Na podstawie jej porannego stroju zawsze potrafiłem przewidzieć, co zamierza robić w ciągu dnia. Tamtego poranka do bluzki włożyła gabardynową spódnicę i nie najlepsze buty, z czego jasno wynikało, że wybiera się do domu dla ubogich. Etna pełniła tam funkcję administratorki, była także wysoko ceniona ze względu na swoje kwalifikacje sekretarskie. Wspomniany dom przyjmował tylko kobiety, dziewczęta i dzieci, co bardzo mnie cieszyło, nie chciałem bowiem, aby moja żona miała do czynienia z mężczyznami, których życie zmusza do korzystania z tego rodzaju akcji dobroczynnych. Nie byłem zadowolony, że Etna poznaje nieszczęścia spadające na źle prowadzące się dziewczęta, pocieszała mnie jednak myśl, że dzięki tej wiedzy będzie z tym większą gorliwością czuwała nad przyszłością naszej córki.

- Jesteśmy zaproszeni na kolację? - zapytała.

W kuchni rozdzwonił się telefon. Miałem nadzieję, że to nie do mnie, ponieważ nie lubiłem, aby cokolwiek zakłócało moje poranki z Etną.

- Tak - odpowiedziałem.

- W takim razie powiem Mary, że może iść do domu, kiedy przygotowuje kolację dla dzieci. Nie będziemy jeść kolacji w domu, zresztą lunchu też nie.

- Tak, masz rację - odrzekłem z roztargnieniem, zerkając na wielki nagłówek na pierwszej stronie gazety: WILSON ZWRACA SIĘ DO NARODU Z PROŚBĄ O MODLITWY W INTENCJI POKOJU.

- Z drugiej strony, mogłaby zrobić po południu zakupy... -mruknęła Etna, bardziej do siebie niż do mnie.

- Na przyjęciu zostaną przedstawieni kandydaci na stanowisko dziekana - powiedziałem.

Moja żona podniosła wzrok znad swojej listy.

- Ty powinieneś objąć to stanowisko.

- Myślę, że jestem liczącym się kandydatem. Gdyby nie



krępujące zarząd zasady postępowania, najprawdopodobniej już by mi je zaproponowano.

Mówiłem pewnym siebie tonem, lecz pod pozornym spokojem kryło się zdenerwowanie, że zarząd musi brać pod uwagę kandydatów spoza uczelni.

- Kiedy ma się odbyć głosowanie? - zapytała.

- Piątego grudnia.

- Dlaczego tak późno?

- Wynika to z kodeksu uczelni. Głosowanie musi się odbyć dokładnie cztery miesiące po ogłoszeniu konkursu.

- Może należałoby dać znać Normanowi, że dziś po południu i wieczorem mógłby spokojnie dokończyć malowanie tej ściany w holu... - Etna podparła podbródek końcem ołówka.

- Tak. - Kiwnąłem głową. - Dobry pomysł...

- Potrzebuję trochę pieniędzy, Nicholasie - odezwała się po chwili, znacznie ciszej niż przed chwilą.

Podniosłem wzrok.

- Na...?

- Paliwo do samochodu - wyjaśniła. - Także na inne wydatki, bardziej osobistej natury...

- Oczywiście - rzekłem pośpiesznie, nie chcąc wypytywać o „wydatki bardziej osobistej natury”.

- Clara ma kaszel - dorzuciła Etna.

- Nie ma kaszlu - odparłem, przeglądając listy, które Mary przed chwilą położyła obok mojego talerza.

- Nie słyszałeś, jak kasłała rano?

Otworzyłem pierwszą kopertę i przebiegłem wzrokiem treść listu.

- Moim zdaniem nasza córka jest wyjątkowo uzdolnioną aktorką i wykorzystuje swoje umiejętności, kiedy widzi taką potrzebę.

- Nasza córka nie kłamie.

- Bardzo ją kocham, ale przypadkiem wiem, że dziś po południu ma dość trudny egzamin z geometrii przestrzennej i że jest gotowa zrobić wszystko, by do niego nie przystąpić. Nie powiedziałaś jej, mam nadzieję, że może nie iść do szkoły.

- Obawiam się, że powiedziałam. - Etna zmarszczyła brwi.

- Jesteś zbyt łagodna - oświadczyłem z lekkim uśmiechem. Wstałem i podszedłem do drzwi.

- Zejdź tu na chwilę, Claro! - zawołałem, wpatrując się w kartkę papieru - nie był to list, lecz jakaś faktura. - To niemożliwe... - wymamrotałem.

- O co chodzi? - zagadnęła Etna.

- Mam tu rachunek za żyrandol. - Odwróciłem się do niej. - Z malowanego na biało żelaza, na sześć świec, ze sklepu Marcha w Hanoverze. Zamawialiśmy żyrandol?

- Pozwól mi na to spojrzeć... - Etna sięgnęła po kartkę. - Odesłałam go - rzuciła po chwili, z pewną irytacją, tak mi się w każdym razie wydawało.

- Nie rozumiem, dlaczego przysłali rachunek...

- Więc jednak zamawialiśmy żyrandol?

- Ja go zamówiłam - rzekła. - Pomyślałam, że mogłby ładnie wyglądać nad bocznym wejściem, ale okazał się zdecydowanie za duży, więc odesłałam go do sklepu.

- Zaraz zadzwonię do Marcha i wyjaśnię sprawę.

- Nie, sama to zrobię - powiedziała Etna. - Masz dosyć zajęć, załatwię to. W tej chwili do holu zeszła po schodach Clara, jak zawsze (nawet wtedy, gdy symulowała chorobę) tryskająca zdrowiem i energią. Urodziła się roki dwa dni po naszym ślubie i powoli wyrastała na ładną pannę. Przez jakiś czas myślałem, że będzie smukła i wiotka, ponieważ jako dziecko była wręcz chuda, ale ostatnio zaczęła nabierać ciała. Clara odziedziczyła wzrost Etny oraz jasne włosy i niebieskie oczy moich holenderskich przodków (choć ja sam mam brązowe), a także wspaniałą, czystą i promienną cerę. Gdy weszła do pokoju, musiałem powstrzymać uśmiech, bo krzywo zapięła sweter, który włożyła na mundurek.

- Jesteś chora, Claro? - zapytałem. - Tylko mów prawdę, ostrzegam... Nasza córka otworzyła usta, aby odpowiedzieć, lecz coś w moim głosie lub wyrazie twarzy sprawiło, że się zawahała. Jeszcze przed sekundą starała się sprawić wrażenie osoby, która źle się czuje, ale teraz wyglądała raczej na zmieszaną niż na chorą.

- Moja droga... - zacząłem łagodniejszym tonem. - Myślisz, że mogłabyś jednak pójść do szkoły i przystąpić do tego ważnego egzaminu z geometrii?

Zastanowiła się nad moim pytaniem i zerknęła na matkę.

- Zgadzam się z twoim ojcem, kochanie - odezwała się Etna. - Może teraz czujesz się trochę lepiej...

Clara zakasłała raz, jednak wypadło to słabo, bo już się zorientowała, że sprawa jest przegrana. W tej sytuacji udawanie braku apetytu nie miało najmniejszego sensu, więc łakomym wzrokiem oceniła zawartość bufetu.

- Jest jakiś dżem do chleba? - zainteresowała się.

Wyruszyłem do college'u pieszo, jak każdego ranka przy w miarę sprzyjającej pogodzie, chociaż najczęściej nawet przy zdecydowanie złej staralem się nie zaniedbywać spaceru, który był jedyną formą ćwiczeń fizycznych, jaką podejmowałem. Chyba wspominałem już, że w przeciwieństwie do wielu moich kolegów nie uprawiałem żadnego sportu. Nie jeździłem konno, nie grałem w baseball ani tenisa, lecz mój krok nadal był sprężysty i szybki. Tego dnia dodatkową zachętę do spaceru stanowiły dla mnie barwy jesiennych liści - złociste, rudawe i czerwone jak wiosenne tulipany, szczególnie widoczne na tle zielonej trawy. To połączenie kolorów zrodziły gleba, woda i powietrze Nowej Anglii i chociaż zachwycało nas ono co roku, zawsze stanowiło pewnego rodzaju niespodziankę (a ta niespodzianka zdumiewała tym bardziej, że przecież byłem mieszkańcem tego regionu już od ponad dwudziestu lat). W czasie białej zimy i upalnych, wilgotnych miesięcy letnich umysł zapominał, jak błyskotliwym twórcą potrafi być natura. Trudno było uwierzyć, że kolory drzew, a szczególnie intensywny błękit nieba nad nimi, są prawdziwe; pomyślałem nagle, jak rzadko znajdujemy w literaturze dokładne i trafne opisy przyrody. (Mistrzem takich opisów był chyba Wordsworth, chociaż w gruncie rzeczy bardziej interesowała go idea natury niż sama natura). Tak czy inaczej, rozpościerający się przede mną widok wręcz zmuszał do zwrócenia myśli ku Stwórcy, mimo raczej letnich stosunków, jakie z Nim utrzymy-

walem. (Przyznać jednak muszę, że dość często dziękowałem Mu za cud, jakim były moje dzieci, i jeszcze bardziej niewiarygodny cud czternastu lat pożycia małżeńskiego z Etną Bliss).

Tego ranka w drodze na zajęcia minąłem dwie farmy mleczarskie, z których żadna nie była szczególnie malownicza, potem wybrałem trasę przez obrzeża miasta, zabudowane niezbyt ładnymi domkami (mieszkali tu pracownicy college'u, właściciele miejskich sklepów i tak dalej), aby w końcu dotrzeć do Wheelock Street, płonącej gorącymi kolorami koron drzew, tworzącymi przepiękny, zachęcający do przechadzki tunel.

Pamięć od razu podsunęła mi liczne wspomnienia nie tak znowu dawnych spacerów z Claram, która na widok drzew w jesiennym splendorze klaskała z zachwytem lub zamierała bez ruchu, z szeroko otwartymi ustami, a później pędziła przed siebie, zbierając najwspanialsze plamy barw - liście szkarłatne, pomarańczowe, rdzawe i żółte - i kiedy wracaliśmy do domu, kieszenie mieliśmy pełne szeleszczących liści. (Jakże uwielbiałem te wyprawy i jak uwielbiam wspomnienia o nich!).

Poszedłem w górę Wheelock z nieco większą godnością i powagą, niż zrobiłaby to Clara. Chociaż świat mocno zmienił się od 1899 roku, nie można było powiedzieć tego samego o domach przy tej ulicy. Przystanąłem przed domem Williama Blissa, który do niedawna bywał tak częstym gościem w naszym domu, że dzieci nazywały go „dziadziem”. Niestety, kilka miesięcy temu lekarze wykryli u Williama nowotwór i teraz starszy pan prawie nie opuszczał sypialni na piętrze. W ciągu minionych lat Etna i William bardzo się do siebie zbliżyli i teraz odwiedzała stryja kilka razy w tygodniu. Traktowała go jak ojca, on zaś z radością wziął na siebie tę rolę. Sam często wpadałem, aby zamienić z nim parę słów i tego dnia także nosiłem się z tym zamiarem, lecz na razie, po krótkim zastanowieniu, postanowiłem pójść dalej, nie chcąc kalać tak cudownego poranka myślą o śmierci. I jak to zwykle bywa przy podejmowaniu egoistycznych decyzji, odkryłem, że nie potrafię myśleć o niczym innym poza śmiercią, Blissa i własną, która przecież kiedyś nadejdzie. Gdyby przyszło mi

umrzeć przed końcem semestru (tak brzmiał wyrok lekarzy dla Blissa), jaką zostawiłbym schedę? Czy pozostałby jakiś ślad po życiu Nicholasa Van Tassela? Gdzie i jaki?

Długo stałem, rozmyślając o ambitnym Van Tasselu, który wiele lat temu przybył do Thrupp.

Inni wykładowcy college'u napisali lepsze rzeczy niż ja, opublikowali więcej prac, odebrali więcej nagród i pochwał. Krzywe wzlotu ich kariery były bardziej strome i sięgały wyżej. Moja praca nie była całkiem bez znaczenia - uczyłem setki studentów i być może obudziłem zapał do nauki w kilku z nich, okazałem się także sprawnym administratorem (to właśnie dobre zarządzanie Wydziałem Literatury Angielskiej najmocniej przemawiało za ofiarowaniem mi stanowiska dziekana), ale te drobne sukcesy nie miały nic wspólnego z prawdziwymi osiągnięciami. Jeżeli kiedykolwiek zbliżyłem się do wielkości, to tylko przez miłość do kobiety, która teraz była moją żoną, pomyślałem. Zdawałem sobie sprawę, że niewielu znanych mi mężczyzn uznałoby miłość za przyczynek do wielkości; większość powiedziałyby, że miłość do kobiety jest zbyt łatwa, codzienna, pospolita, a nawet świadcząca o skłonnościach do pantoflarstwa. Rzadko słyszałem, aby mężczyzna mówił o miłości - powszechnie uważa się, że temat ten zarezerwowany jest wyłącznie dla kobiet i poetów. A jednak w tamtej chwili byłem przekonany, że kochając Etnę, dotknąłem czegoś niezwykłego, ukrytego w głębi mego serca. Było to jedyne zajęcie, w które angażowałem całego siebie: zmysły, intelekt oraz emocje.

Postąpiłem kilka kroków naprzód i nagle znowu przystanąłem, zaskoczony nową, niepokojącą myślą. Czy aby mówić o osiągnięciu prawdziwej wielkości moja miłość nie powinna zostać odwzajemniona? Etna nigdy nie wyznała, że mnie kocha, ja zaś po tamtych dwóch wcześniejszych (i przygnębiających) okazjach, które wcześniej opisałem, nie miałem ochoty nalegać. Darzyła mnie większą sympatią niż na początku małżeństwa, tego byłem pewny, ale czy kochała? Z bólem serca (mimo upływu tak długiego czasu) muszę przyznać, że nie. Nie kochała mnie w taki sposób jak ja ją. Cóż, ostatecznie taką zawarliśmy umowę, prawda? Etna

zgodziła się zostać moją żoną w zamian za wolność bycia matką i panią własnego domu. Długą chwilę przyglądałem się, jak studenci przecinają dziedziniec, zakłócając jesienną geometrię tego miejsca i nagle poczułem, jak ogarnia mnie fala smutku, zupełnie nieprzystającego do tak cudownego dnia. Na szczęście zaraz potem przypomniałem sobie, że Etna Bliss jednak zgodziła się zostać moją żoną. Czy pytania, jakie sobie zadawałem, nie były zupełnie nieistotne w obliczu tej wielkiej prawdy? Pośpiesznie otrząsałem się z melancholii i ruszyłem w kierunku sali wykładowej.

Już zza rogu usłyszałem dość głośną rozmowę. Bez trudu poznałem brzmiały wielkim zadowoleniem z siebie głos Feralda i dość wysoki, pełen szczerych emocji Moxona, nie mogłem jednak zidentyfikować trzeciego głosu, z lekkim angielskim akcentem, który prawdopodobnie zataił się na przestrzeni lat. Myślałem, że uda mi się niepostrzeżenie przemknąć do sali, jako że nigdy nie miałem ochoty na spotkanie z Edwardem Feraldem, ale było już za późno. Gdybym nie przyłgnął do ściany, mogłoby dojść do zderzenia.

- Van Tassel... - odezwał się Ferald i nawet w tym skromnym powitaniu słychać było wzgardliwe rozbawienie. - Chciałbym przedstawić panu Phillipa Ashera, który w ostatnich latach wykładał na uniwersytecie w Yale...

Asher przewyższał mnie o głowę i był ode mnie znacznie szczuplejszy. Miał na sobie szary wełniany garnitur, który podkreślał odcień oczu (choć może to jego źrenice przybrały barwę materiału, nie wiem). Uśmiechał się lekko, lecz w przeciwieństwie do grymasu Feralda w wyrazie twarzy Ashera nie było cienia pogardy czy złośliwości. Jasne włosy nosił dość długie, zaczesane do tyłu z dziwnie młodzięczonego czoła. Sprawiał miłe wrażenie - można nawet powiedzieć, że był przystojny - i wyglądał na wybitnie inteligentnego, ale i uczciwego człowieka.

- Co sprowadza pana do Thrupp? - zapytałem.

- Profesor Asher wygłosi serię wykładów Kitchenera - odpowiedział za Ashera Ferald.

Wykłady Kitchenera niezmiennie dotyczyły odwiecznego konfliktu między powszechnym dobrem i prywatą. Obowiązkowo uczęszczali na nie studenci najstarszych lat wydziałów filozofii, historii i literatury angielskiej, chociaż zapraszano wszystkich. Wykłady wygłaszali wybitni humaniści, których wizyty nadawały naszej uczelni aurę prestiżu i często dawały okazję do intensywnej dyskusji na rozmaite tematy.

- Asher to człowiek o licznych talentach - ciągnął Ferald. - Jest nie tylko profesorem filozofii, lecz także badaczem twórczości Milтона, ekonomistą i poetą.

- Ach, tak... - odparłem.

- Wydaje mi się, że znam pańskie prace - odezwał się Asher. - Zajmuje się pan Scottem, prawda?

Z trudem powstrzymałem uśmiech zadowolenia na myśl, że moje dokonania znalazły się w polu zainteresowania Phillipa Ashera. Sam nie mogłem sobie przypomnieć, niestety, abym czytał jego opracowania, lecz na szczęście z pomocą przyszedł mi Moxon.

- Asher specjalizuje się w twórczości Nietzschego - powiedział.

Popadłem w krótkie zamyślenie.

- „Sądzę, że jeszcze nie pozbyliśmy się Boga, skoro pokładamy wiarę w gramatyce” - zacytowałem z pedantyczną dokładnością.

Ferald parsknął śmiechem.

- Zaskakuje nas pan głębią swojej wiedzy, Van Tassel - oświadczył.

Wraz z upływem lat Ferald stał się jeszcze bardziej niezdolny niż w latach studiów, jeśli to w ogóle możliwe. Złe cechy, mniej rzucające się w oczy u dziewiętnastoletniego młodzieńca, w pełni rozkwitły u trzydziestotrzyletniego mężczyzny. Ferald wyrobił w sobie elegancję, która mogła równać się wyłącznie z jego arogancją. Nosił ubrania z najlepszych gatunkowo wełen, importowanych z Anglii. Często uśmiechał się ironicznie, co wyglądało tak, jakby drwił z rozmówcy i ze wszystkich sił usiłował okazać mu pogardę. Darzyłem go najszczerzą antypatią, szczególnie

za jego ostentacyjnie demonstrowane bogactwo w obliczu akademickiej biedy, niezasłużoną pozycję (był bystrym, lecz marnym studentem, który w dodatku pysznił się swoim lenistwem i lekceważeniem wysiłku intelektualnego) oraz bezsensowne wtrącanie się w sprawy college'u (opowiadał się za rozszerzeniem uczelni o wydział medyczny, któremu to pomysłu byłem od początku przeciwny, ponieważ jego realizacja wyczerpałaby prawie wszystkie zasoby szkoły). Przede wszystkim nienawidziłem go jednak za rzucane spod przymkniętych powiek szacujące, wzgardliwe spojrzenia, takie jak to, którym właśnie mnie mierzył.

- Będzie pan dojeżdżał do nas z Yale? - zwróciłem się do Ashera.

- Jestem na urlopie naukowym - odrzekł. - Zatrzymałem się w hotelu Thrupp.

Stojący obok nas Moxon wykonywał bogaty choreograficzny układ nerwowych ruchów - przeczesywał włosy palcami, wsuwał ręce do kieszeni i zaraz je wyjmował, zdejmował jakieś nitki i pyłki z klap marynarki. Wydawało mi się, że nawet Ferald chętnie zostawiłby mnie już samego; tylko Asher zachowywał się spokojnie i całkowicie naturalnie.

- Nie powinniśmy dłużej zatrzymywać profesora Van Tassela - powiedział Ferald, lekko trącając gościa w ramię.

Asher wyciągnął do mnie rękę.

- Bardzo się cieszę, że mogłem pana poznać, profesorze - rzekł.

- Ja również - odparłem uprzejmie.

Muszę przerwać, ponieważ oczy bołą mnie od napięcia wywołanego skupianiem wzroku w poruszającym się wagonie. W moim przedziale zrobiło się całkiem ciepło, lecz w kącie stoi pojemnik z mechanicznie chłodzoną wodą do picia, w każdej chwili mogę też zamówić herbatę z lodem, więc mimo panującego w Karolinie Północnej upału czułem się zupełnie nieźle. (Nie miałem pojęcia, że jeszcze we wrześniu powietrze jest tu tak wilgotne). Po śniadaniu (zjadłem wędzonego śledzia),



aby zaznać trochę ulgi, udałem się do ostatniego wagonu, w którym znajduje się biblioteka i taras obserwacyjny, i dość długo siedziałem w przewiewnym miejscu, ciesząc wzrok pięknymi widokami. Pola i drzewa ze świstem pędziły do tyłu (podróżujemy z prędkością czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę), mnie zaś przyszło do głowy, że wrażenia towarzyszące takiej jeździe nieco przypominają zapisywanie wspomnień - staramy się trzymać chronologii wydarzeń i uchwycić przeszłość, szybko mknącą do tyłu i w końcu bezpowrotnie znikającą.

Czekałem na Etnę u stóp schodów i gdy ją ujrzałem, znowu pomyślałem, jak bardzo wypiękniała w latach naszego małżeństwa. Nie sprawiała już wrażenia tak wysokiej jak dawniej. (Czy możliwe, że w jakiś sposób zmaląła? Nie, wykluczone. Po prostu nie budziła już we mnie takiego lęku, to wszystko). Na ten wieczór wybrała satynową suknię z wysokim kołnierzem, koloru ciemnej miedzi, nieco krótszą niż zazwyczaj (kończącą się sześć centymetrów nad wieczorowymi pantofelkami i oczywiście wcale nie tak bezwstydnie krótką jak dzisiejsze suknie, które budzą zażenowanie nawet we mnie, gorliwym wielbicielu kobiecych wdzięków). Włożyła jedwabne pończochy w odcieniu sukni i ani przez chwilę nie wątpiłem, że wszyscy mężczyźni na przyjęciu będą podziwiać jej silne, zgrabne miedziane kostki. Na głowie miała zabawny kapelusz do jazdy samochodem, czarno-brązowe dzieło sztuki modniarskiej z szerokim rondem, woalką i dwiema wstęgami, które wiązało się pod brodą. Uwielbiałem ten kapelusz i często to powtarzałem.

Pomogłem Etnie włożyć płaszcz.

- Chcesz, żebym prowadził? - zapytałem.

- Broń Boże! - odparła pogodnie. - Jesteś zbyt nerwowym kierowcą, Nicholasie. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolę prowadzić sama.

Miała całkowitą rację. Byłem okropnym kierowcą - zawsze garbiłem się nad kierownicą, ściskając jej brzeg z taką siłą, że już po dotarciu na miejsce przez parę minut miałem zupełnie

sztynne palce. Nie zdołałem polubić tego zajęcia i zwykle byłem bardzo spięty.

- Nie mam nic przeciwko temu - odrzekłem szczerze.

Wyszliśmy bocznymi drzwiami i ogrodową ścieżką ruszyliśmy w stronę powozowni. Godzinę wcześniej nad miastem przeszła gwałtowna burza, lecz teraz słońce zachodziło, rozjaśniając ciepłym blaskiem szczeliny między chmurami. Światło dnia zniknęło, ale nadal widać było ogród, czy raczej jego jesienne szczątki. Kwitły jeszcze floksy; uwielbiam ich zapach - co jakiś czas planuję ożywić ogród tylko po to, aby znowu poczuć ten aromat, szybko zarzucam jednak te pomysły, bo radość w samotności nie byłaby przecież prawdziwą radością. Etna sama zaprojektowała ogród i z wielką przyjemnością pracowała w nim przez całe ranki. Miała dobrą rękę do róż, które tamtego październikowego wieczoru wciąż jeszcze się trzymały, niezwarzone zabójczym przymrozkiem.

- Jeżeli zostanę dziekanem, będę musiał wydawać dwa przyjęcia rocznie - odezwałem się do pięknych pleców Etny. - Jedno jesienią, tylko dla członków wydziału - męskie spotkanie w klubowym stylu, z cygarami, brandy i tak dalej, drugie zaś wiosną, w ogrodzie, dla wykładowców oraz ich rodzin. W maju, tak, w maju byłoby najlepiej... Chętnie zobaczyłbym ten ogród pełen dzieci...

- Brzmi wspaniale - powiedziała Etna.

Jak to bywa czasami tuż przed końcem dnia, słońce takim blaskiem rozświetliło wtedy krzewy różane, barwne główki floksów, żywopłot, przy którego zasadzeniu upierała się Etna, drzewa owocowe i nawet moją ukochaną żonę w jej śmiesznym kapelusiku, że nie umiałem znaleźć słów, którymi mógłbym wyrazić swój zachwyt (teraz, wspominając tamtą chwilę, czuję się podobnie). Cały świat na jeden krótki moment zajaśniał perłoworóżowym światłem, a na niebie, na tle wycofującej się w dal burzowej chmury, pojawiła się tęcza, oparta jednym krańcem o pole przylegające do naszego.

- Spójrz, Etno... - wykrztusiłem.

Moja żona przystanąła i gdy tak razem patrzyliśmy na wspaniałe spektakl przyrody, pomyślałem, że oto moje życie i cały majątek otrzymują błogosławieństwo. Byłem

szczęśliwym człowiekiem, prawda? Jeśli nie liczyć nocnych niepokojów, o których pod wpływem tego różanego blasku skłonny byłem zapomnieć, Etna i ja byliśmy dobrym małżeństwem, myślę, że lepszym niż wiele innych. Nigdy się nie kłóciliśmy i darzyliśmy się wzajemnym szacunkiem, co wcale nie zdarza się tak często. Szczęściarz ze mnie, pomyślałem, nie odrywając wzroku od powoli blednącej tęczy. Szczęście, które przez całe życie wciąż mi się wymykało, teraz było w zasięgu ręki, w każdym razie tak mi się wtedy wydawało.

- Jestem taki szczęśliwy... - odezwałem się.

- Mój drogi... - powiedziała Etna.

- Bardzo się cieszę, że idziemy na to przyjęcie - dodałem.

- Oczywiście - odparła. - Na pewno będziemy dobrze się bawić.

Dom Feralda był ostentacyjnie wspaniały i zupełnie nie pasował do skromnego jankeskiego krajobrazu. Zbudowano go ze sprowadzonego z Anglii piaskowca, w stylu kolonialnych domów Południa. (Trudno wyobrazić sobie, ile to kosztowało, zwłaszcza że podmurówkę obłożono granitem z New Hampshire!). Miał olbrzymi portyk z kolumnami kończącymi się na wysokości pierwszego piętra i duże okna bez kotar. Gdyby nie rzucające się w oczy bogactwo materiałów oraz stylu, dom tchnąłby spokojnym dostojeństwem i tego wieczoru właśnie tę pochwałę powtarzali rozmaici ludzie, zabiegający o względy Feralda. (W tym domu, stwierdzam to z przyjemnością, mieści się dziś szkoła dla niewidomych).

- Mój Boże... - westchnęła Etna, kiedy zatrzymaliśmy się na podjeździe.

- Grzech kryje się w nadmiarze - mruknąłem.

- Tak czy inaczej, to dość niezwykły dom.

- Niektórzy ludzie skłonni są posunąć się bardzo daleko, aby pokazać światu swoje bogactwo, chociaż byłoby o wiele lepiej, gdyby pozostawili je w ukryciu.

- Nie darzysz go zbytnią sympatią, prawda? - Uśmiechnęła się lekko.

- Muszę być dla niego uprzejmy - powiedziałem.

- Sądzisz, że zwykła uprzejmość wystarczy? W tych okolicznościach?  
- Jego głos jest tylko jednym z siedmiu, a ja jestem pewny co najmniej trzech. Na moje szczęście zarząd jest demokratyczną instytucją.

W holu powitał nas uśmiechnięty Ferald.

- Profesorze Van Tassel, przedstawiam panu moją żonę, Millicent. Ponieważ Ferald nigdy nie zapraszał mnie do siebie, nie miałem dotąd okazji poznać jego poślubionej niecały rok wcześniej żony, kobiety, która sprawiała wrażenie luksusowego stworzenia z piany morskiej, ubranej w koronkową suknię i wysadzaną drogimi kamieniami tiarę. Była smukła i delikatna, a jej włosy wydawały się prawie tak jasne jak skóra. Mimo całego otaczającego ją komfortu Millicent Ferald wyglądała na osobę dziwnie zagubioną i jakby nieustannie czymś zaskoczoną. Kilka osób wspominało mi, że żona Feralda jest zdominowana przez swego męża i teraz spojrzałem na nią ze szczerym współczuciem.

- Miło mi panią poznać - powiedziałem, ujmując jej dłoń. - Oto moja żona, Etna.

(Jakże my, mężczyźni, kochamy zaimki dzierżawcze...). Etna uśmiechnęła się do młodszej kobiety. Millicent Ferald miała najwyżej dwadzieścia lat.

- Ma pani przepiękny dom - rzekła Etna.

- Och, naprawdę tak pani uważa?

- Tak, jest wspaniały.

- Nie wydaje się pani za duży?

- Nie, w żadnym razie. Na pewno przyjmują państwo mnóstwo gości.

- Szczerze mówiąc, nie czuję się przy nich zbyt pewnie - powiedziała Millicent. - Te wszystkie przyjęcia...

Ferald, z trudem skrywając zniecierpliwienie tą wiele mówiącą wymianą zdań, celowo przechylił się za plecami Etny, aby podać rękę stojącemu za nią mężczyźnie. Był to jawny afront, który postanowiłem ukryć przed żoną, odsuwając się wraz z nią dalej od wejścia. Na szczęście prawie natychmiast natknęliśmy się na Moxona, w źle uszytym garniturze

o zdecydowanie za krótkich spodniach. Doprawdy nie mam pojęcia, jak ktokolwiek mógł wysunąć kandydaturę Moxona na stanowisko dziekana wydziału, nawet uwzględniając tę napisaną przez niego popularną biografię Byrona... Moxon jąkał się, nie umiał wydawać poleceń ani skupić na sobie uwagi żadnego audytorium i ubierał się jak kupiec, chociaż dysponował całkiem sporym dochodem. Tego wieczoru włożył kamizelkę w czerwone pasy, która na każdym innym mężczyźnie wyglądałaby wulgarnie, natomiast na Moxonie wydawała się po prostu dziwaczna.

- Witajcie, witajcie! - zawołał za głośno, szerokim uśmiechem manifestując zadowolenie ze spotkania z przyjacielem (jeśli można było nazwać nas przyjaciółmi, oczywiście). - Etno, wygląda pani cudownie... Jak zwykle roztargniony Moxon jakiś czas temu zaręczył się z córką miejscowego pastora metodystów, która niedługo przed wyznaczoną już datą ślubu odzyskała zdrowy rozsądek

i wyjechała kształcić się w bostońskim college'u Simmonsa. Młoda kobieta przeczytała biografię Byrona pióra Moxona i w jakiś sposób wmówiła sobie, że lord Byron i Moxon to jedna i ta sama osoba, co przychylnie nastawiło ją do nieszczęsnego autora. Wiem, że Moxon był załamany, kiedy dziewczyna zerwała zaręczyny, chociaż starał się robić dobrą minę do złej gry. Ten wieczór na pewno nie był dla niego miłą okazją, ponieważ prawie wszyscy wykładowcy byli żonaci - jedyny wyjątek stanowił podobny do mnicha Erling Morse, przedwcześnie postarzały nauczyciel historii starożytnej.

- Dziękuję - odparła Etna, przyjmując pocałunek Moxo-na. - Jaka ciekawa kamizelka...

- Okropna - rzekł Moxon trzeźwo. - Muszę znaleźć dobrego krawca, ciągle to powtarzam. Nicholas nie może narzekać na swojego, prawda? Spójrzcie tylko na ten sufit...

Etna podniosła wzrok i przyjrzała się zdobionym złoceniami kasetonom.

- Kto zaprojektował te wszystkie wspaniałości? - zagadnąłem głośno, patrząc na obite jedwabiem ściany.

- Mają tu nawet basen - poinformował nas Moxon.

- Jakoś nie wyobrażam sobie Feralda, regularnie zażywającego ruchu - rzuciłem.

- Basen! - powtórzyła Etna. - Doskonały pomysł... Podsunęta przez wyobraźnię wizja Etny w kostiumie

kąpielowym, schodzącej do krytego basenu (gdzieś w tle pojawił się także motyw togi i kiści winogron) wprawiła mnie w prawdziwe rozmarzenie, i dopiero po paru chwilach zorientowałem się, że weszliśmy do dużego salonu, gdzie większość gości sączyła szampana (natychmiast pomyślałem, że to zupełnie zbędna ekstrawagancja, oczywiście typowa dla Feralda; koniec końców, mieliśmy zajmować się kwestią edukacji, nie rozrywki). Szybko zauważyłem, że pod wpływem szampana zebrani zachowywali się znacznie bardziej beztrosko niż zwykle - śmiali się pogodnie i chętnie podejmowali rozmowę na różne tematy, co w gruncie rzeczy było dość przyjemne. Niektórzy utrzymywali później, że przyjęcie u Feralda było jednym z najzabawniejszych wieczorów w historii college'u.

Stoły zastawiono półmiskami z barwnymi tartinkami, lokaje roznosili kieliszki z szampanem. Moxon zgubił się gdzieś w tłumie. Położyłem dłoń na plecach Etny, lecz wkrótce rozdzielili nas znajomi, którzy podchodzili, aby się przywitać. Odbyłem krótką rozmowę z Leavitem Hallockiem na temat stanu zdrowia Williama Blissa (żaden z nas nie mógł się zdobyć na optymizm) i w jej trakcie dostrzegłem stojącego niedaleko Eliphaleta Stone'a, jednego z członków zarządu. Uznałem jego obecność za okoliczność sprzyjającą dalszej promocji mojej kandydatury i podszedłem, aby zamienić z nim parę słów.

- Podano homara - odezwałem się, gdy znalazłem się tuż obok.

Co najmniej osiemdziesięcioletni Stone miał najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu, musiałem się więc pochylić, aby w ogóle usłyszał mnie w panującym w salonie gwarze.

- Słucham? - krzyknął, osłaniając ucho dłonią.

- Jest homar! - oznajmiłem głośnie.

- Homar - mruknął Stone z nieukrywanym niesmakiem. - Nie jadam ryb ani żadnych dennych stworzeń.

- Ach, tak... Cóż, może to i słuszny punkt widzenia...
  - Rozmawiałem z tym facetem z Bates. - Stone przeszedł do sedna sprawy. - Z tym, który poluje na twoją posadę...
  - Ma pan na myśli Fishera Alcotta Thomasa...
  - Wydaje się trochę tępawy - ciągnął Stone (był to interesujący komentarz, zwłaszcza że sam Stone nie należał do szczególnie błyskotliwych rozmówców). - Chyba wiesz, że stawiam na ciebie - dodał takim tonem, jakby obwieszczał nieszczęście. - Nienawidzę zmian.
  - Otóż to - powiedziałem miłym tonem. - Nikt za nimi nie przepada.
  - Gdzież jest twoja urodziwa małżonka? Odwróciłem się w kierunku, gdzie jeszcze przed chwilą stała Etna i nagle dotarło do mnie, że gdzieś ją zgubiłem.
  - Przepraszam na chwilę - powiedziałem. Urok Etny zawsze działał na moją korzyść, pomyślałem więc, że nie powinienem przegapić takiej okazji. - Zaraz jej poszukam...
- Ciekawe, gdzie się podziała, zastanawiałem się. Nie było jej w salonie ani w jadalni. Ogarnął mnie niepokój - czyżby źle się poczuła?
- Wyszedłem do holu i znalazłem się w korytarzu, gdzie na ścianach wisały zupełnie niezłe obrazy (niektóre mistrzów holenderskich, zauważyłem z satysfakcją). Hałas i gwar rozmów został w tyle i przycichł. Jedna odnoga korytarza, z podłogą wykładaną dużymi kafłami, prowadziła do natatorium. Przekroczyłem próg wilgotnego, utrzymanego w błękitno-zielonej tonacji pomieszczenia. Basen wcale nie był aż tak imponujący, jak sądziłem. Szczerze mówiąc, chyba mógłby się w nim zmieścić tylko jeden energiczny pływak.
- Jak myślisz, po co wybudowali basen? - rozległ się głos Etny.
- Drgnąłem zaskoczony. Stała po prawej stronie drzwi i w pierwszej chwili w ogóle jej nie zauważyłem.
- Och, tutaj jesteś! - ucieszyłem się. - Niepokoiłem się o ciebie.
  - Chciałam obejrzeć basen.
  - Trzeba było mi powiedzieć...



- Rozmawiałeś z panem Stone'em, nie chciałam przeszkadzać.
- Jesteśmy na obcym terytorium - powiedziałem. Rzuciła mi cudowny, figlarny uśmiech.
- Sądzisz, że spotka nas za to kara? Odeślą nas do domu bez kolacji? Gdybyśmy byli w domu kogoś innego, nie Feralda, nalegałbym, żebyśmy natychmiast wrócili do pozostałych gości, lecz w tej sytuacji, w dodatku po dwóch kieliszkach szampana, przyszło mi do głowy, że naruszenie granicy prywatności nielubianego byłego studenta może okazać się całkiem zabawne.
- Ferald i jego żona na pewno pływają w tym basenie - rzekłem. Od razu nawiedziła mnie krótka i nieprzyjemna wizja Feralda, spoczywającego na jednym z szezlongów na brzegu basenu i obserwującego swoją żonę, Millicent, zabawiającą się nago w wodzie na jego życzenie; szybko pozbyłem się tego obrazu, nie tylko z powodu jego rozwiązanej zmysłowości, lecz także dlatego, że prawie jednocześnie wyobraziłem sobie Etnę w todze, z winogronami w dłoni. Ferald wyglądał na zmysłowego mężczyznę, można nawet powiedzieć, że sprawiał wrażenie niemoralnego i kiedy dziś wspominam tamten wieczór, i próbuję przelać wspomnienia na papier, obraz jego twarzy wciąż pojawia się przed moimi oczami. Etna schyliła się i dotknęła powierzchni wody, migoczącej w elektrycznym świetle zainstalowanym pod sufitem. Przesunęła palcami po gładkiej tafli, zagubiona we własnych wspomnieniach. Może wróciła myślami do przyjemnej morskiej wycieczki, którą odbyliśmy razem, nie wiem... Obserwowałem ją z pogodnym zadowoleniem.
- Wspominasz jakąś miłą sytuację - odezwałem się po chwili. Podniosła wzrok.
- Mówię o tobie - powiedziałem. - Wydaje mi się, że przypomniałaś sobie coś przyjemnego, teraz, dosłownie przed chwilą.
- Mam wiele przyjemnych wspomnień - odrzekła.

- Wyrazam nadzieję, że niektóre z nich wiążą się ze mną. Wyprostowała się i strząsnęła krople wody z koniuszków palców.

- Mam wiele cudownych wspomnień z życia rodzinnego, tak - rzekła ostrożnie.

Odsunęła się od krawędzi basenu i usiadła w wiklinowym fotelu; jej spódnica uniosła się lekko. Zająłem miejsce obok, nie mogąc oderwać oczu od jej zgrabnych kostek, obleczonej w pończochy koloru miedzi. Wzdłuż przeciwnej ściany stało kilkanaście donic z tropikalnymi roślinami, które najwyraźniej wspaniale rozwijały się w bardzo wilgotnym, nagrzanym powietrzu. Włosy na skroniach Etny zdążyły się już lekko skreć. Wyciągnąłem rękę i ująłem jej dłoń.

- Czy ma to dla ciebie aż tak wielkie znaczenie? - zapytała.

- Twoje szczęście?

- Nie, chodziło mi o stanowisko dziekana.

- Tak - odparłem. - Chyba tak. Jestem ambitny.

- Ale nie nadmiernie...

- Od dawna zależy mi na tej posadzie.

- Przybędzie ci zajęć.

- Traktuję to jako wyzwanie.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się.

- Co cię tak rozbawiło? - zapytałem.

- Przypomniałam sobie, jak pierwszy raz poszliśmy na herbatę do kawiarni przy Kimball Street... Powiedziałeś wtedy, że jesteś gotów czekać wiele lat na stanowisko Noaha Fitcha, a mnie zaskoczyła twoja cierpliwość...

- Boże, jakże to było dawno... - Pokręciłem głową, myśląc o tamtej miłej przechadzce. - Pamiętam, że mówiłaś o Newmanie...

- Byłeś zdziwiony, że w ogóle o nim słyszałam.

- Tak, to prawda. Dziś wiem, że nie powinienem był czuć zdziwienia. Mówiłaś o wolności...

- Naprawdę? - Cofnęła rękę. - Chyba powinniśmy już wracać do innych. Lada chwila ktoś zauważy naszą nieobecność...

- Zostańmy jeszcze moment - zaproponowałem, nie chcąc

tak szybko tracić jej, przynajmniej częściowo, na rzecz innych ludzi. Poza tym czułem, że powinienem coś wyznać swojej żonie. Teraz, po wszystkich tych latach. Rozchodzące się po wodzie kręgi kojarzyły mi się z elementem ryzyka (nie wiem, dlaczego) i to dodało mi odwagi. I chociaż jakiś poważny, rozsądny głos w mojej głowie protestował rozpaczliwie, uległem pokusie.

- Chciałbym... - zacząłem.

Etna czekała cierpliwie, zwrócona twarzą do mnie.

- Co chciałbyś zrobić, Nicholasie? - zapytała po dłuższej chwili.

Usiłowałem zwerbalizować w myśli pytanie, na które Etna powinna udzielić mi odpowiedzi. Pragnąłem tego z całego serca. Otworzyłem usta i zaraz znowu je zamknąłem. Jak to ująć? Jakimi słowami wyrazić? Czy powinienem zacząć od przeprosin? A może powiedzieć, że wiem, iż takie pytanie może wydać się jej obraźliwe, tylko że ja tak długo czekałem na odpowiedź? Wykazałem się przecież cierpliwością, prawda? Czyż nie była to odpowiedź, do jakiej ma prawo każdy mężczyzna, każdy małżonek?

Znowu otworzyłem usta. Całkiem możliwe, że wychyliłem się do przodu i niewykluczone, że Etna nieświadomie powtórzyła ten ruch. Miałem wrażenie, że długo trwaliśmy w milczeniu.

- Chciałbym wymazać wspomnienie naszej podróży poślubnej! - wyrzuciłem z siebie, sfrustrowany i zrozpaczony.

Etna cofnęła się lekko, chyba zaskoczona gwałtownym tonem mojego wyznania. Siedziała nieruchomo, jak zwykle w chwilach lęku lub zagubienia. Nigdy wcześniej ani później nie znaleźliśmy się tak blisko rozmowy na temat naszej nocy poślubnej i nagle przeraziłem się, że straciłem kontrolę nad własnym językiem.

- Chodzi mi o to, że... - podjąłem, starając się złagodzić wrażenie, jakie musiały na niej wyrzucić moje słowa i wyjaśnić, co miałem na myśli. - Wydaje mi się, że...

Oczywiście szybko pojąłem, że nie uda mi się wyrazić wiel-

kiego niepokoju, jaki budziła we mnie każda myśl o tamtej nocy. Nie mogłem zapytać, czy przede mną miała innych kochanków. Rozwaga wzięła górę nad śmiałością.

- Nie umiem tego powiedzieć - oświadczyłem bezradnie. Etna potrząsnęła głową.

- Co się dzieje, Nicholasie? - zapytała. - Zachowujesz się dziś bardzo dziwnie.

- Nic się nie dzieje - odparłem. - Tyle tylko że...

Nie byłem w stanie mówić dalej. Etna zrozumiała, jestem o tym głęboko przekonany, ponieważ przykryła moją dłoń z czułością i dobrocią, których wspomnienie jeszcze dziś zapiera mi dech w piersiach.

- Czasami potrafisz mnie rozśmieszyć - powiedziała. - Jesteś taki strasznie poważny i tak bardzo się starasz...

- Każdy stara się na własny sposób - odrzekłem.

- Podobno jest tu także oranżeria. - Podniosła się z fotela.

- Oranżeria! - sarknąłem, także wstając. - Jeszcze jeden element stylizacji na dobrze urodzonego Anglika... Skoro Ferald jest taki zakochany w Anglii, to może powinien się tam przenieść na stałe.

- Uszczęśliwiłoby cię to?

Obciągnąłem kamizelkę, która podniosła się na moim całkiem sporym brzuchu.

- Już jestem szczęśliwy - odparłem zdecydowanym tonem.

Opuściliśmy basen i poszliśmy dalej, zaglądając do kolejnych pomieszczeń. Z dołu, z oficjalnej części domu dobiegały przyciszone przez odległość głosy gości. Po pewnym czasie znaleźliśmy oranżerię, całą przeszkloną, z której można było obserwować usiany gwiazdami nieboskłon. Odkryliśmy także bardzo nowoczesną kuchnię, wyposażoną we wszystkie wymyślne udogodnienia - toster, lodówkę oraz elektryczny podgrzewacz. Ramię w ramię przebiegliśmy przez spiżarnię, która wydawała się prawie tak długa jak południowa ściana naszego, niemałego przecież domu, potem zaś wróciliśmy

do zebranych na dole, czując się trochę jak dzieci, pewne, że wybryk ujdzie im płazem.

Kelner podsunął nam tacę z wysokimi kryształowymi kieliszkami, pełnymi złotawego szampana. Wzięliśmy po jednym i trąciliśmy się. Nagle ostry brzęk srebrnego noża o kryształ przywołał nas do rzeczywistości, zakłócając atmosferę łączącego nas sekretu. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę źródła dźwięku.

Edward Ferald, skupiwszy na sobie uwagę obecnych, odłożył nóż i kieliszek.

- Witam miłych kolegów i ich piękne żony - zaczął, wywołując tym komplementem miły szmerek.

Trudno było jednak nie zauważyć, że sam Ferald nie stał obok swojej pięknej żony, lecz obok Phillipa Ashera, który ostatnio wykładał w Yale.

- Dziękuję, że zechcieliście przybyć do mego domu w ten piękny październikowy wieczór - ciągnął Ferald. - Zanim za chwilę siądziemy do kolacji, chciałbym przedstawić tym z was, którzy nie mieli okazji poznać go wcześniej, mojego specjalnego gościa, Phillipa Ashera, profesora Wydziału Filozofii w Yale. Profesor Asher łaskawie zgodził się wygłosić w naszym college'u serię wykładów...

Znowu szmer głosów, tu i ówdzie nawet oklaski.

- Profesor Asher, absolwent Harvardu, urodził się w Londynie i przybył do naszego kraju, mając dwanaście lat. Jest nie tylko filozofem, etykiem i poetą, ale również odkrywcą, niedawno wrócił z wyprawy badawczej do Nowej Gwinei. Do końca tego semestru korzysta z urlopu naukowego, chyba że... - tu Ferald mrugnął w obrzydliwie porozumiewawczy sposób i zaborczym gestem otoczył barki Ashera ramieniem... - chyba że uda nam się namówić go, aby został z nami trochę dłużej.

Zażenowany Asher wyraźnie nie bardzo wiedział, gdzie podziać oczy.

Jego wzrok padł na mnie i wtedy wreszcie stało się dla mnie jasne to, co zapewne było oczywiste od samego początku.

Asher był kandydatem na stanowisko dziekana mojego wydziału.

Całkowicie zaskoczony i przerażony tą pewnością, przyjrzałem mu się uważnie. Asher był tym, kim ja nie byłem. Autentycznym mieszkańcem Nowej Anglii, człowiekiem z dobrej rodziny, nie byle Amerykaninem holenderskiego pochodzenia. (Więcej, był prawdziwym Anglikiem, który zamieszkał w Nowej Anglii! Czyż można wyobrazić sobie lepsze połączenie?). Błyskotliwym naukowcem, nie nudnym nauczycielem. Poetą, nie pedantem. Pomyślałem o członkach zarządu - wielebnym Fredericu Stimsonie, obecnie pełniącym obowiązki pastora uczelni (człowieku, którego z pewnością zaintryguje świadomość, że dziekanem wydziału może zostać etyk), Howardzie Yatesie, bankierze ze starej rodziny o angielskich korzeniach, od blisko dwustu lat zamieszkałej w Nowej Anglii, Clarku Price, zdeklarowanym anglofilu, i wreszcie Feraldzie, który czuł do mnie antypatię i pogardę. Czy sprawne zarządzanie wydziałem oraz przeciętne osiągnięcia naukowe i pracowitość mogły stanowić przeciwwagę dla znakomitego, wybitnego intelektu poety z Yale?

Asher nie spuszczał ze mnie wzroku, ja zaś doskonale wiedziałem, co widzi - mężczyznę, który wraz z upływem lat przybiera na wadze, ponieważ całe dni spędza za biurkiem, łysiejącego stopniowo, lecz wyraźnie. Czy wiedział, że ja także kandyduję na stanowisko dziekana? Czy Ferald poinformował go o tym, a może sam Asher wyczuł moje ambitne zamiary?

Ta chwila, gdy w wieczór pożaru hotelu ujrzałem Etnę Bliss, dała mi poznać pragnienie, jakiego nigdy wcześniej nie czułem, i raz na zawsze odmieniła moje życie. Niedługo później przyzwyczaiłem się do jego rozgraniczania - pierwsza część miała miejsce przed poznaniem Etny, druga po tym wydarzeniu. Pojawienie się Etny stało się swoistą cezurą mojego istnienia. Teraz, patrząc, jak Ferald bierze Ashera pod swoje skrzydła, czułem się podobnie. Zazdrość powoli rozplątała zwoje swego cielska i podniosła głowę niczym gotowa do ataku żmija, i oto zrozumiałem, że dotąd nie dane mi było poznać jej potęgi, nawet wtedy, gdy leżałem obok Etny w naszym małżeńskim łóżu. Zazdrość o Etnę w porównaniu z tym uczuciem była jak lekka mgiełka, która szybko znika w pro-

mieniach porannego słońca. Ta zazdrość była czymś zupełnie innym - mroczną stroną podziwu i zachwytu, podskórną warstwą miłości i szacunku.

(Dziś, mniej więcej dwadzieścia lat po tamtych wydarzeniach, przychodzi mi do głowy, że wielka namiętność czy zazdrość mogą być wynikiem procesów chemicznych, jakie zachodzą w naszym mózgu, procesów, które włączają się ponownie na wspomnienie pewnego wydarzenia. Jeżeli tak właśnie jest, to co musi dziać się w moim mózgu, gdy piszę te słowa - moje szare komórki z pewnością tworzą coś w rodzaju chemicznej zupy...).

(Czy w mózgu w ogóle zachodzą procesy chemiczne? Po powrocie do Thrupp będę musiał zapytać o to Hallocka).

Tej nocy spałem bardzo niespokojnie, często się budząc, a od czasu do czasu wyczuwałem w leżącej obok Etnie czujność, jakiej normalnie nie zauważałem. Przypisywałem jej nerwowość temu, że w czasie przyjęcia przypadkowo ściągnęła na siebie uwagę większości obecnych. Etna przeprosiła gospodarza, tłumacząc upuszczenie kieliszka z szampanem (niestety, zdarzyło się to w chwili prawie zupełnej ciszy, zaraz po tym, jak Ferald przedstawił gościom Ashera) mokrymi palcami, na których zebrała się rosa powstała na schłodzonym kryształach. Jeśli chodzi o moje własne wzburzenie, to mogę powiedzieć jedno - za każdym razem, gdy otwierałem oczy, widziałem, aż zbyt wyraźnie, patrycjuszowskie rysy Phillipa Ashera, ostatnio wykładającego w Yale. Tak więc oboje z Etną, niczym dwie małe łódki, kołysaliśmy się na falach bezsenności, to wznosząc się na ich spienionych grzbietach, to znów opadając, dopóki rano jak zwykle do drzwi sypialni nie zapukała nasza pokojówka, Abigail. Moja żona zerwała się wtedy z łóżka tak szybko, że nawet nie miałem czasu odezwać się do niej, zupełnie jakby od paru godzin czekała na nadejście poranka.

Po dokonaniu zabiegów toaletowych spotkaliśmy się w jadalni.

Zauważyłem wtedy, że ulga, jaką zazwyczaj odczuwałem, spowodowana ustąpieniem nocnego napięcia między nami, tym razem się nie pojawiła. Przywitaliśmy się nie jak

dobrzy przyjaciele (jeśli sobie przypominam, nie pocałowaliśmy się), lecz raczej jak wyczerpani, znużeni ciężką pracą koledzy, zbyt zajęci ważnymi sprawami, aby poświęcić kilka minut na rozmowę. Nie wiem, o czym myślała Etna (tamtego poranka wyobrażałem sobie, że w myśli układa liścik z przeprosinami, który chciała posłać Millicent Ferald), pamiętam jednak, co działo się w mojej głowie.

Starłem się szczegółowo przypomnieć sobie wszystko, co zostało powiedziane poprzedniego dnia - w holu uczelni i na przyjęciu u Feralda - i, jak większość ludzi, po fakcie układałem uwagi i riposty, które wprawiały mnie w zdumienie swą błyskotliwością, ponieważ nie miały zabrzmieć w rzeczywistości. Jakże pragnąłem cofnąć czas, aby wystąpić w roli pewnego siebie, otwartego profesora, który nie załamuje się na myśl o poważnym rywalu, lecz serdecznie wyciąga do niego rękę, jak przystało człowiekowi honorowych zasad. Tyle że ja nigdy nie przepadałem za grami i teraz także nie umiałem wzbudzić w sobie sportowego ducha, a wypowiedziane przez Feralda słowa wprawiły mnie w stan kompletnego zagubienia i niepewności.

Wszystko wskazywało na to, że straciłem nie tylko spokój ducha, ale również apetyt, grzebałem więc w żółtku ugotowanego na miękko jajka zupełnie jak dziecko, które wcale nie ma ochoty na śniadanie. Doszedłem do wniosku, że poszukam Ashera i porozmawiam z nim, aby dowiedzieć się, jak wielkim może być dla mnie zagrożeniem. Zdawałem sobie sprawę, że Eliphalet Stone (ten, który nienawidził homarów i ryb) oraz wielebny Frederick Stimson nie będą zbyt przychylnie nastawieni do dziekana spoza uczelni, przynajmniej początkowo. Obaj wierzyli, i słusznie, że tylko człowiek uczelni może w pełni zrozumieć jej potrzeby, szczególnie jeżeli jest to szkoła prowincjonalna, jak nasz college. Co więcej, żaden z nich nie opowiadał się za rozszerzeniem uczelni, zwłaszcza jeśli chodzi o nauki ścisłe. Uważali, że skoro podstawą ich wykształcenia były takie przedmioty jak łacina, retoryka oraz interpretacja Biblii, to powinny one także wystarczyć następnym pokoleniom. Nie byłem aż tak wielkim konserwatystą, sądziłem jednak na przykład, że fundusze szkolne należy przeznaczyć



raczej na rozwój biblioteki niż na zakładanie wydziałów nauk ścisłych, za co czułem się winny wobec chorego Williama Blissa, którego wtedy wszelkie debaty na ten temat interesowały w podobnym stopniu jak sprzątającą właśnie ze stołu po śniadaniu Mary.

Kątem oka dostrzegłem, że Etna sięga po stojącą tuż obok mojego nakrycia cukiernicę i natychmiast otrząsałem się z zamyślenia, by ją podać żonie.

- Przyjęcie było całkiem przyjemne, prawda? - odezwałem się, przerywając trwające między nami milczenie.

- Tak-odparła.

- Mam wrażenie, że za bardzo przejęłaś się tym stłuczonym kieliszkiem...

- Słucham?

- Mówię o kieliszku, który niechcący upuściłaś.

- Ach, tak... - Skinęła głową i wsypała do filiżanki dwie łyżeczki cukru (zwykle ograniczała się do jednej).

- Przeprosiłaś Feraldów w niezwykle uprzejmy sposób, więc naprawdę nie powinnaś o tym więcej myśleć.

Spojrzałem na nią uważniej i zauważyłem, że jest bardzo blada.

- Źle się czujesz? - zapytałem z zaniepokojeniem. - Widziałem, że wzięłaś dwie łyżeczki cukru...

- Naprawdę?

Zmusiła się, żeby ugryźć kawałek grzanki, ale chyba właśnie tego potrzebowała, bo zaraz uśmiechnęła się do mnie pogodnie. Uspokoilem się i wróciłem do swoich myśli.

- Całe popołudnie spędzę dziś w Baker House - powiedziała. - Wrócę dopiero koło piątej.

- W Baker House? - zdziwiłem się. - Może powinnaś się przebrać...

Etna miała na sobie bluzkę z różowego jedwabiu, raczej nieodpowiednią, moim zdaniem, na spotkanie z ubogimi.

- Miałam inne plany, ale czuję potrzebę, aby tam pojechać - odrzekła, co zainteresowało mnie jeszcze bardziej.

Zaskoczyło mnie, że wyraziła tę potrzebę, a także pewnego rodzaju gwałtowność, z jaką ją wypowiedziała. Etna nieczęsto miała jakieś pragnienia i zacząłem się zastanawiać, czy filan-

tropią, aczkolwiek sama w sobie nie naznaczona piętnem egoizmu, jest rzeczywiście idealnym wyrazem altruizmu, czy też może raczej służy i potrzebującemu, i ofiarodawcy.

- Wrócisz na kolację? - zapytałem.

- Oczywiście - odpowiedziała, zapisując coś w leżącym obok jej talerza notatniku.

Chwilę uważnie obserwowałem jej profil, gdy pochylała się nad kartką. (Była krótkowidzem, ale nie chciała się do tego przyznać - taka łagodna próżność wydawała mi się zupełnie zrozumiała u kobiety, chociaż sam od dawna nosiłem okulary, szczerze mówiąc, bez specjalnej potrzeby, nawet wtedy, w wieku czterdziestu czterech lat). Światło wpadające przez wysokie okna oświetlało płaszczyzny jej twarzy: wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, proste, czarne rzęsy, ocieniające oczy w kształcie migdałów, delikatne skronie z pajęczą linią włosów, długą szyję, naznaczoną niewieloma zmarszczkami. Etna miała piękny, wyraźny charakter pisma - lubiłem patrzeć na pisane przez nią słowa, teraz też wyteżyłem wzrok, aby dojrzeć, co zanotowała, lecz odczytałem tylko „jagnięcinę” i „kwas solny”.

Zaraz potem moją uwagę pochłonęły nasze dzieci, które właśnie weszły do pokoju. Clara, przyjąwszy do wiadomości konieczność przystąpienia do egzaminu z geometrii przestrzennej, była w znacznie lepszym nastroju niż poprzedniego dnia i od razu zabrała się do jedzenia owsianki (jej doskonały apetyt zawsze bardzo mnie cieszył), natomiast Nicodemus, jak przystało na rasowego niejadka, mierzył swoją miseczkę podejrzliwym wzrokiem.

- To tylko owsianka, Nicky. - Etna uśmiechnęła się.

- Poproszę brunatny cukier i rodzyнки - rzekł Nicky. Etna, która często nieco go rozpieszczała, skinęła głową stojącej przy drzwiach Mary, naszej kucharce. Mieliśmy tylko troje służących - wspomnianą Mary, pokojówkę Abigail oraz ogrodnika Warrena. Tylko troje, a więc mało jak na tamte czasy, chociażby w porównaniu z trzynastoosobowym zespołem służby w domu Feralda czy siedmiorgiem służących Moxona. (Nie raz zastanawiałem się, co oni wszyscy robili przez cały dzień. Moxon nie był przecież nawet żonaty... Czy mówiłem

już, że napisana przez Moxona biografia lorda Byrona odniosła nieoczekiwany sukces i przyniosła mu sporo pieniędzy? Tak, mam wrażenie, że wspominałem o tym. Czy zazdrościłem Moxonowi jego powodzenia? Cóż, chyba tak).

- Ładnie dziś wyglądasz - powiedziałem do Clary.

Była to najzupełniej szczerza uwaga, gdyż w ostatnich miesiącach zauważyłem, że jeszcze niedawno płaska jak deska Clara nabrała ciała, urosła i stała się bardziej dziewczęca, może nawet kobieca. Z radością dostrzegłem, że zaczyna pozbywać się skłonności do nieco łobuzerskich, chłopięcych zachowań (rozchyłania kolan przy siedzeniu, biegania wtedy, gdy należało iść spokojnym krokiem czy najzupełniej niepotrzebnego kręcenia się w sytuacjach wymagających statecznej postawy, na przykład w kościele) oraz poruszać się lekko i wdzięcznie. Niemniej Clara nadal była dzieckiem, co najwyraźniej dało się zauważyć w obecności jej brata, który oczywiście skłaniał ją do najgorszych reakcji.

- Nicky napisał swoje imię na drzwiach sypialni - oznajmiła teraz z nieukrywaną satysfakcją, ku przerażeniu Nico-demusa.

- Nieprawda! - wybuchnął Nicky, chociaż łzy, które natychmiast popłynęły po jego policzkach, zadawały kłam temu oświadczeniu. Nicky nigdy nie umiał i nadal nie umie kłamać, co stwierdzam z prawdziwą radością.

- Zrobiłeś to. - Clara pokiwała głową. - N-I-C-O-D-E-M-A-S. Szkoda, że nie udało ci się uniknąć błędu ortograficznego...

- Czy Clara mówi prawdę? - Etna zwróciła się do syna. Łzy jeszcze obficie popłynęły z oczu Nicky'ego, wprawiając go w wielkie zmieszanie.

- Czym napisałeś swoje imię? - zapytała łagodnie Etna.

- Węgłem drzewnym z mojego szkolnego zestawu - poinformowała ją pośpiesznie Clara. - I zniszczył mi jedną kredkę!

W gruncie rzeczy wszyscy (poza Clarą) czuliśmy współczucie dla Nicodemusa, który w końcu tylko podpisał drzwi własnej sypialni (nie wątpiłem, że węgiel da się łatwo zmyć),

lecz nie dla naszej córki, winnej znacznie paskudniejszego grzechu, jakim jest donosicielstwo. Właśnie takie są wyzwania, którym codziennie muszą sprostać rodzice - odróżnianie niewinnych i nie do końca niewinnych postępków swoich dzieci.

- Po powrocie ze szkoły zmyjesz napis z drzwi i zwrócisz Clarze pieniądze za zepsutą kredkę - powiedziała cicho Etna.

- Z czego? - Nicky żałośnie pociągnął nosem.

- Z pieniędzy, które masz w słoiku.

- Ale ile jest warta taka kredka?

- Dziesięć centów - bez wahania powiadomiła brata Clara.

Zrozumiałem, że ta dyskusja, jeżeli pozostawimy ją w rękach Clary i Nicky'ego, nie zakończy się w rozsądny sposób, i zdecydowanym tonem zawyrokowałem, że Nicodemus odda Clarze jednego pensa. Moja decyzja wywołała protest Clary, która uważała, że jej kredka warta jest o wiele więcej, ale w pełni zadowolili Nicky'ego, ponieważ biedak miał już dosyć rozmowy na temat swojego przestępstwa.

Dzieci znowu skupiły uwagę na posiłku, a ja wróciłem myślami do Phillipa Ashera. Do końca śniadania nie dotarło już do mnie ani słowo z rozmowy Etny z dziećmi, nie zrozumiałem też nic z artykułu w gazecie, który starałem się przeczytać; przed oczami wciąż miałem chłodną, pewną siebie twarz uczonego z Yale. Czy teraz, po przedstawieniu Ashera wszystkim wykładowcom, nadal mogłem być pewny głosów Stone'a i Stimsona? Czy znakomite rekomendacje Ashera i podstępne zabiegi Feralda nie przechyliły wagi na korzyść tego pierwszego? Nagle dotarło do mnie, że może wcale nie zostanę wybrany na stanowisko dziekana wydziału. Czuję, że muszę coś zrobić, ale co?

- Muszę już iść, moi kochani - powiedziałem, podnosząc się z krzesła i składając lekki pocałunek na czubku głowy Etny. - Jestem trochę spóźniony...

- Naprawdę? - Podniosła wzrok.

- Mam spotkanie, o którym niemal zapomniałem.

- Podwieźć cię?

- Nie, nie trzeba - odparłem. - Chętnie się przejdę. Powinienem więcej się ruszać.

Nie chciałem, aby Etna odwiozła mnie do college'u, ponieważ najpierw wybierałem się do hotelu Thrupp. Nie bardzo wiedziałem, co zrobię, kiedy dotrę na miejsce, czułem jednak, że muszę tam pójść.

Po pożarze 1899 roku hotel został odbudowany i umeblowany w stylu gospody kolonialnej, co bardzo mi się podobało (czy wspominałem już, iż nie gustuję w dziewiętnastowiecznym wzornictwie?). Drewniane podłogi pokryto ładnymi perskimi dywanami, ściany jasną tapetą, tworzącą miłą dla wzroku całość z białym tynkiem, a pokoje i pomieszczenia publiczne umeblowano zgrabnymi sprzętami z mahoniu i drewna wiśniowego.

Usiadłem w holu z nadzieją, że uda mi się z daleka dostrzec wychodzącego Ashera. Mógłbym wtedy udać, że wpadłem na niego przypadkiem i zacząć rozmowę, bo teraz zależało mi przede wszystkim na tym, aby zamienić z nim parę zdań z dala od wścibskich spojrzeń Feralda i jego popleczników. Nie chciałem składać Asherowi wizyty w jego gabinecie w college'u, lecz spotkanie w mieście wydawało mi się czymś zupełnie naturalnym.

Sięgnąłem po lokalną gazetę i drugi raz tego samego dnia z trudem i bez zrozumienia przebiegłem wzrokiem wydrukowane na pierwszej stronie informacje. Siedziałem w holu, starając się stworzyć wrażenie człowieka, który wstąpił tu tylko na chwilę, aby przejrzeć wiadomości i udać się do pracy (gabinet Noaha Fitcha należał teraz do mnie - czytelnika na pewno ucieszy wieść, że zainstalowałem w nim światło elektryczne i pozbyłem się ohydnych aksamitnych zasłon), kiedy nagle przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie Asher je śniadanie w jadalni hotelowej. Skierowałem się tam i już w progu zauważyłem swoją ofiarę, spokojnie spożywającą poranny posiłek w rogu sali.

Kelner zapytał, czy zamierzam zjeść śniadanie w hotelu, więc korzystając z nieprzewidzianej okazji, odpowiedziałem twierdząco. Zaprowadzono mnie do stolika, który znajdował się w pobliżu stolika Phillipa Ashera, co pozwoliło mi zatrzymać się i zwrócić na siebie jego uwagę.

- Profesorze Asher! - odezwałem się z odpowiednią dozą zdumienia (mam nadzieję). - Dzień dobry!

- Och, Van Tassel... - Asher wstał, przytrzymując białą serwetkę. Wyglądał na zaskoczonego i chyba trochę zmieszanego.

- Mam nadzieję, że przyjemnie spędza pan czas w naszym mieście - powiedziałem.

- Bardzo, bardzo...

- Wczoraj wieczorem mieliśmy okazję uczestniczyć w miłym przyjęciu - zauważyłem.

- Tak, oczywiście... - Asher serwetką zdjął kawałeczek jajka z wąsów.

- Nie chcę panu przeszkadzać... - rzekłem, wskazując dłonią talerz.

Milczał chwilę, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią, ja zaś z przyjemnością skonstatowałem, że najwyraźniej nie jest aż tak błyskotliwy, jak sądziłem.

- Czy pan także przyszedł na śniadanie? - zapytał w końcu.

- Często tu zaglądam, mniej więcej raz lub dwa w tygodniu - odparłem, szybko wynajdując najwłaściwszy pretekst. - Naszej kucharce zdarza się czasami przypalić owsiankę i wtedy tylko udaję, że ją zjadam... - wyjaśniłem konspiracyjnym tonem i spojrzałem na drugie krzesło przy stole.

To spojrzenie było zupełnie jednoznaczne.

- Dotrzyma mi pan towarzystwa? - zapytał.

I zanim zdążył mnie poinformować, że sam już prawie skończył, przyjąłem jego nie do końca szczerą propozycję (jakże miała być szczerą, skoro narzuciłem mu swoje towarzystwo?).

- Z przyjemnością - powiedziałem, krótkim gestem odprawiając kelnera, który czekał, aby zaprowadzić mnie do innego stolika. - Cieszy mnie, że będę miał okazję porozmawiać z panem o pańskich wykładach, których już nie mogę się doczekać. Pierwszy wygłosi pan w czwartek, prawda? Usiadłem. Rzadko jadałem śniadania w hotelowej restauracji i nie znałem dobrze menu, zamówiłem więc jajka, wędlinę i grzanki z dżemem pomarańczowym.

- Tak - odrzekł.

Chyba stracił apetyt albo po prostu już go zaspokoił, bo wyprostował się i oparł dłonie na brzegu stołu. Spojrzał w okno i dopiero po chwili skupił wzrok na mnie. Jego twarz, blada z natury, tego ranka wydawała się wręcz biała.

- Mam nadzieję, że nie znudzę słuchaczy - dorzucił.

- Nonsens! - zaprotestowałem gorliwie. - Chociaż nie wątpię, że niedługo zatęskni pan za New Haven.

- Cieszę się, że mogę oglądać jesień w New Hampshire - rzekł. - Im dalej na północ, tym intensywniejsze i bardziej nasycone stają się barwy natury...

- To prawda, lecz podobno w Kanadzie jesień jest mniej kolorowa.

- Chodziło mi o Nową Anglię - wyjaśnił Asher.

- Szkoda tylko, że Thrupp nie ma wiele do zaoferowania wykładowcy z Yale - powiedziałem z uśmiechem. - Zazdroszczę panu.

- Naprawdę?

- Zazdroszczę każdemu, kto ma szansę dyskutować o twórczości Bertranda Russella, Hilaire'a Bellocka czy Bena Jonsona z ludźmi o podobnym potencjale intelektualnym.

- Obawiam się, że moja wiedza o dziełach Bena Jonsona jest raczej uboga

- powiedział. - To nie moja dziedzina...

Przerwał i przez chwilę miałem wrażenie, że usiłuje przypomnieć sobie, jaka jest jego dziedzina. Bacznie przyglądał się mojej twarzy, która z pewnością nie zasługiwała na tyle uwagi.

- To drugorzędny poeta - rzuciłem, mierząc wzrokiem jego rysy.

Phillip Asher miał mocną twarz o wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych i szarych oczach. Śmiało można było nazwać go przystojnym, co także nie nastawiało mnie do niego przychylnie, wiedziałem bowiem, że uroda fizyczna zawsze w znaczący sposób wpływa na to, jak widzą i oceniają nas inni. Odwrotną stronę tej prawdy poznałem na własnym przykładzie - brak atrakcyjności nie raz przeszkodził mi w uzyskaniu lepszej pozycji. (Powie tu jednak, zakłócając chronologię mojej historii, że kiedy po ponad dziesięciu

latach zupełnie przypadkowo spotkałem Ashera na Newbury Street w Bostonie, zdumiało mnie, jak niełaskawy okazał się dla niego czas. W okresie, gdy nie widzieliśmy się ani razu, Phillip Asher dosłownie wyblakł. Miał siwe włosy i brwi tak białe, że prawie niewidoczne. To była nieprawda, powiedziałem, gdy tak staliśmy na środku tej uroczej bostońskiej ulicy. Asher tylko skinął głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu).

- Obawiam się, że Thrupp wyda się panu potwornie nudne - powiedziałem.

- Nie odniosłem takiego wrażenia, przynajmniej na razie.

- Zapewniam pana, że to chwilowe. Przyznaję, że mamy tu kilku wybitnych specjalistów rozmaitych dziedzin, ale nie da się ukryć, że brakuje nam odpowiednich rozrywek. W Thrupp nie ma teatru, opery ani filharmonii...

- Naprawdę? Mówiono mi, że koncerty w auli Cushinga są naprawdę interesujące.

- Ale odbywają się tylko wiosną - wyjaśniłem.

- Tak... - rzekł Asher. - O tym także mi wspomiano...

- A wiosną na pewno będzie pan już w New Haven.

- Mam roczny urlop naukowy.

- To prawda, to prawda. - Pokiwałem głową. - Ma pan rodzinę?

- Nie jestem żonaty, jeżeli o to panu chodzi.

- Studiował pan w Harvardzie...

- Tak.

- Nie podobało się panu w Cambridge? - zapytałem.

- Nie była to kwestia sympatii czy też antypatii do miejsca - odrzekł ostrożnie. - W pewnym momencie zrozumiałem, że najlepiej będzie mi w New Haven.

- Przebył pan drogę z Londynu do Cambridge, potem do New Haven i wreszcie do Thrupp, profesorze Asher. Jest pan wędrowcem, odnoszę jednak wrażenie, że podróżuje pan w niewłaściwym kierunku...

- Albo we właściwym - powiedział spokojnie. - Wszystko zależy od punktu widzenia.

- To prawda. - Uśmiechnąłem się, smarując grzanekę dżemem. - Proszę wybaczyć ciekawość, ale ile ma pan lat?



- Trzydzieści cztery.
- Tak niewiele! Asher milczał.
- Jest pan młodym człowiekiem, lecz niewątpliwie powinien pan pomyśleć o założeniu rodziny.
- Może.
- Sęk w tym, że w Thrupp trudno będzie znaleźć odpowiednią kandydatkę.
- Naprawdę?
- „Trudno” to za dużo powiedziane, u nas po prostu nie ma odpowiednich panien! - zawołałem.
- Trudno w to uwierzyć - powiedział.
- Cóż, mamy tu pannę Sarah Griggs, córkę uczelnianego skarbnika, która niestety posiada niezwykle wysoki głos, przez co nie da się z nią rozmawiać dłużej niż parę minut. Jest także Julia Phipps, córka profesora historii starożytnej, znawcy san-skrytu, która niedługo przekroczy trzydziestkę, no i dostojną Fredericę Hesse, której niemieckie pochodzenie daje o sobie znać nie tylko w przyciężkiej sylwetce, ale również w zimnym sposobie bycia i krzywym zgryzie...
- Asher utkwiał wzrok w oknie. (Dziś krzywię się ze wstydu, wspominając tamtą rozmowę, pełną oczywistych podtekstów).
- Mam nadzieję, że przydzielono panu gabinet, w którym może pan przygotowywać wykłady - powiedziałem. - A może skazano pana na przesiadywanie w bibliotece?
- Członkowie zarządu okazali się hojni i przyznali mi gabinet.
- Doskonale. Proszę mi wybaczyć, że znowu wtrącam się w pana prywatne życie, ale czy się mylę, sądząc, iż kandyduje pan na stanowisko dziekana wydziału?
- Asher wyprostował się i odchylił do tyłu w krześle.
- Podobnie jak pan - powiedział.
- W ten to sposób obaj wreszcie wyłożyliśmy karty na stół.
- Zgłosił pan swoją kandydaturę? - zapytałem.
- Zaproszono mnie, abym to uczynił.
- Ach, tak...
- Jak do tego doszło, zastanawiałem się. Czy Edward Ferald

osobiście napisał do Ashera? Ale skąd Ferald mógł się dowiedzieć o istnieniu takiego intelektualisty? Więc może to inni ponosili odpowiedzialność za pojawienie się w Thrupp profesora z Yale?

- Jesteśmy najzupełniej prowincjonalną uczelnią - zauważyłem. - Podróż pociągiem z Bostonu do Thrupp zajmuje prawie cały dzień.

Asher manifestacyjnie spojrział na zegarek.

- Obawiam się, że muszę już iść - rzekł, podnosząc się z krzesła. - Mam umówione spotkanie.

Wstałem także, zgodnie z wymogami dobrego wychowania.

- Cóż, nie mogę powiedzieć, że życzę panu powodzenia. - Uśmiechnąłem się.

- Słusznie. - Asher wyciągnął do mnie rękę. - Mam jednak nadzieję, że pozostaniemy dobrymi kolegami.

- Oczywiście - rzekłem.

Asher miał silny, bardzo męski uścisk, co trochę mnie zaskoczyło, ponieważ jego rysy świadczyły o pewnej delikatności.

- Profesorze Asher... - podjąłem.

- Proszę mówić do mnie po imieniu - powiedział. - Nazywam się Philip.

- Dobrze, Philipie. Pomyślałem, że może zechciałbyś przyjść do nas na kolację. Moja żona, Etna, i ja bylibyśmy bardzo radzi... Jedzenie w hotelu i college'u na pewno nie zawsze ci odpowiada...

Na moment oczy Ashera rozszerzyły się przerażeniem, a może tylko tak mi się wydawało, może było to po prostu zdziwienie - dlaczego ktoś miałby zapraszać rywala do domu... (Gdyby zapytał wprost, odpowiedziałbym mu, że czynię to, aby lepiej ocenić jego możliwości, wartość i skalę zagrożenia). Byłem pewny, że Etna nie będzie miała nic przeciwko temu zaproszeniu, chociaż mogło ją nieco zdziwić, bo rzadko zdobywałem się na takie gesty wobec kolegów. Tak czy inaczej, ona również była na przyjęciu u Feralda i z pewnością zdała sobie sprawę, jakie znaczenie ma publiczne poparcie Feralda okazane Asherowi.

- Dziękuję, Van Tassel - rzekł po chwili.

- Nicholasie.
- Dziękuję, Nicholasie.
- W piątek wieczorem? - zapytałem. Lekko zmarszczył brwi.
- Obawiam się, że...
- W takim razie w niedzielę, dobrze? Asher powoli skinął głową.
- Doskonale - powiedziałem, wykorzystując odpowiedni moment. - Jesteśmy umówieni. Pozwól, że zapiszę ci mój adres. Może na pierwszą, na obiad, co ty na to? Będziesz miał dość czasu, aby wrócić do domu po nabożeństwie i tak dalej?

Asher milczał.

- Przyjechać po ciebie do hotelu?
- Nie, mam automobil.
- Naprawdę? - zapytałem. - Jakiej marki?
- Forda.
- Przyjechałeś tu nim z New Haven?
- Tak... - Rozejrzał się dookoła, nie kryjąc, że chętnie znalazłby się w innym miejscu.
- Drogi były dobre?
- Do Thrupp prowadzi bezpośrednia trasa - odparł z roztargnieniem.
- Nie chcę cię dłużej zatrzymywać - oświadczyłem. - Możemy porozmawiać o tym w niedzielę u mnie.

Zanim zdołałem powiedzieć coś więcej, odsunął się od stołu.

- Dziękuję za zaproszenie - dodał.

Usiadłem, aby dokończyć zimne śniadanie i chwilę patrzyłem na oddalającego się Ashera. Czuję się lepiej niż po dwóch poprzednich spotkaniach z moim rywalem. Dostrzegłem pewną słabość u Phillipa Ashera, znak, że prawdopodobnie obawia się mnie jako konkurenta.

Może jeszcze nie wszystko było stracone...

Tak się złożyło, że Phillip Asher nie przyszedł do nas ani w tamtą niedzielę, ani w następną, a to z powodu śmierci

William Blissa, który zmarł dzień po mojej rozmowie z gościem z New Haven, pozostawiając Etnę i mnie w żałobie. Etna była zrozpaczona, czemu trudno się dziwić, ja zaś przez prawie tydzień starałem się jak najrzadziej oddalać z domu, aby w każdej chwili być przy niej i łagodzić jej ból. Pewną pociechę moja żona znalazła w towarzystwie Miriam, swojej siostry, która przyjechała na pogrzeb z Exeter. (Pippa, druga siostra Etny, przebywała w tym czasie w odwiedzinach u rodziny swego męża w Chicago i nie wzięła udziału w ceremonii). Wraz z Miriam przybył Keep, jej mąż, i oczywiście obydwójce zatrzymali się u nas. Nie przepadałem za Josipem Keepem, lecz w takiej sytuacji zawsze należy wykazać się prawdziwą wielkodusznością i wyrozumiałością, a poza tym byłem gotowy zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie niewątpliwie zrobiło na nich moje zupełnie nieoczekiwane pojawienie się w tamten już prawie zapomniany niedzielny ranek. Chociaż Miriam co roku przyjeżdżała do nas na cały tydzień, Josip Keep nie odwiedzał Thrupp; nie miałem złudzeń co do jego opinii na temat uczelnianego campusu (zaraz po przyjeździe oświadczył, że to ponure, szare miejsce), myślałem jednak, że może przynajmniej nasz dom zrobi na nim dobre wrażenie. (Wkrótce okazało się, że była to płonna nadzieja. „Zastanawiam się, dlaczego tyle okien wychodzi na te okropne granitowe skały”, wybrzydzał. „Kupiliśmy dom razem z oknami”, odparłem, starannie ukrywając złość).

Ceremonia pogrzebowa była imponująca. Wielebny Frederick Stimson wygłosił głęboko osobiste i wzruszające kazanie na temat wielkiej dobroci i intelektu Williama Blissa. Etna płakała (w przeciwieństwie do swojej siostry, Miriam, która dużo gorzej znała stryja); ja także czułem, jak smutek ściska mnie za gardło, chociaż łzy nie mieściły się w standardzie „męskiego” zachowania. Byłem poruszony nieukrywaną rozpaczą Etny i moją własną sympatią do Williama Blissa (całkowicie szczerą - w końcu to właśnie w jego domu nawiązałem znajomość z Etną), a także wspomnieniem naszego ślubu, który czternaście lat wcześniej odbył się w tej samej kaplicy, i pierwszego pocałunku, jakim obdarzyłem żonę.

Kaplica była wypełniona żałobnikami. Nie zdawałem sobie sprawy, że Bliss cieszył się szacunkiem tylu ludzi, choć naturalnie mogłem się tego domyślić, bo był łagodnym, dobrym człowiekiem i prawdziwym znawcą trudnej dziedziny. Po nabożeństwie udaliśmy się na lunch do domu Evelyn Bliss, która była wyraźnie wyczerpana opieką nad ciężko chorym mężem i ciągłym towarzyszeniem mu w ostatnich dniach życia. Etna i ja staliśmy w holu rezydencji Blissów, witając przybywających (zawsze uważałem, że stypa to dziwaczny zwyczaj; kto chciałby spożywać posiłek, rozmyślając nad czyjąś śmiercią, co nieuchronnie prowadzi do myśli

o własnym odejściu...). Co jakiś czas Etnie napływały łzy do oczu i wtedy na chwilę zostawiała mnie samego. Za którymś razem, gdy nie było jej szczególnie długo, udałem się na jej poszukiwanie. Zajrzałem do jadalni i kuchni, a nie znalazłszy jej, poszedłem na górę, by ją pocieszyć. Zza drzwi jednego z pokoi dobiegł mnie jakiś dźwięk, zawahałem się jednak, ponieważ pamięć natychmiast podsunęła mi wspomnienie tamtej chwili w dniu naszego ślubu, kiedy zastałem Etnę samą przed lustrem, wpatrzoną w swoją bladą, znużoną twarz, z wyrazem takiej rozpaczliwej w oczach, jakiej chyba nigdy nie widziałem, ani wcześniej, ani później. Szybko otrząsnąłem się z tych nieprzyjemnych myśli, zapukałem i wszedłem do pokoju, gdzie powitał mnie widok siedzącej na brzegu łóżka Etny o mocno zaczerwienionych i zapuchniętych powiekach. Słyszając moje kroki, westchnęła głęboko i podniosła spuszczone głowę.

- Moja droga... - odezwałem się. - Niepokoiłem się o ciebie...
- Powinnam była częściej odwiedzać stryja Williama.
- Przychodziłaś do niego, kiedy tylko mogłaś.
- Nie dość często. On cierpiał, a ja zachowywałam się jak egoistka.
- Nonsens, kochanie! Nie znam osoby bardziej obowiązkowej od ciebie!
- Myślałam wyłącznie o sobie...

Wybuch Etny zaskoczył mnie, ale postanowiłem być to-

lerancyjny - właśnie straciła człowieka, którego traktowała jak ojca.

- Nie rozumiem cię - powiedziałem. - Myślisz o wszystkich, tylko nie o sobie. Doskonale opiekujesz się dziećmi i mną także...

- Świadomie wprowadzam cię w błąd, Nicholasie. Uważasz, że jestem dobra i cnotliwa, podczas gdy ja lekceważę dobroć i wszelkie wartości. Masz mnie za pozbawioną egoizmu, gdy tymczasem ja robię wszystko dla siebie... - Zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem. - Nie opiekuję się tobą, nie wyobrażaj sobie, że tak jest... Z zimnym sercem wypełniam małżeńskie obowiązki i teraz przepraszam cię za to. Przepraszam cię, przepraszam...

Lekko dotknąłem jej ramienia.

- Nigdy nie byłaś wobec mnie zimna...

- Ale nigdy cię nie kochałam! - krzyknęła.

Moje palce znieruchomiały na jej sukni. Byłem jak sparaliżowany, niczym w chwilach wielkiego przerażenia (nagle przyszła mi na myśl kobieta, która zamarła bez ruchu przy stole podczas pożaru w hotelu i trzeba było ją wynieść na zewnątrz, ponieważ sama nie zdołałaby zrobić choćby jednego kroku). Wiedziałem - oczywiście, jakże mógłbym nie wiedzieć - że żona mnie nie kocha, ale czym innym było mieć taką świadomość, a czym innym usłyszeć te słowa, wypowiedziane na głos. O, z pewnością czym innym...

- Wybacz mi - odezwała się Etna. - Nie to miałam na myśli...

- Nie zaprzeczaj - odparłem.

- Zraniłam cię...

- To bez znaczenia.

- Spójrz na mnie - poleciła. Podniosłem wzrok na jej twarz.

- Usiądź, proszę - dorzuciła cicho.

I tym razem spełniłem jej polecenie. Etna delikatnie ujęła moją głowę w dłonie.

- Zawsze kochałeś mnie całym sercem - powiedziała.

- Tak.

- Takie uczucie to prawdziwy skarb. Móc kochać kogoś

w taki sposób, tak głęboko, tak bardzo... Rozumiesz to? Wiesz, jakie to ważne?

Musiałem wyglądać na zaskoczonego, bo długo przyglądała mi się w milczeniu. W końcu potrząsnęłam głową.

- Zazdroszczę ci - szepnęła. - To ja zazdroszczę tobie, rozumiesz?

Brzmiąca w jej głosie żarliwość bardzo mnie zdziwiła. Ten ton zupełnie nie pasował do spokojnej, zrównoważonej i opanowanej Etny. Parę chwil trwaliśmy bez ruchu, bez słów.

Co mam powiedzieć o tym, co wydarzyło się później? Ze ze śmierci rodzi się życie? Że nawet w najciemniejszych godzinach rozpacz daje ciało wolność, która wcześniej wydawała się niepojęta i niemożliwa?

Wiedziałem, że rozpacz czasami przeistacza się w pożądanie, ono zaś w chciwe pragnienie życia (pragnienie, które osłania nas przed unicestwieniem, tak mi się w każdym razie wydaje). To właśnie wydarzyło się tamtego dnia, kiedy Etna odwróciła się do mnie, ujęła moją twarz w dłonie i zaczęła wzrokiem szukać w niej... Czego? Czego w niej szukała? Co chciała znaleźć? Nie wiem, lecz dokładnie pamiętam pocałunek, który nas połączył, budząc we mnie wzruszenie i pożądanie. Wtedy po raz pierwszy poczułem smak namiętności na wargach mojej żony i pomyślałem, że warto było na to czekać.

Z wielkim wahaniem przywołuję tu najbardziej osobiste wspomnienia, ale ponieważ stanowią część tej narracji i pewien przyczynek do moich prób zrozumienia Etny Bliss, gotowy jestem uwiecznić je na papierze.

Etna ucałowała moje powieki, policzki i wróciła do warg. Delikatnie musnęła moją szyję, wsunęła palce pod węzeł krawata i rozsypała go jednym zaskakująco sprawnym ruchem. Potem obie jej dłonie znalazły się pod klapami mojej marynarki, gładziły moje ramiona i barki.

Zacząłem jej pomagać, prawie nie dowierzając szczęściu, które niespodziewanie mnie spotkało.

Etna dotykała mnie tak, jak nigdy wcześniej (mnie, Nicholasa Van Tassela); w ciągu następnych kilkunastu minut doświadczyłem niezwyklej rozkoszy (nie sądzę, aby William

Bliss miał nam to za złe - zawsze wydawało mi się, że był człowiekiem spełnionym i szczęśliwym, jeżeli chodzi o seks), którą dziś wspominam jak cudowny sen. Kopniakiem zatrzasnąłem drzwi i pozwoliłem, aby moja żona mnie rozebrała. Po raz pierwszy od początku naszego małżeństwa to Etna Bliss pieściła moje ciało i starała się sprawić mi przyjemność.

Nie musiałem uciekać się do żadnych sztuczek, aby ją zadowolić.

Wszystko odbyło się bez wysiłku, z radosną lekkością. Pamiętam też, że kiedy później leżeliśmy spleceni na łóżku, pomyślałem, iż tak to właśnie powinno być - mąż i żona, połączeni i nasyceni, bez żadnej bariery między nimi.

Gdyby tylko ten stan mógł trwać bez końca...

Usłyszałem jakieś głosy za drzwiami i lekko trąciłem Etnę, która zapadła w sen. Drgnęła, obudziła się, usiadła na łóżku i natychmiast zaczęła poprawiać suknię i uczesanie, ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu.

Chciałem powiedzieć, aby tego nie robiła, wiedziałem jednak, że wstydziłaby się, gdyby przyłapał nas ktoś z żałobników. Jeśli o mnie chodzi, to ogarnęła mnie fala tak wielkiego rozleniwienia, że z trudem zapiąłem guziki koszuli, które mniej więcej pół godziny wcześniej rozpięła moja żona.

- Wybacz mi, Nicholasie - powiedziała Etna. Siedziała odwrócona do mnie plecami, szybkimi ruchami

upinając pasma włosów, które opadły na ramiona. Poprawiłem się na łóżku, aby dojrzeć jej twarz.

- Nie ma powodu, abyś prosiła mnie o wybaczenie - odrzekłem. - Wręcz przeciwnie... Przepelnia mnie najprawdziwsza radość, Etno.

- Nie jestem sobą.

- Jesteś sobą, i to właśnie jest takie cudowne.

- Nicholasie...

- Takie zachowanie przystoi małżonkom - powiedziałem, unosząc obie dłonie. - Sama zresztą doszłaś do podobnego wniosku...



Etna przycisnęła palce do skroni i przeczesła nimi włosy. Potem zasłoniła twarz splecionymi na głowie ramionami, jakby pragnęła się ukryć.

- Etno...

Opuściła ręce. Spojrzała na siebie w lustrze, dostrzegła znowu potargane włosy i ciężko westchnęła, widząc, że będzie musiała zacząć wszystko od nowa.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się zawstydzona, moja droga - rzekłem.

- Zawstydzona?

- Więc o co chodzi? - zapytałem, przestraszony dystansem, który już zdążyła stworzyć między nami.

Czułem, że wycofuje się w jakieś miejsce, gdzie nie będę mógł jej dosięgnąć, a może już się wycofała, bo odwróciła się do mnie i rzuciła mi półuśmiech, który tak często widywałem na jej twarzy, ten sam, jakim często obdarzała mnie i dzieci, a nawet Mary, gdy zasłużyła na jej pochwałę. Uśmiech, który był połową niczego. Niczego! Wolałbym ujrzeć na jej twarzy rozpacz czy irytację, byle nie ten nieuczciwie szybki powrót do roli żony, którą znałem od blisko piętnastu lat. Wydawało mi się, że ten półuśmiech odgradza mnie od Etny i mam nadzieję, że nie zostanie mi to poczytane za bluźnierstwo, ale uczucie, jakie mnie ogarnęło, na pewno miało coś wspólnego z przeżyciami mistyków, którzy opisywali, czego doświadczali w chwilach separacji od niebiańskiego światła. Wcale nie życzyłem sobie powrotu mojej dawnej żony - pragnąłem, aby została ze mną ta, która przed paroma chwilami odsłoniła mi całą głębię swojej zmysłowej natury.

Etna odwróciła się, lekko dotknęła mojej kostki (nie zdążyłem nawet zdjąć butów) i wyszła z pokoju.

Tak nagle. Tak szybko.

Leżałem nieruchomo, zupełnie wyczerpany i spragniony snu (tym bardziej że teraz nie mogłem sobie pozwolić na chwilę odpoczynku).

Wreszcie zmobilizowałem się, aby zapiąć koszulę i spodnie. Skoro okoliczności wyzwoliły w Etnie taką namiętność, myślałem, to wcale niewykluczone, że za jakiś czas znowu się to zdarzy, może szybciej i łatwiej, bo pierwszy raz mieliśmy już za sobą. Niewykluczone, że będę musiał do-

starczyć jej zachęty lub czujnie czekać na właściwy moment, ale to, co stało się raz, może się przecież powtórzyć, prawda?

Dzięki takim myślom udało mi się odzyskać równowagę konieczną, aby w stanie względnego spokoju wrócić do zgromadzonych na dole żałobników.

Nie przypominam sobie, co działo się w czasie lunchu - nie zapamiętałem nic, dosłownie nic poza dziwną rozmową z Josipem Keepem, której wcześniej starałem się uniknąć. Pod koniec przyjęcia, kiedy patrzyłem, jak Etna żegna się z Leavitem Hallockiem po przeciwnej stronie pokoju, Keep nagle pojawił się tuż obok mnie. Może mój szwagier nadal czuł do mnie niechęć za zakłócenie spokoju tamtego niedzielnego poranku w Exeter, nie wiem; niezależnie od tego, jakie kierowały nim pobudki, wybrał właśnie tę chwilę, aby zadać mi dość zaskakujące pytanie.

- Sprzedała obraz? - zagadnął barytonem, który wraz z upływem lat stał się jeszcze głębszy.

- Jaki obraz? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie, odwracając się twarzą do niego.

Linia jedwabistych, czarnych włosów Keepa znikła prawie całkowicie, ostre kontury jego masywnej sylwetki nieco złagodniały, a wyraziste rysy przystojnej, aroganckiej twarzy uległy pewnemu rozmyciu.

- Och, najwidoczniej źle zrozumiałem... - rzekł Keep. - Sądziłem, że sprzedała obraz, który dostała w spadku...

- Jaki obraz? - powtórzyłem. Keep spokojnie pociągnął łyk sherry.

- Skąd miałbym to wiedzieć, skoro ty nie masz pojęcia, o czym mówię, mój drogi?

- Etna nie sprzedała żadnego obrazu - odparłem. - Gdyby zrobiła coś takiego, na pewno bym wiedział o tym.

- Oczywiście - przytaknął Keep.

- Nie wiem, skąd ci przyszło do głowy, że odziedziczyła jakiś obraz. -

Wzruszyłem ramionami. - Mamy wiele obrazów, ale żadnego z nich nie dostała w spadku...

- Naturalnie. - Keep pociągnął następny łyk sherry (amontillado, doskonały alkohol, który sam kupiłem na tę okazję).
- Czyjego pędzla miałby być ten obraz? - zapytałem. Keep rzucił mi zniecierpliwione spojrzenie.
- Trudno mówić o malarzu, kiedy nie ma obrazu -mruknął.
- Bo nie ma.
- Już to mówiłeś.

Nie zdołałem powstrzymać pełnego irytacji parsknięcia.

- Zupełnie nie rozumiem, skąd ten pomysł!
  - Nic nie słyszałeś o obrazie autorstwa Claude'a Legny?
  - Obraz Claude'a Legny? - powtórzyłem z rozbawieniem. - Coś takiego...
- Najprawdopodobniej długo jeszcze utrzymywałbym, że to pomyłka, gdyby nazwisko malarza nie przywołało wspomnienia rozmowy z Williamem Blissem, którą odbyłem pod koniec lata, gdy stryj Etny dowiedział się o swojej chorobie i zaczął stosować morfinę, aby zmniejszyć dręczące go bóle. (Później miał zrezygnować z tego narkotyku, zniechęcony jego otepiającym wpływem). Dokładnie pamiętam tamten wieczór - William chwilę wcześniej zażył lek, ale może przyjął zbyt dużą dawkę, bo jego umysł błądził po drogach przeszłości, kierowany dziwnymi skojarzeniami. Bliss zadawał pytania i sam udzielał sobie na nie odpowiedzi, które nie miały sensu. Co jakiś czas przytakiwałem albo wydawałem uspokajające, kojące odgłosy, lecz w gruncie rzeczy prawie zupełnie nie słuchałem oderwanych zdań. I nagle teraz, w dniu pogrzebu Williama Blissa, patrząc na stojącego naprzeciwko mnie Josipa Keepa, przypomniałem sobie, że tamtego sierpniowego wieczoru ciężko chory starzec jednym tchem wypowiedział imię mojej żony i nazwisko malarza, Legny'ego. Takie zbitki skojarzeń często zapadają nam w pamięć i pozostają w jej odmetach, chyba że jakieś niespodziewane zdarzenie wydobędzie je na powierzchnię.

*Legny. Etna.*

- Nigdy nie miała żadnego obrazu - powiedziałem.
- Oczywiście - przytaknął gładko Keep. - Nie mam pojęcia, skąd mi to przyszło do głowy.

- Muszę poszukać Etny...
- Naturalnie - odparł Keep.

Siedzący obok mnie w wagonie restauracyjnym mężczyzna dziobie widelcem pieczoną szynkę, jednocześnie dyskutując o nowym kanclerzu Niemiec z dżentelmenem, który zajął miejsce po drugiej stronie stołu. Odnoszę wrażenie, że obaj są obcokrajowcami. Nieco dalej starszy pan czyta gazetę, co w podskakującym na szynach pociągu wydaje się zupełnie bezowocnym zajęciem. WYNALAZCA, KTÓRY JADAŁ SWOJĄ MAŚĆ, ZMARŁ W WIEKU 96 LAT, przeczytałem nagłówek. (Bohaterem artykułu jest chyba wynalazca wazeliny). Jeszcze dalej widzę mężczyznę, którego twarz jest mi skądś znana. Nie mogę sobie uprzytomnić, skąd ją znam, ale kojarzy mi się ze sportem. Sądząc po marnych manierach mężczyzny, prawdopodobnie jest to właściwe skojarzenie. (Przed sekundą wydmuchał nos w białą stołową serwetkę - takie zachowanie budzi we mnie głębokie obrzydzenie i sprzeciw). Obok niego siedzi jakiś duchowny, pochłonięty lekturą jednego z dzieł Thoreau. Nie wróciłem jeszcze do swojego przedziału, ponieważ mam nadzieję spotkać tu niejaką panią Hazzard, wdowę z Holyoke w stanie Massachusetts, która po śmierci męża odziedziczyła pół tuzina dużych młynów (jeden z nich znajduje się w Karolinie Południowej i jest celem jej podróży). Dziś rano usiedliśmy do śniadania przy jednym stole. Większość pozostałych miejsc zajęły dwie duże rodziny, każda co najmniej z siedmiorgiem dzieci, robiących tyle hałasu, że wspomniana wdowa i ja musieliśmy pochylić się nad omletami z galaretką z gujawy, aby słyszeć się nawzajem. Ten dziwnie intymny gest wzbudził we mnie zaczątki sympatii do wdowy oraz chęć ponownego jej spotkania. Przez ostatnie lata nie byłem całkowicie pozbawiony damskiego towarzystwa, rzadko jednak podobały mi się kobiety, z którymi obcowałem, dlatego teraz z przyjemnością zająłem się rozmową z tak bystrą i kulturalną damą. Pani Hazzard oświadczyła, że nie zamierza pełnić funkcji pionka w firmie męża i pragnie nauczyć się wszystkiego, co będzie konieczne, aby skutecznie nią zarządzać. Odniosłem wraz-

nie, że i tak całkiem sporo już wie o przedsiębiorstwach, bilansach płatniczych oraz pożyczkach i kredytach, w przeciwieństwie do mnie, oczywiście. Nie miałem jej za złe, że nigdy nie słyszała o Thrupp. Wdowa Hazzard ma piękny, dźwięczny śmiech i całkiem niezłą figurę, chociaż na pewno zbliża się już do pięćdziesiątki. Bez większego trudu potrafiłem wyobrazić sobie, jak wyglądałaby moja przyszłość u jej boku, lecz nie miałem najmniejszego zamiaru zastanawiać się choćby nad możliwością zawarcia drugiego związku małżeńskiego. Nigdy więcej się nie ożenię. Jest to kara, której pozostanę na zawsze wierny.

Pani Hazzard i ja zjedliśmy razem kolację i muszę powiedzieć, że jej towarzystwo sprawiło mi przyjemność. Spożywając bryzol z polędwicy wołowej, pogodnie rozmawialiśmy o jej mężu, przy okazji dowiedziałem się, że był nie tylko wielbicielem filmu, ale także kolekcjonerem aut. We wspomnieniach pani Hazzard brzmiała delikatna sugestia, że zmarły nie należał do najwierniejszych mężów, ale też nie sprawiała wrażenia szczególnie rozgoryczonej tym faktem. Po chwili krótkiego milczenia, w czasie której, powodowany czystą uprzejmością, powinienem wygłosić krótkie streszczenie własnego życia, pani Hazzard (nalega, aby mówić do niej po imieniu, Betty) zapytała, od jak dawna jestem wdowcem. Udzieliłem zwięzłej odpowiedzi, lecz zaraz potem skierowałem rozmowę ku znacznie bezpieczniejszemu tematowi mojego syna, nie potrafiłem bowiem zmusić się, aby rozmawiać o Etnie Bliss Van Tassel z osobą obcą, choćby nawet tak sympatyczną jak Betty Hazzard. Miałem nadzieję, że pani Hazzard zacznie mówić o swoich dzieciach, które najwyraźniej bardzo kocha, i tak też się stało. W ten sposób przynajmniej na pewien czas ominąłem niebezpieczną rafę prawdy.

Pani Hazzard parę razy łagodnie zażartowała z mojej pom-patyczności (obawiam się, że wraz z upływem lat skłonność ta zauważalnie się u mnie pogłębia), a pod koniec kolacji przerwała mi nawet, kiedy użyłem sformułowania „z tej to przyczyny”.

- Z tej to przyczyny, panie Van Tassel? - powtórzyła z lekkim uśmiechem. I chociaż rzeczywiście zwrot trąci nieco myszką i wydaje się sztywny, skorzystałem z okazji, aby przedstawić jej swój punkt widzenia - powiedziałem mianowicie, że jako wykładowca literatury angielskiej nie powinienem ulegać pokusie posługiwania się uproszczonym, a moim zdaniem wręcz prymitywnym językiem, jakiego obecnie używa większość naszych współobywateli, ponieważ prowadzi to do ograniczenia zasobu słownictwa i nie pozwala we właściwy sposób zobrazować przeżyć oraz uczuć. Pani Hazzard zastanawiała się nad tym przez chwilę, a następnie oświadczyła, że tak czy inaczej lubi ze mną rozmawiać i uważa mnie za uroczo zabawnego człowieka. Ponieważ już od dawna żadna kobieta nie nazwała mnie ani uroczym, ani zabawnym, zaczerwieniłem się (krew holenderskich przodków zdradza mnie nawet w podeszłym wieku), co chyba ucieszyło ją jeszcze bardziej, bo przechyliła głowę na bok i obdarzyła mnie uśmiechem, który powinienem zachować w pamięci i przywoływać w chwilach przygnębienia i smutku. Dość długo rozmawialiśmy jeszcze przy kawie i niespodziewanie odkryłem, że myśl o rozstaniu z panią Hazzard (miała opuścić pociąg w Charleston) sprawia mi przykrość. Zaprosiła mnie, abym odwiedził ją w drodze powrotnej, jeżeli nadarzy się taka okazja. Wiem, że zwykle traktuje się takie zaproszenia jako gesty grzecznościowe i osoba zapraszająca raczej nie oczekuje wizyty, jednak po powrocie do swojego przedziału przez pewien czas snułem plany odwiedzenia tego południowego miasta, miłego pobytu w domu pani Hazzard i być może nawet nawiązania trwałej przyjaźni.

Dni bezpośrednio po pogrzebie Williama Blissa były bardzo smutnym okresem dla Etny, która większość czasu spędzała w swoim pokoju, zaniedbując nie tylko pracę charytatywną, ale także rodzinę. Nicky, Clara i ja staraliśmy się ją rozerwać, lecz szybko stało się oczywiste, że Etna odgradziła się od całego świata, znajdując schronienie w jakimś prywatnym miejscu,

z którego nie można jej było wywołać. Stan ten trwał aż do początku listopada - w ostatnich dniach zastanawiałem się już, czy nie wezwać lekarza, ponieważ mimo wszystko przygnębienie Etny wydawało się nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do wydarzenia, które stało się jego przyczyną. Może Etna zrozumiała wreszcie, że jestem bliski przerażenia, bo pewnego ranka zeszła na śniadanie i wyglądała prawie normalnie. Zdobyła się nawet na uśmiech, chociaż odniosłem wrażenie, że towarzyszył temu prawdziwie heroiczny wysiłek.

- Cieszę się, że postanowiłaś zjeść ze mną śniadanie i wrócić do codziennego życia - odezwałem się z uśmiechem.

- Trudno mi powiedzieć, czy faktycznie wracam do codziennego życia - odparła.

- Tak czy inaczej, podejmujesz taką próbę - rzekłem.

- Ostatnie tygodnie nie były dobre dla dzieci.

- Nie.

- Przeżyłam trudne... - Etna szybko wzięła głęboki oddech, starając się powstrzymać drżenie warg. - Przeżyłam trudne chwile - dokończyła. Nie miałem cienia wątpliwości, że będę musiał unikać jakichkolwiek odniesień do śmierci i innych smutnych spraw i zabawiać Etnę lekką, przyjemną konwersacją.

- Bardzo ładnie dziś wyglądasz - powiedziałem zgodnie z prawdą.

Miała na sobie amarantową jedwabną bluzkę z wysokim kołnierzykiem, ozdobioną długim sznurem czarnych koralików, doskonale dopasowanych i do ozdobnych guziczków bluzki, i do delikatnych wiszących kolczyków.

- Dziękuję.

- Podać ci filiżankę kawy?

- Nie, dziękuję. Zeszłam na dół już ponad godzinę temu i wypiliśmy kawę.

- Robisz listę - zauważyłem, starannie składając serwetkę.

Przyjrzałem się znajdującym się na stole daniom. Obok mnie na półmisku leżało jakieś pokrojone mięso, chyba nerki, a może wątróbka. Wyglądało na zbyt mocno wysmażone, może nawet przypalone.



- Tak. - Kiwnęła głową. - Zamierzam wybrać się dziś na zakupy do miasta. Potrzebujesz czegoś?

- Potrzebny mi nowy pędzel do golenia - odrzekłem. - I pasta do butów. I atrament, ale przecież mogę kupić to wszystko, kiedy sam będę w mieście...

- Pozwól, że ja to zrobię - powiedziała. - Wolę się czymś zająć, to na pewno dobrze mi zrobi.

- W takim razie chciałbym jeszcze słoik tego dżemu z czarnych jagód, który jedliśmy w zeszłym miesiącu. Chętnie zjadłbym go teraz, z grzanką. Co to za mięso?

Etna zerknęła na mój talerz i lekko zmarszczyła nos.

- Pomówię z Mary - mruknęła.

Było oczywiste, że nasza kucharka, korzystając z nieuwagi pani domu, poważnie obniżyła standardy. Etna zrobiła notatkę na kartce leżącej obok stosu listów, w większości, jak sędzę, kondolencyjnych.

- Nie jestem pewna, czy uda mi się kupić dżem jagodowy o tej porze roku - rzekła z westchnieniem.

Lecz ja, szczęśliwy, że żona znowu rozmawia ze mną o zwykłych, codziennych sprawach, tylko się uśmiechnąłem i przykryłem jej rękę swoją dłonią.

- Tak się cieszę, że cię odzyskałem - powiedziałem.

Czas mijał jak zwykle. Podczas tych listopadowych tygodni wstawałem rano, siadałem do śniadania, delikatnie jak w tańcu omijałem wszystkie tematy, które mogłyby zdenerwować Etnę, wychodziłem na zajęcia, uczyłem studentów, czytałem i oceniałem długie i nudne eseje, lecz prawie ciągle znajdowałem się w stanie napięcia - czujny i ostrożny w obecności żony, pełen niepokoju z powodu zbliżających się wyborów na stanowisko dziekana i zdenerwowany na samą myśl o Philipie Asherze, którego wykłady okazały się tak fascynujące, jak zapowiadano. Zacząłem dezawuować Ashera w rozmowach z kolegami.

- Nie zna twórczości Jonsona - mawiałem.

Na twarzach innych wykładowców dostrzegałem wtedy czasami wyraz pobłażliwego zrozumienia i litości. Czy na-

prawdę moje postępowanie było aż tak przejrzyste? Koledzy wyczuwali zapach rywalizacji i robili wrażenie rozbawionych.

Pewnego popołudnia w połowie listopada zajrzałem do Chandler Hall, ponieważ musiałem oddać Moxonowi książkę, którą od niego pożyczyłem. Idąc korytarzem, minąłem zamknięte drzwi gabinetu Phillipa Ashera. Wiedziałem, że Asher znajduje się w innym budynku, gdzie wygłasza wykład na temat natury dobra i zła w *Raju utraconym* Milтона (trudno nazwać to skomplikowaną kwestią), udałem więc, że czegoś zapomniałem i zawróciłem. Nie wiedziałem, czego chcę poszukać, czułem tylko potrzebę znalezienia się blisko rzeczy należących do Ashera, zupełnie jakbym w ten sposób mógł się dowiedzieć czegoś więcej o swoim rywalu. Wszedłem do gabinetu i zamknąłem za sobą drzwi.

Asher miał bałagan na biurku i w otwartej szafce (po co miałby trzymać w zamknięciu dowody swojej błyskotliwości?), bałagan, który w pierwszej chwili nieco zaskakiwał - książki, czasopisma akademickie i mnóstwo rzeczy osobistych, najprawdopodobniej pamiątek z podróży: zasuszone motyle w szklanej gablotce, mała rzeźba z piaskowca, interesująca indiańska mozaika, miedziana drukarska kaszta z ryciną przedstawiającą krowę, dziwny teleskop, pozwalający patrzeć w bok, nie na wprost. Obok maszyny do pisania dostrzegłem srebrną ramkę z fotografią młodej kobiety, jasnowłosej i dość ładnej, sądząc po rysach, pochodzącej chyba ze Skandynawii. Natychmiast wyobraziłem sobie, że Asher ma narzeczoną w jakimś odległym mieście, na przykład w Oslo. Zachęcony tym odkryciem, ośmieliłem się dokładniej przyjrzeć rozmaitym papierom, rozrzuconym na biurku i w innych miejscach. Pamiętam, że był tam traktat o roli fotografii w tworzeniu zapisu historycznego zgłoszony do Akademii Sztuki i Literatury, korespondencja z nieznanym mi profesorem z Uniwersytetu Wirginii na temat przedbiblijnych opisów potopu i list do brytyjskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego z prośbą o pozwolenie przyłączenia się do ekspedycji wyruszającej na poszukiwanie zaginionego wśród lodów Antarktydy badacza, Yilhjalmura Stefanssona. Natknąłem się również

na szczegółowy esej naukowy, przeznaczony dla Akademii Medycznej w Maine, dotyczący odkrycia przez doktora Gastona Odina mikrobów raka i możliwości uzyskania odpowiedniej szczepionki, oraz artykuł w obronie pacyfizmu dla gazety „Atlantic Magazine”. Usiadłem w drewnianym krześle obrotowym i popatrzyłem na serię drzeworytów w dużych białych antyramach, rozwieszonych na przeciwległej ścianie. Jakim cudem tak młody człowiek zdołał aż tyle opublikować, zastanawiałem się. Zakres jego talentów i zainteresowań był doprawdy zaskakujący!

Może nadszedł czas, aby przyjąć do wiadomości prawdopodobieństwo przegranej w wyborach na stanowisko dziekana, pomyślałem, okręcając się na krześle Ashera. Czy byłoby to takie straszne? Cóż, nie potrafiłem oszukiwać samego siebie... Tak czy inaczej, należało przygotować się na ciężką walkę.

Wstałem i już miałem podejść do drzwi, kiedy nagle zauważyłem brązową, wiązaną na tasiemkę teczkę, leżącą na podłodze pod ścianą. Schyliłem się, podniosłem ją i ostrożnie rozwiązałem tasiemkę.

Wewnątrz znajdowały się listy od profesora z Jesus College w Oksfordzie, z zaproszeniem na gościnne wykłady. Z kopii listów samego Ashera wynikało, że brał taką możliwość pod uwagę. Trzymając w ręku bezprawnie przeczytaną korespondencję, zacząłem rozważać świeżo poznane fakty. Nie cieszyła mnie świadomość, że Phillip Asher, ostatnio wykładający w Yale, okazał się człowiekiem o rzadkim, wielkim intelekcie, ale czy nie powinienem czerpać pociechy z przypuszczenia, iż ktoś tak wybitny nie przyjmie stanowiska w Thrupp, jeżeli otrzyma korzystną propozycję z lepszej uczelni? Właśnie wtedy obmyśliłem nową linię ataku - mogłem zasugerować kolegom, że Asher jest za dobry dla Thrupp, że za jakiś czas prawie na pewno znudzi go prowincjonalny uniwersytet i wtedy da się skusić jakiejś bardziej znanej szkole, gdy tymczasem ja, Nicholas Van Tassel, zamierzałem zostać tu na dobre... Byłem człowiekiem lojalnym. Poświęciłem Thrupp swoje życie, prawda? Tak, tak, myślałem, wychodząc z mrocznego gabinetu,

bogaty w skradzioną wiedzę, oto doskonała linia rozumowania, którą należało jak najszybciej podsunąć członkom zarządu. Wybory miały się odbyć za czternaście dni.

Tuż przed Świętem Dziękczynienia Etna wróciła do swoich zajęć charytatywnych. Jest potrzebna mieszkańcom Baker House, powiedziała pewnego ranka, kiedy zauważyłem, że ubrała się tak, jakby zamierzała się tam wybrać. Miała na sobie kostium w jodełkę, z żakietem ze stójką. Odparła, że faktycznie wybiera się do swoich podopiecznych, ja zaś gorliwie przyklasnałem tej decyzji, pragnąłem bowiem, aby moja żona w pełni wróciła do równowagi. Życie musi toczyć się dalej. Nie można w nieskończoność pozostawiać dzieci samym sobie, ani tym bardziej ubogich i upośledzonych, którzy przecież nie przestaną potrzebować pomocy dlatego, że ktoś przeżywa osobistą tragedię. - Doskonale - powiedziałem.

Ponieważ tamtego dnia nie miałem zajęć, postanowiłem spędzić rano w swojej bibliotece, otoczony książkami. Miałem dużo do zrobienia (jak zwykle stosy prac do sprawdzenia), lecz po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że nie potrafię się skupić. Chwilę stałem przy oknie wychodzącym na ogród na tyłach domu - z jego letniej wspaniałości zostały już tylko wyschnięte łodygi i poczerniałe kwiaty - następnie poszedłem do kuchni, aby poprosić Mary o filiżankę herbaty. Wróciwszy do biblioteki, usiadłem przy orzechowym biurku, przed oczami miałem jednak nie eseje studentów, a twarz Phillipa Ashera, wchodzącego na podium, aby wygłosić pierwszą mowę do ciała akademickiego jako dziekan wydziału. Wstałem i zacząłem nerwowo przechadzać się od biurka do ściany i z powrotem. W efekcie wszystkich tych rozmyślań w pewnej chwili poczułem się zupełnie wyczerpany, chociaż nie minęło jeszcze południe.

Doszedłem do wniosku, że najlepiej zrobi mi spacer. Powinienem wybrać się do miasta i zjeść tam lunch. Tak, świetny pomysł. Może spotkam Moxona? Potrzebowałem męskiego towarzystwa, rozmowy z kimś, kto pomoże mi choć na chwilę

oderwać się od dręczących mnie spraw. A może powoli zapadałem na jakąś chorobę? Często słyszało się o histerii u kobiet, mężczyźni nie lubią myśleć, że przypadłość ta może dotknąć także i ich umysły; wszyscy uważają, że jest to wyłącznie kobieca dolegliwość. Tak czy inaczej, niepokoiło mnie, że gubię się w swoich przemyśleniach i obawach. Zadzwoiłem do Moxona i zaproponowałem, aby spotkał się ze mną w jadalni hotelowej. Zgodził się bez chwili wahania (biedny Moxon, chyba zawsze był samotny...).

O tej porze, w połowie dnia, sala była zatłoczona, więc kiedy wszedłem, Moxon siedział już przy stoliku. Powitał mnie rozpaczliwym machaniem ręki, zupełnie jak człowiek, który po kilkudniowym oczekiwaniu na ratunek na szczycie wysokiej góry zobaczył wreszcie pierwszego członka śpieszącej mu z pomocą grupy. Ubrany był w wełniany garnitur w paski, który wyglądał na produkt zagraniczny (jednakże nie z eleganckiego sklepu przy londyńskiej Saville Row, ale ze sklepiku z tandetą w Bułgarii czy innym kraju tego regionu); nie mam pojęcia, skąd wziął coś takiego. Moxon często wyglądał tak, jakby ubierał się po ciemku.

- Witaj, Nicholasie - powiedział, gdy usiadłem. - Jak się czuje Etna?  
- Lepiej - odparłem. - Wychodzi już z domu, a dzisiaj wraca do pracy w Baker House.

Przebiegłem wzrokiem ręcznie wypisaną kartę dań. Specjalnością dnia były żeberka cielece. Tak się składa, że zawsze lubiłem tę potrawę.

- Kiedy byłem u was w zeszłym tygodniu, wyglądała mizernie - rzekł Moxon.

- Przeszła trudne chwile. - Pokiwałem głową, nalewając sobie wody do szklanki.

- Kelner powiedział, że poleca zapiekaną mięsna.

- Wolę żeberka.

- Nie masz dziś zajęć? - zapytał.

- Nie. Jak czujesz się na urlopie naukowym?

- Brakuje mi studentów.

- Naprawdę? - zdziwiłem się.

Urlop naukowy, a co za tym idzie cały semestr bez koniecz-

ności prowadzenia zajęć, zawsze uważany był za nagrodę od losu.

- Wyglądasz tak samo blado jak Etna - zauważył nagle Moxon.
  - Ostatnio nie najlepiej sypiam.
  - Chyba trochę za bardzo przejmujesz się wyborami... Moxon sprawiał wrażenie wiecznie roztargnionego i jakby nieobecnego, ale miał dobre serce i był niezwykle lojalny wobec przyjaciół.
  - Od nich zależy moja przyszłość.
  - Dotarli do mnie pogłoski, że Phillip Asher ma narzeczoną.
  - Narzeczoną? - Niewinnie uniosłem brwi. -1 gdzie ona przebywa?
  - Gdzieś za granicą, chyba w Skandynawii. Tajemniczy z niego człowiek, prawda?
  - Tak, bardzo tajemniczy - rzekłem. - Nie można tego uznać za pozytywną cechę dziekana wydziału...
  - Chcę się nauczyć jeździć na nartach - oświadczył ni stąd, ni zowąd Moxon, którego odezwania były czasami równie niespodziewane jak jego gesty.
  - To nowy pomysł...
  - Dziś po południu wyjeżdżam do Quebecu.
  - Świetnie! - powiedziałem.
- Przez chwilę miałem przed oczami zabawny obraz Moxona pędzącego na nartach w dół zbocza, ale wciąż nie mogłem się zmusić do zjedzenia żeberek cielecych, które zamówiłem. Rozglądałem się po sali, podświadomie szukając wzrokiem Phillipa Ashera, który mógł przecież także jeść lunch w hotelu, starałem się słuchać bezładnej gadaniny Moxona i jednocześnie myślałem o Etnie i jej pierwszej od śmierci stryja wyprawie między obcych.
- Chciałbym poprosić cię o poważną przysługę - odezwałem się, odkładając widelec.
  - Oczywiście... - wybełkotał z pełnymi ustami.
  - Czy mógłbyś pożyczyć mi automobil?
  - Naturalnie! - ucieszył się. - Oddałeś swój do naprawy?
  - Nie, Etna pojechała nim do Baker House. Niepokoję się

o nią, bo nie przyszła jeszcze całkiem do siebie. Pomyślałem, że zajrzę do niej i sprawdzę, czy dobrze się czuje...

- Ależ tak, weź mój samochód, weź go! - Z podnieceniem zamachał rękami. - Możemy od razu pójść do garażu. Wrócę dopiero za trzy tygodnie, zresztą i tak nigdy go nie używam, bo nie mam dokąd jeździć... Nie sposób było nie lubić Moxona, i za jego uczciwość, i za całkowitą szczerłość. Ktoś inny na jego miejscu (czyli na jakim właściwie, pomyślałem z pewnym rozbawieniem) uznałby pewnie, że powinien wymyślić sobie jakieś życie prywatne, aby nie stracić twarzy, ale nie Moxon.

Był to zapierający dech w piersiach dzień (dosłownie, ponieważ powietrze wydawało się lodowato zimne), więc dość szybko dotarliśmy do domu Moxona. Miałem trochę problemów z przyzwyczajeniem się do wolno zaskakującego startera w żółtym wozie marki Stevens-Duryea, lecz Moxon kilka razy objechał dziedziniec przed domem, aby zademonstrować mi działanie silnika, zanim sam ująłem kierownicę i wyjechałem. Moxon pożyczył mi także swoje futro ze skunk-sów, bo w aucie było prawie tak zimno jak na dworze.

Przez minione lata kilka razy (pięć, może nawet sześć) odwiedzałem schronisko Baker House z okazji organizowanych tam podwieczorków i innych poczęstunków, dobrze więc znałem drogę, nie wziąłem jednak pod uwagę, że zmrożone grudy pod kołami poważnie utrudnią mi jazdę. Byłem zadowolony, że niewiele osób odważyło się wsiąść tego dnia do aut, ponieważ jechałem bardzo niepewnie - panowanie nad wozem Moxona przypominało ujeżdżanie płochliwego, nieposłusznego wierzchowca.

Baker House stał przy Norfolk Street w Worthington i nosił numer 18. W 1880 roku dwie siostry Baker oddały swój dom na potrzeby ubogich i chorych z całej okolicy. Ponieważ wówczas tego rodzaju instytucje w tej części New Hampshire można było policzyć na palcach jednej ręki, dom rozbudowano, aby pomieścić w nim potrzebujących z kilku pobliskich miast, między innymi z Thrupp. Był to uroczy, otynkowany na żółto dom w kolonialnym stylu, z ciemnozielonymi okiennicami. Miał dwie pary frontowych drzwi (nigdy nie udało

mi się odgadnąć, dlaczego aż dwie) i obsadzony dostojnymi jesionami niewielki dziedziniec. Dom i duży ganek, na którym przy pogodzie zwykle wygrzewało się w słońcu kilkoro dzieci z matkami, odgradzało od ulicy piękne, kute metalowe ogrodzenie. Tylko ubrania i sposób zachowania tych nieszczęsnych świadczył o tym, że dom litościwych sióstr Baker jest w rzeczywistości przytułkiem dla ubogich, a nie rezydencją szacownej rodziny z Worthington.

Zaparkowałem samochód po drugiej stronie ulicy, ponieważ na podejździe stały już trzy auta, w tym nasz cadillac coupe. Przytrzymując na głowie kapelusz, aby nie porwał go ostry listopadowy wiatr, popchnąłem właśnie furtkę i stanąłem na wykładaną kamiennymi płytami ścieżce, gdy nagle Etna otworzyła jedno z frontowych drzwi domu.

W pierwszej chwili nie zauważyła mnie, ponieważ nadal rozmawiała z kimś w korytarzu. Ubrana była w wełniane palto z kołnierzem z lisa i kapelusz, w którym zawsze prowadziła auto, w ręce trzymała małą płócienną torbę, używaną do przewożenia rzeczy z naszego domu do Baker House (ubrań, z których dzieci już wyrosły lub artykułów żywnościowych). Zaskoczył mnie jej widok, nie tylko z powodu wyraźnego zbiegu okoliczności, lecz także dlatego, że jej powrotu do domu spodziewałem się najwcześniej na trzecią po południu.

- Etno! - zawołałem.

Drgnęła i odwróciła się ku mnie w tym samym momencie. Nie przesadzę, jeśli powiem, że zamarła, sparaliżowana moim widokiem. Otworzyła usta, jej oczy się rozszerzyły (często zastanawiam się, dlaczego organizm reaguje właśnie w ten sposób... Żeby poprzez zmysł wzroku przyjąć więcej tego, co je przeraża?), ramiona wyprostowały się, wargi zadrżały. Potem zamknęła usta i zmusiła się do uśmiechu.

Wszystko to wydarzyło się w ciągu sekundy.

- Nicholas... - wykrztusiła.

- Przestraszyłem cię, moja droga? - zapytałem, chociaż było to oczywiste.

- Tak... - odparła. - Co tutaj robisz?

- Martwiłem się o ciebie. Przepraszam, chciałem się tylko



upewnić, czy dobrze się czujesz... Rano wydawało mi się, że byłaś trochę nieswoja.

Wyprostowała się. Zaskoczenie minęło i teraz sprawiała wrażenie całkowicie opanowanej.

- Wybierałam się właśnie do domu - powiedziała.
- Wcześniej niż zwykle...
- Sam powiedziałeś, że jeszcze nie całkiem wróciłam do równowagi.
- Oczywiście... Podziwiam cię, że w ogóle tu dzisiaj przyjechałaś.
- Dobrze mi to zrobiło - odrzekła, stawiając futrzany kołnierz palta.
- Cóż... - Uśmiechnąłem się. - Teraz mamy dwa auta...
- Czyim wozem przyjechałeś?
- Gerarda Moxona.

Popatrzyła na stojący po drugiej stronie ulicy automobil.

- Nie znosisz prowadzić - zauważyła.
- Tym razem nawet mi się to podobało.
- Naprawdę?

Chociaż byliśmy prawie równi wzrostem, Etna miała zwyczaj zsuwania runda kapelusza nisko na czoło, aby ukryć oczy, co kobiety robią dość często. Mężczyzna musi patrzeć ludziom w oczy, bo inaczej zaczynają powątpiewać w jego uczciwość, lecz kobieta zawsze może skromnie utkwić spojrzenie w ziemi lub podłodze, albo zerknąć w bok.

- Pojedziesz za mną do domu? - spytałem. - Czy ja za tobą?
- Zupełnie niepotrzebne zamieszanie - powiedziała nagle, schodząc po stopniach ganku.

- To prawda - przyznałem. - Ale raczej niewielkie, nie sądzisz?

Odwróciła się do mnie, jakby nagle przywołała się do porządku i lekko dotknęła mojego ramienia.

- To bardzo miłe, że przyjechałeś po mnie - rzekła.
- Dziękuję - odparłem. - Wiesz co, moja droga?
- Tak?
- Pomyślałem, że mógłbym zaprosić Phillipa Ashera na obiad.

Przystanąła i znowu się odwróciła.

- Do naszego domu? - zapytała.

- No... No, tak. Potrząsnęła głową.

- Ja... Ja nie... - wyjąkała.

- Jest jeszcze za wcześnie na przyjmowanie gości - uzupełniłem szybko.

- Tak - powiedziała z widoczną ulgą.

- W takim razie zaproszę go tylko na drinka.

Etna milczała. Knykcie jej palców, zaciśniętych na uchwycie torby, pobielwały.

- Nie będziesz musiała go zabawiać - ciągnąłem. - Nie musisz nawet schodzić na dół, jeśli cię to niepokoi.

Odwróciła wzrok i utkwiała go w cadillacu.

- Skoro uważasz, że powinienes... - zaczęła i przeniosła spojrzenie na mnie. - Co ty masz na sobie, na miłość boską?

Popatrzyłem na futro ze skunksów, ciepłe, ale z pewnością niezbyt piękne.

- To także należy do Moxona - wyjaśniłem. Uśmiechnęła się.

- Powinienem poznać go trochę bliżej - oświadczyłem.

- Moxona?

Wyjąłem torbę z jej ręki i ruszyłem do wozu. Otworzyłem drzwiczki, postawiłem torbę na brązowej macie na podłodze, zamknąłem auto i spojrzałem na żonę ponad maską. Wstążki jej kapelusza, jeszcze niezawiazane, powiewały na wietrze.

- Ashera - odpowiedziałem.

Następnego ranka wysłałem krótki list do hotelu Ashera, zapraszając go na drinka tego samego dnia wieczorem. Kazałem Mary przygotować tacę z alkoholami i zostawić ją w bibliotece. Był to niewielki pokój, ale poza biurkiem i półkami było w nim dość miejsca na dwa wygodne fotele, a pewna skromność nadawała mu przyjemnie męski styl. O wyznaczonej godzinie siedziałem już za biurkiem, udając, że pracuję. Nie byłem pewny, czy Asher przyjdzie, ponieważ nie otrzymałem odpowiedzi na mój list, lecz do-

kładnie o wpół do szóstej usłyszałem dzwonek do drzwi. Wiedziałem, że Abigail jest w domu, przyszło mi jednak do głowy, że lepiej będzie, jeżeli zdobędę się na przyjazny gest i sam otworzę drzwi.

Stał na schodach przed drzwiami, o stopień niżej ode mnie, a mimo to nadal był wyższy. Choć młodszy ode mnie, wokół oczu miał siatkę zmarszczek, niewątpliwie powstałych w czasie wypraw do Nowej Gwinei czy innych miejsc o nie mniej upalnym klimacie, jakie odwiedził. Pod rozpiętym paltem miał na sobie elegancki garnitur z ciemnym jedwabnym krawatem w czerwone kropki. Jego zaciśnięte usta tworzyły poważną, surową linię.

- Proszę do środka, proszę bardzo! - zachęciłem, cofając się i usuwając na bok.

Phillip Asher wszedł do holu, wnosząc za sobą strumień zimnego powietrza. Pośpiesznie zamknąłem drzwi. Zrobiłem jakąś pochlebną uwagę na temat jego punktualności i zaraz potem w holu pojawiła się Abigail, która wzięła od niego kapelusz i palto.

Asher przygładził dłonią włosy.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedział, kiedy tak staliśmy w holu, obaj nieco sztywni i chyba niepewni siebie nawzajem. - To bardzo miły gest z pańskiej strony, Nicholasie...

- Nie ma za co - odparłem.

- Chciałbym przy tej okazji złożyć pańskiej rodzinie wyrazy współczucia z powodu śmierci Williama Blissa.

- Dziękuję. - Skinąłem głową. - Szczególnie ciężko przeżywa tę stratę moja żona. William Bliss był dla niej jak drugi ojciec.

- W takim razie powinienem przekazać jej najserdeczniejsze kondolencje...

- Dziękuję, profesorze Asher - odezwała się Etna ze szczytu schodów. Widok mojej żony, schodzącej ku nam, zaskoczył mnie chyba bardziej niż Ashera. Poruszała się powoli i z godnością, a spódnica jej sukni układała się za nią na stopniach w cicho szeleszczącą rzekę. Była to suknia koloru kości słoniowej, z koronkową narzutką na ramionach. Na szyi Etna miała korale

w odcieniu ciemnej śliwki, a jej wiszące kolczyki kołysały się lekko przy każdym kroku.

- Etno, przedstawiam ci Phillipa Ashera - powiedziałem. - Widziałas go na przyjęciu u Edwarda Feralda, jeśli pamiętasz...

- Tak - rzekła Etna, stając na ostatnim stopniu. - Dobry wieczór, profesorze Asher.

Asher zawahał się, lecz po sekundzie zrobił krok do przodu i ujął jej dłoń. Dziś wydaje mi się, że właśnie w tamtej chwili podjął decyzję.

- Znała pani mojego brata - rzekł. - Samuela. Etna skinęła głową.

- Tak - potwierdziła, ja zaś zorientowałem się, że wcale nie jest zaskoczona. - Jak się czuje pański brat?

Przyglądałem się, jak Phillip Asher uwalnia dłoń Etny. Zachowywała się w bardzo opanowany sposób, lecz jej palce drżały. Byłem przekonany, że Asher także to spostrzegł.

- Mieszka w Kanadzie - odpowiedział. - Ale teraz przebywa w Londynie, pracuje dla dowództwa brytyjskiej marynarki wojennej.

Etna zamrugła i znowu skinęła głową.

- Z powodu wojny - dodał Asher.

- A więc znacie się od dawna - powiedziałem, zdumiony całą sytuacją.

- Niezbyt dobrze - odrzekła Etna. - Kiedy mieszkałam w Exeter, znałam brata profesora Ashera. Był przyjacielem naszej rodziny.

- Rozumiem... Nigdy mi o nim nie wspominałaś.

Była to nieuprzejma uwaga, nieco obraźliwa dla Phillipa Ashera i jego brata.

- Jadę właśnie po dzieci - wyjaśniła Etna. - Są z wizytą u mojej stryjny.

- Ach, tak, prawda - wtrąciłem, nadal trochę zmieszany.

- Do widzenia, profesorze Asher - rzekła moja żona. - Mam nadzieję, że będę miała więcej czasu, kiedy odwiedzi nas pan następnym razem.

- Ja również żywię taką nadzieję - odparł Asher.

- Drinki czekają - odezwałem się z nieco sztuczną wesołością.

Etna wkładała kapelusz i wydawało mi się, że Asher niechętnie opuścił hol. Zaprowadziłem go do biblioteki. Książki i rozmaite papiery ułożyłem na biurku tak, by sprawiały wrażenie, że jeszcze przed chwilą pisałem esej. Phillip Asher przelotnym spojrzeniem objął bałagan na biurku i usiadł w jednym z foteli.

- Co mogę panu podać? - zapytałem. - Brandy?

- Tak, bardzo proszę.

- Z wodą sodową?

- Nie, dziękuję.

- Doskonale. - Przygotowałem drinki dla nas obu i sięgnąłem po srebrną szkatułkę. - Papierosa? A może jest pan entuzjastą fajki?

- W ogóle nie palę.

- Rozsądny wybór...

Obaj pociągnęliśmy po łyku ze swoich szklaneczek. Asher siedział z nogą założoną na nogę, co przesadnie podkreślało długość jego kończyn. Jego poza tchnęła naturalną elegancją, jednak nie mogłem oprzeć się myśli, że w drodze z holu do pokoju stracił trochę pewności siebie. Od czasu do czasu nerwowo kołysał stopą.

- Wygłosił pan serię świetnych wykładów - oświadczyłem. - Wszyscy w college'u mówią niemal wyłącznie o nich.

- Naprawdę? - zapytał.

- W rezultacie pańskich komentarzy wykładowcy i studenci wdają się w dyskusje o poruszonych kwestiach nawet w najmniej dogodnych miejscach i chwilach. Ponieważ wywołanie żywego zainteresowania określonymi problemami jest celem tych wykładów, można powiedzieć, że odniósł pan wielki sukces.

- Został mi jeszcze jeden wykład - powiedział.

- Potem wraca pan do New Haven?

- Nie jestem pewny - odrzekł, rozprostowując nogi. -Czekam na głosowanie.

- Więc nadal kandyduje pan na stanowisko dziekana?

- Chyba tak. - Pociągnął kolejny łyk.

Nie zapaliłem wszystkich lamp, więc w pokoju panował przyjemny półmrok. W kominku trzasnął kawałek drewna.

Poruszyłem szklaneczką, wprawiając złocisty płyn w kołysanie.

- Dziwię się trochę, że nie bierze pan pod uwagę przyjęcia podobnego stanowiska w bardziej prestiżowej instytucji, na przykład w Oksfordzie...

Phillip Asher rzucił mi szybkie, baczne spojrzenie. Nie wiedziałem, o czym myśli, ale mogłem zgadywać. Czy zastanawiał się, skąd wiem o propozycji, jaką otrzymał z Jesus College? A może zakładał, że przypadkiem trafnie odgadłem?

- Nie jest to najlepszy okres na zagraniczne podróże - powiedział ostrożnie.

- Nie, oczywiście - zgodziłem się. (Ostatecznie w Europie szalała wojna). Asher spojrzał na swoją szklaneczkę.

- Natknąłem się na pański artykuł o idei pacyfistycznej, opublikowany w „Atlantic Magazine” - rzekłem.

- Naprawdę? - zapytał z nieukrywanym zdziwieniem.

- Nie poszedłby pan na wojnę, gdyby ojczyzna zażądała takiego poświęcenia?

- Jestem już za stary - odparł.

- Więc operuje pan czysto teoretycznymi argumentami, które nie mogą wywrzeć na pana bezpośredniego wpływu...

- Tak. - Asher zmienił pozycję, jakby było mu niewygodnie. - Niemniej są to moje argumenty i poglądy, za którymi opowiadam się całym sercem.

- Jest pan ateistą, profesorze Asher?

- Nie.

- Zastanawiające...

- Zastanawiające? - powtórzył.

- Chodzi mi o pańskie zainteresowanie filozofią Nietzschego - wyjaśniłem.

- Traktuję to tylko jako dziedzinę badań.

- Najwyraźniej. Więc jest pan kwakrem?

- Nie.

- W takim razie jaką religię pan wyznaje, jeżeli nie jest to zbyt osobiste pytanie?

Pytanie było w oczywisty sposób nieuprzejme i nawet dziś nie mam pewności, dlaczego naciskałem. Czy Asher się zawahał? Jestem pewny, że tak. Nie z obawy, lecz w przeczuciu reakcji, jaką mogła wywołać jego odpowiedź. Na chwilę odwrócił wzrok, ale zaraz utkwiał go w mojej twarzy.

- Jestem Żydem - powiedział.

Siedziałem bez ruchu, ze szklaneczką w rękę, znieruchomiałą w pół drogi do ust. Wątpię, czy jakiegokolwiek inne wyznanie z jego ust mogłoby bardziej mnie zaskoczyć. Jestem Chińczykiem. Jestem szamanem. Jestem Cyganem.

- Ach, tak... - Wreszcie pociągnąłem łyk alkoholu.

Czy nazwisko Asher, pozornie tak bardzo angielskie, było w rzeczywistości żydowskie? Czy członkowie zarządu college'u wiedzieli, że rozważają możliwość zatrudnienia Żyda na stanowisku dziekana? W Thrupp, college'u, który nigdy dotąd, jak mi wiadomo, nie zatrudniał człowieka wyznania mojżeszowego? Tajemnicza droga Phillipa Ashera z Londynu do Cambridge, a stamtąd do New Haven i Thrupp wreszcie zaczęła nabierać sensu.

(Dziś z przykrością i żalem odsłaniam te oportunistyczne myśli. Na swoją obronę, jeżeli w ogóle w takim wypadku można mieć cokolwiek na swoją obronę, mogę tylko powiedzieć, że w tamtych czasach poza Europą żydowskich akademików było bardzo niewiele, a w takich szkołach jak Thrupp nie było ich wcale. Oczywiście od tamtego czasu sytuacja bardzo się zmieniła. Tylko w naszym college'u brano pod uwagę przyjęcie trzech wykładowców pochodzenia żydowskiego: Isaiaha Gordona, Roberta Newmana i Jerome'a Sillsa, chociaż ze smutkiem wyznaję, że żadnego z nich nie zatrudniono).

- My, pacyfiści, tworzymy dość liczną grupę - odezwał się Asher.

- Nie w Thrupp, zapewniam pana - powiedziałem, odzyskawszy równowagę. - W naszym miasteczku panują całkowicie odmienne nastroje.

Asher potoczył wzrokiem po półkach z książkami, zatrzymał wzrok na małym szkicu Sargeanta, wiszącym na przeciwległej ścianie. Wyciągnął rękę i dotknął stóp statuetki skrzydlatego Merkurego, stojącej na biurku.

Nowina, którą przed chwilą poznałem, wprawiła mnie w wewnętrzne rozdygotanie. Nie mogłem skoncentrować myśli.

- Co za niezwykle zbieg okoliczności, że pański brat znał kiedyś moją żonę - zauważyłem.

- Właśnie...

- W jaki sposób się poznali?

- Mój brat znał ojca pani Van Tassel - odparł. - Obaj uczyli w Philips Academy w Exeter.

- Cóż za tolerancyjna szkoła... - powiedziałem pogodnym tonem.

Asher spojrzał na mnie, lecz się nie odezwał.

- Czy pański brat jest w wieku mojej żony? - zapytałem.

- Należy raczej do pokolenia pomiędzy mną a pańską małżonką. Jest od dziesięć lat starszy ode mnie.

- W takim razie jest w moim wieku.

- Tak, chyba tak.

- I mówi pan, że wyemigrował do Kanady?

- Tak, osiadł w Toronto. Zdomowił się tam już prawie na dobre, kiedy zaproszono go do Londynu.

- Świetnie, świetnie... - Pokiwałem głową. Asher spojrzał na mnie nieco dziwnie.

- Chociaż panu na pewno bardzo go brakuje - dorzuciłem szybko.

- Nie byliśmy sobie zbyt bliscy. - Dzieli nas duża różnica wieku. Gdy skończyłem dziesięć lat, brat wyprowadził się już z domu.

- Rozumiem... Więc nigdy nie poznał pan osobiście mojej żony.

- Owszem, widzieliśmy się raz czy dwa, ale oczywiście tylko przelotnie.

- Mogę zrobić panu świeżego drinka? - zapytałem, przybierając nieznośnie ekspansywny ton.

- Tak, dziękuję.

Asher poruszył się i skóra, którą obity był fotel, zaskrzypiała. Prawdziwie opanowany człowiek potrafi siedzieć bez ruchu nawet i godzinę, pomyślałem.



- Mam wrażenie, że moja żona zostanie na kolację u stryj-ny - powiedziałem. - Moglibyśmy więc zjeść coś we dwóch, może w mieście?

- Z przyjemnością - odparł Asher. - Niestety, obiecałem już Eliphaletowi Stone, że do niego wpadnę.

- Do Stone'a, tak?

- Tak - rzekł Asher. Nie dodał nic więcej, lecz w gruncie rzeczy nie musiał. Istniał tylko jeden powód, dlaczego Eliphalet Stone mógł zaprosić Phillipa Ashera do swego domu. Czy Stone wiedział, że Asher jest Żydem? Na pewno nie, pomyślałem.

- Więc może innym razem.

- Tak, innym razem... - Asher spojrział na zegar nad kominkiem. - Czy rzeczywiście dochodzi już szósta?

- Ten zegar trochę się śpieszy.

Wyraźnie widoczne pragnienie Ashera, aby jak najszybciej wyjść, graniczyło z nieuprzejmością.

- Wielka Brytania poniosła poważne straty w tej wojnie -zauważyłem.

- I sama także zadała je wrogowi.

- Myślę, że wkrótce dojdzie do starć w powietrzu.

- Tak - zgodził się Asher. - To nieuniknione.

- To straszne, że Niemcy zatopili „Hawke'a" - powiedziałem, nawiązując do faktu storpedowania brytyjskiego krążownika w pobliżu wybrzeża Szkocji.

- Straszne.

Dłuższą chwilę rozmawialiśmy o wojnie w Europie. Ja nalałem sobie następną brandy, natomiast Asher jeszcze nie skończył pierwszego drinka.

- Czy mogę zadać panu pytanie, profesorze Asher? - odezwałem się.

To moje pytanie na pewno wydało się Asherowi nieco dziwne, jako że przez cały wieczór nie robiłem przecież nic innego. Szczerze mówiąc, nasza męska pogawędka mogła mu się wydać przesłuchaniem.

- Naturalnie.

- Dlaczego Thrupp? Asher odchrząknął.

- Dostrzegam szansę podniesienia prowincjonalnego college'u do rangi dobrego uniwersytetu - oznajmił.

- Więc chciałby pan poszerzyć nasz zakres działania o studia podyplomowe?

- Byłoby to jednym z moich celów, tak.

- W jaki sposób planowałby pan to zrobić? Chodzi mi o środki finansowe...

- Musiałbym zająć się zbieraniem funduszy - rzekł spokojnie.

- Ach, tak... Ja sam odnoszę wrażenie, że tego rodzaju działania przystożą raczej prezesowi zarządu lub rektorowi niż dziekanowi, którego praca najczęściej ogranicza się przecież do narzucania i egzekwowania dyscypliny...

- Nie zgadzam się z takim punktem widzenia - powiedział Asher, stawiając szklaneczkę na biurku. - Praca dziekana obejmuje większe pole niż tylko narzucanie dyscypliny. Dziekan powinien zarządzać wydziałem, planować tok studiów i zakres wykładanych przedmiotów...

- Wygląda na to, że chciałby pan poszerzyć przysługujące dziekanowi prawa - przerwałem mu głosem, w którym z pewnością brzmiał ton lekkiej hysterii.

- Raczej w pełni egzekwować te prawa. Tak, oczywiście.

- Obawiam się, że nasza mała i skromna uczelnia załamałaby się pod ciężarem pańskich ambicji.

Popatrzył na mnie z wyrazem bliskim rozbawieniu.

- Czy pomylę się, jeśli powiem, że wszyscy jesteście ambitni? - zapytał.

- Chyba ma pan rację...

Wyjął zegarek z kieszonki kamizelki.

- Naprawdę muszę już iść - rzekł, podnosząc się z fotela. - Jeszcze raz dziękuję za zaproszenie i miłe przyjęcie...

- Gdzie zamierza pan spędzić Święto Dziękczynienia? - zapytałem, również wstając.

- Pan Ferald był tak uprzejmy i...

- Och, rozumiem! - powiedziałem. - Szkoda, że pański brat nie może panu towarzyszyć...

(Doskonale wiedziałem, o co chodzi Feraldowi, zastanawiałem się jednak, czy zaprosił Ashera do domu ze świa-

domością, że ten jest Żydem. Wydawało mi się to zupełnie niemożliwe).

- Będziemy modlić się o jego bezpieczny powrót - rzekł Asher.

Odprowadziłem go do holu i zawołałem Abigail, która podała mu palto i kapelusz.

- Może podwieźć pana do miasta? - zapytałem. - Mam do dyspozycji drugie auto, na cały tydzień...

- Jestem wdzięczny za propozycję, ale nie, dziękuję. Mam własny wóz.

- No tak, oczywiście...

- Liczę, że któregoś dnia przyjmie pan moje zaproszenie do hotelu, abym mógł odwzajemnić się za pańską gościnność - powiedział uprzejmie.

- Z przyjemnością - odparłem, otwierając drzwi. Asher wyszedł za próg, prosto w rozgwieżdżoną noc.

Przyglądałem się, jak naciąga rękawiczki.

- Nie powinien pan igrać z nadziejami członków zarządu - rzuciłem.

Podniósł głowę, odsłaniając twarz, którą z mroku wydobył blask latarni.

- Słucham?

- Nie wyobrażam sobie, żeby na długo pozostał pan w Thrupp - powiedziałem. - Jest pan zbyt ambitny i utalentowany. Thrupp to prowincjonalny college, który na dłuższą metę nie może pana interesować, lecz zarząd podchodzi do tych wyborów w bardzo poważny sposób. Większość członków uważa, że stanowisko dziekana obejmuje się na całe życie. Wątpię, aby miał pan właśnie takie intencje...

Asher milczał chwilę, jakby szukał właściwych słów.

- To moja sprawa - odparł w końcu.

- Moja także - nie dawałem za wygraną.

- Dobranoc - powiedział spokojnie. Odwrócił się i ruszył w kierunku auta.

- „Gdyby nie duma i próżność, zawsze niebezpieczne, nie odrzuciłbym ostrzeżenia” - zacytowałem, wiedząc, że kto jak kto, ale Phillip Asher z pewnością bez najmniejszego trudu umiejscowi ten werset z Milona.

Zamknąłem drzwi. Uśmiechnąłem się. Miałem nieodparte wrażenie, że błyskotliwy wykładowca z Yale był gościem w moim domu po raz pierwszy i ostatni.

W nocy prawie nie spałem, podekscytowany niezwykłą wiadomością, jaką poznałem z ust samego Ashera. Rozważałem rozmaite scenariusze. Czy mam niby mimochodem wspomnieć Feraldowi o pochodzeniu i wyznaniu Ashera? Jak zrobić to najlepiej? W końcu uznałem, że muszę się postarać, by „przypadkiem” wpaść na Feralda i zacząć rozmowę. Tak, właśnie tak zrobię. Czy jest jakaś sprawa, która mogłaby posłużyć mi za pretekst?

W Dzień Dziękczynienia wybraliśmy się na nabożeństwo do kościoła, potem na posiłek do domu wdowy Bliss, w czasie którego nasze myśli krążyły przede wszystkim wokół zmarłego Williama. Nicky i Clara ożywili dość poważne spotkanie pantomimą, którą przygotowywali przez dwa poprzedzające święto tygodnie. Nicodemus grał Indianina i widać było wyraźnie, że jest zachwycony, iż może wymachiwać tomahawkiem i nożem do skalpowania, natomiast Clara wzięła na siebie rolę kwakierki, jedynej osoby, która przeżyła napad Indian i rzeź, jakiej dokonali na reszcie jej rodziny. Nasza córka także nie kryła satysfakcji, jaką sprawiła jej rola, zwłaszcza ta jej część, kiedy mogła zademonstrować swą chrześcijańską dobroć, nawracając Nicky'ego i zachęcając go do zmienienia pięknej skórzanej tuniki na spodnie.

W czasie krótkiej przerwy w przedstawieniu przypomniała mi się kwestia obrazu, o którym wspomniał Josip Keep, a także William Bliss, wtedy pod wpływem morfiny, nachyliłem się więc w stronę Etny i zapytałem, czy kiedyś miała płótno pędzla Legny'ego.

- Co takiego? - odpowiedziała.

- Obraz Legny'ego, malarza z Nowej Anglii, doskonale znanego w całym kraju i nie tylko. Legny maluje impresjonistyczne krajobrazy, rzadziej portrety. Przecież wiesz, kim jest Legny, Etno...

- Tak - rzuciła z roztargnieniem.

- Czy miałaś kiedyś obraz jego pędzla?
- Czy miałam kiedyś obraz?
- Tak, obraz Legny'ego.
- Co za dziwne pytanie!
- Zastanawiałem się też, jak to się stało, że nie wspomniałaś mi o swojej znajomości z Phillipem Asherem - dodałem szybko, ponieważ Nicky i Clara zaczynali już drugą część pantomimy. - Zwłaszcza że wiedziałaś, iż zaprosiłem Ashera do naszego domu...
- Nie byłam pewna, czy chodzi o tę samą rodzinę - odparła Etna, nie odrywając wzroku od dzieci, żywo gestykułujących na zaimprovizowanej scenie. - A Phillip Asher w niczym nie przypomina chłopca, którym był w czasach, gdy mój ojciec utrzymywał bliskie kontakty z jego rodzicami i bratem.

Na tym na razie skończyliśmy, ponieważ całą naszą uwagę znowu skupili na sobie Clara i Nicky.

Tego wieczoru Etna przeżyła nawrót złego samopoczucia i do końca weekendu prawie w ogóle nie opuszczała sypialni, lecz w poniedziałek rano Mary poinformowała mnie przy śniadaniu, że żona bardzo wcześnie wyjechała do Baker House. Ucieszyła mnie ta wiadomość, gdyż wynikało z niej, że Etna odzyskała równowagę, jednak zaraz po śniadaniu, przechodząc korytarzem, zorientowałem się, że nie do końca otrząsnęła się z dziwnego rozproszenia myśli, bo u stóp schodów zostawiła płócienną torbę. Otworzywszy ją, zobaczyłem, że jest pełna artykułów żywnościowych - pasztecików mięsnych i serów, niewątpliwie resztek ze świątecznego weekendu. Gdyby były tam tylko ubrania czy kawałki tkanin, nie przejąłbym się tym przeoczeniem, nie chciałem jednak pozwolić, aby jedzenie uległo zepsuciu. Postanowiłem wziąć auto Moxona, które nadal stało na naszym podjeździe, i osobiście dostarczyć Etnie torbę. Kiedy ostatnim razem jechałem do Baker House, prowadzenie wozu sprawiło mi nawet pewną przyjemność, poza tym byłem świadomy, że taka praktyka jest mi bardzo potrzebna. Dzień był ponury i deszczowy, mogłem jednak śmiało pogratulować sobie poprawy umiejętności, ponieważ dość swobodnie siedziałem za kierownicą, nie czepiając się jej

rozpaczliwie niczym koła ratunkowego. Na Norfolk Street znalazłem się tuż przed pierwszą i byłem już blisko schroniska, kiedy dostrzegłem Etnę wychodzącą przez jedno z frontowych drzwi. Mam znakomite wyczucie czasu, pomyślałem z satysfakcją.

Patrzyłem, jak Etna podnosi parasolkę i rozkładają, potem zaś zbiega po stopniach do stojącego na podjeździe samochodu. Zatrzymałem auto, wysiadłem i zawołałem do niej, nie usłyszała mnie jednak poprzez szum deszczu i warkot silnika cadillaca, który zdążyła już włączyć. Szybko i sprawnie, z oszczędnością ruchów typową dla osoby przyzwyczajonej do prowadzenia tego rodzaju wozu, wyjechała tyłem na ulicę i zawróciła. Zawróciła nie w moim kierunku, lecz w odwrotnym. Nawet nie zauważyła auta Moxona.

Pomyślałem, że może ma jakąś sprawę do załatwienia w drodze do domu. Otrząsnąłem się z zaskoczenia, wsiadłem do wozu i zdecydowałem, że pojedę za nią. Droga była mokra i śliska, a deszcz bardzo utrudniał widzialność. Mocniej nacisnąłem pedał gazu z nadzieją, że uda mi się dogonić Etnę, byłem jednak gorszym od niej kierowcą i nie umiałem przyśpieszyć, nie wpadając w poślizg. Nie wiedziałem nawet, czy jadę za Etną, czy za kimś innym, ponieważ po paru minutach jazdy wyprzedził mnie jakiś wóz i mogłem tylko liczyć, że zostawił za sobą także cadillaca mojej żony. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że jestem na terenie innego miasta, prawdopodobnie Drury. Przyśpieszyłem jeszcze bardziej, przestraszony wydobywającymi się z silnika rżącymi odgłosami (jechałem z prędkością czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę, która w tamtych latach wydawała się oszałamiająca). Po piętnastu minutach szaleństwa dojrzałem wreszcie błysk czarno-niebieskiego lakieru. Pomyślałem, że wyprzedzę Etnę i pomacham jej, a wtedy ona zatrzyma auto.

Jednak kiedy opracowywałem ten plan, Etna skręciła w lewo, na drogę prowadzącą do jakiejś posiadłości. Wykonała ten manewr zbyt szybko jak na moje umiejętności, minąłem więc dróżkę i zahamowałem na szerokim poboczu trochę dalej.

Byłem mocno poruszony faktem, że jechałem z tak wielką prędkością i czułem ulgę, że wyszedłem z tego bez szwanku. Kilka minut siedziałem za kierownicą, czekając, aż moje serce trochę się uspokoi. Potem wysiadłem i pieszo wróciłem do miejsca, gdzie Etna zjechała z głównej drogi. Przyszło mi do głowy, że chyba powinienem skarcić żonę za tak nieostrożną jazdę - mogła przecież rozbić się w tej ulewie!

Przystanąłem przed bramą, za którą znajdowała się spora posiadłość. Na tyłach domu, białego dwupiętrowego budynku z masywnymi kolumnami, sięgającymi dachu, stała mała powozownia, przed nią zaś cadillac Etny. Pomyślałem, że może przyjechała tu, aby odebrać jakąś paczkę od innej osoby, pragnącej ulżyć losowi ubogich. W tamtym czasie niewiele kobiet prowadziło auta, więc Etna mogła zaproponować, że sama coś odbierze. Gdy jednak podszedłem do głównego domu, zorientowałem się, że jest zamknięty, najprawdopodobniej był zamieszkały tylko w miesiącach letnich. Okiennice na parterze szczelnie opuszczono, okna na piętrze zasłonięto. Co robiła tu Etna, skoro w pobliżu nie było żywej duszy? Podniosłem kołnierz, obszedłem dom i ruszyłem w kierunku cadillaca. Posiadłość była naprawdę piękna, teren lekko pagórkowaty i porośnięty kępami drzew, które nawet wtedy, w listopadzie zachwycaly resztkami barw, a wszystko to otoczone ładnym kamiennym murem. Na tyłach domu był także sad, pogrążona we śnie różana pergola i rozpięte na specjalnej konstrukcji krzewy winorośli. To, co na pierwszy rzut oka wydawało się powozownią, okazało się prostym, pozbawionym ozdób domkiem, który skojarzył mi się z wiejską szkołą; przez głowę przemknęła mi nawet myśl, że może Etna podjęła pracę nauczycielki i fakt ten w jakiś sposób umknął mojej uwadze. Białe otynkowany dom nie miał okiennic, a jego ostro ścięty dach wieńczyła niewielka kopuła. Otaczające go trawniki z kwietnikami sprawiały wrażenie zadbanej i przygotowanych na zimę. Dookoła panował zupełny spokój, poza autem Etny nie było tu żadnych innych wozów ani koni. Podszedłem do okna i zajrzałem do środka.

Miałem przed sobą spore pomieszczenie czy raczej izbę,

nie salon, nie jadalnię i nie kuchnię, lecz połączenie wszystkich trzech w jednym, tak jak to często bywa w domostwach ludzi ubogich. Z pomalowanych na biało ścian tu i ówdzie odpadała farba. Po obu stronach okna wisiały zasłony z jasnego lnu, związane w grube supły tuż pod parapetem, a na ścianie naprzeciwko, nad dużą sofą, widniała rama gotyckiego okna, która wyglądała tak, jakby ktoś uratował ją z ruin małej kapliczki. Do ścian w różnych miejscach przytwierdzono szpilkami wyblakłe ryciny z motywami kwiatowymi, w kącie pokoju stała wysoka i wąska apteczna szafka, pomalowana na kremowy kolor. Na tej witrynie dostrzegłem zielone metalowe pudełko po ciastkach, na stoliku zaś biały dzban, pełen zasuszonych liści. Wydobywające się z okna pokoju światło było nieco przymglone i rozproszone, jakby przesiane przez sito. Na środku z sufitu zwisał biały żyrandol, za duży do tego pokoju. Główną jego ozdobę stanowił bukiet kutych w żelazie kwiatów, miejscami odrobinę zardzewiałych, co nadawało im wygląd więdnących. Spomiędzy kwiatów - margerytek i róż o ostro zakończonych płatkach - wydobywało się sześć ramion, obwieszonych niezliczonymi kryształami. Etna siedziała niedaleko okna, odwrócona plecami do mnie, schylona nad jakąś robótką.

Odwróciłem się od okna i przywarłem plecami do ściany, wystawiając twarz na uderzenia kropel deszczu. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego zareagowałem w taki sposób, dlaczego najzwyczajniej w świecie nie zastukałem w szybę, aby zwrócić uwagę żony, albo dlaczego nie zapukałem do drzwi. Myślę, że stało się tak, ponieważ widok Etny, spokojnie oddającej się prostemu zajęciu w tym białym, obcym pokoju zupełnie wytrącił mnie z równowagi.

W mojej głowie kłębiło się mnóstwo pytań. Co robiła tu Etna? Do kogo należał domek? Czyżby do jakiejś krawcowej lub modniarki? Czy Etna najęła się do pracy, chyba do szycia, żeby zarobić dodatkowe pieniądze? Znowu zwróciłem się twarzą do okna, świadomy, że zachowuję się dziwnie. Obserwowałem, jak Etna szyje, jak przytrzymuje szpilkę wargami. Na chwilę podniosła materiał, który obrębiała, i trochę inaczej ułożyła go na kolanach. Jej



kapelusz i obszyte lisim futrem palto leżały na kanapie, jakby rzuciła je tam w pośpiechu. Złożona parasolka ociekała wodą w kącie, tworząc małą kałużę na podłodze.

Przyglądałem się mojej żonie przez dobre pół godziny, od czasu do czasu zerkając na drogę, bo przecież ktoś mógłby przejeżdżać tamtędy i zainteresować się, dlaczego jakiś mężczyzna zagląda przez okno do pobliskiego domu. Stojąc przy tym oknie, dostrzegałem coraz więcej detali - malutką porcelanową umywalkę, piecyk z fajerkami do gotowania, wysoką podstawkę, a na niej talerz ze złocistymi gruszkami, białe emaliowane wiadro pełne zasuszonych chryzantem - ale moje oczy raz po raz wracały do białego żyrandola, którego kontury rozmywały się w spływających po szybie kroplach deszczu. Przypomniałem sobie fakturę na biały żyrandol, która przypadkiem wpadła mi w ręce. Etna wyjaśniła mi to wtedy pomyłką właściciela sklepu; powiedziała wtedy, że zamówiła żyrandol, ale po kilku dniach go zwróciła. Z kutego żelaza, biały, sześcioramienny.

Etna wstała i zwróciła się w moim kierunku, jakby przyłapała mnie na podglądaniu, strzepnęła jednak tylko kawałek jedwabiu, wyjęty z paczki na półce i znowu usiadła na krześle.

Z każdą mijającą minutą pomyśl, żeby zapukać w okno lub do drzwi, wydawał mi się coraz trudniejszy do zrealizowania. Poza tym, jeśli mam być zupełnie szczery, w obserwowaniu Etny przez szybę krył się szczególnie rodzaj ekscytacji. Chwilami czułem się nawet jak widz, który ogląda sztukę, ale wiedziałem, że zrozumienie tej sztuki było niezbędnym warunkiem mojej dalszej egzystencji. Moja żona wydała mi się kimś obcym, może nawet nie osobą, ale wręcz rzeczą, przedmiotem, który nie ma ze mną nic wspólnego. Nie mogłem jej dotknąć ani zawołać do niej - istniała w świecie szczelnie odgradzonym od tego, w którym sam tkwiłem.

Etna uklękła na drewnianej podłodze i rozpostarła przed sobą prostokąt materiału, przypięła do niego papierowy wykrój i zaczęła ciąć wzdłuż brzegów. Potem podniosła się, podeszła do łóżka, rozłożyła tkaninę i wygładziła ją. Chwilę przyglądała się wykrojonej formie (chyba była to nocna ko-

szula) ze splecionymi pod brodą palcami. Przekrzywiła głowę, zmarszczyła brwi, oparła dłonie na biodrach i rozejrzała się dookoła. Pozbierała ścinki jedwabiu z podłogi i wrzuciła je do koszyka z przyborami do szycia.

Podeszła do piecyka, postawiła czajnik na fajerce, wyjęła z szafki filiżankę i spodeczek. Parę minut stała bez ruchu, wpatrzona w okienko nad umywalką (na szczęście nadal zwrócona plecami do mnie), aż wreszcie z zamyślenia wyrwało ją gwizdanie czajnika, które usłyszałem nawet ja. Wsypała kilka łyżeczek liści herbacianych do imbryczka i zalała je wrzątkiem. Potem zbliżyła się do innej szafki, wyjęła z niej szkatułkę z przyborami do pisania i postawiła na stoliku. Kiedy herbata się zaparzyła, nalała sobie filiżankę i usiadła przy stole, który chyba trochę się chwiał, w każdym razie tak mi się wydawało. Umieściła na blacie pióro, kałamarz i kartkę papieru, i zaczęła pisać, od czasu do czasu popijając herbatę. Były to zupełnie zwyczajne czynności, które nigdy nie przyciągnęłyby mojej uwagi, gdyby wykonywała je w naszym domu, lecz obserwowanie ich przez okno nadawało im całkowicie inny wymiar. Ani na sekundę nie mogłem pozbyć się podstawowego pytania, które brzmiało: Co moja żona robi w tym domu?

Nie pamiętam, jak długo stałem przy oknie, nie czując, że deszcz spływa mi po karku i zalewa nogawki spodni. Nie poruszyłem się i nie wydałem żadnego odgłosu. Po pewnym czasie Etna odłożyła pióro i odstawiła szkatułkę na poprzednie miejsce. Umyła filiżankę i spodek, strząsnęła z nich wodę, wytarła ściereczką i postawiła na półce. Potem otrzepała dłonie, osuszyła je, rozejrzała się po pokoju i podeszła do kanapy. Kiedy sięgnęła po palto, szybko ukryłem się za rogiem domu, żeby mnie nie zobaczyła. Słyszałem, jak wychodzi, zatrzaskuje drzwi i przekręca klucz w zamku. Chwilę później rozległ się warkot włączonego silnika. Osunąłem się plecami po murze i przykucnąłem, ponieważ mięśnie nóg nagle zupełnie mnie zawiodły. Byłem nieprzytomny ze zdenerwowania, w głowie mi szumiało. Dlaczego moja żona, Etna Bliss Van Tassel, przyjechała do Drury w New

Hampshire i szyla coś w obcym domu, skoro mogła robić to samo - i robiła prawie każdego wieczoru naszego małżeńskiego pożycia - we własnym domu?

Nie pamiętam drogi powrotnej do Thrupp. Prowadziłem jak w gorączce i kilka razy skręciłem nie tam, gdzie należało, a mniej więcej w połowie trasy zabrakło mi paliwa i musiałem pożyczyć trochę od przygodnego automobilisty, aby dotrzeć do domu. Kiedy zatrzymałem się na podjeździe, zobaczyłem już zaparkowanego cadillaca Etny.

Przemoknięty do suchej nitki, otworzyłem drzwi domu i udałem się prosto do garderoby Etny. Stała tam w samym gorsecie, trzymając suknię, którą najwyraźniej zamierzała włożyć do obiadu.

- Nicholasie... - powiedziała, przyciskając suknię do piersi.

- Gdzie byłaś?

- O co ci chodzi?

- Gdzie byłaś?! - krzyknąłem.

Wciąż miałem na sobie mokry kapelusz i palto, ociekające wodą, która powoli kapiała na dywan. Widziałem, że Etna jest przestraszona, ale nic mnie to nie obchodziło.

- Byłam w przytułku - odparła. - Przed chwilą wróciłam do domu.

- Ja także byłem w Baker House, ale ciebie tam nie było!

- Musieliśmy się minąć - powiedziała. - Co się dzieje, Nicholasie?

Udawała zaskoczoną i rozdrażnioną moimi pytaniami, lecz jej zachowaniu brakowało pewności siebie i niewinności.

- Byłem tam o wpół do drugiej - oświadczyłem.

- Naprawdę? - Ściągnęła brwi, ale nie było to tak naturalne, jakby pragnęła. - Nie wiem, o której godzinie wyszłam z Baker House, miałam kilka spraw do załatwienia...

- Gdzie? Jakich spraw?

- Musiałam pojechać po materiał do Drury - wyjaśniła. - Przestań na mnie krzyżeć, mój drogi. Te pytania są w wysokim stopniu obraźliwe. Muszę prosić cię, abys opuścił moją garderobę...

Stałem nieruchomo, gotowy rzucić oskarżenie, patrząc na swoje poczwórne odbicie, które wpatrywało się we mnie z luster na ścianach pokoju. Niewykluczone, że otworzyłem usta. Długą chwilę byliśmy mężem i żoną, których rozdzieliła przepaść milczenia. Czy Etna zamierzała przyznać się do wizyty w tamtym domu? A czy ja zamierzałem jej powiedzieć, że blisko godzinę obserwowałem ją przez okno, nie dając żadnego znaku swojej obecności? Czy bałem się poruszyć temat, który, raz przywołany do życia z ciszy, mógłby nieodwracalnie odmienić naszą codzienność? Nie wiem. Wiem tylko, że wiszące między nami milczenie było tak głębokie i wszechogarniające, że w pierwszej chwili nie zrozumieliśmy znaczenia dobiegających z dołu krzyków Mary.

- Mary krzyczy - przemówiła Etna.

- Co takiego?

- Mary krzyczy.

Wyszedłem na korytarz i stanąłem u szczytu schodów.

- O co chodzi, Mary? - zawołałem, nie kryjąc irytacji.

- Automobil, proszę pana! - krzyknęła Mary, gorączkowo wymachując rękami. - Automobil! Jedzie tyłem w dół podjazdu!

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że Stevens-Duryea Moxona faktycznie toczy się po wyżwirowanym podjeździe, nabierając szybkości. Zrozumiałem też wreszcie przyczynę paniki Mary - za kierownicą siedziała Clara, z dłońmi zaciśniętymi na obciążonym skórą kole i przerażeniem w oczach.

Runąłem w dół po schodach i wypadłem na podjazd, krzycząc imię córki. Zdałem sobie sprawę, że w pośpiechu, aby jak najszybciej stanąć twarzą w twarz z Etną, zostawiłem silnik na biegu. Wilgotne ubranie utrudniało mi poruszanie się, ale chociaż nie należę do bardzo sprawnych fizycznie (czytelnik zdążył się już w tym na pewno zorientować), mogłem śmiało powiedzieć, że ojciec, którego dziecko znajduje się w niebezpieczeństwie, potrafi dokonać niesamowitych rzeczy. Pędziłem za autem po podjeździe, wołając do Clary, aby nacisnęła pedał hamulca, lecz oczywiście Clara nie miała pojęcia, gdzie znajduje się hamulec.

Dogoniłem wóz i wskoczyłem na boczny stopień, mocno chwytając się drzwiczek.

Pod tak poważnym obciążeniem auto zatoczyło się, ja zaś z przerażeniem pomyślałem, że zaraz przechyli się, wpadnie do rowu i przewróci się. Krzyknąłem, żeby Clara przesunęła się na drugie siedzenie, ale ona ze strachu położyła się na podłodze. Próbowałem wdrzeć się do środka przez okno, pojąłem jednak, że nic z tego nie wyjdzie - po prostu byłem za tęgi. Zdobywając się na iście akrobatyczny wyczyn, otworzyłem drzwiczki, na których wisiałem, i wskoczyłem na miejsce kierowcy. Po paru sekundach rozpaczliwego szukania pedału hamulca nogą, w końcu udało mi się zatrzymać auto w odległości kilkunastu centymetrów od kamiennego muru otaczającego posiadłość naprzeciwko.

Ciężko dysząc, podniosłem wzroki zobaczyłem Nicky'ego, Abigail oraz Mary, którzy wybiegli na ganek, aby obserwować pościg. Etna patrzyła na nas z okna na piętrze. Podniosłem drżącą Clare z podłogi i przytuliłem ją do piersi. Mam nadzieję, że zdołaliśmy pocieszyć siebie nawzajem. Tego wieczoru ani Etna, ani Clara nie zeszły na kolację. Mogłem zrozumieć nieobecność Clary, ale nie żony. Abigail poinformowała mnie, że Etna bez kolacji udała się na spoczynek w gościnnym pokoju, ponieważ nie chce mi przeszkadzać.

Przeszkadzać mi? Zachnąłem się wewnętrznie, ale nie powiedziałem ani słowa, ponieważ siedziałem przy stole z Nickym, który nadal drżał po wypadku z samochodem. W czym mi przeszkadzać? (Całkiem prawdopodobne, że Nicky drżał z ekscytacji - dla pięcioletniego chłopca zagrożenie katastrofą było niewątpliwie tylko przygodą). Pomyślałem, że żona jest tchórzem i postanowiłem obudzić ją po posiłku i powiedzieć jej to prosto w oczy; możliwe, że rzeczywiście bym to uczynił, gdyby nie telefon, który odebrałem tuż przed deserem.

Ferald mówił bardzo oficjalnym tonem. Chciał porozmawiać ze mną u siebie, z samego rana następnego dnia. Czy mógłbym wpaść o dziewiątej? Tak, tak, powiedziałem, z przyjemnością złożę mu wizytę. Odwiesiłem słuchawkę i na pół bezwładnie osunąłem się

na krzesło w holu. Czyżby Edward Ferald zamierzał zaproponować Nicholasowi Van Tassel stanowisko dziekana Thrupp College? Spędziłem bezsenną noc. Jak ktokolwiek mógłby zasnąć w podobnych okolicznościach? Kiedy się nie zastanawiałem, dlaczego żona mnie okłamała (ale czy faktycznie mnie okłamała? Usiłowałem przypomnieć sobie dokładne brzmienie pytań i odpowiedzi oraz kolejność, w jakiej padały, lecz nie do końca mi się to udało), wyobrażałem sobie rozmowę, jaką wkrótce miałem odbyć z Edwardem Feraldem. W nocy nie miałem już wątpliwości, że Ferald, jako przedstawiciel całego zarządu, złoży mi rano konkretną propozycję. Oczami wyobraźni widziałem, jak z pełną wdzięczności skromnością (lub pełną skromności wdzięcznością) i powagą przyjmuję tę ofertę. Na podstawie minionych doświadczeń wydawało mi się więcej niż prawdopodobne, że Ferald w jakiś sposób da mi do zrozumienia, iż nie byłem pierwszym kandydatem na jego liście. Cóż, trudno... Miałem jednak nadzieję, że po tak długim okresie niechęci wreszcie zdecyduje się zakopać topór wojenny i pogratulować mi tak, jak dobry, przychylny mecenas powinien pogratulować akademikowi. Tak czy inaczej, niezależnie od zachowania Feralda, ostateczny efekt będzie ten sam, myślałem. Z domu Feralda pośpieszę prosto na zajęcia o dziesiątej, ale już jako nowy dziekan Thrupp College.

Ubrałem się starannie, w najlepszy garnitur z wełny czesankowej i jedwabny krawat w paski, w który wpiąłem diamentową spinę, prezent od Etny, ozdobę noszoną tylko przy wyjątkowo ważnych i uroczystych okazjach. Chyba już wspominałem, że jakiś czas wcześniej zacząłem łysieć, głównie na czubku głowy, co wyglądało trochę tak, jakby ktoś lub coś wygryzło mi włosy. Ogoliłem się dokładnie i kilkakrotnie spryskałem twarz zimną wodą, aby zmniejszyć opuchliznę wokół oczu, rezultat bezsenności i podniecenia.

Byłem zadowolony, że pożyczyłem od Moxona auto, ponieważ uznałem, że zrobię lepsze wrażenie, kiedy przybędę do domu Feralda wozem, nie pieszo. Starłem się prowadzić

ostrożnie i koncentrować myśli na tej czynności. Nie chciałem sprawić wrażenia roztargnionego czy przygnębionego, bo przecież czekała mnie szczególnie ważna rozmowa, której znaczenia nie sposób było przecenić. Zaparkowałem auto przed wejściem domu Feralda, który tamtego dnia oceniałem znacznie mniej surowo niż poprzednio. Może specjalnie sprowadzany z Anglii wapń i greckie kolumny nie są jednak aż tak pretensjonalne, jak sądziłem, pomyślałem. Niby dlaczego człowiek nie miałby zaprojektować sobie domu tak, jak mu się podoba?

Energicznie wysiadłem z auta; mam wrażenie, że gdy pukałem do drzwi, wyglądałem na człowieka opanowanego i pewnego siebie. Otworzył mi lokaj, który wziął palto, kapelusz oraz rękawiczki i powiedział, że pan Ferald już czeka.

Potem zaprowadził mnie do dużego, dobrze oświetlonego pokoju (wchodziło się do niego przez masywne, podwójne drzwi o porcelanowych klamkach na wysokości mojej klatki piersiowej, których jakoś nie zapamiętałem z poprzedniej wizyty). Na środku pokoju stał wypolerowany na wysoki połysk owalny stół, przy którym zająłem miejsce, kierując się sugestią lokaja.

Służący powiadomił mnie, że pan Ferald wkrótce przyjdzie i wyszedł. Ściany pokoju pokrywały wypakowane książkami półki, sięgające sufitu (przecież Ferald mało czyta, zaprotestowałem w duchu). Głębokie okienne parapety i gruby dywan sprawiały, że w pokoju panowała taka cisza, iż słyszałem tylko tykanie zegarka w mojej kieszeni. Wydawało mi się, że czekam całe wieki. Dziesięć po dziewiątej. Dwadzieścia po dziewiątej. Pomyślałem, że jeżeli Ferald zaraz się nie zjawi, spóźnię się na zajęcia. Nieważne, powiedziałem sobie. Niezależnie od drobnego spóźnienia, wyjdę stąd jako dziekan i już niedługo w ogóle nie będę musiał prowadzić zajęć ze studentami. Była to wspaniała perspektywa. Klamka masywnych drzwi szczęknęła punktualnie o wpół do dziesiątej. Do pokoju wkroczył Edward Ferald w ciemnozielonej marynarce, z krótką brodą ostrzyżoną w szpic. Pod pachą niósł starą, zniszczoną teczkę, jedną z takich, jakich używaliśmy w college'u wiele lat temu. Wstałem, lecz on nie

dbałym gestem polecił mi usiąść i zajął miejsce naprzeciwko mnie.

- Wezwałem pana tu dzisiaj, ponieważ przypadkowo dowiedziałem się o pewnej sprawie - zaczął.

(Nawet się nie przywitał - Ferald miał naprawdę fatalne maniery).

- Jaka sprawa? - zapytałem, zabierając głos po raz pierwszy w czasie tej rozmowy.

Ferald spojrział na teczkę.

- Noah Fitch prowadził tecki z notatkami dotyczącymi wszystkich swoich podwładnych - powiedział. - Ponieważ rozważamy pańską kandydaturę na dziekana college'u, uznałem za słuszne i stosowne udać się do szkolnego archiwum i odnaleźć pańską teczkę.

- Czy naprawdę było to konieczne? - Nagle poczułem, że na górnej wardze zgromadziły mi się kropelki potu.

W tym pokoju jest zdecydowanie za ciepło, pomyślałem z rozdrażnieniem. Miałem ochotę wyjąć chusteczkę i wytrzeć nią twarz, ale nie zamierzałem robić tego w obecności Feralda.

- Po przejrzeniu wspomnianej tecki zorientowałem się, że muszę przedsięwziąć pewne kroki w związku ze znajdującą się w niej... Jakby to ująć... Niepokojącą notatką.

- Tak? - zdziwiłem się.

Czy byłem wtedy zdenerwowany? Tak, chyba tak. Tak sędzę.

- Wygląda na to, że w pańskiej karierze pojawiła się kwestia plagiatu. -

Ferald wypowiedział ostatnie słowo z wyraźnym niesmakiem. -

Monografia na temat wczesnych powieści sir Waltera Scotta. Czy to panu coś mówi?

Pot, który jeszcze przed chwilą przykrywał tylko moją górną wargę, teraz wydawał się dosłownie wypływać ze wszystkich porów ciała.

- Raczej nie - odparłem.

Nie miałem wyjścia - musiałem wyjąć chusteczkę i wytrzeć głowę, twarz i szyję. Ferald siedział spokojnie, z cierpliwym uśmiechem na ustach, czekając, aż schowam przemoczony kawałek cienkiego płótna do kieszeni.



- Odbył pan kiedyś rozmowę o tej pracy z Noahem Fitchem, prawda?
  - Możliwe - powiedziałem. - Trudno się spodziewać, żebym pamiętał rozmowę, która miała miejsce... Jak dawno temu?
  - W marcu 1900 roku.
  - Czternaście lat temu.
  - Czas nie gra tu istotnej roli... - Ferald na chwilę zawiesił głos. - Chodzi przecież o oskarżenie o plagiat, rzecz niezwykle poważną...
  - Wydaje mi się, że Noah Fitch przeprosił mnie za to, iż niepokoił mnie tą kwestią - rzekłem. - Tak, jestem pewny, że tak właśnie było...
  - Więc jednak przypomina pan sobie tamtą rozmowę...
  - Chyba tak - odparłem z niedbałym machnięciem, jakbym chciał przegonić tę sprawę jak natrętną muchę.
- Ferald pociągnął długi łyk wody. Miał wąskie wargi i spiczasty język, który przy każdym łyku wsuwał do szklanki.
- Wody? - zagadnął.
  - Nie, dziękuję.
  - Najwyraźniej Fitch przywiązywał spore znaczenie do tego, co wtedy panu powiedział - podjął Ferald, ukoivszy pragnienie. - Z jego notatek wynika, że traktował to naprawdę poważnie.
  - Słucham?
  - Oto notatka Fitcha. - Ferald odchrząknął. - Obawiam się, że nie może być żadnych wątpliwości co do jej autentyczności... Cytuję: „VT zaprzecza, jakoby dokonał plagiatu, chociaż jego monografia wydaje się niepokojąco podobna do pracy Alana Dudleya Severence'a z Amherst College. Uznałem, że tym razem wystarczy surowe ostrzeżenie, ponieważ VT jest cennym, choć pozbawionym twórczej wyobraźni nauczycielem retoryki; nie sądzę, aby udało nam się znaleźć odpowiedniego zastępcę na resztę semestru. Niemniej w przyszłości będę ze szczególną uwagą przyglądał się poczynaniom VT. Niewykluczone, że sprawę plagiatu należałoby zbadać w sposób formalny”.
  - Nigdy... - zająknąłem się. - Nigdy nie podjęto wobec mnie takich działań...

Zabolało mnie, że Fitch nazwał mnie „pozbawionym wyobraźni twórczej nauczycielem retoryki”.

- Tak, wiem o tym. - Ferald znowu napił się wody. - Do kartki z tą notatką przypięto inną, z całą serią zwrotów, także zapisanych charakterem pisma Fitcha, które wydają się uderzająco podobne do tych, jakie pojawiają się w monografii Severence'a, opublikowanej kilka lat przed pańską. - Ferald podniósł wzrok i uśmiechnął się. - Nie muszę chyba mówić, że przeczytałem obie prace, Severence'a i pańską. Czy chciałby pan zobaczyć listę wybranych przez Fitcha zwrotów?

- Nie - odrzekłem. - W rozmowie z Fitchem zdecydowanie zaprzeczyłem temu oskarżeniu i teraz także to robię...

- Tak, tak, nie wątpię, że chce pan zaprzeczyć...

- To bardzo stara sprawa - powiedziałem. - Pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia.

Ferald odchylił się do tyłu w krześle i złączył dłonie pod podbródkiem.

- Ach, w tym miejscu nie mogę się z panem zgodzić, Van Tassel...

Zauważyłem, że gorset jego koszuli jest tak biały, jakby była zupełnie nowa. Czy Ferald zamawiał sobie koszule tuzinami i każdą wkładał tylko raz?

- Właśnie z tej przyczyny wezwałem pana dziś do siebie - podjął. - Widzi pan, człowiek, któremu powierzymy stanowisko dziekana, musi być ponad wszelkie podejrzenia. Bez żadnych plam na karierze...

- Mojej kariery nie szpecą żadne plamy.

- Powiedzmy, że jest to cień plamy.

- Ja...

- Odnoszę także wrażenie, Van Tassel, że Fitch zostawił tę sprawę w spokoju ze względów pragmatycznych, nie dlatego, by uważał te oskarżenia za pozbawione podstaw.

- Ze względów pragmatycznych? - odzyskałem głos. - To oburzająca i całkowicie nieprawdziwa interpretacja tego incydentu!

- Wydaje mi się, że całkiem nieźle radzę sobie z interpretacją - rzekł Ferald.

- Opuszczał pan zajęcia! - wybuchnąłem, zanim zdążyłem ugryźć się w język.

- Tak, to prawda. - Ferald się uśmiechnął. - I zostałem za to surowo ukarany. Oblałem egzamin, przez co musiałem powtarzać drugi semestr trzeciego roku...

- Student musi ponosić konsekwencje swoich niedociągnięć - oświadczyłem.

- Wykładowca także. - Ferald zamknął teczkę. - Jeżeli nie wycofa pan swojej kandydatury, Van Tassel, wyjawię tę sprawę pozostałym członkom zarządu.

- Nie może pan...

- Jeśli jednak zrezygnuje pan dobrowolnie, nikt się o tym nie dowie i będzie pan mógł zostać w college'u.

Zamrugąłem nerwowo. Zostać w college'u?

- Co pan ma na myśli? - zapytałem.

- Będzie pan mógł nadal wykładać. - Ferald zmarszczył brwi, między którymi pojawiła się pionowa zmarszczka. - Oczywiście nie znaczy to, że za jakiś czas nie rozważymy ponownie kwestii, czy nadaje się pan na dziekana lub wicedziekana wydziału...

Potrząsnąłem głową. Potrzebowałem czasu do namysłu. Rozpiąłem guziki marynarki.

- To przerażające - powiedziałem.

Ferald wzruszył ramionami, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że nie ma to żadnego znaczenia.

- I wszystko dlatego, że kiedyś oblałem pana na egzaminie z twórczości Scotta? - zapytałem.

Ferald wstał.

- Powiadomię członków zarządu o pańskiej rezygnacji na zebraniu piątego grudnia - powiedział, wkładając sobie starą teczkę pod pachę. Chwilę przyglądał mi się w milczeniu. Podniósłbym się także, ale nie mogłem. Ręce drżały mi ze zdenerwowania, w ustach zaschło.

- Czy wycieczka sprawiła panu przyjemność? - zapytał.

- Wycieczka? - powtórzyłem, niezdolny nie tylko się poruszyć, ale i skupić myśli. - Jaka wycieczka?

- Po moim domu.

Poczułem, że się uduszę, jeżeli zaraz nie rozepnę kołnierzyka koszuli.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - powiedziałem.

- O moim przyjęciu, Van Tassel. Jeden ze służących poinformował mnie, że odbył pan wycieczkę po moim domu.

- Ja...

- Podobał się panu basen? - podsunął z uśmiechem. Wyjąłem z kieszeni wciąż jeszcze wilgotną chusteczkę i wytarłem czoło.

- A oranżeria?

- Ja... Ja... Szukałem żony - wyjąkałem wreszcie. Ferald się uśmiechnął.

- Doprawdy?

Z wielkim wysiłkiem dźwignąłem się na nogi, musiałem jednak oprzeć obie dłonie na stole, aby utrzymać równowagę. Odchrząknąłem.

- Zakładam, że wie pan, iż Phillip Asher jest Żydem - powiedziałem tonem człowieka, który rzuca asa na stół w chwili, gdy inni gracze zakończyli już grę.

Ferald milczał.

- Jest Żydem... - powtórzyłem. Przyglądał mi się z zainteresowaniem.

- Życzę dobrego dnia, Van Tassel - rzekł. Potem wyszedł z pokoju.

Nie pamiętam, jak dotarłem do college'u. Zaparkowałem auto na trawniku i udałem się do Chandler Hall, gdzie znajdowała się moja sala.

Wszedłem do pełnej studentów sali (sporo spóźniony) i usiadłem za biurkiem, a właściwie bezwładnie osunąłem się na krzesło. Po pewnym czasie (nie wiem, jak długo to trwało) podniosłem głowę i potoczyłem wzrokiem po młodych, pełnych nadziei twarzach.

Nie poznałem nikogo, ani jednego z młodych ludzi tu zgromadzonych. Dość długo siedziałem nieruchomo, nie wiedząc, co powiedzieć, a studenci czekali na jakieś oświadczenie. Nie umiałem znaleźć żadnych słów, jakimi mógłbym się do nich zwrócić.

Zacząłem się nawet zastanawiać, czy nie dostałem udaru. Może to zablokowanie jakiejś tętnicy wywołało ten okropny zanik pamięci i tę drżącą słabość całego ciała...

Zauważyłem, że ktoś stoi w progu i odwróciłem głowę ku przybyszowi. Był to Owen Ellington, jeden z młodszych wykładowców. W ręku trzymał filiżankę z herbatą i wyglądał na zaniepokojonego.

- Profesor Van Tassel... - odezwał się. - Bardzo mi miło. Czym mogę panu służyć?

Możliwe, że przywitałem się z nim, ale tego także nie pamiętam. W końcu podniosłem się i sięgnąłem po teczkę. Ellington odsunął się, a ja wyszedłem na korytarz. Przez chwilę nie mogłem się zorientować, w jakim kierunku powinienem pójść.

Ostrożnie i powoli ruszyłem na poszukiwanie swojej sali. Nie potrafiłem myśleć o niczym poza upokarzającą sceną w domu Feralda. Co powinienem zrobić? Czy mogłem publicznie zaprotestować? Tak, mogłem. Postanowiłem, że zrobię to natychmiast, bez chwili zwłoki. Z całą pewnością cieszyłem się wśród ciała akademickiego większym szacunkiem niż Ferald. A jednak... A jednak ujawnienie oskarżenia, z jakim wystąpił przeciwko mnie Ferald, mogło zakończyć się katastrofą, moją osobistą tragedią. Oparłem się o ścianę. Aż zbyt dobrze wiedziałem, co stałoby się z moją karierą po publicznym przedstawieniu zarzutów Fitcha.

Znalazłem salę i wszedłem do środka. Znowu usiadłem za biurkiem i popatrzyłem na moich zniecierpliwionych, zaniepokojonych studentów, którzy na pewno się zastanawiali, jak to się stało, że profesor Van Tassel tak bardzo postarzał się w ciągu zaledwie jednego dnia.

W drodze do przytułku czułem się dziwnie spokojny. Dobrze poznałem już i auto Moxona, i samą trasę, którą pokonałem w bardzo krótkim czasie. Nie zamierzałem jednak ani wchodzić do Baker House, ani w jakikolwiek sposób ujawniać swojej obecności, o nie... Tego dnia najchętniej stałbym się niewidzialny.

Zaparkowałem na placyku za kępą dębów, które nie straciły jeszcze wszystkich liści. Byłem pewny, że nikt mnie nie dostrzeże, ponieważ ja także ledwo widziałem dom z zielonymi okiennicami. Nie chciałem, aby Etna się dowiedziała, że przyjechałem tu za nią.

Minął mnie chłopiec na rowerze i mężczyzna w palcie z surowego tweedu i czapce z daszkiem - żaden mnie nie zauważył. Poza nimi dwoma w ciągu godziny, którą spędziłem w samochodzie, nie widziałem nikogo.

Wyczerpany porannymi przeżyciami i nocną bezsennością, zapadłem w krótką drzemkę. Obudził mnie jakiś dźwięk. Głos, a raczej dwa głosy, z których jeden rozpoznałem. Wyprostowałem się i ujrzałem Etnę, opuszczającą dom przez jedne z frontowych drzwi. Usłyszałem jeszcze, jak głośno żegna się z osobą, która została w holu. Potem odwróciła się i poszła do wozu.

Wcześniej nie zastanawiałem się, co zrobię, kiedy ją zobaczę. Czy miałem śledzić swoją żonę niczym detektyw? I jak miałem tego dokonać, by się nie zorientowała, że jadę za nią? Nagle dotarła do mnie absurdalność całego przedsięwzięcia i mało brakowało, a wysiadłbym z auta, by do niej zawołać. Pomyślałem, że jej wizyty w tamtym domu nie mają teraz żadnego znaczenia. Musiałem porozmawiać z żoną, potrzebowałem jej spokoju i zdrowego rozsądku. Etna będzie wiedziała, jak powinienem się zachować w sprawie Edwarda Feralda i stanowiska dziekana, a jeśli nawet nie udzieli mi żadnej rady, na pewno mnie pocieszy, powiedziałem sobie.

Prawie natychmiast straciłem ją z oczu. Byłem przekonany, że bez trudu odnajdę tamten domek, ale się myliłem. Kiedy wcześniej jechałem za nią w ulewie, skręcałem dwa razy, lecz niedokładnie pamiętałem, gdzie. Niespodziewanie znalazłem się na nieznannej drodze w gęsto zalesionym terenie. Zatrzymałem samochód i wysiadłem, żeby się rozejrzeć. Sądziłem, że w przejrzystym listopadowym powietrzu szybko natrafię wzrokiem na jakiś punkt orientacyjny, ale nie zobaczyłem nic, co mogłoby mi powiedzieć, gdzie się znajduję. Musiałem jechać dalej z nadzieją, że jakiś napotkany po drodze farmer pomoże mi wydostać się na główną drogę. Mniej więcej po dwudziestu minutach zauważyłem mały domek, stojący

w pewnej odległości od drogi. Zapukałem do drzwi i od lekko zaskoczony kobiety dowiedziałem się, że jestem na terenie stanu Vermont. Vermont! Nie miałem pojęcia, kiedy przekroczyłem rzekę Connecticut. Kobieta nie była do końca pewna, którądy powinienem wyjechać na drogę międzystanową, skierowała mnie jednak do sklepu w najbliższej miejscowości, gdzie otrzymałem dalsze wskazówki. Z nerwami rozstrojonymi do granic możliwości ponownie przejechałem przez most na Connecticut i pojechałem do Drury, miasteczka, w którym znajdował się tamten dom.

Odnalezienie właściwej posiadłości zajęło mi prawie pół godziny. Postanowiłem, że w najbliższej przyszłości kupię mapę samochodową. Zaparkowałem w tym samym miejscu co poprzednio i ruszyłem w kierunku domu, jednak nie tak pewnie i śmiało jak dzień wcześniej. Szedłem między drzewami, lecz ostatni odcinek był całkowicie odkryty, i gdyby Etna wyjrzała wtedy przez okno, musiałaby mnie zobaczyć. Ale nie wyjrzała.

I tym razem siedziała przy małym, rozchylonym stoliku. Czytała rozłożoną na blacie książkę. Miała na sobie czarną jedwabną suknię z różowym kołnierzykiem i krótkie różowe korale na szyi. Była pochylona nad książką, splecione dłonie trzymała na kolanach. W pewnej chwili oparła łokieć na stole i musnęła palcami czoło, zupełnie jak Clara, kiedy uczyła się do egzaminów. Etna odwróciła kartkę i wsparła podbródek na otwartej dłoni. Poprawiła się na drewnianym krześle (chyba nie było zbyt wygodne) i oparła łydkę na kolanie drugiej nogi - był to gest, na który nigdy nie zdobyłaby się w miejscu publicznym, czy nawet w naszym salonie, w mojej obecności. Znowu miałem wrażenie, że patrzę na coś, co dzieje się zupełnie poza mną, na kogoś, kto nie ma ze mną nic wspólnego. Etna powoli podniosła ramiona wysoko nad głowę i przeciągnęła się. Wszedłem do pokoju, nie pukając do drzwi.

Etna wstała i mocno potrąciła stolik, zrzucając spodek na podłogę.

- Nicholas... - powiedziała.

- Co tutaj robisz? - zapytałem, rozkładając ramiona.

Stała za krzesłem, z którego przed chwilą się podniosła.

- Ten dom należy do mnie - rzekła.

- Jak to - do ciebie? - Zrobiłem krok do przodu. Położyła dłonie na oparciu krzesła. Głęboki rumieniec,

prawie tak ciemny jak kołnierzyk sukni, wykwitł na jej policzkach.

- Dom należy do mnie - powtórzyła. - Jestem jego właścicielką.

Dom należał do niej? Przecież to było po prostu niemożliwe. Postąpiłem następny krok w jej stronę. Zaciśnęła palce na drewnianym szczeblu, ale się nie cofnęła.

- O czym ty mówisz? - zapytałem.

- Kupiłam go.

Słuchałem jej słów jak wypowiedzi w obcym języku, którego naukę zaniedbałem.

- Za co?

Na jej czole nagle pojawiły się kropelki potu.

- Odziedziczyłam obraz.

- Więc jednak był jakiś obraz.

- Tak.

- Okłamałaś mnie.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała.

- Pojechałem za tobą - odparłem. - Wczoraj. Zrzuciłem kapelusz, nie zwracając uwagi, gdzie wylądował.

- Nigdy nie widziałem obrazu Claude'a Legny - dodałem.

- Był na strychu w domu mojej siostry - wyjaśniła. - Na moją prośbę przywiozła mi go w zeszłym roku.

- W zeszłym roku? Od jak dawna jesteś właścicielką tego domu?

- Od stycznia.

Spróbowałem skupić myśli. Od stycznia, czyli od jedenastu miesięcy!

- I od stycznia tutaj przyjeżdżasz?

Nie odpowiedziała. Nie musiała tego robić. Odpowiedź na moje pytanie można było wyczytać w przytulnej skromności tego pokoju, w widoku uporządkowanego, zadbanego



ogródka przy domu. Etna przyjeżdżała tu zimą, kiedy dookoła leżał śnieg, wiosną, gdy ktoś posadził floksy pod ścianą, latem i wczesną jesienią, w czasie, gdy ja chodziłem do college'u. Czy dzieci wiedziały o tym? Czy były w tym domu?

Pokój miał mniej więcej sześć na dziesięć metrów. Podeszedłem do stolika i zauważyłem przedmioty, których nie dostrzegłem poprzedniego dnia - książki na półkach pod oknem, wiklinowy fotel... W kuchni znajdowała się chłodziarka i Kuchenka z dwoma fajerkami. Na półeczce nad zlewem stała puszka mleka, cukier i butelka czerwonego wina. Spojrzałem na sufit.

- Żyrandol - odezwałem się. - W tej sprawie też mnie okłamałaś, tamtego dnia, kiedy przyszedł rachunek...

Dłonie Etny mocniej zacisnęły się na oparciu krzesła.

- Jesteś moją żoną - powiedziałem.

- Byłam dobrą żoną - odparła.

- Dobrą żoną z pewnym sekretem.

Schyliła się i pozbierała kawałki stłuczonego spodeczka.

- Nie wyrządziłam ci żadnej krzywdy.

- Żadnej krzywdy? - powtórzyłem z niedowierzaniem. - Żadnej krzywdy?

Wyprostowała się, trzymając w dłoni porcelanowe skorupki.

- Co tutaj robisz? - Szerokim gestem objąłem cały pokój.

- Ja... - Rozejrzała się dookoła. - Czytam. Szyję. Piszę.

- Czy ktoś jeszcze o tym wie?

- Nie.

- Ktoś tu przychodzi? Twój kochanek?

- Nie! - odpowiedziała, wyraźnie poruszona moją sugestią. - Oczywiście, że nie!

Przyłożyłem dłoń do czoła, jakby to mogło mi zapewnić jasne myślenie.

- Jak mogę ci uwierzyć?

Jednak w głębi serca wierzyłem jej. Wierzyłem i nadal wierzę, że tamtego dnia powiedziała mi całą prawdę, że dla niej całe to przeżycie podobne było do nagłego wybuchu płaczu - oczyszczające i niosące ulgę.

- Miałaś mnie przez wszystkie te lata - rzekła cicho. -

Miałeś dzieci... Dałam ci dom. Byłam wierna. Spełniałam swoje obowiązki.

- Spełniałaś swoje obowiązki... - powtórzyłem powoli. - Byłaś zimna.  
- To prawda, przepraszałam cię za to, ale mój chłód nie ma nic wspólnego z tym domem.

Podszedłem do szafki i dotknąłem białej puszeki na ciastka. Etna wzięła głęboki oddech.

- Czy pieniądze, o które prosiłaś mnie przy śniadaniu, wydawałaś na te rzeczy? - zapytałem.

- Miałam pieniądze ze sprzedaży obrazu. - Położyła kawałki spodeczka na desce do suszenia naczyń przy zlewie. - Okazał się wart więcej niż przypuszczałam.

- To szaleństwo...

- To moja cena - powiedziała cicho.

- Co takiego? - zapytałem, pewny, że się przesłyszałem. Podniosła głowę.

- Moja cena - powtórzyła.

- Twoja cena za co? Nie znam żadnej żony, która wyznaczałaby cenę!

- Może inne żony tego nie robią - rzekła. Pokręciłem głową.

- Czy małżeństwo z Nicholasem Van Tasselem było aż tak bolesne, że musisz żądać za nie ceny? - spytałem. - Czy było ci tak źle, że potrzebowałaś miejsca, w którym mogłabyś się ukryć?

- Nie ukrywam się - odpowiedziała po prostu.

- Więc dlaczego nie powiedziałaś o tym swojemu mężowi?

- Bo wtedy ten dom nie należałby już tylko do mnie.

- Nie pojmuję twojej logiki, Etno.

Naprawdę jej nie pojmowałem. Gdyby w ten sposób zachowywał się mężczyzna, zrozumiałbym to bez większego trudu. Garsoniera dla kochanki - cóż, takie rzeczy się zdarzają. Nie należy popierać takiego postępowania, lecz można objąć je umysłem, zrozumieć, o co chodzi. Ale żeby kobieta wypowiadała takie słowa?! Nie do pomyślenia!

- To, co mówię, nie musi być logiczne, Nicholasie.

- Miałaś przede mną kochanka - rzuciłem oskarżycielskim tonem.  
W ciszy, która zapadła między nami, usłyszałem gęganie przelatujących nad domem gęsi, warkot przejeżdżającego drogą auta. Etna spuściła oczy. Westchnęła głęboko, jej ciałem wstrząsnął lekki dreszcz.

- Kto to był? - zapytałem.

Zmobilizowałem całą odwagę, żeby wysłuchać jej odpowiedzi, choć w gruncie rzeczy ucieszyłbym się, gdyby skwitowała moje pytanie milczeniem.

Etna oparła się o porcelanowy brzeg zlewu.

- To nieważne - powiedziała.

- Żądam odpowiedzi - oznajmiłem, starając się zawrzeć w tych słowach cały swój męzowski autorytet.

Odwróciła się i utkwiała wzrok w małym okienku nad kranem.

- Nie powiem ci - odparła.

Jeszcze raz rozejrzałem się po pokoju, ogarniając wzrokiem znane mi już teraz przedmioty: puszkę na ciastka, gotycką ramę okna, żyrandol.

Szeroko rozłożyłem ramiona.

- Dlaczego? - zapytałem. Odwróciła się twarzą do mnie.

- To nie ma nic wspólnego z tobą - powiedziała. - Zupełnie nic.

- W związku dwojga ludzi nie ma miejsca na tajemnice - zaprotestowałem. - Ani na rzeczy należące wyłącznie do jednego z małżonków.

- Gdybyś był rozsądny, przerwałbyś tę tyradę.

- Zawarliśmy umowę.

- Tak. Dotrzymałam jej.

Ciężko usiadłem na krześle. Etna odsunęła się od zlewu.

- Masz teraz kochanka? - zapytałem.

- Nie.

- Z jakiego innego powodu kobieta chciałaby mieć dom, o którego istnieniu jej mąż nie miałby pojęcia? Wszyscy pomyślą, że masz kochanka.

- Nie pomyślą, jeżeli nie dowiedzą się o istnieniu tego domu.

Oparłem łokcie na chwiejnym stoliczku.

- Chciałabyś, żebym ci towarzyszył w tym oszustwie? Zamyśliła się na chwilę.

- Nie - odrzekła w końcu.

Wskazałem duży dom, widoczny przez okno.

- Kto tam mieszka? - zapytałem.

- Kobieta, która sprzedała mi ten domek.

Podniosłem się i podszedłem do okna. Dopiero teraz zobaczyłem to, czego wcześniej nie dostrzegłem z powodu ulewnego deszczu - domek Etny otoczony był niskim murem.

- Jak się o tym dowiedziałaś?

- Znalazłam ogłoszenie w gazecie.

Odwróciłem się. Szarpnąłem drzwi stojącej w kącie szafy i zajrzałem do środka. Wisiały tam dwie suknie, fartuch i kapelusz do pracy w ogrodzie. Widok sukien i kapelusza ostatecznie wytrącił mnie z równowagi, mnie, który przez cały ten czas i tak chwiałem się na krawędzi rozwagi. Jednym gwałtownym ruchem zmiotłem ubrania z wieszaków na ziemię, potem cofnąłem się i zerwałem wiszącą z boku okna lnianą zasłonę.

- Nicholasie! - odezwała się Etna.

Kopnąłem emaliowane wiaderko, rozrzucając chryzantemy po podłodze, szarpnąłem mały obrazek i zerwałem go ze ściany. Etna cofnęła się szybko, w ostatniej chwili wymknęła się z zasięgu moich ramion.

- Nicholasie, przestań! - krzyknęła.

Czy uderzyłbym swoją żonę? Nie, nie wierzę, żebym był do tego zdolny. Chciałem tylko zniszczyć ten pokój, pogwałcić panującą w nim atmosferę. Otworzyłem szafkę, wyjąłem z niej talerz i rzuciłem nim w przeciwległą ścianę. Z gardła Etny wyrwał się jakiś odgłos, trochę podobny do jęku. Odwróciłem się. Na jej twarzy malował się wyraz tak wielkiego przerażenia, że w końcu oprzytomniałem. Zatoczyłem się i padłem na kanapę, która ku mojemu zdziwieniu jakimś cudem nie załamała się pod ciężarem mojego bezwładnego ciała.

Ukryłem twarz w dłoniach. Dom przyprawił mi rogi.

- Nie zostanę dziekanem - powiedziałem.
  - Nonsens!
  - Taką otrzymałem informację.
  - Kiedy?
  - Dziś rano. Powiadomił mnie o tym Edward Ferald.
  - Nicholasie... - Zrobiła krok w moją stronę.
  - Daj spokój - rzekłem, powstrzymując ją gestem uniesionej dłoni.
- Nie chciałem jej współczucia. Jej chłód mogłem znieść, chociaż z trudem, ale litość? Nigdy więcej, pomyślałem. Nigdy więcej.
- Etna cofnęła się i skrzyżowała ramiona na piersi.
- Bardzo mi przykro - szepnęła.
  - Powiedz mi, że twoim kochankiem nie był Phillip Asher - zażądałem.
  - Nie był nim.
  - Ale znałaś go?
  - Bardzo słabo. Mówiłam ci o tym. Wyprostowałem się.
  - W takim razie był to jego brat, Samuel. To on był twoim kochankiem.
- Na sekundę zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, były pełne łez.
- Wiedziałaś, że Phillip Asher zamierza przyjechać do Thrupp? - zapytałem.
- Potrząsnęła głową.
- Nie wiedziałam o tym do chwili, kiedy usłyszałam jego nazwisko w czasie przyjęcia.
  - W czasie przyjęcia u Feralda...
  - Tak.
  - To dlatego upuściłaś kieliszek z szampanem?
  - Tak.
  - I z tego samego powodu zamknęłaś się w pokoju na te wszystkie tygodnie. Wcale nie opłakiwałaś Williama, lecz kogoś innego.
  - To potworne oskarżenie - rzekła.
  - Poślubiłaś mnie w fałszu - oświadczyłem. Etna wyciągnęła szpilkę z włosów.

- Nieprawda - odparła. - Nigdy nie pytałeś mnie o moje życie...
  - Wydaje mi się najzupełniej oczywiste, że takie rzeczy wyznaje się przed zaręczynami - powiedziałem, nieco zdekoncentrowany widokiem kaskady włosów barwy żółodzi, opadających na plecy Etny z rozsupłanego węzła.
  - Czy ty nie miałeś żadnych kochanek przede mną? - zapytała, strząsając włosy do tyłu.
  - Nie opowiadaj bzdur! - zachnąłem się. - To nie ma nic do rzeczy!
  - Wręcz przeciwnie. Ty miałeś swoją wolność i korzystałeś z niej.
  - Nie chcę wolności! - wybuchnąłem szczerze. - Nie chcę wolności od dnia, kiedy cię poznałem!
  - Ale ja jej pragnę! Wstałem, zmieszany i niepewny.
  - Dokąd prowadzą te schody? - spytałem.
  - Do drugiego pokoju, na poddaszu - wyjaśniła, przepuszczając mnie. - Nic tam nie ma...
- Wąskie schodki były tak strome, że musiałem pomagać sobie rękoma. Kiedy wdrapałem się na górę, zobaczyłem pokój o dachu ściętym z dwóch stron, co sprawiało, że wyprostować można było się tylko na środku. Był skromnie urządzony. Dwa okna do połowy przesłonięte kurtynami, w kącie pomalowane na biało żelazne łóżko z materacem, obok niego szafka, w której mieściła się maszyna do szycia, a w nogach cedrowa skrzynia. Otworzyłem ją. Wewnątrz leżała porządnie złożona narzuta, która kiedyś przykrywała nasze małżeńskie łóżko.
- Osunąłem się na kolana i zakryłem twarz złożonymi ramionami. Po jakimś czasie zszedłem na dół. Etna nadal stała obok zlewu.
- Zakładam, że wiesz, iż Phillip Asher jest Żydem - powiedziałem. Zamrugła.
  - Owszem... - odparła po chwili.
  - Wzięłaś sobie Żyda za kochanka? Otworzyła usta i zaraz znowu je zamknęła.

- To niegodne ciebie, Nicholasie - powiedziała.  
- Jestem zaskoczony, Etno. Nie spodziewałem się tego po tobie.  
Rzuciła mi pełne gniewu spojrzenie.  
- Jak możesz myśleć, że moje serce i umysł nie potrafią zaakceptować Żyda? - zapytała podniesionym głosem. - Sądysz, że nie umiałabym pokochać kogoś dlatego, że jest Żydem?  
- Serce może kochać, ale umysł powinien sprzeciwić się temu uczuciu - oznajmiłem pompatycznie. - Serce nie ma umysłu, a umysł nie ma serca - to dwa odrębne organy, które często prowadzą ze sobą walkę.  
- Mówisz tak, jakbyś bredził w gorączce - powiedziała. - Wygląda na to, że twój umysł szwankuje...  
- Moje serce doznało szwanku! - rzuciłem. - A ty doskonale rozumiesz, o co mi chodzi. Wiedziałaś. Nie powiedziałaś mi, że Phillip Asher jest Żydem, chociaż mogłoby mi to pomóc w uzyskaniu stanowiska dziekana, prawda?  
- Przestań! - krzyknęła. - Jesteś głupcem, Nicholasie!  
- To jest podstawa do rozwodu - oświadczyłem.  
W pokoju zapadła śmiertelna cisza, jakby cały dom zamarł, przerażony moimi słowami.  
- Nie rozwiódłbyś się ze mną - powiedziała Etna.  
- Zrobię to - usłyszałem własny głos.  
(Ale dlaczego powiedziałem coś takiego? Wcale nie chciałem rozwodu. Nie, nie, to była ostatnia rzecz, jakiej pragnąłem).  
- Mówisz zbyt pochopnie - rzekła Etna. Zauważyłem, że jej ręce drżały.  
- To ty postępowałaś pochopnie.  
Cofnęła się o krok i usiadła w wiklinowym fotelu. Wyglądało na to, że w końcu nogi ugięły się pod nią ze strachu.  
- Przyjeżdżałaś tu w tajemnicy przede mną, przez całe jedenaście miesięcy - powiedziałem. - To było nierozważne. Okłamywałaś męża. To także było nierozważne.  
Etna potrząsnęła głową.  
- Rozwód jest bardzo bolesnym przeżyciem - dodałem, schylając się, aby podnieść kapelusz z podłogi. - Bolesnym rozdarciem w łonie rodziny.

Etna zaczęła coś mówić, ale nawet jeżeli była to prośba, nie usłyszałem jej, bo otworzyłem drzwi, wyszedłem i szybkim krokiem ruszyłem w dół podjazdu. Znalazłem auto w taki sposób, jak ślepiec szuka domu, do którego wcale nie chce wejść. Wsiadłem do środka i zacisnąłem dłonie na kierownicy. Gdybym miał dość siły, wyrwałbym ją z podstawy. Przywarłem plecami do oparcia skórzanego fotela i odrzuciłem głowę do tyłu, i właśnie wtedy pamięć podsunęła mi cytat z *Raju utraconego*, cytat, który drwił ze mnie swoim znaczeniem i jego precyzją.

*...A jednak, gdybym w tym miejscu miało się skończyć cierpienie, uznałbym, że zasłużyłem na nie...*

(Jest to fragment Księgi X, wers 725-727; zrozpaczony Adam mówi tu o cudownym utraconym świecie, świadomy, że jego potomkowie będą go przeklinać - w tym momencie pragnie już tylko śmierci. Uważam ten fragment za jedno z najwybitniejszych dokonań Milтона).



Hotel Thrupp

19 października 1914 roku

Droga pani Van Tassel,

Zwracam się do pani z dość trudną sprawą. Proszę wybaczyć mi, jeżeli dostrzegam smutek tam, gdzie go nie ma, ale ujrawszy dziś wieczorem pani twarz w holu domu pana Feralda, gdy wszyscy oczekiwaliśmy na podprowadzenie naszych powozów i automobili, nie potrafię pozbyć się wrażenia, że moje pojawienie się w tym domu przyprawiło panią o wstrząs. Przed południem miałem okazję poznać profesora Van Tassela, nie wiedziałem jednak, że mam do czynienia z pani małżonkiem, szczerze mówiąc, w ogóle nie zdawałem sobie sprawy, że wyszła pani za męża. Pragnę powiedzieć, że chociaż było mi bardzo miło ujrzeć panią znowu, nie miałem zamiaru zaniepokoić ani pani, ani pani męża. Gdybym był świadomy, że mieszka pani w tym mieście, z pewnością nie przyjąłbym uprzejmej i niezwykle pochlebnej propozycji wygłoszenia wykładów, z jaką zwrócił się do mnie zarząd tutejszej szkoły.

Podpisałem już jednak odpowiednią i wiążącą dla mnie umowę, co oznacza, że nie mogę opuścić Thrupp przed zakończeniem wykładów. Co gorsza, dowiedziałem się, że i pani mąż, i ja zostaliśmy zaproszeni do zgłoszenia swoich kandydatur na dziekana

Wydziału Literatury Angielskiej Thrupp College. Po dzisiejszym przyjęciu u pana Feralda jestem zdecydowany wycofać swoją kandydaturę i powrócić do New Haven natychmiast po wygłoszeniu wspomnianych wykładów.

Z wyrazami serdeczności i dobrej woli,

Phillip Asher

Holyoke Street

20 października 1914 roku

Drogi profesorze Asher,

Dziękuję za pański uprzejmy list z 19 października. Bardzo to wspaniałomyślne z pańskiej strony, że postanowił pan wycofać swoją kandydaturę na stanowisko dziekana Wydziału Literatury Angielskiej Thrupp College, proszę jednak przyjąć do wiadomości, że gdybym miała najmniejszy choćby wpływ na pańską decyzję, nigdy nie pozwoliłabym na wprowadzenie jej w życie. Jeśli mam być szczerą, to poczułabym się głęboko urażona, gdyby opuścił pan Thrupp z mojego powodu. Chociaż mocno wierzę, że mój mąż jest najlepszym kandydatem na to stanowisko, jego kandydatura i ostateczne zwycięstwo zostałyby w pewien sposób umniejszone, gdyby jego rywal miał zrezygnować z powodu dawnej i bardzo słabej znajomości z jego żoną. Bardzo proszę, aby obiecał mi pan, że nie podejmie pan kroków, o których pisze pan w liście. Będę czekać na pańską odpowiedź.

Z wyrazami głębokiego szacunku, Etna Van Tassel

Hotel Thrupp

219 października 1914 roku

Droga pani Van Tassel,

Dziękuję za szybką odpowiedź na mój list z 19 października. Uszanuję pani prośbę, chociaż nie jestem całkowicie przekonany, iż jest to właściwa decyzja. (Wszystko wskazuje na to, że człowiek, który ma wygłosić wykłady o naturze osobistego zysku jako kwestii przeciwnej publicznemu dobru, nie potrafi udzielić odpowiedzi na proste pytanie, dotyczące podstawowej uczciwości i pod tym względem niewiele różni się od studentów). Od przyjęcia w domu pana Feralda wielokrotnie żałowałem, że kiedykolwiek usłyszałem

O Wykładach Kitchenera. Moja rodzina sprawiła pani dosyć bólu, ja zaś nie chcę w żaden sposób dokładać się do pani cierpienia.

Następnego ranka po przyjęciu u pana Feralda dane mi było spotkać pani męża w hotelu Thrupp. Odbyliśmy miłą rozmowę, a ponieważ ani słowem nie wspomniał, że wie o trudnej znajomości łączącej panią i moją rodzinę, nie powiedziałem mu o tym. Był to trudny moment, który, muszę wyznać, może w najbliższej przyszłości spowodować rozdźwięk i nieufność. Okazuje się, że w niedzielę mam zjeść z państwem obiad. Ponieważ wszystkie dalsze kroki uzależniam wyłącznie od pani decyzji, będę czekał na pani odpowiedź.

Z wyrazami szacunku i przywiązania,

Phillip Asher

Holyoke Street

22 października 1914 roku

Drogi profesorze Asher,

W odpowiedzi na pański list z 21 października chciałabym wyjaśnić, że to nie pańska rodzina sprawiła mi ból, ani nawet nie pański brat. Ból, którego doświadczyłam, spowodowany został moim postępowaniem i tylko ja ponoszę zań odpowiedzialność. Byłam dość dorosła, aby w pełni rozumieć konsekwencje swoich czynów i przyjąć je do wiadomości.

Powiem więcej, mam podstawy, by czuć wdzięczność dla pana brata i okoliczności, jakie towarzyszyły mojemu z nim rozstaniu. Małżeństwo z panem Bassem z Brockton okazałoby się katastrofalne dla mnie i dla niego, i to z wielu powodów. Mój związek z pańskim bratem, Samuelem, położył konieczny, jeżeli nawet trudny kres moim zaręczynom, z czego mogę się jedynie cieszyć.

Jeśli chodzi o mojego męża i ewentualne problemy, jakie mogą towarzyszyć odkryciu naszej znajomości, to mimo pańskich obaw nie widzę powodu, aby zaznajamiać go z wydarzeniami, które miały miejsce tak dawno temu. Mam nadzieję, że zaszczyci nas pan swoją obecnością w niedzielę i że mój mąż i ja poznamy pana jako Phillipa Ashera, który niedawno przybył do Thrupp.

Z głębokim szacunkiem, Etna Van Tassel

Hotel Thrupp

30 października 1914 roku

Droga pani Van Tassel,

Pragnę przesłać pani najgłębsze wyrazy współczucia z powodu śmierci pani stryja, Williama Blissa. Chociaż nie dane mi było poznać go osobiście, wiem, że był człowiekiem godnym najgłębszego szacunku, jakim darzyła go cała społeczność akademicka miasta Thrupp. Gdybym mógł być pani w jakikolwiek sposób przydatny w tym trudnym czasie, proszę dać mi znać.

Pani posłuszny sługa, Phillip Asher

Holyoke Street 14 listopada 1914

Drogi profesorze Asher,

Proszę wybaczyć mi tak długą zwłokę w odpowiedzi na pański niezwykle uprzejmy list kondolencyjny. Mój stryj William był kochającym mężem, czułym ojcem i szanowanym profesorem. Będzie nam go bardzo brakowało. Ja także żałuję, że nie miał pan okazji go poznać. Jestem pewna, że taka znajomość stałaby się dla was obu źródłem wielkiej satysfakcji i radości.

Pańska pokorna przyjaciółka, Etna Van Tassel

Hotel Thrupp

16 listopada 1914 roku

Droga pani Van Tassel,

W żadnym razie nie chciałbym zakłócać okresu żałoby, jaki pani przeżywa; pragnę tylko powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że nie uczestniczyłem w nabożeństwie żałobnym i ceremonii pogrzebu Williama Blissa. Doszedłem do wniosku, że w istniejących okolicznościach lepiej będzie, jeżeli nie zjawię się w kaplicy.

Z całkowitym zrozumieniem dla pani bolesnej straty,

Phillip Asher

Holyoke Street

18 listopada 1914 roku

Drogi panie Asher,

Zapewniam pana, że nie czujemy się urażeni pańską nieobecnością na pogrzebie mojego stryja. W ceremonii wzięło udział wiele osób, między innymi jego byli studenci, co stwierdzam z satysfakcją i wdzięcznością. Było to potwierdzenie jego umiejętności i dokonań w roli nauczyciela fizyki.

Nie wiem, kiedy mój mąż i ja będziemy mogli zaprosić pana na kolację.

Odejście stryja bardzo mnie przygnębiło; przeżywam tę stratę nieoczekiwanie ciężko. Nie rozumiem, dlaczego, przecież od dawna zdawałam sobie sprawę z jego stanu i zbliżającego się końca. Wydaje mi się, że śmierć stryja Williama otworzyła głęboką ranę w moim sercu, ranę, która, jak sądziłam, dawno się zabiłniła. Mój ojciec zmarł niedługo po tym, jak rozstałam się z pana bratem i odnoszę wrażenie, że tamte dwa wydarzenia i to

obecne są w jakiś sposób związane, w każdym razie w moim sercu.  
Mam nadzieję, że pana brat czuje się dobrze i jest zadowolony z życia.  
Chętnie dowiedziałabym się, co się z nim dzieje.

Z wyrazami sympatii, Etna Bliss Van Tassel

Hotel Thrupp

20 listopada 1914 roku

Droga pani Van Tassel,

Mój brat przebywa obecnie w Londynie, dokąd wezwwała go praca na rzecz dowództwa brytyjskiej marynarki wojennej, której podjął się na cały okres wojny w Europie. O jego zadaniach wiemy tylko tyle, że związane są z astronomią i nawigacją, które to dziedziny były jego specjalnością już w czasach, gdy uczył w Exeter, jeśli pani pamięta. Brat wyemigrował do Toronto niedługo po smutnym zakończeniu związku z panią i od 1897 roku wykładał astronomię i nawigację na tamtejszym uniwersytecie. Małżonka Samuela, Ardith, oraz ich czworo dzieci mają pozostać w Toronto do chwili, gdy podróż do Londynu stanie się bezpieczna. Wszyscy modlimy się o szybkie i sprawiedliwe zakończenie konfliktu zbrojnego w Europie.

Muszę wyznać, że wspomnienie pani pojawienia się w domu moich rodziców w tamten śnieżny styczniowy poranek należy do najbardziej znaczących z wczesnego okresu mego dorosłego życia. Tamtego dnia po raz pierwszy dojrzałem siłę i gwałtowność miłości, kryjące się za woalem zasad dobrego wychowania. Dla wszystkich zainteresowanych była to straszna chwila, a dla mnie osobiście wydarzenie, które nosiłem w pamięci przez wszystkie te lata. Nie mogę zaakceptować ani do końca przebaczyć

zachowania mojego brata; nigdy nie potrafiłem go zrozumieć. Obaj przez długi czas nie rozmawialiśmy ze sobą szczerze i uczciwie, minęło też wiele lat, zanim podjęliśmy korespondencję.

Z wyrazami serdeczności i oddania, Phillip Asher

Holyoke Street

23 listopada 1914 roku

Drogi panie Asher,

Z wielką przykrością dowiaduję się, że pośrednio stałam się przyczyną rozdzwieku między panem i pańskim bratem. Mam nadzieję, że nieporozumienia te należą już do przeszłości. Samuel i ja znaleźliśmy się w niezwykle trudnej sytuacji, on zaś zrobił to, co uważał za całkowicie słuszne i konieczne. Po pewnym czasie zrozumiałam jego decyzję i pogodziłam się z nią. Samuel posiadał wiele wspaniałych cech i bardzo go kochałam. To, co tamtego dnia wyczytał pan z mojej twarzy, z całą pewnością było szczere i prawdziwe.

Nie przypominam sobie, abym tamtego śnieżnego poranka widziała pana w domu pańskich rodziców. Obawiam się, że misja, jaka mnie tam przyprowadziła, i jej nieszczęśliwe zakończenie, uczyniły mnie ślepą i głuchą na obecność wszystkich z wyjątkiem pana brata. Pamiętam natomiast mecz tenisa, który rozegraliśmy na szkolnych kortach. Jak sobie przypominam, uderzył pan piłkę tak mocno, że wyleciała za ogrodzenie, aż na Water Street.

Mam nadzieję, że przeżył pan miły Dzień Dziękczynienia, chociaż nie wątpię, że tęskni pan za swoją rodziną i Exeter.

Pańska pokorna przyjaciółka, Etna Van Tassel



Hotel Thrupp

225 listopada 1914 roku

Droga pani Van Tassel,

Miło mi, że pamięta pani tamten mecz i mój wyczyn, chociaż jednocześnie czuję się zażenowany, bo bardzo słabo wtedy wypadłem.

Przyznaję, że nigdy nie byłem dobrym tenisistą.

Przed chwilą otrzymałem krótki list od pani męża, z zaproszeniem na drinka u państwa w domu, na wpół do szóstej wieczorem. Nie mogę odmówić, chciałbym jednak porozmawiać z panią o tym przed wizytą. Jeśli będzie pani w domu dziś wieczorem, bardzo pragnąłbym panią ujrzeć.

Wracając do sprawy, którą poruszyliśmy w ostatnich listach, powiem tylko, że utrwalony w pamięci wyraz pani twarzy tamtego ranka wiele lat temu stał się dla mnie swego rodzaju wzorcem, według niego oceniam swoje uczucia do każdej kobiety, z którą nawiązuję bliższą znajomość, a także jej uczucia do mnie. Uważam panią za jedną z tych szczęśliwych istot, którym dane było poznać głębię prawdziwej miłości, niezależnie od tego, jak smutny okazał się koniec związku z obiektem tego uczucia.

Czyż poznanie i przeżycie miłości nie stanowi głównego sensu naszej egzystencji?

Z wyrazami oddania, Phillip Asher

Hotel Thrupp

226 listopada 1914 roku

Droga pani Van Tassel,

Nie wiem, co powiedzieć pani tego ranka. Chociaż mąż pani okazał mi gościnność, nie krył także, że moja obecność w Thrupp bynajmniej go nie cieszy. Szczerze mówiąc, wystąpił z czymś, co mogę potraktować jedynie jako ultimatum. Po przemyśleniu jego zachowania i słów uświadomiłem sobie, że nie powinienem dalej do pani pisywać. Z wielkim smutkiem wyznaję, że nie możemy kontynuować korespondencji, chociaż jej charakter jest całkowicie niewinny.

Pani widok i krótka rozmowa z panią stały się dla mnie źródłem prawdziwej radości. Minione lata przydały pani urody i wdzięku, jeśli wolno mi tak to określić.

Szczerze pani oddany, Phillip Asher

Holyoke Street

27 listopada 1914 roku

Drogi panie Asher,

Bardzo mi przykro, jeżeli doszło do nieprzyjemnej wymiany zdań między panem i moim mężem, Nicholasem. Nie mogę wdawać się w tę dyskusję, nie chcę też znać jakichkolwiek szczegółów. Oczywiście nie wykluczam, że słusznie uznaje pan, iż mój mąż mógłby poczuć się głęboko dotknięty, gdyby się dowiedział o naszej korespondencji, sądzą jednak, że sama potrafię podjąć decyzję, czy powinniśmy nadal pisywać do siebie, czy też nie.

Z wyrazami szacunku, Etna Van Tassel

Hotel Thrupp

29 listopada 1914 roku

Droga pani Van Tassel,

Nie zamierzałem urazić pani poczucia niezależności ani słuszności oceny sytuacji, a jeżeli to zrobiłem, proszę o wybaczenie. Na pewno zwróciła pani jednak uwagę na fakt, że oboje znamy wydarzenia, co do których pani mąż pozostaje w całkowitej nieświadomości. Podczas gdy nasza wymiana listów wydaje mi się raczej niewinna, o czym pisałem już w poprzednim liście, samo jej istnienie, w świetle świeżo ujawnionych uczuć pana Van Tassela do mnie, nie może być ocenione jako całkowicie niewinne. Niemniej postąpię w tej sprawie zgodnie z pani sugestią, nie wolno mi bowiem zakładać, że znam pani męża lub pani małżeństwo równie dobrze jak pani. Szczerze mówiąc, nie wiem prawie nic o panu Van Tassel i o łączącej was więzi.

Większa część przerwy z okazji Dnia Dziękczynienia upłynęła mi na lekturze i spacerach. Pan Ferald i jego żona bardzo uprzejmie zaprosili mnie na świąteczny obiad. Chociaż do stołu zasiedliśmy tylko we troje -Edward, Millicent i ja - podano tyle wspaniałych dań, że był to nie tyle obiad, ile najprawdziwsza uczta. Nie chcę, aby pani pomyślała, że nie byłem wdzięczny za to zaproszenie, ale chwilami brakowało mi gwaru rozmów, nieodmiennie towarzyszącego wszystkim naszym rodzinnym posiłkom przy stole w Exeter, i wtedy żałowałem, że nie zadałem sobie trudu, aby pojechać na święta do domu.

Teraz jest to już nieistotne. Jutro zaczynają się zajęcia, w środę mam wygłosić piąty i ostatni wykład, wracam więc do swoich notatek.

Z całkowitym zrozumieniem, Phillip Asher

Hotel Thrupp

6 grudnia 1914 roku

Droga pani Van Tassel,

Nie wiem, czy ten list do pani dotrze. Dziś rano miałem okazję porozmawiać z Gerardem Moxonem, który powiedział mi, że wróciła pani do Exeter. Droga pani Van Tassel, co się stało? Pani mąż publicznie oświadczył, że pani siostra jest poważnie chora i że razem z dziećmi pojechała pani ją pielęgnować. Jeżeli tak właśnie jest, współczuję pani z całego serca. Muszę jednak wyznać, że pan Moxon w zaufaniu zasugerował mi, iż powód pani wyjazdu jest zupełnie inny. (Daję pani słowo honoru, że z nikim nie podzielię się tymi podejrzeniami, nie mogę jednak ręczyć za pana Moxona, który w swej niewinności po prostu nie potrafi dochować tajemnicy). Jeżeli to, co mówi pan Moxon, jest prawdą, współczuję pani jeszcze goręcej. Proszę o wiadomość, czy domysły moje i pana Moxona są niesłuszne. Nie chcę wtrącać się w pani prywatne sprawy, jestem też pewny, że miała pani ważny powód do opuszczenia Thrupp, jeżeli jednak doszło do roz-dźwięku między panią i pani mężem, błagam, aby za wszelką cenę zażegnała pani to nieporozumienie. Pobyt z dala od rodzinnego domu na pewno nie służy ani pani, ani dzieciom. Moje zaniepokojenie powiększa fakt, że pani mąż wycofał się z kandydowania na stanowisko dziekana Thrupp College i wczoraj właśnie ja otrzymałem nominację. Do dwunastego grudnia mam czas, aby przedstawić zarządowi uczelni swoją decyzję. Czuję, że muszę porozumieć się z panią, zanim to zrobię. Modlę się, aby się nie okazało, że to ja ponoszę odpowiedzialność za konflikt między panią i profesorem Van Tasselem i za jego rezygnację. Proszę o odpowiedź i wiadomość, czy życzy sobie pani, abym przyjął oferowane mi stanowisko, ponieważ moja zdolność podjęcia decyzji jest obciążona smutnym faktem wycofania się

pani męża. W żadnym razie nie chciałbym odnieść korzyści z trudnej sytuacji innego człowieka.

Profesor Van Tassel rozesłał do wszystkich zainteresowanych notatkę, z której wynika, że porzuca myśl

O kandydowaniu na stanowisko dziekana, aby lepiej pełnić swoje obowiązki wykładowcy. Trudno mi w to uwierzyć, nie tylko dlatego, że dotychczasowe obowiązki wypełniał bez najmniejszego trudu, ale także dlatego, iż wiem, jak bardzo zależało mu na awansie

I jak o niego zabiegał.

Z wyrazami serdecznej, przyjacielskiej troski,

Phillip Asher

Hotel Thrupp

11 grudnia 1914 roku

Droga pani Van Tassel,

Pragnę powiadomić panią, że wobec braku pani odpowiedzi przyjąłem stanowisko dziekana college'u Thrupp. Oficjalnie mam przejąć nowe obowiązki wraz z początkiem nowego semestru. Wkrótce

przeprowadzam się z hotelu do wynajętego domu przy Gili Street, gdyby jednak chciała pani napisać do mnie przed 10 stycznia, może pani wysłać list na adres hotelu, którego obsługa zadba, aby trafił w moje ręce. Mam nadzieję, że dobrze się pani czuje, i dzieci także.

Z wyrazami głębokiego szacunku, Phillip Asher

14 Gill Street

6 stycznia 1915 roku

Droga pani Van Tassel,

Piszę, aby potwierdzić, że przenieśliśmy się z hotelu Thrupp pod numer 14 przy Gili Street i można już pisać do mnie na nowy adres. Wynająłem niewielki dom, ponieważ wkrótce zaczynam pracę w Thrupp.

Mam nadzieję, że wraz z dziećmi spędziła pani miłe święta Bożego Narodzenia z siostrą i jej rodziną.

Z szacunkiem, Phillip Asher

Exeter

15 stycznia 1915 roku Drogi panie Asher,

Proszę wybaczyć mi długie milczenie.

Etna Van Tassel

14 Gill Street

18 stycznia 1915 roku

Droga pani Van Tassel,

Nie musi mnie pani prosić o wybaczenie - jest ono w pełni zrozumiałe.

Życzę pani szybkiego i szczęśliwego rozwiązania obecnych trudności.

Phillip Asher

Exeter

22 stycznia 1915 roku Drogi panie Asher,

Poniższe pytania stawiam panu jako etykowi. Czy kobieta, mężatka z dziećmi, ma prawo do zarezerwowania pewnej części życia na swój własny wyłączny użytek? Czy taka kobieta, gdy dojdzie do wniosku, że nie wyrządzi tym żadnej krzywdy dzieciom i mężowi, może od czasu do czasu szukać schronienia w spokojnym miejscu, do którego nie ma wstępu nikt poza nią, gdzie oddaje się samoedukacji i cieszy się odpoczynkiem, gdzie szyje, czyta i pisuje listy lub wiersze? Czy mężczyzna z pewnym wykształceniem nie ma zapewnionego, bez trudności z czyjejkolwiek strony, takiego właśnie miejsca, do którego nie mają wstępu jego dzieci i żona, miejsca, gdzie może czytać, palić, pisać lub oddawać się rozmyślaniom, miejsca, gdzie może przyjmować przyjaciół i kolegów? Miejsce to zwykle nazywamy gabinetem lub biblioteką. A skoro tak jest, to dlaczego kobieta (mężatka z dziećmi) nie ma prawa do podobnego schronienia? I kiedy wspomniana kobieta zorientuje się, że w jej własnym domu nie ma takiego miejsca, z powodu nieustannego przemieszczania się dzieci, służby i nawet męża, który nie widzi nic złego w zamykaniu się przed światem w schronieniu, które może uważać za swoje, to czy ona, w żadnym stopniu nie rezygnując z roli matki i żony, nie może szukać spokoju gdzie indziej, na przykład w pensjonacie, hotelu lub wiejskim domku za miastem, kilkanaście kilometrów od rodzinnego domu? I czy nie może zachować tego miejsca w tajemnicy przed całą rodziną?

Niecierpliwie czekam na pana odpowiedź, w tej chwili bowiem zmagam się z tymi pytaniami, stanowiącymi sedno poważnych małżeńskich nieporozumień, o których wspominał panu pan Moxon.

Z szacunkiem dla pańskiego osądu, Etna Bliss Van Tassel

14 Gill Street

27 stycznia 1915 roku

Droga pani Van Tassel,

Czuję się zaszczycony, że raczyła pani zwierzyć mi się z nękających ją problemów i wyrażoną przez panią fładzieją, że będę w stanie służyć pomocą w szukaniu odpowiedzi na te trudne pytania. Muszę jednak panią uprzedzić, że jestem tylko teoretykiem, a nie dobrym sędzią zachowań międzyludzkich, także tych w małżeństwie. Nie jestem żonaty i nigdy nie byłem. Małżeństwo to wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju dziedzina; ludzie żyjący w tym stanie mają dostęp do specyficznej wiedzy i języka, których nie sposób poznać inaczej jak tylko przez ten związek. (Właśnie z tego powodu sądzę, że samotni duchowni lub urzędnicy są marnymi doradcami dla osób szukających rozwiązania małżeńskich problemów). Jednak jako naukowiec postaram się, jeśli pani pozwoli, postawić jej kilka pytań, a odpowiedzi, jakich pani udzieli, mogą dać pani głębszy wgląd w zaistniałą sytuację.

Czy osobiste schronienie męża - schronienie, które zwykle nazywamy gabinetem lub biblioteką - nie jest przedmiotem zgody i przyzwolenia obojga małżonków w chwili, gdy obejmują w posiadanie jakiś dom i przeznaczają jedno z pomieszczeń na taki właśnie cel? Mówiąc inaczej, czy schronienie niezgodnione przez obie strony albo wręcz nieznanie jednemu z małżonków może być traktowane w taki sam sposób jak to, o którym piszę wyżej? Czy żona miałaby powód nie ufać mężowi, gdyby się dowiedziała, że w tajemnicy przed nią wynajął sobie pokój, nawet gdyby zamierzał tam tylko czytać, pisać i oddawać się rozmyślaniom? Czy odkrycie istnienia takiego pokoju nie nadwątliloby nici wzajemnego zaufania, łączącej tych małżonków, i to w sposób bardzo poważny? Pani Van Tassel, mogę jedynie zgadywać, w jakiej sytuacji się pani znajduje, ponieważ niewiele wiem.



A co dla mnie ważniejsze, nie wiem też, jak się pani czuje. Przedstawiła mi pani poważne pytania, trudne i niepokojące, tym bardziej że z racji swojego stanowiska codziennie widuję pani męża. Muszę pani powiedzieć, oczywiście tylko jako obserwator, że jego stan w zasadzie nie pozwala na prowadzenie wykładów i zajęć ze studentami. Dwukrotnie udzieliłem mu urlopu na podróż do Exeter, zaproponowałem też, aby wystąpił o urlop naukowy, na który z całą pewnością zasługuje, jednak jego duma nie pozwoliła mu przyjąć tej propozycji. Tak czy inaczej, żyje w stanie wielkiego napięcia, co bardzo niepokoi wielu jego kolegów i przyjaciół.

Nie wiem, jak zakończy się wasza smutna historia, ale błagam, żeby rozważyła pani powrót do Thrupp razem z dziećmi oraz podjęcie kroków zmierzających do naprawy związku utwierdzonego złożoną przez obie strony przysięgą małżeńską, co naturalnie będzie wymagało czasu i poświęcenia.

Pani pokorny przyjaciel, Phillip Asher

Exeter

3 lutego 1915 roku Drogi panie Asher,

Pisze pan do mnie nie jako przyjaciel, ale jako mężczyzna. Nie potrzebuję napomnień, abym wróciła do Thrupp i podjęła kroki zmierzające do naprawy mojego małżeństwa, ponieważ sama potrafię udzielić sobie takiej rady. Miałam nadzieję, że jako przyjaciel będzie pan mógł powiedzieć mi, jakiego rodzaju rozwiązania podpowiada w takiej sytuacji etyka.

Z wyrazami szacunku, Etna Bliss Van Tassel

14 Gill Street

7 lutego 1915 roku

Droga pani Van Tassel,

Myślę, że istnieją poważne podstawy do twierdzenia, że wszystkie pary małżeńskie żyłyby ze sobą lepiej, gdyby i mąż, i żona mieli miejsce, w którym w samotności mogliby rozważać kwestie, jakie w nawale codziennych spraw po prostu nie dochodzą do głosu. Jednak podział rzeczy i zachowań na dobre i złe istnieje jedynie w ramach konwencji, swoistej umowy społecznej. W naszym społeczeństwie, przynajmniej w tej chwili, umowa ta nie zezwala ani mężowi, ani żonie na wynajęcie lub nabycie prywatnego, osobnego pomieszczenia czy domu, o którym współmałżonek nic nie wie. Nie chodzi mi tu o stosunek prawa do tej sprawy (sądzę, że posiadanie czy wynajmowanie takiego miejsca nie jest nielegalne), lecz o moralną stronę sytuacji. Bez zaufania nie ma małżeństwa, a nie ujawnienie współmałżonkowi tajemnicy tak poważnej, jak wejście w posiadanie domu czy pokoju, stanowi chyba zbyt wielkie obciążenie dla wspomnianego zaufania.

Pani Van Tassel, moja sytuacja jest naprawdę skomplikowana. Pragnę być pani przyjacielem i udzielić pani wszelkich pomocnych wskazówek, nadal jednak bardzo mało wiem o nękających państwa problemach - widzę tylko, jak oddziałują one na pani męża. Jak mi wiadomo, syn państwa wrócił do Thrupp, natomiast pani wraz z córką pozostała w Exeter. Obecność pani syna wydaje się mieć dobroczynny, wręcz uzdrawiający wpływ na profesora Van Tassela. Wygląda na to, że przynajmniej na razie odzyskał równowagę i względny spokój ducha. Z serdecznymi pozdrowieniami, Phillip Asher

Exeter

11 lutego 1915 roku

Drogi panie Asher,

Serdecznie dziękuję za wiadomość o poprawie samopoczucia mojego męża. Naturalnie bardzo mnie to cieszy, chociaż przyczyna tej poprawy wymaga ode mnie wielkiego poświęcenia. Znalazłam się oto w sytuacji, w której prowadzę walkę o prawo do opieki nad synem, Nicodemusem, dzieckiem w wieku nie-pozwalającym na zrozumienie, dlaczego odebrano je matce. Teoretyczne kwestie prywatności i samotności znikły w obliczu jak najbardziej rzeczywistej bitwy na paragrafy prawne, o której zwycięskie zakończenie stale się modłę.

Proszę mi wybaczyć, że nie zapoznałam pana ze szczegółami moich małżeńskich nieporozumień - przykro mi, ale w tej chwili po prostu nie mam siły

o nich pisać. Jestem wdzięczna za pańskie zrozumienie i szczerze współczuję, że musi pan poradzić sobie z dość trudnymi okolicznościami - jest pan powiernikiem przemyśleń żony, a jednocześnie zwierzchnikiem męża. Postawiłam pana wobec niełatwego wyboru

1 dlatego niniejszym uwalniam pana od konieczności podejmowania dalszych skomplikowanych decyzji. Uświadomiłam sobie, że jest w najwyższym stopniu niewłaściwe, abym pisała do pana w sposób, w jaki to robiłam i teraz, jeszcze raz dziękując za cierpliwość i współczucie, kładę kres tej korespondencji.

Z wyrazami całkowitego zrozumienia, Etna Bliss Van Tassel

14 Gill Street

15 lutego 1915 roku

Droga pani Van Tassel,

Ufam, że mój umysł i organizm potrafią wytrzymać trudności, jakie nakłada na nie czytanie pani listów i bycie zwierzchnikiem pani męża, który na szczęście nie wymaga żadnego nadzoru czy kontroli. Przykro byłoby mi myśleć, że dałem pani do zrozumienia, iż powinniśmy przerwać naszą korespondencję, ponieważ stała się ona dla mnie zbyt wielkim ciężarem. Jeżeli mogę służyć pani jakąkolwiek pomocą, choćby tylko jako słuchacz, to proszę pozwolić, aby tak się stało. Mimo że nie życzę sobie pani, abym wspominał tamtą wcześniejszą sprawę, mającą związek z moją rodziną, nie potrafię o niej zapomnieć i pewnie dlatego próby podtrzymywania pani na duchu koją moje zbiorowe rodzinne sumienie.

Zawsze tak samo szczerzy w przyjaźni,

Phillip Asher

Exeter

20 lutego 1915 roku Drogi panie Asher,

Dziękuję za list z 15 lutego. Nagle zdałam sobie sprawę, że przez wszystkie te tygodnie oboje poruszamy tylko tematy związane z moją osobą, i że ani razu nie zapytałam pana, jak układa się pana nowe życie. Proszę o wybaczenie. Moje własne problemy pochłonęły mnie do tego stopnia, że dopiero teraz (z pewną niechęcią) pytam, jak czuje się pan na stanowisku, które moim zdaniem, powinno mimo wszystko przypaść mojemu mężowi. Chociaż jego zachowanie wobec mnie w ostatnich tygodniach

pozostawia bardzo wiele do życzenia, żałuję, że jego możliwości zostały niedocenione, a jego plany pozostaną niezrealizowane. Proszę opowiedzieć mi, co się z panem dzieje i czy na dobre zadomowił się pan już na Gili Street.

Ponieważ woal zasad dobrego zachowania opadł wiele lat temu, to czy nie uważa pan, że byłoby bardziej naturalne, gdyby zwracał się pan do mnie po imieniu? Ostatecznie właśnie jako Etnę znał mnie pan w czasach, kiedy grywaliśmy w tenisa z pańskim bratem i ojcem.

Z wyrazami serdeczności, Etna

14 Gili Street

3 marca 1915 roku

Droga Etno,

I oto znowu przypominasz mi o tamtym katastrofalnym meczu...

Bardzo ucieszyła mnie propozycja, aby zwracać się do Ciebie po imieniu - zamierzam w pełni ją wykorzystać. Dziękuję za okazane

zainteresowanie moim samopoczuciem, które w wymiarze akademickim jest bardzo dobre, natomiast w wymiarze życia osobistego po prostu nijakie. Może to i dobrze, ponieważ wydaje mi się, że całą energię powinienem teraz skupić na wykonywaniu nowych obowiązków. Pod tym względem Gili Street jest doskonałym miejscem - dom wygodnie umeblowany i przyzwoicie prowadzony, a kucharka zaskakująco dobra jak na miasteczko akademickie (moja kucharka w New Haven była po prostu okropna), nie mam więc żadnych powodów do narzekań.

Trudno jest mi jednak opowiadać o swoim nowym życiu, kiedy ty żyjesz w tak wielkim zamęciu. Kola-

cje, na które jestem zapraszany, i szczerze mówiąc, bardzo skromne życie towarzyskie w Thrupp (pani mąż ostrzegwał mnie przed tym) są bez znaczenia w zestawieniu z walką, jaką toczysz.

Nie przejmuj się więc tym, że wcześniej nie zapytałaś o moje sprawy. Za radą Gerarda Moxona tej zimy zacząłem uczyć się jazdy na nartach, co okazało się wyjątkowo komicznym przedsięwzięciem.

Z serdecznymi pozdrowieniami,

Phillip

Exeter

9 marca 1915 roku Drogi Phillipie,

Nie potrafię wyrazić, jaką rozpacz i niepokój wzbudził w moim sercu fakt pozbawienia mojego syna opieki, którą mogłam mu zapewnić. Nie chodzi mi tu tylko o osobisty smutek, wielokrotnie ogarniający mnie w ciągu dnia - mam wtedy uczucie, jakby wypływała ze mnie cała radość, potem jej miejsce zajmuje wielkie przygnębienie - lecz o świadomość, że mój Nicodemus znajduje się w rękach ojca, który okazał się bardzo wybuchowy i tak głęboko rozstrojony naszymi małżeńskimi nieporozumieniami, że w najlepszym razie może się okazać rodzicem roztargnionym, w najgorszym zaś - budzącym lęk w małym dziecku. Czy taką mam ponieść karę za pragnienie przebywania w samotności, któremu czasami dawałam wyraz? Jeżeli tak, to kara nadeszła szybko i jest wyjątkowo surowa, uważam, że nieproporcjonalnie surowa w stosunku do przewiny.

Dlatego z uczuciem niepewności i lęku, zrodzonym z matczynej miłości, wracam do Thrupp, aby przebywać bliżej syna. Mam nadzieję, że będę mogła wi-

dywać go często i regularnie do czasu, aż odzyskam prawo do opieki na nim. W tej chwili nie mogę podać Ci swojego przyszłego adresu, ale ponieważ zamierzam opuścić Exeter przed końcem tygodnia, myślę, że nie powinieneś pisać do mnie, dopóki sama się do Ciebie nie odezwę.

Z wyrazami szacunku, Etna

20 kwietnia 1915 roku

Najdroższy Phillipie,

Czy mógłbyś spotkać się ze mną na targu przy Payne Street w przyszły wtorek o dziesiątej rano? Chciałabym ci coś pokazać.

E. VT

Małżeństwo to często dwie zazębiające się historie. Mogę opowiedzieć tylko swoją. Jeżeli chodzi o jej historię (czy raczej ich historię), to wiem o niej niewiele poza tym, co znalazłem w listach z metalowego pudełka po ciastkach. Listy przypinam do tej kartki spinaczem, trochę niechętnie, nie tylko z powodu ich wiele mówiącej, a dla mnie przygnębiającej treści, lecz także dlatego, że dosyć podobał mi się prostokątny, smukły kształt oprawnego w skórę notatnika, który teraz zostanie w pewnym sensie zeszepeczony.

Etna z natury była osobą zamkniętą w sobie, wstrzemięzliwą, jeśli chodzi o formę wypowiedzi, więc oczywiście nigdy nie dane mi było poznać jej relacji na temat jej związku z Phillipem Asherem. Gdybym więc nie znalazł ich korespondencji (palcem nerwowo trącałem ozdobne drzwiczki z przodu pudełka tak długo, aż wreszcie otworzyły się i wtedy zobaczyłem, że wewnątrz znajdują się listy), nigdy nie dowiedziałbym się o jej istnieniu, ponieważ z całą pewnością spłonęłyby w pożarze. Nie mogę powiedzieć, że tajemnica, jaką była moja żona, została całkowicie wyjaśniona dzięki lekturze listów, ale znalazłem w nich odpowiedzi na kilka dręczących mnie pytań.

Z listu Etny z 23 października dowiaduję się na przykład, że kiedyś była zaręczona z jakimś panem Bassem z Brockton (producentem obuwia), lecz zaręczyny te zostały zerwane. Zdumiewające, że nie powiedziano mi o tym wcześniej - mógł przecież zrobić to William Bliss, z niewinnych pobudek, lub Keep, z mniej niewinnych, a najpewniej z chęci dokuczenia



mi. Zareczyny były w tamtych czasach poważną sprawą i ich zerwanie bywało prawie tak trudne, jak rozwiązanie małżeństwa. Mogę się jedynie domyślać, że William Bliss, widząc, w jaki stan wprowadziła mnie wiadomość o wyjeździe Etny do Exeter, gdzie zamierzała zająć się edukacją dzieci Keepa, uznał, iż lepiej będzie nie niepokoić mnie faktami, których ujawnienie i tak nie należało do niego. Niewykluczone też, że i Bliss, i Keep sądzili, iż Etna omówiła już ze mną tę sprawę; większość kobiet na pewno postąpiłaby w ten sposób, lecz Etna, o czym zdążyliśmy się już przekonać, nie miała wiele wspólnego z większością kobiet. Etna była kobietą pełną tajemnic.

Co więc mam myśleć o związku Etny i Samuela Ashera, związku, który na podstawie wyżej wspomnianej korespondencji należałoby raczej nazwać namiętym romanssem? Prawdę mówiąc, poznanie tej tajemnicy nie było tak bolesne, jak można by się spodziewać, przeciwnie, przyniosło mi pewną ulgę, bo przecież *od samego początku wiedziałem, że coś takiego miało miejsce w życiu Etny*. Przypominam sobie, że już pierwszego dnia naszej znajomości zastanawiałem się, czy wcześniej miała jednego kochanka, czy wielu. Kobieta, która poznała miłość, ma w sobie coś wyjątkowego. Nie wiem, jak to ująć... Nie chciałbym okazać się niedelikatny, ale jedynym określeniem, jakie przychodzi mi do głowy, jest słowo „splądrowana” i wcale nie uważam, aby w tym kontekście było ono niewłaściwe. Dusza i ciało Etny zostały splądrowane przez Samuela Ashera, chociaż stało się to przy jej współudziale. Nie zamierzam rozwodzić się nad obrazami, jakie podsuwają mi te myśli; wystarczy powiedzieć, że zmysły posiadają intelekt, którego brakuje umysłowi i to właśnie one w tamtą nieprzyjemną noc poślubną trafnie wyczuły, że mojej świeżo poślubionej żonie przydarzyło się kiedyś coś więcej niż tylko pozbawienie dziewictwa - Etna była prawdziwie i szczerze kochana.

Nigdy się nie dowiem, jaki był charakter i czas trwania tego romansu. Nie ma nikogo, komu mógłbym zadać to pytanie - Phillip Asher najprawdopodobniej nie potrafiłby na nie odpowiedzieć (miał wtedy zaledwie siedemnaście lat), a Samuel Asher nie jest osobą, z którą chciałbym rozmawiać na

ten temat, zresztą może już nie żyje. Mogę się oprzeć jedynie na zwrotach z korespondencji mojej żony i brata Samuela, przy czym znacznie więcej wyczytać można ze słów Phillipa niż Etny.

Etna potwierdza, że jej miłość była szczerą, ale to Asher mówi o namiętności, o jej wielkiej, gwałtownej sile, ukrytej za woalem zasad dobrego wychowania. Phillip pisze również: „utrwalony w pamięci wyraz pani twarzy tamtego ranka wiele lat temu stał się dla mnie swego rodzaju wzorcem, według niego oceniam swoje uczucie do każdej kobiety, z którą nawiązuję bliższą znajomość, a także jej uczucia do mnie. Uważam panią za jedną z tych szczęśliwych istot, którym dane było poznać głębię prawdziwej miłości, niezależnie od tego, jak smutny okazał się koniec związku z obiektem tego uczucia. *Czyż poznanie i przeżycie miłości nie stanowi głównego sensu naszej egzystencji?*” (Podkreślenie kursywą moje).

Możemy jedynie wyobrazić sobie, co stało się „tamtego ranka” w Exeter. Czy Etna zjawiała się w domu Asherów, aby odbyć decydującą rozmowę z Samuelem? Aby powiedzieć mu, że zerwała zaręczyny z producentem obuwia z Brockton? I dlaczego to ona musiała udać się do swego kochanka? Czyżby Samuel chciał zakończyć romans i wyjechać do Kanady? Czy był zaręczony z inną? I jaki właściwie był charakter tego „smutnego wydarzenia” w domu Asherów w Exeter? Czy padły deklaracje miłości? Czy popłynęły łzy? Dlaczego wiele lat później Phillip Asher uważa, że powinien przeprosić Etnę za zachowanie swoich najbliższych? A może ma na myśli tylko brata, Samuela?

Dość dokładnie wyobraziłem sobie tamten ranek. (Czy malowane wyobrażenia zdarzenia nie stają się czasami bardziej rzeczywiste niż te, które oglądamy na własne oczy?). Jest zima 1897 roku.

Dwudziestoczteroletnia Etna jest zaręczona z panem Bassem z Brockton, Josiahem Bassem, powiedzmy, mężczyzną sporo od niej starszym, trzydziestosześcio- lub trzydziestoosmioletnim. Etna nie kocha narzeczonego, lecz jego zrodzony z produkowania butów majątek zapewni jej niezależność, która, jak już wiemy, ma ogromne znaczenie dla młodej kobiety, chociaż ona sama jeszcze nie zdaje sobie

z tego sprawy. W tym czasie pan Samuel Asher, wysoki jak jego brat, dwudziestosiedmioletni uczony o wysokim czole (tutaj zgaduję), jasnej brodzie i lekko przygarbionych ramionach, składa wizytę ojcu Etny, Thomasowi Blissowi, bratu Williama, człowiekowi wykształconemu i tolerancyjnemu, który nie ma nic przeciwko temu, aby przyjąć w swoim domu Żyda, zwłaszcza takiego, którego rodzina wywodzi się z Anglii. (A może Bliss po prostu nie wiedział, że Samuel Asher, od lat uchodzący za członka Kościoła episkopalnego, jest Żydem?). Z jakiego powodu Samuel Asher odwiedził Thomasa Bliss'a? Może mieli do omówienia plan prowadzonych wspólnie zajęć z obliczeń nawigacyjnych lub jakiś projekt badawczy? Może obaj wchodzili w skład jakiejś szkolnej komisji? Nigdy się tego nie dowiemy. Tak czy inaczej, Etna i Samuel dwa lub trzy razy zostali sami w salonie domu Blissów, ponieważ Thomas musiał na chwilę wyjść, aby zająć się jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą, i w rezultacie odkryli, że są bratnimi duszami. (Czy rozmawiali o astronomii? Nie, nie sądzę). Potem oboje niecierpliwie czekają na nowe spotkania i starają się stworzyć do nich okazję. Samuel Asher, wbrew zdrowemu rozsądkowi zachwycony niezwykłą córką Thomasa Bliss'a, przychodzi do domu Blissów pod nieobecność profesora, udając, że nie wie, iż tamten jest na zajęciach. Wydaje się, że zapomniał o istnieniu swojej narzeczonej, Ardith Silver z Toronto w prowincji Ontario, młodej kobiety, którą poznał, gdy razem ze swoimi rodzicami mieszkała jeszcze w Exeter. (Nie będziemy tu wysuwać przypuszczenia, że Samuel po prostu czuł potrzebę kobiecego towarzystwa w czasie, gdy nie mógł spotykać się z przyszłą żoną). Letnia znajomość przeradza się w jesienną przyjaźń, która tuż przed świętami Bożego Narodzenia zaczyna coraz bardziej przypominać namiętność.

Samuel Asher odwiedza Blissów w Wigilię, aby złożyć im życzenia świąteczne. Thomas, który wciąż nie ma pojęcia o uczuciach zaręczonego przyjaciela do swojej córki, wita go z radością. Etna jest w dużym salonie z matką i Miriam (Pippa wyszła już za mąż i mieszka w Massachusetts) - wieszają ostatnie ozdoby na imponującej choince, na której mniej więcej za godzinę zapłoną świece. Na małym stoliku pod

ścianą stoi wielka kryształowa waza z ponczem z dodatkiem rumu; nawet Miriam, która ma dopiero siedemnaście lat, dostaje szklaneczkę. Etna ubrana jest w suknię z aksamitu w kolorze śliwki, z dekoltem, i wygląda pięknie. Samuel, którego policzki są mocno zaczerwienione od zimnego powietrza i napięcia, wita się z matką Etny, potem z Miriam i dopiero na końcu, kiedy wszystkim wymogom grzeczności stało się zadość, z Etną, także wyraźnie zarumienioną. (Czy Thomas mógł się zorientować, że między dwojgiem młodych dzieje się coś niezwykłego, choćby na podstawie tego, że Samuel najpierw przywitał się z Miriam, a dopiero potem z Etną? Nie, prawdopodobnie nie). Thomas mówi, że Samuel musi bardzo tęsknić za narzeczoną, szczególnie w święta, a ten uprzejmie przytakuje, kątem oka zauważając drgnienie mięśni pięknych, białych ramion Etny.

(A gdzie jest Josiah Bass, narzeczonego Etny? Wyjechał. Tak, po prostu wyjechał).

W jaki sposób Samuel poradził sobie tamtego wieczoru? Bo Samuel ma prezent, który pragnie ofiarować Etnie. Nie może zrobić tego w obecności jej matki i siostry, ponieważ dla nich nie ma żadnych podarunków. Nie może dać jej prezentu na oczach Thomasa, gdyż Thomas, choć niewątpliwie nieco roztargniony i pochłonięty głównie nauką, z pewnością dopatrzyłby się w tym nienaturalnego faworyzowania jednej z córek. Dlatego Samuel proponuje wszystkim spacer, jakby od niechcenia i bardzo uprzejmie. W pierwszej kolejności zaprasza panią Bliss, modląc się, aby odmówiła. I pani Bliss odmawia, mówi, że boi się wyjść na przechadzkę w taki ziąb. Etna z entuzjazmem przystaje na propozycję Samuela; ma wielką ochotę popatrzeć na ciepłe światła lamp i świec, widoczne przez okna domów, i na kolędników, którzy na pewno już wyszli na ulice. Miriam jest zmęczona i rezygnuje z możliwości spaceru, podobnie jak jej matka. W oczach Samuela to prawdziwy cud.

Z trudem maskując ulgę, wychodzi z Etną do holu, gdzie ubierają się ciepło, starannie unikając spojrzeń pozostających w domu. Oboje zdają sobie sprawę, że zawiązują spisek, lecz żadne nie zdradza się ze swoimi myślami.

Długą chwilę idą w milczeniu, tak się składa, że nie w kierunku domów o rozświetlonych ciepłym oknach, lecz w przeciwną stronę. Przystają na brzegu jednego z boisk do gier sportowych przy męskiej szkole podstawowej i razem patrzą na zaśniewany teren, który z mroku wydobywa świąteczny księżyc.

- Etno... - mówi w końcu Samuel.

Daj e j ej paczuszkę, którą ona parę chwil trzyma w obleczonej w rękawiczkę dłoni i dopiero potem odwija papier. (Boli mnie myśl, że widok tamtego nierozpakowanego jeszcze prezentu sprawia jej znacznie większą radość niż tego, który otrzymała ode mnie na ścieżce w pobliżu college'u, ale cóż, najprawdopodobniej tak właśnie było). Zesztywniałe z zimna palce Etny podnoszą wieczko puzderka i blask księżyca oświetla srebrny przedmiot. Samuel ujmuje dłoń Etny, ściąga z niej rękawiczkę i zamyka bransoletkę na przegubie, jaśniejącym prawie taką samą bielą jak tarcza księżyca.

- Musiałem pani coś ofiarować...

- Nie mogę tego przyjąć - odpowiada Etna.

- Musi pani, proszę... Może pani nosić to wtedy, gdy nikt nie będzie widział.

- Jestem zaręczona - oznajmia Etna fakt, którego Samuel jest w pełni świadomy.

- Ja także.

Całuje Etnę w sposób, w jaki z pewnością nigdy wcześniej nie była całowana, nie przez Josiaha Bassa, którego w tej opowieści wyposażyliśmy w krzywe, pożółkłe zęby i nieco nieświeży oddech. Pocałunek Ashera wyzwala w Etnie zupełnie nową reakcję fizyczną i na parę minut oboje są straceni dla świata, beztroscy i skupieni tylko na sobie. Dla Etny nie istnieje nikt poza Samuelem, który pociąga ją w sposób niewyjaśniony i potężny. Nie do końca rozumie, co się z nią dzieje (w przeciwieństwie do Samuela), więc przypisuje takie doznania jak nierówne bicie serca i uczucie gorąca w dole brzucha miłości, wielkiej i nieśmiertelnej. Zaczyna wyobrażać sobie, że ucieknie z Samuelem, poświęcając swój honor na ołtarzu miłości.

Samuel przy świetle księżyca wyznaje jej miłość. Błaga ją

o następne spotkanie, tym razem w tajemnicy przed innymi, w dzień po Bożym Narodzeniu. Mówi, że ma na terenie szkoły mieszkanie, że teraz, w czasie przerwy świątecznej, budynek jest niemal pusty. Etna zgadza się, jest zupełnie spokojna.

Mija Boże Narodzenie. Etna i Samuel spotykają się w jego mieszkaniu, o pierwszej po południu 26 grudnia, zgodnie z planem. Etna zdejmuje palto. Samuel zsuwa mankiet jej sukni, odsłaniając bransoletę. Całuje jej otwartą dłoń i przegub. Etna przymyka oczy. Możemy wyobrazić sobie, że przez chwilę oboje trwają bez ruchu, dopiero potem odrzucają wszelką ostrożność.

(Czytelnik musi sam sobie wyobrazić obraz pozbawienia Etny dziewictwa. Ja nie potrafię się na to zdobyć).

Później, leżąc na grubym dywanie w gabinecie Ashera, Etna mówi mu, że opuści nieszczęsnego pana Bassa. Asher odwodzi ją od tego pomysłu. Fala namiętności opadła, przywracając Samuelowi zdolność rozsądnego myślenia oraz mętne poczucie honoru. Mówi Etnie, że nie może pozwolić, aby naraziła na szwank swoją dobrą opinię, powtarza, że dla nich obojga nie ma przyszłości, jest tylko chwila obecna, którą mogą się cieszyć we dwoje.

Etna, trochę zaskoczona i zagubiona, podporządkowuje się kochankowi. Spotykają się trzy razy w tygodniu w mieszkaniu Samuela, odkrywając w sobie seksualną zgodność reakcji tak intensywnej, że aż przerażającą. Przy czwartym spotkaniu, tuż przed rozpoczęciem zajęć szkolnych po przerwie świątecznej, Etna ponownie zapowiada, że zamierza zerwać zaręczyny. Samuel jest zły i zrozpaczony. Jego ślub ma odbyć się już za miesiąc. Parę tygodni wcześniej wysłał Ardith do Toronto, gdzie narzeczona znalazła odpowiedni dla nich dom. Wtedy decyduje się powiedzieć Etnie, że jest Żydem.

Etna jest albo tak głęboko zakochana, że informacja ta nie wywiera na niej żadnego wrażenia, albo wierna przekonaniom wpojonym jej przez tolerancyjnego ojca - tak czy inaczej, mówi Samuelowi, że jego pochodzenie nie ma dla niej znaczenia. Więcej, kocha go jeszcze mocniej.

Kochają się znowu (dziko? namiętnie? ze smutkiem?), lecz tym razem przerywa im dźwięk dochodzący z sąsiedniego pokoju. Samuel uświadamia sobie, że to jakiś student musiał wcześniej wrócić do college'u. Etna ubiera się pośpiesznie i zdenerwowany, zaniepokojony Samuel wyprowadza ją z dormitorium tylnym wyjściem (niewykluczone, że towarzyszył temu jakiś komiczny incydent). Rozstają się szybko, zapewniając się o wzajemnej miłości.

Teraz robimy duży krok do przodu i odnajdujemy naszych bohaterów w połowie stycznia. Jest niedzielny ranek, następnego dnia, w poniedziałek, zaczyna się nowy semestr. Na dworze szaleje zamieć, która dotarła tu aż z Kanady (może przysłała ją sama Ardith, kto wie...). Asherowie (musi być to spora rodzina, skoro dom jest pełen radosnego gwaru) są w domu. Siedemnastoletni Phillip czyta w salonie i słyszy, jak służący prosi do holu Samuela, który z ciężkim sercem pakuje rzeczy przed wyjazdem do Toronto, gdzie czeka na niego Ardith. Phillip, zaintrygowany, kto odwiedził jego brata w tak paskudną pogodę, zmienia pozycję na sofie, żeby lepiej widzieć, co się dzieje w holu.

Przed Samuelem stoi niezwykle wysoka, interesująca kobieta w mokrym palcie i wysokich butach. Do salonu docierają strzępki rozmowy.

Zaintrygowany Phillip podnosi się i podchodzi do stołu. W tym momencie Etna podnosi głowę i Phillip widzi w jej twarzy... Co?

Gwałtowną siłą miłości, napisze później. Etna błaga Samuela. Szlocha, może kładzie zaczerwienione z zimna dłonie na jego ramionach. Samuel stara się ją uspokoić, ale jego wysiłki pozostają bezskuteczne. Etna oznajmia, że zerwała zaręczyny. Nie może poślubić innego, bo kocha tylko Samuela, który nie może ożenić się z Ardith. Samuela, który nie może jechać do Toronto, który nie może jej zostawić.

Ale cóż w takiej sytuacji ma zrobić mężczyzna? Samuel próbuje zaprowadzić Etnę do innego pokoju, aby spokojnie z nią porozmawiać; Etna, która nie potrafi już zapanować nad zdenerwowaniem, odmawia. Samuel proponuje, że sprowadzi powóz i odwiezie ją do domu. Etna potrząsa głową. W końcu Samuel mówi jej, że nie może zerwać zaręczyn, że jego po-

czucie honoru po prostu na to nie pozwala. (Czy możliwe, że powiedział coś takiego? Chyba tak. Honor był w tamtych czasach znacznie solidniejszym pojęciem niż w tej chwili). Niewykluczone, że mówi Etnie coś jeszcze - wyznaje, że jego rodzina nigdy nie zgodzi się, aby zerwał zaręczyny. Ostatecznie Ardith pochodzi z dobrej żydowskiej akademickiej rodziny, podobnie jak on. Phillip zbliża się do drzwi i może wtedy Etna podnosi wzrok, napotyka jego spojrzenie. Ojciec obu braci, który już wcześniej usłyszał dobiegające z holu hałasy, schodzi na dół i pyta Samuela, co się dzieje.

Samuel próbuje z całym szacunkiem udzielić ojcu odpowiedzi, która skłoniłaby go do powrotu do gabinetu. Etna, której emocje całkowicie wymknęły się spod kontroli, jest zbyt rozstrojona, aby odpowiedzieć samodzielnie. Patriarcha rodu Asherów sprowadza swoją żonę. Ta w pierwszej chwili jest oszołomiona melodramatem, jaki rozgrywa się w holu jej domu. Intuicyjnie wyczuwa, co jest przyczyną tej porannej wizyty i manifestacji rozpacz, i chłodnym głosem (niepotrzebnie chłodnym, bo przecież przed chwilą sama płakała w sypialni, poruszona perspektywą długiego rozstania z ukochanym synem) oznajmia, że zajmie się młodą kobietą. Etna, uświadamiając sobie nagle swoją okropną pozycję i całkowite upokorzenie, odwraca się i otwiera drzwi. Samuel, ogarnięty nagłym atakiem tchórzostwa (przez które zasłużył na pogardę swego młodszego brata), nie mówi nic i pozwala Etnie odejść. Phillip najpierw ze zdumienia zamiera bez ruchu, a potem śpieszy na pomoc tej fascynującej, chociaż nie do końca pięknej kobiecie. Wybiega na ulicę, lecz kiedy dociera do rogu i rozgląda się, odkrywa, że Etna zniknęła. Jak już wspominałem, ta opowieść jest owocem mojej wyobraźni, niczym więcej.

Ale jakże niezwykle irytujące są te ich listy! Chociaż można podziwiać Phillipa Ashera, który (po upływie osiemnastu lat od tamtego niedzielnego poranka) oświadcza, że ze względu na Etnę gotowy jest opuścić Thrupp (co za dżentelmen!), warto także zauważyć, że pod wpływem argumentacji Etny szybko rezygnuje z tego pomysłu. (Trzeba jednak uczciwie powiedzieć, że Etna miała rację, odwodząc Ashera od zamiaru wy-



jazdu). Już w liście z 21 października widzimy, jak obydwójce rzucają ziarno kłamstwa - Asher wyznaje, że spotkał mnie w hotelu, lecz nie poinformował mnie, że kiedyś miał okazję poznać moją żonę. W liście datowanym 22 października, tym samym, z którego dowiadujemy się, że Etna była zaręczona, ona sama przyzwala na kontynuację kłamstwa - oświadcza, że nie widzi powodu, aby omawiać ze mną wydarzenia, które miały miejsce tak dawno temu. Trudno nie dojść do wniosku, że słowa Etny musiały dać wykładowcy z Yale wiele do myślenia, może wręcz nadzieję na przyszłość z kobietą, która od lat go intrygowała. Jakież to zdumiewające, że pełna tajemnic kobieta, za którą wybiegł ze swego domu w Exeter, nagle zjawiała się na przyjęciu u Edwarda Feralda. (Jeżeli dobrze się nad tym zastanowić, można pomyśleć, że wcale nie był to taki znowu zaskakujący zbieg okoliczności - oboje, Etna i Phillip, pochodzili z rodzin akademickich, a Thrupp było przecież miasteczkiem akademickim).

List kondolencyjny Ashera i odpowiedź Etny nie wymagają żadnych wyjaśnień. Są całkowicie poprawne, mieszczące się w granicach etykiety, chociaż czytelnika może zdziwić fakt, że Phillip przeprasza za swoją nieobecność na pogrzebie stryja Etny. Wydaje się, że jest to jedynie wymówka, pozwalająca na kontynuację korespondencji. Warto też zauważyć, że w liście z 18 listopada Etna zachęca Phillipa do napisania kolejnego listu, prosząc go o wiadomości o jego bracie. Podpisała się pod tym listem jako Etna *Bliss* Van Tassel. Dlaczego? Żeby przypomnieć Asherowi młodą kobietę, którą kiedyś była?

I dlaczego właściwie 24 listopada Phillip uznaje za konieczne prosić Etnę o odpowiedź, zanim przyjmie moje zaproszenie na drinka? Żeby podjąć decyzję, w jaki sposób kontynuować oszustwo? (Słowo ultimatum, którym posłużył się w liście, uważam za głęboko obraźliwe. Nienawidzę przesady. Moim zdaniem cytaty z Milтона był tylko ostrzeżeniem, niczym więcej).

Nikt, kto przeczytał tę korespondencję, nie może zaprzeczyć, że między moją żoną i Phillipem Asherem narodziło się coś więcej niż zwykła przyjaźń. Dość szybko między linijkami

listów Ashera wyczuwa się aromat flirtu pełnego szacunku: Minione lata przydały pani urody i wdzięku, pisze Phillip. Po co ten komplement? I to w tym samym liście, w którym oświadcza, że chyba jednak nie powinien dalej do niej pisywać! Najwyraźniej Asher wcale nie chce zakończyć tej korespondencji - czeka tylko, by Etna wzięła na siebie całą odpowiedzialność za swoje i jego listy. Można jednak zrozumieć pragnienie Etny, wyrażone w liście z 27 listopada, aby młodszy brat byłego kochanka nie dyktował jej, co ma robić. Z drugiej strony Asher słusznie twierdzi, w liście z 29 listopada, że ich utrzymywana w sekrecie korespondencja stanowi przekroczenie pewnej granicy zasad moralnych; można także współczuć mu z powodu niewątpliwie trudnego do zniesienia Święta Dziękczynienia, które przyszło mu spędzić w domu Fe-ralda. Ferald dysponował odpowiednią pozycją i koneksjami, lecz jego zdolność konwersacji zawsze pozostawiała wiele do życzenia, a jeśli chodzi o jego żonę, Millicent, to cóż, aż strach o tym myśleć. W liście z 6 grudnia Asher powiadamia Etnę (wtedy już przebywającą w Exeter) o swoim zwycięstwie w wyborach na dziekana wydziału, a następnie składa kwestię przyjęcia tego stanowiska w jej ręce. Czyż ten dowód uczucia nie wydaje się równie wiążący i namacalny jak brosza czy bransoleta? A co robi, kiedy nie otrzymuje odpowiedzi? Przyjmuje stanowisko, jak zamierzał to zrobić od samego początku. Nie chcę tu w żaden sposób wpływać na punkt widzenia innych, którzy czytali wspomnianą korespondencję, czuję się jednak w obowiązku uczulić czytelnika na sposób, w jaki oboje przekraczają granice zwykłej przyjaźni w tętniących niepokojem listach z 15 i 16 stycznia: Proszę wybaczyć mi długie milczenie, pisze ona; Nie musi mnie pani prosić o wybaczenie, odpowiada on. Proszę zwrócić uwagę, że listy te są w zasadzie prawie zupełnie pozbawione uprzejmościowych zwrotów, przez co brzmią jak wymiana zdań zdyszanych kochanków. I Phillip, i Etna wciąż powtarzają, że ich korespondencja jest czymś niewłaściwym, lecz żadne nie chce jej zakończyć. Co gorsza, Etna pogłębia łączącą ich więź, wysyłając swój list z „pytaniami natury etycznej”.

Pytania te są absurdalne i można jedynie współczuć Asherowi, którego zmieszanie jest widoczne w jego odpowiedzi. (Naturalnie, że wynajęcie pokoju czy mieszkania w tajemnicy przed współmałżonkiem jest nieetyczne - cóż innego Asher mógł jej odpowiedzieć?). W tym liście składnia zdań Etny jest niezgrabna, zupełnie jakby rozgorączkowane myśli wywarły negatywny wpływ na gramatykę. Trudno prześledzić tok zadawanych przez nią pytań i właściwie publikowanie tego listu jest niestosowne. Sposób formułowania myśli jest w nim tak sztywny i niepotrzebnie skomplikowany, że wskazuje to wręcz na... Jak to ująć? Chyba na pewną pośledniość intelektu autorki.

Chociaż odpowiedź Ashera i postawione przez niego pytania wydają się w tych okolicznościach raczej rozsądne, jego relacje, dotyczące mojego zachowania w pierwszych miesiącach 1915 roku wydają mi się oburzające. Może zresztą oburza mnie nie tyle ich styl i zawarte w nich stwierdzenia, ile fakt, że pozwolił sobie na nie... Tak czy inaczej, ogarnia mnie pusty śmiech, gdy w liście z 15 lutego czytam, że Phillip pragnie w jakimś sensie wynagrodzić Etnie to, co spotkało ją ze strony jego rodziny - to oświadczenie nie jest przyjęciem odpowiedzialności, lecz sztucznej pozy oraz szukaniem wymówki dla niewybaczalnego postępowania.

Oczywiście poczułem się głęboko zraniony, że w liście z 20 lutego Etna poprosiła Ashera, aby zwracał się do niej po imieniu (pozwolę sobie dodać, że w prośbie tej jest sporo kokieterii). Nie mogę też udawać, że nie poruszył mnie nagłówek ostatniego listu, tego z 20 kwietnia. Najdroższy Phillipie, pisze Etna, jednym czułym słowem zastępując długie tygodnie intymnych zwierzeń. Najdroższy Phillipie... Co działo się między gorączkowym listem z 9 marca, kiedy to dopiero zaczynała rozumieć swoją sytuację, a tym z 20 kwietnia, w którym poprosiła Ashera o spotkanie? Nie wiem. Sądzę, że chciała pokazać mu swój dom. Czy napisali do siebie więcej listów, ale z jakiegoś powodu ich nie zachowali? Czy widzieli się w okresie między 9 marca a 20 kwietnia?

Jednak chociaż odkrycie korespondencji Etny i Phillipa głęboko mnie zraniło (chodzi mi zwłaszcza o ten ostatni,

czuły list), w tamtym czasie i tak byłem już zwierzęciem, które broczyło krwią z wielu ran. Nicholas Van Tassel zataczał się nieprzytomnie, nie próbując nawet wyrwać grotów strzał ze swego nieszczęsnego ciała. Człowiek mówi coś pod wpływem emocji, a potem żałuje tego przez całe życie. W tamtym domu powiedziałem Etnie, że mam powód, aby się z nią rozwieść. Pragnąłem ją ukarać, utwierdzić swoją władzę nad nią, ukoić zranioną dumę. Mogę przekreślić swoje małżeństwo jednym słowem, myślałem. Mogę upokorzyć żonę... Głupie słowa głupiego człowieka. Czy wyraz twarzy poruszonej moim oświadczeniem Etny sprawił mi przyjemność? Czy cieszyłem się, widząc, jak blednie i nogi uginają się pod nią z przerażenia? Może przez chwilę czułem pewną satysfakcję, może i tak. Ale po co to wszystko zrobiłem? Żeby pozbawić się bliskości kobiety, która była moją obsesją od szesnastu lat? Jedynej kobiety, jaką kiedykolwiek kochałem?

Nie wiem, jak udało mi się wsiąść do samochodu i odjechać, nie mam też pojęcia, jak długo jechałem, wiem tylko, że kiedy znalazłem się w Thrupp, było już ciemno. Włączyłem reflektory, które oświetlały drogę, lecz wszystko poza ich zasięgiem nadal pozostawało w ciemności, mogę więc powiedzieć, że podróżowałem przez obcą, nieznaną krainę. W końcu jednak auto dotarło pod dom Moxona, jak zmęczony koń do stajni. Zaparkowałem na podjeździe.

Na moje pukanie drzwi otworzył lokaj Moxona.

- Profesor Van Tassel! - powiedział Warren (do dziś nie wiem, czy było to jego imię, czy nazwisko). - Pana Moxona nie ma w domu, wróci dopiero we wtorek.

- Zaczekam na niego - odparłem.

Wszedłem do salonu i położyłem się na sofie, nie zdejmując pożyczonego od Moxona futra ze skunksów. Tamtej nocy Warren był dla mnie bardzo dobry, za co pozostanę mu niezmiernie wdzięczny. Pozwolił mi spać, potem przyniósł trochę gorącej zupy, znowu zostawił mnie w spokoju i w swojej wielkiej mądrości nie zadawał żadnych pytań. Kiedy w końcu podniosłem się z sofy, a było to późnym rankiem na-

stepnego dnia, zaprowadził mnie do łazienki, gdzie wziętem kapiel i ogoliłem się. Zjadłem śniadanie (jajka i grzanki) i przez pewien czas siedziałem przy stole. Nie myślałem, tylko po prostu siedziałem; przez cały czas pobytu w domu Moxona w mojej głowie nie powstała ani jedna logiczna myśl. Potem wstałem z krzesła, poszedłem do auta i odjechałem. Nie wiem, co tamtego dnia działo się z moimi studentami, bo udałem się nie do college'u, ale do domu, w którym nie było nikogo z moich najbliższych. Pani Van Tassel wyjechała, powiedziała mi zaniepokojona Abigail. Do Exeter. Zabrała ze sobą dzieci. Kiwnąłem głową, bo już nic nie mogło mnie zaskoczyć. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zostałem zmuszony do rezygnacji z kandydowania na stanowisko, o którym od dawna marzyłem, dowiedziałem się, że moja żona ma osobny dom, który w tajemnicy odwiedza od blisko roku, no i oświadczyłem, że chcę się z nią rozwieść. Gdyby ktoś parę dni wcześniej powiedział mi, że spotka mnie któraś z tych rzeczy, nigdy bym nie uwierzył.

- Na stole w pokoju jadalnym leży list - poinformowała mnie Abigail. Nadal nie zdejmując z siebie futra Moxona, otworzyłem list z takim uczuciem, jakby był w nim rachunek, którego nie miałem zamiaru zapłacić. „Drogi Nicholasie, przeczytałem. Zabieram dzieci do Exeter. Proszę, nie przyjeżdżaj do mnie. Powinniśmy dać sobie trochę czasu na przemyślenie wszystkiego, co sobie powiedzieliśmy. Twoja kochająca Etna”.

Moja kochająca Etna...

Wyszedłem z pokoju, rzucając futro i list na podłogę w holu. Poszedłem do łóżka, nadal nie myśląc o niczym konkretnym. Nie myślałem też ani nazajutrz, ani jeszcze następnego dnia. Pamiętam, że ktoś z college'u zadzwonił z pytaniem, czy jestem chory. Odpowiedziałem twierdząco i dodałem, że nie przyjdę na zajęcia do końca tygodnia. Pamiętam, że Moxon przyszedł mnie odwiedzić, przypominam też sobie dziwną rozmowę, jaką odbyliśmy w salonie, z mojej strony mało przytomną, z jego pełną okrzyków zdumienia i lęku. Etna mnie porzuciła, oznajmiłem ku przerażeniu Moxona, który rozpaczliwie wymachiwał rękami, starając się okazać

mi swoje współczucie. Zatrzymaj auto, powtarzał. Zatrzymaj auto...

Zupełnie jakby możliwość korzystania z wozu mogła złagodzić cierpienie spowodowane idiotyczną deklaracją.

W ciągu następnych dni zapuściłem bokobrody i dopiero pokojówka Etny kazała mi je zgolić. Żywiłem się na zmianę serem i jajkami, jakbym nagle wrócił do wczesnego dzieciństwa. W piątek Phillip Asher został wybrany na stanowisko dziekana mojego wydziału.

W sobotę pojechałem do Exeter, wspominając tamtą wyprawę sprzed szesnastu lat, kiedy to jedna prośba stała się główną treścią mojego życia. Po drodze układałem słowa drugiej prośby, z jaką zamierzałem zwrócić się do Etny Bliss Van Tassel.

Nie myśl o rozwodzie, chciałem jej powiedzieć. Tamte słowa wyrzuciłem z siebie w gniewie i nie zasługują na większą uwagę niż najgorsze brednie szaleńca. Wysłuchaj lepiej męża, który jest przy tobie od piętnastu lat i który pragnie, aby jego żona i dzieci wróciły do domu. Ich wyjazd był niepotrzebny, naprawdę niepotrzebny. Pod wpływem emocji często mówimy nierozważne, głupie rzeczy, prawda? Małżeństwo jest chyba dość elastyczne, aby i takie wydarzenia mogły się w nim pomieścić, bez narażania na szwank związku. Jeśli zaś chodzi

O tamtą sprawę, o tamten dom, to omówimy ją po powrocie do Thrupp. Chciałem też powiedzieć Etnie, że może zrezygnuję z pracy w college'u. Kto wie, może napiszę książkę...

Jednak Etna miała już zupełnie inny plan i nie omieszkała zakomunikować mi go zaraz po moim przyjeździe.

- Zgadza się na rozwód - oznajmiła w tym samym salonie, gdzie kiedyś zgodziła się mnie poślubić.

Weszła do pokoju w taki sposób, jakby od dawna na mnie czekała i jakby już się uzbroiła, wnosząc fortecę i budując okalającą ją fosę.

Rozdzielała nas cała szerokość perskiego dywanu. Kątem oka dostrzegałem przedmioty z adamaszku, kryształu, drewna różanego i jedwabiu, ostateczne efekty remontowo-restauracyjnych działań sprzed wielu lat. Twarz Etny była mizerna, figura szczuplejsza i może właśnie powaga zmienionej twarzy

i dostojność postawy nadały jej wygląd regentki.

- Nie, nie! - powiedziałem, kręcąc głową, pewny, że zza drzwi słucha nas Miriam, siostra mojej żony. - Wcale nie o to mi chodziło! Byłem zły, mówiłem w gniewie, w uniesieniu! Etno, posłuchaj mnie...

Stała nieruchomo, sztywna jak jeden z Keepów na olejnym portrecie za jej plecami. Jej spojrzenie było spokojne i niezłomne. Patrząc na nią, znowu pomyślałem, podobnie jak wiele razy przedtem, że w jej żyłach na pewno płynie obca krew, może krew lepszej rasy, zdolnej przekazać migdałowy wykrój oczu, wysokie, wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, a także umiejętność trwania w dostojnym bezruchu, prawie bez oddechu. Nagle przez głowę przemknęła mi zupełnie zaskakująca myśl, tak niezwykła, że przez parę minut nie mogłem kontynuować rozmowy. Dlaczego Phillip Asher właśnie mnie - ze wszystkich ludzi - powiedział o swoich żydowskich korzeniach? Może po prostu założył, że wiem o tym od Etny, która kiedyś знаła jego rodzinę? A może, co byłoby jeszcze bardziej szokujące, moja żona także była Żydówką?

Przyjrzałem jej się od nowa, świeżym okiem.

- Jesteś Żydówką? - zapytałem.

Moje pytanie wyraźnie ją zaskoczyło. Potrząsnęła głową.

- Nie wiem - odparła.

- Jak to?

- Moja matka nie znała swego ojca.

- Nie rozumiem...

- Matka mojej matki była służącą. Zaszła w ciążę z mężczyzną, którego później nie chciała lub nie mogła rozpoznać.

Nic o tym wcześniej nie wiedziałem. Założyłem po prostu, że rodzina mojej żony ze strony matki miała anglosaskie korzenie.

- Ale dlaczego myślisz, że możesz być Żydówką? - odezwałem się po chwili.

- Bo nie wiem, jakiej narodowości był mój dziadek. Równie dobrze mógł być Żydem.

- Więc w żyłach mojego syna może płynąć żydowska krew? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? - Popatrzyła na mnie dziwnym wzrokiem.

- Nie wiem - odparłem szczerze.

- Nie mogę dłużej być twoją żoną - powiedziała Etna tak cicho, że nie byłam pewna, czy dobrze ją zrozumiałam.

Może zresztą nie chciałem jej dobrze zrozumieć... Z ulicy dobiegł nas jakiś hałas, jakby gdzieś w pobliżu zderzyły się dwa auta. Pomyślałem, że z pewnością nie mogło to być nic poważniejszego niż zderzenie naszych osobowości w salonie.

- To nie jest podstawa do rozwodu - oświadczyłem, przyprawiając głupotę pompatycznością, chociaż i tak nie miałem pojęcia o prawie. Zmarnowałem całe zdanie w chwili, gdy proste słowa miłości odniosłyby nieporównanie lepszy skutek.

- Taki argument będzie musiał wystarczyć - powiedziała z nieśmiałą pewnością siebie, typową dla świeżo wyświęconych.

Wyszła, zostawiając w salonie jękającego się i krztuszącego męża, któremu chwilę później nie pozwolono udać się za nią na górę.

Strząsnąłem z ramienia zaskakująco silną dłoń Miriam, lecz wtedy w holu pojawił się Josip Keep ze służącymi. Zmuszono mnie, żebym odszedł. Na pożegnanie Keep, współczująco kręcąc głową, powiedział mi, że małżeństwo to ciężka próba.

Pojechałem do Salisbury, nadmorskiego miasteczka o nieciekawej renomie i poszedłem tam do burdelu. Była to moja pierwsza niewierność w ciągu piętnastu lat małżeństwa. Po stosunku, którego nie pamiętam, udałem się do baru nad oceanem i wypilem całą butelkę burbona. Do świtu mamrotałem coś w kabinie ze skórzanymi siedzeniami, a rano wróciłem do Thrupp.

Odbyłem zajęcia z dwoma grupami, resztę zignorowałem. Każdemu, kto sprawiał wrażenie, że chce zapytać, co dzieje się z Etną, mówiłem, że wciąż przebywa w Exeter, gdzie musi opiekować się ciężko chorą siostrą. Sprawiało mi to nawet pewną satysfakcję, ponieważ chętnie obdarzyłbym Miriam ciężką chorobą. Koledzy kiwali głowami, a jeżeli wątpili



w moje słowa, nic mnie to nie obchodziło. Odchodziłem, zanim zdążyli wyrazić swoje współczucie lub niesmak. Nie miałem ochoty na pogawędkę, nie miałem też cierpliwości. Wszyscy wydawali się rozumieć, że nie czuję się na siłach, aby rozmawiać.

W styczniu wezwał mnie Phillip Asher, który zdążył już przenieść się do gabinetu dziekana. (Wyglądało na to, że wszyscy, w tym sam Asher, skłonni byli nie przywiązywać wagi do jego pochodzenia). Udałem się tam niechętnie i wyszedłem bez słowa, zanim dziekan skończył wypowiadać propozycję udzielenia mi urlopu naukowego. Oto ochłap dla pokonanego rywala, pomyślałem z obrzydzeniem, wtedy jeszcze nieświadomy, że Asher utrzymuje korespondencję z moją żoną. Wiedziałem tylko, że wiele lat wcześniej znał Etnę, podejrzewałem też, że doszły go plotki o naszym rozpadającym się małżeństwie i dlatego uznał mnie za podwójnie zwyciężonego.

Tydzień później ponownie wyruszyłem do Exeter, o mały włos nie gubiąc siebie i świeżo nabytego czarnego forda w ulewie koloru błota. Etna, jeszcze bledsza niż poprzednim razem, szybko zeszła do salonu. Pokój skąpany był w szarym, przyćmionym świetle, jakie dość często zdarza się widzieć w połowie zimy. Ubrana była w jasnoniebieską suknię, która ukazywała nową szczupłość jej ciała; od razu zacząłem sobie wyobrażać, jak będę o nią dbał, jak polecę Mary, aby przygotowywała dla niej odżywcze potrawy. W Exeter moja żona po prostu nikła w oczach. Starłem się panować nad sobą. Nie błagałem, nie naciskałem, tylko spokojnie przedstawiłem swoje argumenty.

Oświadczyłem, że pochopnie i nieopatrznie wypowiedziałem słowa, których żałuję. Obowiązkiem żony jest wybaczyć bredzenie męża pograżonego w chwilowej malignie. Każdy mężczyzna mógłby powiedzieć coś takiego, dodałem. Jeśli chodzi o tamten dom, to jestem gotowy rozważyć całą sprawę na spokojnie i gwarantuję, że uda nam się dojść do porozumienia, oznajmiłem.

- Jakiego porozumienia? - zapytała, siadając na krześle obitym żółtym jedwabiem.

Poruszała się tak, jakby jej kości stały się kruche, ja zaś nagle zaniepokoiłem się o dzieci. Czy Keep głodził moją przebywającą na wygnaniu rodzinę?

- Jakiegokolwiek - odparłem, chociaż w rzeczywistości nie zastanawiałem się nad tym problemem.

Jeśli mam być szczery, to w ogóle nie mogłem myśleć o tamtym domu. Sam jego obraz, który czasami podsuwała mi wyobraźnia (nie tylko zresztą wyobraźnia, bo kilka razy pojechałem tam i nie wyłamałem drzwi lub nie wybiłem okna tylko dlatego, że wciąż sądziłem, iż wcześniej czy później jednak się pogodzimy), sprawiał, że mój umysł zamykał się jak pod naporem wrogiej siły.

Etna splotła dłonie na podołku.

- Dyktowałbyś mi, kiedy mogę tam pojechać, a kiedy nie - powiedziała.

- Niekoniecznie - odrzekłem ostrożnie.

- Ale na pewno chciałbyś wiedzieć, kiedy i na jak długo jadę, i co będę robiła... I z kim będę się spotykała.

Brak ruchu nigdy jej nie służył, pomyślałem, przyglądając się jej uważnie.

- Jak się czują dzieci? - zmieniłem temat.

- Dobrze.

- Chcę wiedzieć, co się z nimi dzieje. Chcę je zobaczyć.

- Nie ma ich tu - odrzekła. - Wyjechały.

- Dokąd?

- W odwiedzinach do Pippy do Massachusetts, razem z Miriam.

- Nie możesz pozbawiać mnie kontaktu z dziećmi! - zaprotestowałem.

- Nicholasie, nie powinieneś teraz przebywać z żadnymi dziećmi, ani swoimi, ani cudzymi - powiedziała z przebłyskiem serdecznego zaniepokojenia. - Stan twojego ducha

1 nerwów raczej na to nie pozwala...

- A stan twojego ducha? - odparowałem.

- Pomaga mi Miriam i służba.

- Dlaczego, Etno? - zapytałem, pochylając się do przodu. - Dlaczego to robisz?

- Podarowałam ci piętnaście lat.

- Ja chętnie podarowałbym ci całe swoje życie! - wykrzyknąłem.
- Mówisz tak, a odmawiasz mi jednej godziny prawdziwej wolności - rzekła spokojnie.

W końcu zacząłem ją błagać.

- Etno, proszę cię, wróć ze względu na dzieci, które pragną jedynie tego, abyśmy byli razem...

Widziałem, jak zмага się z tym dawnym uczuciem - z litością. Ze wstydem przyznaję, że wtedy z radością przyjąłbym nawet jej litość.

- Chcę rozwodu - powiedziała.

- Na jakiej podstawie? - zapytałem, teraz już ze złością.

- Nigdy cię nie kochałam - odparła, jakby to wszystko wyjaśniało.

I może tak rzeczywiście było. Tak czy inaczej, wystarczyło, aby mnie uciszyć. Podniosłem się z trudem, jak starzec.

- Będziemy porozumiewać się przez adwokatów - przemówiłem ochryplym głosem z tej pustki, do której zesłała mnie żona.

- Tak - powiedziała.

Mobilizując wszystkie siły, dotarłem do drzwi i wyszedłem. Moja żona nie zrobiła nic, aby mnie zatrzymać.

Postępowanie rozwodowe toczyło się zgodnie z procedurą sądową, co oznacza, że nie toczyło się prawie w ogóle. Tonąłem w paskudnej gramatyce kodeksu prawnego i dziwacznych strukturach zdaniowych: Można dowieść, że małżeństwo powódki było poświęceniem, efektem niechęci z jej strony do wycofania się z pochopnie zawartych zaręczyn, do których pozwoliła się nakłonić i którym później pozostała wierna pod wpływem źle pojętego poczucia obowiązku. Można także dowieść, że nie dotrzymałaby danego słowa i nie poślubiła pozwanego, gdyby nie otrzymała zapewnienia, że pozwany nie będzie się sprzeciwiał jej życzeniom w kwestiach uznanych

przez nią za kluczowe dla jej szczęścia i dobrego samopoczucia, których to życzeń i kwestii pozwany nie uważał za nierozsądne w chwili, gdy składał wspomniane wyżej zapewnienie.

Posłałem adwokata po syna. Adwokat, który nazywał się Tucker, otrzymał dokładne instrukcje.

- Mąż pozwoli pani zatrzymać córkę - oznajmił Tucker Etnie, która wyszła porozmawiać z nim do holu w domu Josipa Keepa. - Chce jednak odzyskać syna. Jeżeli nie wyrazi pani zgody, odbierze pani oboje dzieci. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie będzie miał z tym większych problemów.

- Jakie okoliczności? - zapytała Etna.

- Prawo uznaje, że matka, która dopuściła się niemoralnego czynu, wywiera zły wpływ na charakter syna.

- Ale nie córki?

- Sąd niechętnie pozbawia córkę opieki matki - wyjaśnił Tucker.

- To absurdalne - powiedziała Etna.

- Nic na to nie poradzę.

- O jaki niemoralny czyn chodzi?

- Przebywanie w utrzymywanym w sekrecie miejscu, z potencjalnie niemoralnych powodów - rzekł Tucker, traktując Etnę najświeższą porcją prawniczego bełkotu.

Potem stał i czekał. Nie zamierzał opuszczać domu Keepów bez Nicky'ego.

Etna, po konsultacji ze swoim adwokatem, niechętnie zgodziła się na oddanie chłopca.

Teraz po prostu musiała wrócić do Thrupp, czyli zrobić to, na czym mi zależało. Skoro ja miałem mieć naszego syna, Etna czuła, że musi być blisko niego. Zamieszkała w tamtym domu.

Ja miałem chłopca, a ona Clare, która spała z matką w wąskim łóżku w sypialni na poddaszu. Clara podjęła naukę w Akademii dla Dziewcząt, ja zaś zapisałem Nicky'ego do miejscowej szkoły podstawowej. W czasie weekendów nasza pokojówka, Abigail, pełniła funkcję kuriera, zabierając Clare do domu i odprowadzając Nicky'ego na niedzielny obiad do matki.

Dzień w dzień obserwowałem Etnę i Clarę przez okno, ze skupieniem wpatrując się w ten niekończący się, ruchomy obraz skromnego gospodarstwa domowego. Jeździłem tam w nocy, żeby żadna z nich nie ujrzała księżycą mojej twarzy za szybą. Nauczyłem się skradać i śledzić, i okazało się, że ten podły „zawód” jest moim powołaniem w większym stopniu niż prowadzenie zajęć z literatury i retoryki.

Zostawiałem Nicky'ego w łóżku, Nicky'ego, w którego twarzy codziennie szukałem śladów podobieństwa do mnie i holenderskich przodków,

Nicky'ego, który co wieczór pytał

0 matkę. Jechałem do Drury, gdzie znalazłem polanę idealnie nadającą się na miejsce do parkowania czarnego forda, potem pieszo pokonywałem pół kilometra do domu Etny i stawałem pod oknem w taki sposób, żeby żona i córka nie zobaczyły mnie w świetle padającym z białego

żyrandola, zupełnie niepasującego do skromnego wnętrza. Przyglądałem się promiennej cerze Clary, jej jasnym brwiom i jasnoniebieskim oczom, które przywodziły mi na myśl moje siostry. W przeciwieństwie do swojej matki, która mimo ciemnych oczu

1 włosów stawała się coraz bardziej przezroczysta, Clara była okazem zdrowia i kwitnącej holenderskiej piękności.

Etna, jako kochająca matka, szcztokowała włosy córki, nieświadoma, że ktoś ją obserwuje. Jej twarz była spokojna, lecz bardzo blada i chociaż często nachylała się nad Clarą, aby powiedzieć coś dziewczynce, wyraźnie widziałem napiętą skórę na jej wysokich kościach policzkowych, niepokój w topazowych oczach i wyryte zmartwieniem bruzdy po obu stronach ust.

Potrafiłem stać tak całymi godzinami i przyglądać się, jak Clara uczy się, a Etna szyje. Etna zmywała teraz naczynia, zupełnie jak służąca.

Wydawało się, że nie ma nic przeciwko tym zajęciom, z których część była naprawdę zniechęcająca - wylewanie kubłów z brudami, pranie i prasowanie bielizny, zamarzającej na sznurze za domem, sprzątanie domu i małego korytarzyka. Clara, którą czasami prosiła o pomoc, protestowała jak rozpuszczone dziewczuszyko i wtedy miałem wielką ochotę wejść do środka i porządnie ją złajać, zdarzało się jednak także, że siłą powstrzymałem się, by nie wpaść do domu i nie przytulić dziecka, które rosło beze mnie.

Stojąc w ciemności i obserwując żonę, rozważałem kwestię przodków Etny ze strony matki. Mężczyzna, który zapłodnił służącą i pozostawił ją jej własnemu losowi, mógł być przecież kimkolwiek, mówiłem sobie. Może Żydem, chociaż znacznie bardziej prawdopodobne było, że czynu tego dopuścił się zwykły Jankes o przykuwających wzrok rysach. Musiałem jednak przyjąć, że mógł to być także Turek, Rosjanin, Hindus lub Indianin. Co noc przyglądałem się kościom policzkowym i oczom mojej żony, i zadawałem sobie pytanie: Czy ma w żyłach krew grecką? A może włoską lub cygańską?

Zastanawiałem się także nad rolą losu i okoliczności. Gdyby nie pożar, najpewniej nigdy nie poznałbym Etny Bliss. Czy teraz żałowałem, że tamtych kilka kropli oleju skapnęło na rozgrzaną kuchnię? Czy to możliwe, że tamtego wieczoru spokojnie zjadłbym swoją gotowaną na parze solę i w ogóle nie zauważył siedzącej za mną młodej kobiety w jedwabnej sukni barwy topazu, unikając w ten sposób radości i cierpień następnych piętnastu lat, a dwa miesiące później poznać córkę antykwariusza z Thrupp (na przykład) i poślubić ją pół roku później? Czy mogłem tak po prostu nigdy nie ujrzeć Etny Bliss, ale trzy dni po pożarze zwrócić uwagę na wysiadającą z powozu kobietę, odnaleźć ją i zaręczyć się? A może jakiś czas później, na przyjęciu zorganizowanym dla wykładowców college'u, poznać żonę kolegi i... (Nie, nigdy. Nie dokończę tego zdania, bo nigdy nie upadłbym aż tak nisko). Więc może dwadzieścia lat później, po długim okresie życia w kawalerskim stanie, ktoś przedstawiłby mnie pewnej wdowie, którą zainteresowałaby moja pozycja i wiedza, nie wspominając o skromnej fortunie? Co jednak, gdyby spotkał mnie los znacznie gorszy niż ten, który przypadł mi w udziale? Możliwe przecież, że miesiąc później poślubiłbym córkę lekarza, ona urodziłaby mi dziecko, które by zmarło w wyniku niestarannej opieki matki... Zdarzają się historie bardziej poruszające od mojej, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, trzeba jednak przyznać, że wpływ zbiegu okoliczności na los człowieka jest naprawdę duży, prawda?

Wieczorne wyprawy pod dom Etny stały się dla mnie rutyną. Mniej więcej po godzinie obserwacji zwykle szedłem

do lasu i posiłałem się odrobiną chleba z serem oraz kilkoma łykami whisky. Prawdę mówiąc, w tamtym czasie piłem dość dużo i czasami miałem problemy z odprowadzeniem forda do garażu we wczesnych godzinach rannych. Później odsypiałem noc i często spóźniałem się na zajęcia lub wcale na nie nie przychodziłem. Moi koledzy, zmartwieni, zaniepokojeni, a potem rozdrażnieni, unikali spotkań ze mną, lecz wcale mi to nie przeszkadzało. Pragnąłem jedynie ciszy, spokoju i anonimowości, a to było praktycznie nieosiągalne w szkole pełnej przeciętnych i hałaśliwych młodych ludzi. Latem złożę wymówienie, powtarzałem sobie ze słodką ulgą.

Tylko raz w ciągu całego okresu, gdy obserwowałem Etnę, o mało nie zostałem przyłapany. Poszedłem do lasu za potrzebą i najwyraźniej musiałem wydać jakiś odgłos, bo kiedy wróciłem pod dom, ujrzałem Etnę stojącą w oknie i patrzącą wprost na mnie. Przekrzywiła głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, ale nie dostrzegła mnie. Odeszła od okna i chwilę później usłyszałem, jak otwiera drzwi. Stała na progu, drżąca w narzuconym na ramiona szalu, i uważnie rozejrzała się po przysypanym marcowym śniegiem podwórku.

- Kto tam? - zawołała, mrużąc oczy.

Ukryłem się za drzewem i stamtąd wpatrywałem się w jej twarz.

Pragnąłem odezwać się do niej i myślałem, jak to się stało, że ja, Nicholas Van Tassel, chowam się za drzewem w lesie przed jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem.

Rutyna przerodziła się w obsesję. (Czym właściwie jest obsesja? Mój mocno podniszczony słownik mówi, że jest to stan całkowitego skupienia na określonej idei lub uczuciu, którego w gruncie rzeczy nie chcemy, przy czym koncentracji tej często towarzyszą objawy poważnego rozstroju nerwowo-emocjonalnego. Słowo to pochodzi oczywiście od łacińskiego *obsidere* (imiesłów przymiotnikowy: *obessus*), co znaczy „usiąść przed czymś”. Cóż, ja nie siedziałem, ale z pewnością stałem). Czasami, całkowicie wyczerpany, zapadałem w drzemkę i budziłem się dopiero wtedy, kiedy moje czoło otarło się o tynk. Ten stan trwał dość długo i mógłby trwać w nieskończoność,

gdybym pewnej nocy na początku maja, zbliżywszy się do domu Etny, nie zobaczył zaparkowanego obok jej wozu forda, tyle że nie mojego. Po raz pierwszy od wielu tygodni otrzeźwiałem nagle i usłyszałem mocne, nierówne bicie własnego serca, którego dźwięk sprawił, że z zaniepokojeniem położyłem rękę na piersi. Cicho zająłem swoje ulubione stanowisko (przy oknie, obok którego po przeciwnej stronie muru stał wiklinowy fotel) i zajrzałem do środka. Z całej siły przycisnąłem do piersi zaciśniętą w pięść dłoń.

Phillip Asher siedział przy małym stoliku, z jedną ręką przerzuconą przez oparcie drewnianego krzesła, a drugą wyciągniętą po filiżankę z herbatą. Nogi miał swobodnie skrzyżowane i sprawiał wrażenie całkowicie rozluźnionego, zupełnie jakby bywał w tym domu już wcześniej. Clara siedziała w kącie, nie zwracając na niego uwagi, zajęta czytaniem nut z rozłożonego na wysokiej podstawce zeszytu i przetwarzaniem ich na dźwięki fletu. Słyszałem je, chociaż oczywiście bardzo słabo, podobnie jak fragmenty rozmowy, które tylko czasami docierały do mnie przez mur. Etna szła coś na kanapie, zachowując się tak, jakby Phillip Asher był jej bratem lub kuzynem, który wpadł na chwilę, aby przywitać się i dowiedzieć, co słytać. Spojrzałem w kierunku zlewu i zobaczyłem, że stoją tam jeszcze nieumyte po posiłku naczynia. Usiłowałem policzyć talerze i sztućce, ponieważ chciałem wiedzieć, czy Asher zjadł kolację z moją córką i żoną.

Czy Etna mnie okłamała? Czy ona i Phillip Asher przez cały czas byli kochankami? (W ciągu dnia oczywiście nie mogłem obserwować, co dzieje się u Etny). Czy spędził u niej całe popołudnie, korzystając z nieobecności Clary, która wracała ze szkoły dopiero koło piątej, i został dłużej niż zwykle, czerpiąc przyjemność z miłego towarzystwa niezwyklej kobiety i jej dziecka? Nagle nawiedziła mnie naprawdę straszna myśl: czy możliwe, że ja sam, poprzez swoje głupie postępowanie, doprowadziłem do zbliżenia mojej żony i Ashera? Tak, pomyślałem, to bardzo prawdopodobne. Asher, jako dziekan wydziału, pod pretekstem niepokoju o mnie, na pewno przyjechał do Etny, żeby porozmawiać z nią o mnie.



Tej nocy zdobyłem się na niezwykle opanowanie, ponieważ niczego nie pragnąłem bardziej, niż wpaść do pokoju, wywlec stamtąd Ashera i rzucić go na ziemię. Jak śmiał siedzieć tak blisko mojej córki! Jak śmiał wkradać się w łaski mojej rodziny!

Asher napił się herbaty, która musiała już wystygnąć - obserwowałem tę domową scenę prawie pół godziny. Clara odłożyła flet i zwróciła się do matki z jakimś pytaniem. Po pełnym troski i zdecydowanym ruchu głowy Etny poznałem, że nie chce się zgodzić, aby córka już zakończyła ćwiczenia. Clara ze zbolałym wyrazem twarzy znowu zabrała się do pracy i usłyszałem fałszywe nuty, które niechętnie wydobywała z instrumentu. Widziałem, jak moja córka wyciąga przed siebie nogi, zapominając o manierach, i jak ten ruch natychmiast przyciąga czujne spojrzenie matki. Asher pochylił się do przodu, kontynuując rozmowę z moją żoną. (*Moją* żoną). Oparł łokcie na kolanach i wyglądał na nieprzystojnie zrelaksowanego, ogólnie rzecz biorąc. Zacząłem się obawiać, że może kłęby pary, które pojawiały się w powietrzu przy każdym oddechu, jaki z wściekłością wyrzucałem z płuc, staną się widoczne w ciemności.

Aby się uspokoić, odwróciłem wzrok. Podniosłem oczy ku wierzchołkom wysokich sosen i usianemu gwiazdami majowemu niebu, zastanawiając się, dlaczego bogowie tak źle mnie traktują. Nigdy dotąd nie czułem tak gwałtownej złości. Ten człowiek zabrał mi stanowisko, a teraz próbuje ukraść żonę...

Znowu spojrzałem w okno i dokładnie w tej samej chwili Asher i Etna równocześnie podnieśli się ze swoich miejsc.

Setki razy oglądałem tę scenę, wciąż przywołując ją z pamięci, i wydaje mi się, że początkowo ich ruchy były dziełem zbiegu okoliczności. Może Etna zamierzała podejść do Clary, może Asher chciał się tylko przeciągnąć. Jak w zwolnionym tempie, z lekkimi uśmiechami na ustach, niesieni siłą rozpędu, zrobili dwa kroki, a potem trzeci, przy którym spotkali się pod białym żyrandolem, tym ekstrawaganckim okropieństwem. Ich ręce uniosły się - jej prawa, jego lewa - i szybko, delikatnie, splotły się ze sobą; przypominało to sytuację, kiedy dwie osoby równocześnie wypowiadają ten sam zwrot i uśmiechają się do siebie z rozbawieniem.

To mógłbym jeszcze znieść. Mógłbym znieść widok tych splecionych rąk i po pewnym czasie wyrzucić go z pamięci, zwłaszcza że wszystko to trwało sekundę, najwyżej dwie, ale w tym czasie dostrzegłem coś jeszcze, coś, co towarzyszy mi do dziś i czego obraz w mojej pamięci rysuje się wyraźniej niż twarze moich dzieci. Był to wyraz twarzy Etny, która w tamtej sekundzie... Jak to określić? Otóż w tamtej sekundzie twarz Etny promieniała radością, przemknął przez nią wyraz ekstatycznego szczęścia, wymagający udziału całego ciała. W przeszłości widziałem ją taką tylko raz - w tamto zimowe popołudnie w rozpędzonych saniach, ciągniętych przez ponoszące konie; sięgnęła wtedy po moją dłoń, a ja zeszywniałem z radości.

Asher i Etna zachwiali się lekko, potem oboje parsknęli śmiechem. Z rogu pokoju czujnymi, poważnymi oczami obserwowała ich Clara. Moje własne oczy zaczęły mnie szczypać ze złości. Zapragnąłem wyrwać córkę z tego pokoju, z tej nieznośnej sceny.

Następnego dnia rano wysłałem krótki list do Etny. Zawiadomiłem ją, że późnym popołudniem wstąpię po Clare, zabiorę ją na kolację, potem na noc do domu, a rano odwiozę do szkoły. Etna miała spakować do walizki Clary czysty mundurek i koszulę nocną. Napisałem, że przyjadę o piątej i zatrzymam samochód na podjeździe i tam zaczekam. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciała przygotować Clare do wyjścia, z wyrazami serdeczności i tak dalej, i tak dalej.

Wsiadając do auta, Clara była nieco zaniepokojona i pełna buntu - zaniepokojona nagłą zmianą w ustalonym porządku tygodnia, pełna buntu, ponieważ winiła mnie za rozpad rodziny. Nie broniłem się przed nią. Była jeszcze dzieckiem, osobą zbyt młodą, aby zrozumieć cierpienia nieodwzajemnionej miłości.

Zaparkowałem na końcu Wheelock Street i pod rękę poszliśmy w kierunku dziedzińca college'u. Rozmawialiśmy o lekcjach Clary, szczególnie o muzyce, a czasami, jako że moja córka była już dorastającą panienką, o czymś wykraczającym poza codzienność, na przykład o jej pragnieniu, aby zwiedzić

park Yosemite, o którym dużo słyszała od swojej najlepszej przyjaciółki, Rosemary. Dotarliśmy do hotelu, gdzie mieliśmy zjeść posiłek zakończony filiżanką gorącej czekolady. Clara stopniowo odtajała i przypomniała sobie miłość, jaką darzyła swego ojca. W ciągu tych kilku godzin byliśmy po prostu ojcem i córką, którzy razem wybrali się do restauracji. Oboje marzyliśmy o tym, by wrócić do domu przy Holyoke Street i zastać tam kąpiącą Nicky'ego Etnę, i żeby życie potoczyło się jak dawniej.

Była to cudowna myśl, lecz ja miałem głowę zajętą ważnym planem. Podczas rozmowy trzykrotnie wspomniałem o Phillipie Asherze.

(Dziękując Phillipie Asherze, powiedziałem, gdyż nie byłem pewny, jak mówiła o nim Etna w obecności Clary). Wreszcie, kiedy nie mogłem już znieść jej milczenia czy raczej niechęci do poruszania tego tematu, naturalnym tonem zapytałem, czy miała okazję go poznać. Clara, po chwili wahania, przytaknęła. Ja, widząc, że rumieniec oblewa mi policzki, starałem się panować nad językiem, nie chciałem bowiem zbyt wcześnie ujawnić swoich zamiarów.

- Gdzie go poznałaś? - zapytałem po paru sekundach, starając się stworzyć wrażenie, że prawie zapomniałem, o czym mówiliśmy.

Clara z pewnym oporem odpowiedziała, że profesor Asher jest dobrym znajomym matki i czasami do nich przyjeżdża. Najwyraźniej nie miała ochoty na rozmowę na ten temat, chyba nawet uważała, że jest w niej coś niewłaściwego (ona również widziała splecione dłonie pod żyrandolem), ponieważ niespodziewanie zaczęła płakać.

- Nie chciałem ci sprawić przykrości, kochanie - powiedziałem.

- Dlaczego ty i mama robicie mi coś takiego?! - zaszlochała jak dziecko, czyli głośno i rozpaczliwie.

- Żadne z nas nie chce cię skrzywdzić - odparłem. - Po prostu w tej chwili wolimy mieszkać osobno.

- Nieprawda! - zawołała, dowodząc, że jest bystrą obserwatorką. - To mama woli mieszkać osobno! Wiem, że ty chcesz, żebyśmy wróciły do domu!

- Tak - oświadczyłem. - Bardzo tego chcę.
- Więc dlaczego posłałeś po Nicky'ego, nie po mnie?! -krzyknęła.
- Wiedziałem, że właśnie to jest główną przyczyną żalu, jaki do mnie czuła.
- Nicky jest młodszy... - odrzekłem, szukając w myśli lepszej odpowiedzi.
- Kochasz go bardziej niż mnie! - rzuciła oskarży-cielsko.
- Nie, kochanie, to nieprawda - powiedziałem szczerze. - Kocham was oboje tak samo.

Sięgnąłem ponad stołem po jej dłoń, nie mogąc zdobyć się na to, aby przytulić ją w publicznym miejscu. Mój dotyk trochę ją uspokoił, więc uwolniłem jej rękę dopiero po dłuższej chwili. W tej samej chwili wchodzący do sali jadalnej mężczyzna - nigdy wcześniej go nie widziałem i sędzę, że po prostu szukał wolnego stolika - przeszedł obok nas i spojrzał na Clare.

Było to subtelne, przelotne spojrzenie, lecz kiedy znowu skupiłem wzrok na Clarze, ujrzałem to, co zwróciło jego uwagę. Pełne, jasnoróżowe wargi. Pączkujące piersi, delikatnie rysujące się pod żakietem mundurka. Wąska talia i smukłe kostki nóg. Po raz pierwszy popatrzyłem na córkę tak, jak w następnych latach mieli czynić to inni mężczyźni, i do głębi mnie to poruszyło.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz, ojczy? - zapytała, wydmuchując nos w moją chusteczkę.

Z trudem zmusiłem się do odwrócenia oczu. Zerknąłem na tamtego mężczyznę, który usiadł gdzieś dalej, zupełnie nieświadomy, że jednym spojrzeniem doprowadził do narodzin nowego planu w mojej głowie.

- Chyba właśnie wpadłem na pomysł, jak sprowadzić twoją mamę do domu, kochanie - powiedziałem.

Moja córka patrzyła na mnie wielkimi jak spodki, błyszczącymi od łez oczami.

Rano wysłałem trzy listy - jeden do mojej żony, drugi do rektora college'u i trzeci do szefa policji w Thrupp.

„Moja córka, Clara, zwróciła moją uwagę na coś bardzo niepokojącego”, napisałem.

Kołysanie pociągu wprawia mnie w senność. Kołysanie i upał. Podobno przekroczyliśmy już granicę Florydy - nietrudno mi w to uwierzyć, ponieważ w przedziale jest potwornie duszno, mimo do połowy otwartego okna (niżej nie da się go opuścić, chyba dlatego, żeby nikt nie wyskoczył). Rano zatrzymaliśmy się w Yemassee, gdzie wszyscy z zainteresowaniem patrzyli, jak Murzyni na ramionach znoszą wielkie kiście bananów do stojącego na sąsiednim torze pociągu towarowego. W straszliwym upale tragarze wyglądali na zupełnie wyczerpanych i zrezygnowanych.

W całym pociągu mężczyźni rozbierają się jak chłopcy przed kąpielą w nagrzanym słońcem bajorku. Najpierw zdejmują marynarkę, potem rozluźniają krawat, rozpinają i podwijają mankiety koszuli. Widziałem nawet mężczyznę ze zwisającymi luźno szelkami. Niektórzy pozbywają się nie tylko ubrania, ale i dobrych manier - wiele osób sprawia dziś wrażenie rozdrażnionych i zniecierpliwionych. Ktoś warknął na kelnera, bo przyniósł drinka bez lodu (okazało się, że lód rozpuścił się w Georgii). Próbowałem drzemać, ale szybko się obudziłem, maska do zasłaniania oczu była mokra od potu i łez.

Czy moja córka przyjdzie na pogrzeb, wiedząc, że ja tam będę? To pytanie dręczy mnie od samego początku podróży. A jeżeli przyjdzie, to czy odezwie się do mnie? Gdyby chodziło o jakąkolwiek inną okazję, powiedziałbym, że nie, bo przecież w ciągu osiemnastu lat, które spędziła razem z ciotką, nie odezwała się do mnie ani nie napisała ani razu, lecz serce to tajemniczy organ, prawda? Kto wie, może Clara jednak mi wybaczyła...

Jak to możliwe, że życie toczy się dalej, chociaż tyle osób zostało skrzywdzonych?

Została mi już do opowiedzenia tylko jedna, ostatnia część mojej historii, i dobrze się składa, bo wkrótce znajdziemy się w West Palm Beach. Podróż trwała dłużej, niż się spodziewałem (całe trzy dni, z powodu wykolejenia pociągu w pobliżu New Haven i ataku niestrawności w Richmond - w normalnych warunkach nie powinna zająć więcej niż trzydzieści godzin) i dopiero wczoraj uświadomiłem sobie, że dobrze będzie, jeżeli w ogóle zdążę na pogrzeb, który i tak został już przełożony zgodnie z wyrażonym przed śmiercią życzeniem mojej siostry, abym i ja mógł uczestniczyć w jej ostatniej drodze. Kiedy dostałem telegram z tą wiadomością od Berthe, jednej z moich sióstr, ogarnęło mnie głębokie wzruszenie i natychmiast zająłem się organizowaniem podróży. Ucieszyło mnie, że Meritable do końca darzyła mnie serdecznym uczuciem, mimo wielkiego przywiązania do Clary. Niewykluczone, że moja zmarła siostra jeszcze w ostatnich chwilach życia myślała o tym, w jaki sposób zbliżyć do siebie skłóconych ojca i córkę, i doprowadzić do zasypania dzielącej ich przepaści. Dziś rano miałem wielką ochotę pójść po śniadaniu do wagonu bibliotecznego i przejrzeć gazety, czuję bowiem, że zamknięcie w metalowym kokonie skutecznie pozbawiło mnie kontaktu ze światem zewnętrznym. Odkąd trzy dni temu wsiadłem do pociągu w White River Junction, prawie bez przerwy zajęty jestem pisaniem; w tym stosunkowo niedługim czasie odbyłem podróż przez sześćdziesiąt cztery lata swojej osobistej historii.

Muszę powiedzieć, że pomysł spisania wspomnień okazał się ryzykowny, bardziej niebezpieczny, niż sobie wyobrażałem.

Kiedy tylko Etna otrzymała list - ten sam, który wysłałem do Franka Goodspeeda, rektora college'u, oraz do Merrilla Gatesa, szefa policji - natychmiast przyjechała do domu.

Etna, Clara i ja spotkaliśmy się w salonie. Etna nie chciała usiąść, chociaż wielokrotnie ją do tego zachęcałem. Stała wyprostowana, z listem w ręku, zupełnie jakby ścisnęła go tak przez całą drogę z Drury. Moje serce zadrżało z radości, gdy ujrzałem podjeżdżające pod dom zielono-żółte auto (czas przyjazdu Etny wyliczyłem z dokładnością do kwadransa).

- Czy to prawda? - zwróciła się do zaleknionej Clary, która, zgodnie z ułożonym razem ze mną planem, prosto ze szkoły wróciła do domu na Holyoke Street.

Clara, której jedynym pragnieniem było ponowne połączenie rodziny, odpowiedziała twierdząco. Tak, pan Asher naprawdę ją dotknął.

- W jaki sposób? - zapytała Etna.

Jej głos i wyraz twarzy były tak ostre jak ciernie.

Uważnie obserwowałem córkę, stojącą przed najtrudniejszym egzaminem. Długą chwilę wszyscy troje staliśmy w milczeniu, słysząc tylko swoje oddechy (Nicky znajdował się pod opieką Abigail). Clara powoli dotknęła swojej piersi, musnęła ją z boku trzema palcami, gestem prawie obscenicznym w zestawieniu z białą bluzeczką szkolnego mundurka. W tym ruchu kryły się nie tylko zapierające dech w piersiach implikacje, ale i coś więcej - przejmujący był widok młodej dziewczyny, która zapewne nigdy wcześniej nie dotykała się w ten sposób, robiącej to teraz, na oczach dwojga ludzi, cóż z tego, że rodziców... Twarz Etny zamarła w twardym, a jednocześnie bezradnym wyrazie, ja wstrzymałem oddech. Etna nieświadomie powtórzyła gest córki, jakby pragnęła (lub musiała) przeżyć to samo, co ona.

Clara się zaczerwieniła. Nie wątpię, że pragnęła zawołać: „Ale cię nabrałam!”, jak podczas dziecięcej zabawy, lecz ona także zamarła, uwięziona w roli aktorki, wypowiedziawszy słowa, o których trudno było myśleć, i wykonawszy ten szczególny gest. Wiedziała, że jeżeli teraz się podda, straci wszystko.

- Kiedy cię dotknął? - zapytała Etna cichym, ledwo słyszalnym głosem. Zdjęła kapelusz i pozwoliła mu upaść na podłogę. Odpowiedź wymagała pewnej innowacji ze strony Clary.

- Po szkole - oświadczyła. - Kiedy ty pojechałaś na targ...

- Jeden raz?

- Trzy razy - odparła Clara, pieczętując los Phillipa Ashera liczbą wybraną ze względu na jej potępiającą wartość i mimo wszystko niewielką wiarygodność.

- Trzy razy... - powtórzyła Etna, jakby starała się dobrze zrozumieć słowa córki. - Kiedy wydarzyły się pozostałe dwa?

Clara, wstrząśnięta przerażeniem matki, odczytując w twarzy Etny to, co kryło się w jej własnym sercu, zasłoniła oczy rękoma. Zupełnie czym innym było wymyślenie krótkiego dialogu i scenki do odegrania, a czym innym widok niedowierzania i bólu na twarzy najbliższej osoby.

Ale Etna, surowa i mądra matka, odsunęła ręce Clary na bok.

- Spójrz na mnie - powiedziała rozkazująco. - Patrz mi w oczy. Kiedy to było?

- Drugi raz tamtego dnia, kiedy późno wróciłaś z Baker House - odparła Clara drżącym głosem, wypowiadając swoją ostatnią kwestię. - A trzeci, kiedy wyszłaś do ogrodu...

Jakzwykle chwili konfrontacji z niepokojącym, trudnym do zrozumienia faktem, Etna zamarła w bezruchu. Clara i ja, świadkowie tej sceny, mogliśmy tylko czekać. Etna z jednej strony pragnęła wziąć swoje dziecko w ramiona i utulić



jego ból, lecz z drugiej nie mogła podjąć decyzji, ponieważ instynkt matki wychwycił fałszywą nutę w wyznaniu Clary.

Oparła dłoń na swoim płaskim brzuchu i odwróciła się do nas plecami. Clara zaczęła szlochać, sięgając po środki z repertuaru marnej aktorki, która musi zalać się łzami, żeby przekonać publiczność. Etna, błędnie odczytując płacz Clary (zgodnie z intencją tej ostatniej), odwróciła się, wzięła córkę w ramiona i przytuliła ją do piersi.

- Ciiii... - szepnęła. - Uspokój się, kochanie... Patrzyłem na to z mimowolnym przerażeniem.

- Claro, muszę ci zadać pewne pytanie... - odezwała się Etna. - Czy jesteś tego całkowicie pewna? Nie masz żadnych wątpliwości? To bardzo poważne oskarżenie.

Clara podniosła głowę i kiwnęła nią, ja zaś w milczeniu pogratulowałem jej braku wahania.

- Mój Boże... - powiedziała Etna.

Zachwiała się i na ułamek sekundy zamknęła oczy. Zrobiłem krok w jej stronę, pewny, że zaraz zemdleje i osunie się na podłogę, pociągając z sobą córkę.

- To było takie straszne... - wyjęczała Clara. - Och, mamó, nie zostawiaj mnie, proszę... - zaszlochała, nie wypuszczając Etny z uścisku.

(Ostrożnie, Claro, pomyślałem).

Jednak żadna matka nie mogłaby oprzeć się takiemu błaganiu.

- Nie zostawię cię - odrzekła Etna, starając się uspokoić córkę. - Ciii... No, już...

Wydawało mi się, że ulga, jaką poczułem, jest prawie namacalna, fizyczna.

- Nie wolno ci nikomu o tym mówić - powiedziała Etna do Clary.

Odchrząknąłem i wygłosiłem swoją jedyną (ale naprawdę przerażającą) kwestię.

- Władze college'u zostały już poinformowane, policja także - oznajmiłem.

Etna wyglądała tak, jakby ktoś ją spoliczkował.

- Powiadomiłeś szkołę? - zapytała szeptem, nie mogąc wydobyć normalnego głosu.

- Oczywiście - odparłem. - Ktoś taki nie powinien zajmować odpowiedzialnego stanowiska. Trzeba będzie wystąpić przeciwko niemu z formalnym oskarżeniem.

(List do rektora i szefa policji zakończyłem stwierdzeniem, że postępowanie Phillipa Ashera uważam za szczególnie naganne w świetle jego żydowskiego pochodzenia. O tak, doskonale wiedziałem, do kogo piszę i do jakich uczuć się odwołuję...).

- Dobry Boże... - szepnęła Etna.

Nie śmiałem spojrzeć na Clare, moją współpracowniczkę, nękany obawą, że zobaczę na jej twarzy wyraz triumfu, który naraziłby na szwank całe przedsięwzięcie. Odwróciłem się, wstrząśnięty, lecz pełen radosnego uniesienia. Zgarnąłem całą pulę, czyż nie? Moja żona wróci do domu, rodzina pozostanie nienaruszona, Phillip Asher zostanie usunięty ze stanowiska, a jego reputacja legnie w gruzach.

Nicky, który czekał w holu, wyrwał się z ramion Abigail, wpadł do salonu i przywarł do spódnicy matki. On także zaczął błagać.

- Nie odjeżdżaj, nie odjeżdżaj! - powtarzał, a ja w myśli dołączyłem swoje prośby do jego głosu.

Etna miała już nie wracać do tamtego domu, oświadczyłem, przejmując kontrolę nad sytuacją, która po prostu wymagała zdecydowania. Abigail pojedzie taksówką i przywiezie wszystko, co może być Etnie potrzebne, a ja zajmę się wystawieniem budynku i terenu na sprzedaż. Etna, pogrążona w stanie całkowitego osłupienia, niezdolna myśleć, nie protestowała.

Wydawało mi się, że nie chce więcej widzieć tamtego domu, podobnie jak nie ma ochoty pokazywać się w Thrupp. Powiedziałem sobie, że z czasem jej wstyd zniknie i kiedyś znowu staniemy się normalną rodziną. Jeśli chodzi o Phillipa Ashera, to tego samego dnia po południu w jego gabinecie zjawili się szef policji Gates oraz

rektor Goodspeed i przedstawili mu oskarżenie. Podobno Asher się roześmiał, kiedy pierwszy raz usłyszał postawiony mu zarzut, pewny, że jest to wymysł pokonanego i zgorzkniałego rywala, który łatwo będzie odeprzeć, gdy jednak usłyszał, że oskarżenie wyszło nie ode mnie, lecz od Clary, zbladł jak ściana, co wystarczyło, by przekonać Goodspeeda o jego winie.

Asher natychmiast napisał do Etny, przysięgając, że imputowane mu zachowanie nie miało miejsca, że może Clara źle zrozumiała całkowicie niewinny gest, chociaż nie przypomina sobie, aby kiedykolwiek znalazł się tak blisko niej. Nigdy nie zrobiłby czegoś takiego, nigdy. Czy może zobaczyć się z Etną? Czy mógłby z nią porozmawiać?

Przejąłem ten list, bo cóż innego mógłby zrobić kochający mąż, chociaż okazałem się na tyle wielkoduszny, że dałem Etnie do przeczytania. Bez słowa odłożyła go na bok. Komu ma wierzyć dobra matka - własnemu dziecku czy niedoszłemu kochankowi?

(Nie miałem teraz bowiem cienia wątpliwości, że Phillip Asher i Etna wkrótce zostaliby kochankami. W żaden inny sposób nie mogłem odczytać wyrazu czystej radości na twarzy Etny w tamtej niezwyklej chwili pod białym żyrandolem. W późniejszych latach, dręczony wizjami, które czasami atakują człowieka o nieczystym sumieniu, czerpałem pewną pociechę z faktu, że zapobiegłem przynajmniej skonsumowaniu tego związku).

Asherowi powiedziano, że może domagać się od Clary oskarżenia na piśmie, może też wystąpić na drogę sądową, ja jednak postawiłem na dobrego konia - czułem, że okaże się człowiekiem honoru i nie dopuści, aby dziecko publicznie zeznawało w jego sprawie. Odgadłem też, że nie zgodzi się, by kobieta, którą darzył wielkim szacunkiem, a możliwe, że nawet miłością, została po raz drugi upokorzona przez członka rodziny Asherów. Po tygodniu, w czasie którego kilka razy daremnie próbowałem skomunikować się z Etną telefonicznie, listownie i osobiście (poleciałem Abigail odprawić go chłodno i bez zbędnych uprzejmości), Asher złożył rezy-

gnację ze stanowiska dziekana i opuścił dom przy Gili Street. Bez procesu wykładowca z Yale nie miał w Thrupp żadnej przyszłości, ponieważ nigdy nie mógłby odeprzeć hańbiącego oskarżenia.

Do końca czerwca, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i zadowoleniu, obecność Phillipa Ashera została w cudowny sposób zapomniana. Nikt nie wspominał o nim w publicznych rozmowach i można było odnieść wrażenie, że w ogóle nie istniał. Wszyscy rozumieli, że najmniejszy nawet cień skandalu byłby katastrofalny dla szkoły, która bardzo potrzebowała nowych studentów, czyli, co za tym idzie - regularnych wpływów z chesnego.

Temat rozwodu został oczywiście zarzucony. („Życzę sobie, aby prawne deliberacje zakończyły się w spokojnej i przyjaznej aurze”, napisałem do adwokatów). Dom w Drury wystawiłem na sprzedaż. Zażądałem wysokiej ceny, pragnąc uzyskać rekompensatę za szkody, jakie poniosła moja rodzina. Tydzień po wyjeździe Phillipa Ashera wezwał mnie do siebie Frank Goodspeed, rektor college'u, ten sam, który powiadomił pobladłego byłego dziekana o wytoczonym przeciwko niemu oskarżeniu i zapytał, czy zechcę przyjąć zwolnione stanowisko. Pomiął milczeniem oczywistą prawdę, że składa mi tę propozycję z braku lepszego kandydata, w sytuacji, gdy nikt nie miał serca do rozpisania nowych wyborów.

Tak, odparłem z całą godnością, na jaką mogłem się zdobyć. Tak, z radością pomogę szkole wybrnąć z tego kłopotu.

- Dziękuję - powiedział Goodspeed z wyraźną ulgą. -Przygotuję pisemne oświadczenie.

Żadnych fanfar dla Nicholasa Van Tassela...

- Jak czuje się pańska małżonka? - zagadnął Goodspeed, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o Etnie.

- Dobrze - odrzekłem. - Powoli wraca do równowagi.

- Zrobiliśmy wszystko, aby wyciszyć ten incydent. - Goodspeed pokiwał głową. - Jestem jednak pewny, że nie jest państwu łatwo...

- To prawda.
- A jak ma się państwa córka?
- Stara się zapomnieć o tej sprawie.
- Młodzi ludzie są bardzo odporni - rzekł Goodspeed.

Jednak Clara wcale nie była taka odporna, jak miałem nadzieję. W następnych dniach po powrocie Etny moja córka okazywała sztuczną wesołość na zmianę z prawdziwym przygnębieniem, zupełnie jakby nagle z rozczarowaniem odkryła, że nie jest tą osobą, za którą się uważała. Nigdy nie rozmawialiśmy o dramacie, który wspólnie napisaliśmy i odegraliśmy, bo obojgu nam w równym stopniu zależało, żeby o nim zapomnieć. Tak czy inaczej, zauważyłem, że Clara zachowywała się bardziej niespokojnie niż zwykle, a wszelkie wysiłki, aby poprawić jej nastrój, spełzały na niczym. Wcześniej bezustannie się domagała, byśmy pozwolili jej odwiedzić którąś z koleżanek, natomiast teraz wychodziła z domu wyłącznie na zajęcia. Zakończyła rok szkolny z marnymi wynikami - w ostatnim miesiącu nauki jej stopnie wyraźnie się pogorszyły. Wiedziałem, że jest to wynik majowych wydarzeń i miałem nadzieję, że jesienią wszystko wróci do normy.

Przez pierwsze tygodnie nienaturalnie gorącego lata Etna niemal nie wychodziła z domu. Nieobecna duchem, milcząca i zamyślona, wykonywała swoje obowiązki chyba wyłącznie z przyzwyczajenia. Czasami w ogóle nie opuszczała pokoju i odsyłała do kuchni tace z nietkniętymi potrawami. Kiedy schodziła na dół, szła z maniackim zapalem, zupełnie jakby ktoś wyznaczył jej nieprzekraczalny termin wykonania jakiegoś zlecenia. Siedziała w salonie, w swoim fotelu, ze złością przegryzała nitki i gniewnym gestem wygładzała kawałki materiału, które rozkładała sobie na kolanach. Szła szale, poszewki na poduszki, ubranka dla dzieci i halki, matinki, szlafroki, obrusy i zasłony do nieistniejących pokoi. Haftowała monogramy i kwiaty. Uszyła pelerynę dla Clary i suknię o obniżonej talii, podobną do tuniki, chyba dla siebie, chociaż nie włożyła jej ani razu. Potrafię wyrecytować spis tych rzeczy z pamięci, ponieważ przez wszystkie

te lata leżały i nadal leżą w cedrowej skrzyni u stóp łóżka Etny. Pan domu nie miał serca ani chęci, by oddać je żadnej organizacji charytatywnej, chociaż powinien był zrobić to dawno temu.

Niewątpliwie uwagę czytelnika zwróciły słowa „łóżko Etny”. Etna bez słowa wyjaśnienia przeniosła się do pokoju gościnnego, zabierając też z naszej wspólnej sypialni wszystkie osobiste rzeczy. Spała w wysokim, białym, wąskim łóżku, wymieniwszy piękną kolorową narzutę na białą, z szenili. Czasami, w wyjątkowo gorące noce, zostawiała lekko uchylone drzwi, aby mieć dopływ chłodniejszego powietrza. Mijając te drzwi w drodze do sypialni, widywałem śpiącą Etnę, z włosami splątanymi na poduszce i ramionami odrzuconymi do tyłu w dziwnie mało kobiecej pozie. Patrzyłem na nią jak zaczarowany, świadomy, że nie mogę wejść do pokoju. Mogłem tylko obserwować ją zza progu, podobnie jak jeszcze niedawno robiłem to przez szybę. Przyglądałem się, jak jej pierś wznosi się i opada, jak jej jeszcze prawie gładka szyja wygina się w łuk na poduszce, jak jej powieki drgają we śnie. (O czym czy o kim śniła? O Phillipie Asherze? A może o Samuelu?). Czasem ogarniała mnie fala pożądania i z wielkim wysiłkiem powstrzymywałem się, aby nie pchnąć uchylonych drzwi i nie położyć się obok śpiącej żony, ale nie zrobiłem tego. W tamtej sytuacji było to po prostu nie do pomyślenia. Modliłem się, jeśli w ogóle mogłem się modlić (nasze grzechy odgradzają nas od Boga, czyż nie?), aby z czasem obrzydzenie, jakie czuła do mnie Etna, zniknęło, i abyśmy znowu mogli stać się mężem i żoną.

Taki stan rzeczy utrzymywał się przez ponad dwanaście tygodni.

W sierpniu trujący, dziwny spokój opadł na nasz dom i całe miasteczko, które w letnich miesiącach zawsze wydawało się nienaturalnie, choć czasami nawet dość przyjemnie ciche i puste. Dzień po dniu budziliśmy się i patrzyliśmy w blade od upału niebo, z którego od tygodni nie spadła ani kropla

deszczu. Ogród przy domu umierał z braku wody i odpowiedniej opieki, ponieważ nasz ogrodnik nie chciał lub nie mógł odtworzyć jego ulotnego piękna bez wskazówek pani domu. Tylko Nicky wydawał się nie zauważać panującego w domu nastroju wyrzutów i rezygnacji. Jak szczeniak, który szuka czułości nawet u niedbałego, roztargnionego pana, liżąc nieskorą do pieszczot rękę tak długo, aż wreszcie prawie nieświadomie zacznie ona gładzić go po głowie, tak i Nicky czasami wywoływał w nas jakiś odruch uczucia. Tylko Clara, udając zajęta lekturą, irytowała się, kiedy Nicky podszedł do niej zbyt blisko. Karciliśmy ją za te wybuchy złości, lecz w rezultacie tylko coraz bardziej oddalała się od rodziny. Ja często spędzałem długie godziny w gabinecie, pochłonięty nowymi obowiązkami. We wrześniu miałem wygłosić mowę do całego ciała akademickiego, mowę, którą bez końca pisałem, poprawiałem i przepisywałem.

A Etna? Gdzie była wtedy Etna? Co robiła moja żona po piętnastu latach małżeństwa? Na początku sierpnia zaproponowałem, żebyśmy pojechali do hotelu Highland nad morzem i dla dobra rodziny spędzili tam wakacje, lecz Etna odrzuciła ten projekt. (Czy wspominałem już, że prawie ze sobą nie rozmawialiśmy?). Z dnia na dzień stawała się coraz chudsza, tracąc na wadze z braku apetytu i z powodu mnogości coraz to nowych zajęć domowych, które wciąż wynajdywała. Można było odnieść wrażenie, że musi być wciąż w ruchu, aby odegnać od siebie obrazy, które córka zasiała w jej umyśle - Etna, kobieta, której spokój określał kiedyś jej charakter.

Czy marzyła o swoim domu? Czy zastanawiała się, dokąd pojechał Phillip Asher? Czy obwiniała się za to, że zaprosiła go do siebie? Nie wiem. W tamtym okresie piłem coraz więcej i sięgałem po alkohol coraz wcześniej, pragnąc znieczulić ból spowodowany lodowatym milczeniem Etny.

Pewnego popołudnia pod koniec sierpnia, opróżniwszy prawie pół butelki słodkiego wina, udręczony bólem głowy,

na który nie pomagał żaden tonik (w tym nieszczęśliwym domu powietrze było tak nieruchome i gorące, że trudno było oddychać), wyszedłem na boczny ganek i natknąłem się na siedzącą w wiklinowym fotelu Etnę. Wyjątkowo nie była zajęta szyciem, co uznałem za oznakę zdrowia. Zanim zbliżyłem się do niej (oczywiście bez zaproszenia), długą chwilę przyglądałem się jej z progu salonu. Jej ciało i twarz zwrócone były do mnie bokiem i miałem wrażenie, że Etna wpatruje się w coś za płóciennym parawanem. Miała na sobie bluzkę bez rękawów i lekką spódnicę - jej ramiona i długie ręce były białe i obnażone, nic więc dziwnego, że patrzyłem na nią wyglodniałym wzrokiem. Podrapała się po obojczyku, gdzie prawdopodobnie ugryzł ją jakiś owad. Ręce były przeraźliwie chude, podobnie jak całe ciało; nagle uświadomiłem sobie, że od wiosny Etna mocno się postarzała. Ten widok bardzo mnie poruszył. Wyszedłem na ganek i usiadłem w bujanym fotelu, z nadzieją, że rytmiczny ruch choć trochę odświeży powietrze. Etna spojrzała na mnie bez słowa. Z tęsknotą pomyślałem o rześkich jesiennych dniach, których nadejście, jak sądziłem, wreszcie wyleczy nas z tej dziwnej gorączki.

- Może zabralibyśmy dzieci w góry? - odezwałem się do Etny. - Tam na pewno jest chłodniej. Sądzę, że bez trudu znajdę dla nas pokoje w jakimś hotelu...

- W jakie góry? - zapytała obojętnie.

W ciągu tygodni po powrocie do domu Etna straciła dar uprzejmej konwersacji lub celowo się go wyrzekła.

- W Góry Białe - odparłem, gdyż żadne inne nie przyszły mi do głowy.

Ledwo wypowiedziałem te słowa, a już ich pożałowałem - w Górach Białych spędziliśmy swój krótki miodowy miesiąc.

- Nie mam na to ochoty - oświadczyła.

- Czy jest coś, na co miałabyś ochotę?

- Jedź sam - powiedziała. - I zabierz ze sobą dzieci.

- Nie chciałbym cię zostawiać - odrzekłem, nieco zirytowany jej niechęcią do poruszania jakiegokolwiek tematu.



Czyż ze względu na dzieci nie powinniśmy starać się wrócić do normalnego życia?

Etna utkwiała wzrok w parawanie obciążonym brązową koronką, przez którą widać było zaniedbany ogród. I właśnie wtedy, jak czasami zdarza się pod wpływem zbyt wczesnie spożytego alkoholu oraz bólu głowy, uległem atakowi zjad-liwości.

- Asher jest w Argonne - powiedziałem, wymieniając najbardziej niebezpieczne miejsce na świecie.

Etna powoli odwróciła głowę w moim kierunku. W końcu udało mi się skupić na sobie uwagę żony.

- Phillip jest we Francji? - zapytała. Phillip.

- Niedawno dowiedziałem się z wiarygodnego źródła, że profesor Phillip Asher działa w brytyjskim Czerwonym Krzyżu.

- To niemożliwe - rzekła.

- Czerwony Krzyż przyjmuje mężczyzn w każdym wieku. Oczywiście jest to bardzo odważny gest z jego strony. Wydaje mi się, że w ten sposób próbuje dokonać zadośćuczynienia za swoją zbrodnię. Na polach bitewnych Francji ginie prawie siedemdziesiąt procent personelu medycznego. Wiedziałaś, że Asher jest pacyfistą?

Oczy Etny były mocno zaczerwienione, lecz chyba nie od łez (sprawiała wrażenie zbyt wyschniętej na łzy), raczej z niedożywienia. Pod jej własnoręcznie szytymi sukniami kryło się wychudzone do kości ciało.

- Phillip jest we Francji... - powtórzyła.

- W Argonne - podsunąłem złośliwie.

- Wyjechał i już nie wróci?

Drgnąłem nerwowo i odwróciłem się, szukając wzrokiem osoby, z której ust padło to pytanie. Clara stała w drzwiach za moimi plecami.

- Naprawdę wyjechał i nie wróci? - zapytała drugi raz. Podeszła do nas, trzymając w dłoni srebrną szczotkę. Jej

włosy były nieestetycznie pozlepiane od potu, białe pończochy brudne.

Spojrzała na matkę, potem znowu na mnie.

- Profesor Asher wyjechał? - powtórzyła. Podniosłem się, wyczuwając niebezpieczny zwrot w rozmowie.

- Mama i ja chcemy spokojnie pomówić na osobiste tematy, Claro - powiedziałem. - Powinnaś nauczyć się nie odzywać nie pytana.

- Daleko wyjechał? - ciągnęła Clara, zupełnie jakby nie słyszała mojej uwagi.

- Tak, bardzo daleko - rzekłem. - Chodźmy poszukać twojego brata - dodałem, robiąc krok w jej stronę.

- Więc teraz mogę już powiedzieć, tak? - zapytała. Wstrzymałem oddech, czekając, aż niebezpieczna chwila

minie. Jasnoniebieskie oczy Clary patrzyły mi prosto w twarz. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jej pytanie wcale nie było niewinne. Czy zadała je ze złą wolą, zrodzoną w czasie długich godzin bezczynności? Czy uznała to za dobry sposób, aby znowu zwrócić na siebie uwagę? Czy pragnęła uciszyć wyrzuty sumienia? A może ten zdradziecki gest po prostu wymierzony był we mnie...

- Co powiedzieć? - przemówiła Etna.

- Cicho bądź! - ostrzegawczo mruknąłem do Clary.

- Co powiedzieć? - Etna podniosła się z zielonego wiklinowego fotela. - O co chodzi, Nicholasie?

- O nic. - Niedbale machnąłem ręką. - O nic ważnego, naprawdę. Chodź ze mną, Claro.

Gdyby udało mi się chwycić Clare za ramię, ściągnąłbym ją z ganku siłą, ale ona wymknęła się i podeszła do matki.

W pierwszej chwili w oczach Etny odmalowało się tylko zaciekawienie. Nie widziała męża ani córki, lecz scenę, której świadkiem i uczestniczką była przed trzema miesiącami, scenę, w czasie której Clara dotknęła piersi palcami.

Etna z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

Clara objęła matkę, której długie białe ramiona nie odwzajemniły uścisku. Moja żona wyglądała jak osoba tknięta paralizem.

- Nie chciałam zrobić nic złego... - Napięty głos Clary

brzmiał dziwnie cienko. - Chciałam tylko, żebyś wróciła do domu, mamó...

Obserwowałam, jak Etna znowu przywołuje z pamięci tamtą scenę. Potem spojrzała mi w oczy. W jej źrenicach najpierw ujrzałem pustkę całkowitego osłupienia, a po chwili ostre skupienie pełnej świadomości.

- Jak mogłeś? - zapytała ponad głową Clary.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparłem.

- Wiesz - powiedziała Etna. - Widzę, że wiesz.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o co ci chodzi.

- Powiedz mi prawdę, Claro, - Etna odsunęła od siebie córkę na długość ramienia. - Całą prawdę.

Lecz ja odwróciłem się i wyszedłem, zanim Clara wyznała prawdę.

Szybkim krokiem udałem się do swojego gabinetu.

Jakie to ma teraz znaczenie, pomyślałem, zamykając za sobą drzwi.

Matka nigdy nie opuści rodziny. Poświęci się dla dobra dzieci. Przecież obiecała.

Wygrałem, czyż nie? Miałem Etnę. Miałem dzieci. Byłem dziekanem Wydziału Literatury Angielskiej w Thrupp College.

Więc dlaczego tak strasznie się bałem?

Etna poszła do gościnnego pokoju i zatrzasnęła drzwi z taką siłą, że zatrzęsły się ściany. Od czasu do czasu, gdy popołudnie powoli stawało się wieczorem, wszyscy słyszeliśmy pełne niedowierzania okrzyki, krótkie i zdyszane, zupełnie jakby prawda docierała do niej wciąż na nowo. Clara ukryła się w swoim pokoju, a Nicky nawet na krok nie oddalał się od Abigail. Widziałem, jak zasłaniał sobie uszy, aby zagłuszyć dobiegające z gościnnego pokoju odgłosy. Jeśli o mnie chodzi, siedziałem w gabinecie, gasząc pragnienie kolejnymi szklaneczkami sherry i pokrępiając się brandy. Siedziałem, spacerowałem nerwowo i piłem, chwilami nie mniej niż Nicky przerażony okrzykami z góry.

Burza wkrótce przeminie, mówiłem sobie. Żadna kobieta,

żaden człowiek nie wytrzyma tak intensywnych wybuchów. W drzwiach stała Abigail, ale odprawiłem ją machnięciem dłoni. Nie wiem, czy przedmiotem jej współczucia byłem ja, teraz już kompletnie pijany, czy jej pani, której cierpień nawet nie mogłem sobie wyobrazić. Czy Etna zastanawiała się nad krzywdą, jaką jej rodzina wyrządziła Phillipowi Asherowi (dziwna zemsta za upokorzenie, którego sama doznała z rąk jego rodziny, prawda?), czy obwinała się za to, że nie chciała go widzieć ani z nim porozmawiać? Czy myślała o tym, jak wyjechał, naznaczony piętnem hańby, i o tym, co działo się z nim na usianych trupami polach Europy? Czy uświadomiła sobie, że machinacje jej męża i córki mogły doprowadzić do śmierci spokojnego, łagodnego naukowca, który był co najmniej jej przyjacielem? Mężczyzny, którego pewnego dnia być może obdarzyłaby miłością? I kogo obciążyła winą za los tamtego? Mnie, twórcę podłego planu? Niegodną zaufania córkę, która mogła nigdy nie odzyskać spokoju ducha po tym, jak w okresie największej młodzieńczej wrażliwości zniszczyła drugiego człowieka, w najlepszym wypadku pozbawiając go pracy? A może siebie, bo przecież to ona wydobyła ze mnie najgorsze skłonności przez swoje nienaturalne pragnienie wolności? Niewykluczone, że Etna posunęła się jeszcze dalej i wróciła myślami do tamtego dnia, kiedy stojąc w jeszcze niepomalowanym i nieumeblowanym pokoju w Exeter, pozwoliła, aby litość wzięła w niej górę nad zdrowym rozsądkiem i wypaczyła jej zdolność oceny. Niewykluczone także, że rozmyślała o tajemniczym związku między zbiegiem okoliczności i losem, nieświadomie idąc w moje ślady. Jak ułożyłoby się jej życie, gdyby w noc pożaru odrzuciła propozycję odwiezienia do domu? Co by było, gdyby tamtego wieczoru ona i jej ciotka po prostu postanowiły zjeść kolację w domu? Można w nieskończoność roztrząsać tak wydarzenia swojego życia.

Upalne popołudnie ustąpiło miejsca dusznemu wieczorowi. Okrzyki w pokoju na górze ucichły, Nicky odsłonił uszy, wygłodniała Clara zesłała na dół. Znalazłem moje dzieci

przy białym kuchennym stole, jedzące ciasto. Na mój widok Clara bez słowa podniosła się z krzesła i wybiegła, z ustami pełnymi okruchów ciasta i kawałków brzoskwiń, zanim miałem szansę się odezwać, chociaż i tak bym tego nie zrobił. Wezwana przeze mnie Abigail wzięła sennego chłopca na ręce i zaniósła do łóżka. Chwilę kręciłem się po kuchni, szukając brandy, a gdy nie znalazłem żadnego alkoholu, wyszedłem na trawnik za domem.

Zdjąłem marynarkę, zostając w koszuli z krótkim rękawem, i podniosłem wzrok ku niebu, tego wieczoru zaciągniętemu cienką warstwą bladych chmur. Dookoła mnie rozbrzmiewała nocna symfonia wygrywana przez świerszcze. Koszula przykleiła mi się do skóry, powietrze wydawało się zupełnie nieruchome i gęste jak pudding. Przeżywaliśmy właśnie niezwykle falę upałów; nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz temperatura spadła poniżej trzydziestu stopni. Stałem na brzegu trawnika i przez ramię spojrzałem na budynek kryjący w swoim wnętrzu obolałą od ciosów rodzinę Van Tassel. Widziałem, jak zgasło światło w pokoju Nicky'ego, potem u Clary. Po chwili ktoś zapalił lampę na poddaszu, lecz zaraz ją zgasił. (Nie chciało mi się nawet myśleć o tym, jaka duchota musi panować w pokojach dla służby). W końcu zostało tylko światło w moim gabinecie i w pokoju gościnnym.

Szukałem wzrokiem jakiegokolwiek śladu życia w tym ostatnim pokoju, choćby cienia na tle koronkowej firanki, ale nadaremnie. Wspiąłem się na kamienny murek, aby lepiej widzieć, lecz zobaczyłem tylko biały sekretarzyk z lusterkiem. Może moja żona pisze list do Phillipa Ashera, pomyślałem. Myśl ta okazała się bolesna, więc natychmiast ją odepchnąłem. A może zasnęła przy zapalanej lampie... Jeżeli tak, to powinienem spełnić obowiązek dobrego męża, zakraść się na palcach do jej pokoju i zgasić światło. Nie obudzę jej, pomyślałem, chwilę popatrzę tylko, jak śpi. Może usiądę przy białym sekretarzyku i napiszę do niej (nowy, godny uwagi pomysł!), starając się wyjaśnić wydarzenia minionych miesięcy. Spróbuję przekonać ją o swojej miłości i poprosić o przebaczenie.

Im intensywniej moje myśli krążyły wokół tej możliwości (czy raczej im bardziej alkohol przesycił cały mój organizm), z tym większym naciskiem zacząłem wmawiać sobie, że powinienem natychmiast pójść do Etny. Muszę ją przekonać, że z czasem rany naszej małej rodziny się zablżnią i zdołamy zapomnieć o tamtej sprawie. Pragnąłem wziąć ją w ramiona, pozwolić jej zapłakać i powiedzieć, jak mówi się małemu dziecku, że wszystko będzie dobrze. Rano obudzimy Clare i razem pomożemy jej wybrnąć z emocjonalnego i moralnego błota, w które ją wepchnąłem. Wyjedziemy w góry, odetchniemy świeżym, czystym powietrzem i pozbedziemy się złych wspomnień, jakie dotąd wiązaliśmy z tamtym surowym krajobrazem. A kiedy wrócimy, będzie już jesień i wszyscy czworo podejmiemy normalne życie w tym miejscu, w którym zostało brutalnie zakłócone. Dotknęła nas choroba, pragnąłem powiedzieć żonie, ale teraz powoli wrócimy do zdrowia, odzyskamy rozsądek i znowu zajmiemy się codziennymi sprawami.

Och, co za głupiec... Głupiec, głupiec.

Czasami wydaje mi się, że zdarzenie, które chcę opisać, w ogóle nie miało miejsca, że w rzeczywistości zastałem drzwi gościnnego pokoju zamknięte. Ze wszystko to było tylko snem, produktem nieprzytomnie gorącej nocy.

W tym śnie szybko wchodzę po schodach, obwieszczając swoje intencje zdecydowanym krokiem. Idę korytarzem do gościnnego pokoju i zatrzymuję się pod drzwiami. Zastanawiam się, czy zapukać, dochodzę jednak do wniosku, że wtedy złożyłbym na barkach Etny ciężar trudnej decyzji - otworzyć drzwi czy nie, wpuścić mnie do środka czy nie. Po paru sekundach naciskam klamkę.

Moja żona siedzi na brzegu łóżka i widząc mnie, podrywa głowę znad kartki. Jej twarz nosi ślady łez, bluzka jest rozpięta pod szyją. Spoglądam na blat sekretarzyka i widzę leżący na nim list. Lawendowy atrament na lawendowej kopercie z wypisanym imieniem i nazwiskiem, bez adresu. Adres nieznan.

Adresat najprawdopodobniej przebywa w okopach i słucha teraz innej, śmiertelnej symfonii.

Twarz Etny jest zimna i twarda, na plecy opada brzydki, splątany sznur włosów. Patrzę na rozpiętą bluzkę, list na sekretarzyku, zasłony zwisające ciężko w nieruchomym powietrzu.

- Jesteś potworem - mówi spokojnie Etna, gdy zbliżam się do łóżka. Podchodzę do niej i nim zdąży się cofnąć, przyciskam jej twarz do swojego sporego brzucha. Etna usiłuje odwrócić głowę w bok, lecz bezskutecznie.

- Nie jestem potworem - mówię. Przyciskam jej plecy do materaca.

- Jestem twoim mężem.

- Nie jestem twoją żoną - mówi Etna.

Zakrywam jej usta ręką, ona zaś patrzy na mnie rozszerzonymi oczami.

- Nic nie mów - szepczę.

W tym śnie, a może wizji (która może być odbiciem rzeczywistości, a może nie), zdejmuję dłoń z ust Etny i całuję je. Etna nieruchomieje, staje się wręcz uległa, jakby bała się obudzić dzieci, które mogłyby wpaść do pokoju, zaalarmowane krzykiem matki. Łagodnie i delikatnie zsuwam pończochę z jej nogi, czując pod palcami miękkie włoski na łydce. Podnoszę spódnicę, szukając rozcięcia w pokryciu gorsetu, ale go nie znajduję - dzień był tak upalny, że Etna nie włożyła gorsetu, ułatwiając w ten sposób zadanie moim wszędobylskim palcom. Odpinam guziczki bluzki aż do samego dołu. Dotykam ciała mojej żony, dotykam wszystkich miejsc, do których dotykania jako mąż mam naturalne, dane mi przez Boga prawo. Po pewnym czasie układam Etnę na sobie tak, że obydwójce wpatrujemy się w sufit. W tej pozycji Etna wydaje się przedłużeniem mnie samego, jakbyśmy byli jedną osobą. W tej pozycji nie muszę patrzeć jej w twarz, i dobrze, bo na ten widok pękłoby mi serce. Z jej gardła wydobywa się cichy dźwięk. Etna próbuje się podnieść, lecz ja znowu zasłaniam jej usta dłonią i przyciskam ją do siebie. Gram na niej jak na

muzycznym instrumencie, może na wiolonczeli, do chwili, gdy akt gwałtu dobiega końca.

Potem zapadam się w nicość, mam wrażenie, że śnię we śnie. Spadam długo, tak długo, że dłużej i głębiej już chyba nie można, ale mój upadek trwa i trwa.

Tuż przed świtem usłyszałem dźwięk, który obudził mnie na ułamek sekundy. Gdybym poprzedniego wieczoru nie wypił aż tyle, na pewno doszedłbym do przytomności. Ktoś zamknął drzwi, rozległy się kroki, potem cicho trzasnęły drugie drzwi. A może tylko sobie to wszystko wyobraziłem? Pograżony w ciężkiej drzemce wyczułem, że muszę spróbować otrzeźwieć. Kiedy w końcu to zrobiłem, gwałtownie usiadłem na łóżku. Słońce tworzyło już drobne wzory na drewnianej podłodze. Potarłem oczy i skronie, bo dręczył mnie tępy, nieustępliwy ból głowy, typowa oznaka fizycznego i moralnego kaca.

Stopniowo przedmioty w pokoju zaczęły rysować się wyraźniej i nabierać kształtów. Gdzie się obudziłem? We własnym łóżku, oczywiście, ale gdzie Etna? No tak, Etna śpi w pokoju gościnnym. Wtedy z nagłą i brutalną jasnością przypomniałem sobie wydarzenia ubiegłej nocy. Przypomniałem sobie też dźwięki, które dotarły do mnie wcześniej. Z wysiłkiem podźwignąłem się z łóżka, podszedłem do okna i spojrzałem ku powozowni. Drzwi były otwarte, auto Etny zniknęło.

Wybiegłem z domu bez marynarki i kapelusza, wciąż w tym samym ubraniu, w którym spałem. Ponaglało mnie przerażenie. Gdy włączyłem silnik, głośny warkot zaskoczył mnie w ciszy poranka. Ponieważ przy każdym ruchu głowy odczuwałem dotkliwy ból, prawie na ślepo wyjechałem na wstecznym biegu na ulicę.

Ze zbyt dużą prędkością przejechałem Wheelock Street, mijając dom wdowy Bliss oraz hotel Thrupp, nienoszący żadnych śladów kataklizmu, ani piekielnego, ani żadnego innego. Skręciłem przy kampusie, gdzie liście jaworów brązowiały



i skręcały się w sierpniowym upale. Miałem wrażenie, że z wysuszonej trawy unosi się para, a w lekkich zagłębieniach na trawnikach niemal można zobaczyć wydeptane przez wiele pokoleń studentów ścieżki. Minąłem nieodznaczające się specjalną architektoniczną urodą budynku college'u, wiktoriański dom Moxona, podjazd wiodący do pałacu Feralda i wyjechałem na drogę do Drury. Miałem wrażenie, że podróżuję w nierzeczywistym czasie, w którym nie mogę przemieszczać się wystarczająco szybko. Jadąc, wyobrażałem sobie szczegółowo, co znajdę na miejscu.

Ciało będzie leżało częściowo na perskim dywanie, a częściowo na linoleum, zupełnie jakby w ostatnich chwilach usiłowała osiągnąć czegoś poza pokojem. Na szyi będzie miała ohydną, chorą różę, plamę najintensywniejszego koloru w tym pokoju ozdobionym tylko malowanym na biało żelazem i zasuszonymi chryzantemami. Wydam okrzyk i odwrócę się, lecz wcześniej dostrzegę nienaturalne ułożenie ciała i kawałek szkła ze stłuczonej żarówki z żyrandola.

Zataczając się, dotrę do zlewu, odkręcę kran i podstawię policzek pod strumień zimnej wody. Wyprostuję się i potrząsnę głową, jak pies, który otrząsa się po kąpieli. Próbując opanować mdłości i zawroty głowy, poszukam wzrokiem jakiegoś sprzętu, na którym mógłbym się oprzeć. Potem znowu spojrzę na moją żonę.

Jej naznaczona groteskowym grymasem twarz będzie pokryta krwią z nosa i ust. (Z medycznego punktu widzenia można by powiedzieć, że śmierć nastąpiła przez utonięcie). Pochyłę głowę nad lnianą bluzką, przesunę palcami po wychudzonej białej ręce... Dotknę policzka i włosów koloru żółdzi...

Nie, nie, skarciłem się gwałtownie. To zbyt melodramatyczne. Na pewno nie tak będzie...

Skręciłem na podjazd i zatrzymałem wóz przed domem. Auta Etny nie było, lecz frontowe drzwi stały otworem.

Wysiadłem z forda, zbliżyłem się do progu i ostrożnie zajrzałem do środka. Zawołałem jej imię, ale odpowiedziała cisza. Szybkim spojrzeniem ogarnąłem podłogę, na której nie

leżało nic poza kłakami kurzu. Podniosłem wzrok na żyrandol, to paskudztwo z białego żelaza - wszystkie żarówki były całe.

Przekroczyłem próg. Wewnątrz, mimo otwartych drzwi, panowała straszna duchota i półmrok, ponieważ zasłony były zaciągnięte, ale poza tym nic nie zmieniło się tu od dnia, kiedy zamknąłem dom na początku lata. (Nie przyszło mi do głowy, że Etna mogła zatrzymać drugi klucz). Otworzyłem okna, wpuszczając do środka światło i powietrze.

Rozejrzałem się dookoła, chcąc sprawdzić, czy Etna nie ukryła się gdzieś, na przykład za parawanem, potem wspiąłem się na poddasze, lecz zaraz musiałem zejść na dół, bo w sypialni w ogóle nie dało się oddychać.

Znowu zawołałem jej imię.

Na pierwszy rzut oka w pokoju na dole brakowało tylko szkatułki z przyborami do pisania, którą Etna kazała sobie przywieźć do domu na Holyoke Street. Ciężko łapiąc oddech, oparłem się o szafkę apteczną i kilka razy nerwowym gestem przesunąłem po przedniej ścianie białej puszek na ciasteczka. Drzwiczki otworzyły się, odsłaniając wachlarz niebieskich, białych i lawendowych kopert, które rozsypały się po podłodze. Pozbierałem je i przebiegłem wzrokiem adresy.

Pani Etna Van Tassel, Holyoke Street, Thrupp, New Hampshire.

Pan Phillip Asher, Hotel Thrupp.

Pani Etna Van Tassel, Exeter, New Hampshire.

Pan Phillip Asher, 14 Gill Street.

Osunąłem się na drewniane krzesło. Po pewnym czasie ułożyłem listy w porządku chronologicznym. (To chyba oczywiste, że Nicholas Van Tassel musi czytać serię listów w takiej kolejności, w jakiej zostały napisane, nieprawdaż?). Przeczytałem je raz, potem drugi i zrobiłem z nich równy stos.

Etna i Phillip Asher, moja żona i wykładowca z Yale, poślubili swoje listy i wszystko wskazywało na to, że ten związek okaże się trwalszy od mojego.

Odrzuciłem głowę do tyłu i zawyłem, wydałem z siebie przerażający, gardłowy wrzask, który wzbudziłby lęk każdego normalnego człowieka. Moja żona wróciła, ale znowu odeszła, tym razem na dobre. Wreszcie dotarło do mnie, że Etna nie wróci. Podważyła zamek swojej klatki i wymknęła się z niej. Uwolniła się.

Uwolniła się ode mnie.

Zdecydowałem, że to, co zaczęło się w pożarze, w pożarze musi się skończyć. Czy była to z mojej strony próba oczyszczenia, czy tylko głęboko zakorzenione przywiązanie do metafory? Nie wiem. Wiem tylko, że o wiele trudniej jest dokonać podpalenia, niż można by sądzić. Z braku lepszego pomysłu stanąłem nad piecykiem ze ścierką i próbowałem delikatnym wachlowaniem ożywić anemiczny płomyk, lecz zupełnie mi to nie wychodziło. W końcu udało mi się zapalić od płomienia ścierkę, którą położyłem pod zasłoną.

Wyniosłem z domu metalową puszkę na ciasteczka wraz z całą zawartością i, pod wpływem impulsu, manekina z drutu, który nie był mi do niczego potrzebny, ale wydał mi się czymś w rodzaju drucianego ducha Etny, ponieważ miał jej wymiary. Zapakowałem te rzeczy do forda. Pośpiesznie usiadłem za kierownicą, zawróciłem i ruszyłem w dół podjazdu, nie mając odwagi, by obejrzeć się na dom, w którym najpierw cała zasłona, a później fragment ściany przybrały intensywnie pomarańczowy kolor. Zanim wyjechałem na główną drogę, zobaczyłem, jak jezor płomienia wysuwa się przez otwarte drzwi. Parę sekund później rozległ się głośny ni to szum, ni to syk i cały dom stanął w ogniu. Był to fascynujący widok. Ogień naprawdę jest przepięknym zjawiskiem.

Pożar szalał, a jego gorące tchnienie docierało aż na koniec podjazdu. I właśnie wtedy, gdy siedziałem za kierownicą, ze wzrokiem utkwionym w płonąącym domu, nawiedziła mnie zupełnie nowa, intrygująca myśl: skoro Etna Bliss uwolniła się ode mnie, to może ja także stałem się wolny...

Ta możliwość całkowicie mnie oszołomiła. Zacząłem przy-

glądać się jej z bliska, czując nieśmiałą, pełną niedowierzania ulgę, jak człowiek, który dowiaduje się, że z przeżytej tragedii wynikło coś nieoczekiwanie dobrego. Czy to możliwe, że zostałem uwolniony od obsesji, jaką była dla mnie Etna Bliss Van Tassel? Obsesji, która prześladowała mnie przez szesnaście lat?

Możliwe. Możliwe.

Zbadałem swoje serce i umysł jak żołnierz, który odzyskawszy przytomność na polu bitwy, obmacuje swoje ręce i nogi, sprawdzając, czy są całe i sprawne. Czytelnik może być pewny, że moja ulga była nie mniejsza niż tegoż żołnierza, gdy w pełni uświadomił sobie, iż mimo wszystko udało mu się przeżyć.

Niewykluczone, że siedziałbym w samochodzie na końcu podjazdu przez cały ranek, usiłując pojąć tę niezwykłą sytuację, gdyby nie całkiem przytomne podejrzenie, że pożar może się rozszerzyć. Nie zamierzałem przecież puścić z dymem sąsiedniego domu. Szybko odjechałem i zatrzymałem się przed pierwszym zauważonym domem. Bardzo zdziwionemu mężczyźnie, który mi otworzył, powiedziałem, że nieco dalej pali się dom i że powinien wezwać straż ogniową. Jak dowiedziałem się później, w chwili przybycia strażackiego wozu z domu Etny prawie nic już nie zostało, lecz sąsiedni dom nie ucierpiał, mimo wielkiego upału i suszy.

- Ten dom należał do pańskiej żony - powiedział policjant, który po południu zjawił się na Holyoke Street.

- Tak - odparłem.

- Szczęście, że jej tam nie było. - Pokiwał głową.

- Ogromne szczęście. - Uśmiechnąłem się.

- Mógłbym z nią porozmawiać?

- Śpi.

- Rozumiem...

- Ciężko to przeżyła - powiedziałem.

- Na pewno. Po co był jej ten dom?

- Słucham?

- Po co był jej ten dom? - powtórzył.

- Lubiała tam szyć - odparłem spokojnie.

- Szyć?
- Dawała lekcje szycia ubogim.
- Naprawdę? - zainteresował się.
- Naprawdę.
- W takim razie wielka szkoda, nie?
- Czego wielka szkoda?
- Ze straciła ten dom w taki sposób.
- Tak - zgodziłem się. - Wielka szkoda).

Jeżeli miałem jakieś złudzenie wolności w chwili, gdy patrzyłem, jak ogień pożera dom Etny, znikło ono zaraz po powrocie do domu, gdzie czekały na mnie dzieci, Clara i Nicodemus, którym musiałem wytłumaczyć, że ich matka wyjechała, by trochę odpocząć. Nicky rozplakał się, a Clara mi nie uwierzyła.

- Zmusiłeś ją, żeby wyjechała! - rzuciła oskarżycielskim tonem. Szczerze mówiąc, trudno mi było zaprzeczyć.

Na początku listopada musiałem poprosić Meritable o przyjazd, ponieważ nie miałem pojęcia, jak wychowywać córkę, która dość często powtarzała bez wahania, że mnie nienawidzi.

Niecały tydzień po pożarze, przechodząc korytarzem obok pokoju Nicky'ego, usłyszałem, jak Clara informuje przerażonego chłopca, że zabiłem ich matkę.

- Nieprawda! - zaprotestował Nicky, występując w obronie jedyne go z rodziców, który mu został. - Mama odpoczywa!
- Tak, odpoczywa, najpewniej w grobie... - mruknęła Clara. - Ojciec jest mordercą - wypowiedziała to słowo z ponurą satysfakcją.
- Idź do swojego pokoju, Claro! - ryknąłem z progu.

Sądziłem, że zachowanie młodej dziewczyny nie może zaskoczyć Meritable, lecz nieprzejednana niechęć Clary do mnie zrobiła na mojej siostrze duże wrażenie. Po długiej rozmowie z Clarą Meritable zasugerowała delikatnie, że może będzie lepiej, jeśli Clara na pewien czas zamieszka u niej.

- Na krótko, do chwili, gdy odzyska równowagę - powiedziała.  
Tak więc przed świętami Bożego Narodzenia Nicky i ja zostaliśmy sami w ogromnym, pustym domu. Ten stan rzeczy utrzymał się do siedemnastych urodzin Nicky'ego, kiedy to mój syn wyjechał na studia do college'u Bowdoin.

Myślę, że byłem dla Nicodemusa dobrym ojcem, bardziej czujnym i myślącym niż wielu innych, i nie wydaje mi się, abym zaszkodził chłopcu, otaczając go nadmiarem czułości. Czytelnik zapewne łatwo sobie wyobrazą, że starałem się być dla niego obojętnym rodzicem i siostrą, i chociaż wysiłki te pod wieloma względami skazane były na niepowodzenie, to jednak spędziliśmy ze sobą wiele dobrych chwil, mój syn i ja.

Jesienią wynająłem detektywa, który poinformował mnie (w czasie okropnej rozmowy w moim gabinecie), że Etna wyjechała do Londynu.

- Obawiam się, że wiadomości, które chcę panu przedstawić, nie są dobre, proszę pana - zaczął niski, czerwony na twarzy mężczyzna z Bostonu.

- Oczywiście, że nie są dobre - odparłem ze zniecierpliwieniem. - Proszę mówić dalej.

- Etna Van Tassel, pańska małżonka, mieszka w Londynie.

- W Londynie?

- Tak, pod tym adresem. - Podał mi kartkę z zapisaną nazwą ulicy i numerem domu. - Jest to adres pewnego dżentelmena, proszę pana.

- Jakiego dżentelmena? - zapytałem, przygotowując się na dźwięk imienia i nazwiska Phillipa Ashera.

- Dżentelmena, który nazywa się Samuel Asher.

Drgnąłem ze zdziwienia, czego człowiek z Bostonu najwyraźniej się spodziewał. (Detektywi, podobnie jak policjanci, zwykle przynoszą straszne wiadomości, prawda? Ciekawe, czy z trudem znoszą swoje role, czy też z lubieżnym zainteresowaniem obserwują ekstremalne ludzkie zachowania?).

- Mieszka tam? - spytałem.
- Nieszczęśliwie się składa, że tak.
- Moja żona jest nieszczęśliwa?
- Nie, to ja nie jestem szczęśliwy, że muszę przekazać panu taką smutną wiadomość.
- To dobrze - odparłem.

(W jaki sposób doszło do spotkania między Samuelem i Etną? Czy Etna od razu udała się do domu Samuela, zostawiwszy uczucie wstydu w New Hampshire? Czy Samuel, patrząc jej w oczy, w pełni zdał sobie sprawę z wielkiej potęgi miłości, którą kiedyś poznał i z której zrezygnował? Czy z radością wykorzystali tę drugą szansę? Czy Samuel opowiedział Etnie o swoim niezupełnie szczęśliwym małżeństwie? Czy natychmiast przystąpili do odnowienia w pełni satysfakcjonujących dla nich obojga stosunków fizycznych? Czy kiedykolwiek myśleli o sześciorgu dzieciach, którym wyrządzili krzywdę?).

W gruncie rzeczy nie wiem zupełnie nic o odrodzeniu się ich romansu i liczę, że czytelnik wybaczy mi, iż nie będę tu próbował wyobrazić sobie, jak, kiedy i gdzie się to stało. Często się zastanawiam, czy przypadkiem nie byłem dla Etny Bliss kimś w rodzaju regenta, którego toleruje się do chwili, gdy na tron wstępuje prawowity król. Byłem ojcem jej dzieci, niewątpliwie. Jej mężem w oczach prawa, naturalnie. Mężczyzną, którego nigdy nie kochała, niestety. Jednak przede wszystkim, tak mi się w każdym razie wydaje, byłem człowiekiem, z którym żyła między pierwszym i drugim związkiem z Samuelem Asherem. Kiedy zaś torturuję samego siebie, co czasami się zdarza, wracam myślą do słów, które Etna wypowiedziała w sypialni domu swego stryja Williama, tuż przed tamtym cudownym objawieniem namiętności, do jakiej była zdolna - wyznała wtedy, że jej zdaniem prawdziwym skarbem jest móc kochać mocno i głęboko.

(Jeżeli ja byłem regentem, to kim był Phillip Asher? Kandydatem na regenta? Pretendentem do tronu? Echem minionej miłości? Czy Phillip i Samuel kiedykolwiek jeszcze ze sobą rozmawiali? Nie wiem.).

W czerwcu przejdę na emeryturę i odejdę z Thrupp College, szkoły, która od roku 1899 i 1916 zmieniła się znacznie mniej niż powinna. Podczas sprawowania stanowiska dziekana zatrudniłem około trzydziestu nowych wykładowców, zwiększyłem liczbę przyjmowanych na wszystkie wydziały studentów z czterystu do siedmiuset, ograniczyłem zakres niektórych zajęć do dwóch semestrów i wprowadziłem nowy przedmiot, współczesną powieść amerykańską, które to radykalne posunięcie mocno wszystkich zaskoczyło.

Trzy lata temu otrzymałem wiadomość z pewnej szacownej angielskiej kancelarii prawniczej, że Etna zmarła na gripę. Miała pięćdziesiąt osiem lat. Została pochowana w Anglii i niewątpliwie za jakiś czas miejsce u jej boku zajmie Samuel, jeśli już się to nie stało. Mogę powiedzieć, że od dawna ze wszystkich sił usiłuję nie wyobrazić sobie, jak wyglądało jej życie z Samuelem. Dziwne, że chociaż rozłączyła ich dopiero jej śmierć, nie pobrali się. Czy był to wybór Etny czy Samuela? Czy cierpiała z powodu utraty dzieci? Jestem pewny, że tak. Myślę, że moja żona wiodła życie złożone w równych częściach ze szczęścia, które dzieliła z Samuelem, i z osobistego bólu.

Nicodemus do dziś nie próbował się dowiedzieć, dlaczego jego matka wyjechała na stałe do Londynu, zostawiając go jako siedmioletniego chłopca, i dlaczego wychowywał się z dala od siostry, lecz teraz, gdy niedługo sam zostanie ojcem, na pewno zada mi to pytanie. Jednak w tej chwili, po ponownym przeczytaniu spisanych przeze mnie wspomnień, dochodzę do wniosku, że ujawniłem w nich więcej, niż zamierzałem, i czytelnikowi, i samemu sobie, i że chyba nie jest to wiedza, jaką chciałoby się przekazać dziecku. Ta opowieść także na mnie robi wrażenie wyjątkowo me-lodramatycznej - historia nieco śmiesznego człowieka, na pewno mało zajmująca; z drugiej strony tak wielka część życia (radość, rozpacz, ból, wzajemne wyrzuty, nasze dziwne ataki namiętności) jest melodramatyczna z natury, wcale nie subtelna i wytworna.

Zbliżamy się do dworca, czuję bowiem, jak serce prze-



grzanego pociągu zwalnia, niczym serce zmęczonego zwierzęcia, które pragnie dobiec do końca dnia i odpocząć. Wkrótce wyjdę na peron i na próżno będę w tłumie szukał wzrokiem mojej córki, której nie widziałem przez osiemnaście lat. Niewykluczone, że w oczach będę miał łzy, chociaż może będzie to tylko efekt oślepienia ostrym słońcem Florydy oraz znużenia upałem i podróżą.

Cóż, jakoś to wszystko zniosę. A kiedy trochę się uspokoję, wezwę taksówkę, która zawiezie mnie do domu siostry, gdzie przywitam się z kuzynami, nie tracąc nadziei, że zdołam zamienić parę słów z córką. Po pogrzebie wyruszę w podróż powrotną do domu i może na krótko zatrzymam się w Charlestonie, aby złożyć wizytę Betty Hazzard, kto wie... W Thrupp przesiedzę dni, które pozostały mi do odejścia na emeryturę, w gabinecie, gdzie wciąż od nowa ustawiam książki na półkach, zupełnie jakby porządkując bibliotekę, można było uporządkować swoje życie. A jeśli chodzi o to, co zrobię z tymi nieuporządkowanymi wspomnieniami, to chyba zostawię je na półce obok *Palamon and Arcite* Drydena, wśród utworów, po które prawie nigdy nie sięgam.

Jaką popełniłem zbrodnię? Nauczyłem dziecko kłamać. Nie tylko moje grzechy są znacznie poważniejsze.

Napisałem już aż za dużo i w rezultacie czuję się zmęczony i pusty w środku. Muszę napić się czegoś zimnego. W tym dokumencie, którego proza jest zeschnięta i spękana, widzę dowód życia, które zostawiłem za sobą, dowód, że kiedyś szedłem tą drogą, szukając miłości i zrozumienia, namiętności i przebaczenia, jeżeli nie dla mojej duszy, to dla wszystkich rzeczy naturalnych w ciele i sercu, sercu jak zawsze wielkim, głodnym i spragnionym.

Nicholas Van Tassel  
West Palm Beach, Floryda  
23 września 1933 roku